Pawło Zahrebelny

PRZEJDŹMY DO MIŁOŚCI

Pawło Zahrebelny, współczesny prozaik ukraiński, jest autorem znanej czytelnikowi polskiemu książki „Z perspektywy wieczności". „Przejdźmy do miłości" jest drugą jej częścią, chociaż może również stanowić odrębną całość. Kanwę utworu stanowią pierwsze porywy uczucia bohatera, młodego robotnika Dmytra Czeredy, rozczarowania i powodzenia w sprawach sercowych. Miłość ukazana tu została na tle codziennego życia współczesnej Ukrainy: pracy i klimatu rodzinnego domu. Uczucie pomaga młodemu i wrażliwemu chłopcu skonfrontować postawy swych bliskich, odnaleźć i pełniej zrozumieć swój stosunek do otaczającego świata.

Pawło Zahrebelny

PRZEJDŹMY DO MIŁOŚCI

PRZEJDŹMY
DO MIŁOŚCI

Tytuł oryginału ukraińskiego
ПЕРЕХОДИМО ДО ЛЮБОВІ

Pawło Zahrebelny

PRZEJDŹMY DO MIŁOŚCI

Tłumaczyła
MARIA DOLIŃSKA

WYDAWNICTWO LUBELSKIE

Obwoluta, okładka,
karta tytułowa
Jerzy Kostka

Redaktor
Anna Łazuka

Redaktor techniczny
Marek Łoś

ISBN 83-222-0068-4

© Copyright by Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1980

WYDAWNICTWO LUBELSKIE • LUBLIN 1980

Wydanie I. Nakład 10 000+272 egz. Ark. wyd. 16,6. Ark. druk. 22,5. Pap. druk sat. kl. IV, 70 g. 82×104 cm. Oddano do składania 17 X 1979 r. Podpisano do druku 27 V 1980 r. Druk ukończono w czerwcu 1980 r. Cena zł 45.—

Druk: Rzeszowskie Zakłady Graficzne. Rzeszów ul. Marchlewskiego 19. Zam nr 3010/79, K-8-59

Od czasu, kiedy opowiedziałem swoją historię „Z perspektywy wieczności", którą można by zatytułować „Życie w żelazie", nasłuchałem się wielu ciekawych rzeczy. Mnie, czyli Dmytra Czeredę, nazywano „modelem nowego robotnika", ale niektórzy uważali, że jeszcze się w ogóle nie narodziłem i nie narodzony występuję w imieniu przyszłych młodych robotników, mówiono o mnie także jako o „wczorajszym ośmioklasiście, w gruncie rzeczy nie douczonym", a pewien doktor nauk nawiązując do mego samokrytycznego przyznania się do braków w wychowaniu i wykształceniu stwierdził, że dopatruje się w tym więcej sensu niż w fakcie nadania nam tytułu laureatów.

Kiedy toczyły się wszystkie te głębokie rozważania, życie nie stało na jednym miejscu, od swoich ośmiu klas oddaliłem się już o całe dziesięciolecie, a wiadomo przecież, że nawet ostatni idiota mógłby się w takim czasie czegoś nauczyć; otaczali mnie zresztą ludzie bynajmniej nie ostatni, o czym każdy będzie się mógł przekonać, kiedy przejdę w swojej opowieści do miłości.

Tak czy inaczej występują tu wszyscy, którzy występowali już w historii „Z perspektywy wieczności", a ponadto:

Angielski kapitalista
Towarzysz Knysz
Klementyna

Maria z marzenia
Krywcun
Derżykraj
Waleria i inni, jakich pełno jest zawsze w naszym życiu.

Brzemię popularności, nawet podzielone na trzech, jest jednak ciężkie dla takich młodych ramion jak moje. W rzeczywistości tak się jakoś złożyło, że nie zostało podzielone między trzech, bo mój drogi przyjaciel Eugeniusz ugiął się pod ciosem, jaki mu zadała Ala, i mimo wszystko wrócił do swojej dyplomacji, a inżynier Lonia Szlachtycz należał do ludzi, którym unikać popularności nakazywał ich charakter lub prawo natury, jakby powiedział docent Kryżeń. W rezultacie cała popularność przypadła w udziale mnie — a przecież wszystkim wiadomo, jak niewiele, jak niemal niczym nie przyczyniłem się do wyprodukowania owych przemądrzałych rur. Pomysł należał do Szlachtycza, a opracowanie naukowe do Hryszy Frusina, wykonanie techniczne do Eugeniusza, a co zrobiłem ja? Byłem szczerze zainteresowany, pomagałem, pętałem się pod nogami i rozdziawiałem gębę? Teraz tytuł laureata zrównał nas wszystkich, zniwelował lub, jak powiedziałby docent Kryżeń, zintegrował, a w następstwie tej integroniwelacji, kiedy wszyscy moi koledzy rozbiegli się — jeden do instytutu, drugi do dyplomacji, trzeci skrył się za murem swojej skromności — zostałem sam i trzeba było na swoich młodych ramionach dźwigać ową zagadkową i przerażającą popularność.

Jakieś piętnaście, dwadzieścia lat temu byłoby może lżej. Jak mi się zdaje, sława zasłużonego człowieka i popularność wymagała jedynie wysiadywania w prezydium i wydymania policzków. Zaznaczam, że było

tak jednak przed moją erą, a teraz jest już inaczej. Obecnie ze sfer czysto oficjalnych wszystko zostało przeniesione na grunt codzienności, w każdej chwili mógł podejść ktoś znajomy czy nieznajomy i zacząć rozmowę na taki temat, o jakim jeszcze mi się wczoraj nie śniło. Stój więc, człeku, odpowiadaj, napinaj już nie policzki, lecz wszystkie swoje władze umysłowe, jesteś bowiem popularny, jesteś przecież laureatem i reprezentujesz swoich dostojnych kolegów. Właśnie.

Niegdyś, spotkawszy mnie przypadkowo, docent Kryżeń mógł machnąć mi łaskawie ręką i zapytać najzwyczajniej, nawet się nie zatrzymując: „No co, Czereda, gryziesz granit wiedzy?" — „Kończę trzynaste kursy!" — odpowiedziałem ze śmiechem. I na tym się kończyły nasze kontakty osobiste.

A teraz doszło do rozmowy z docentem Kryżeniem, rozmowy spowodowanej moją popularnością, towarzysz docent bowiem jako uczony i natura wysoce subtelna wykazał się na tej płaszczyźnie wrażliwością przewyższającą nawet wrażliwość Tokowego.

Docent Kryżeń nigdy nie chodził sam. Krążyło wokół niego zawsze kilku satelitów. Nic dziwnego: od czasu, kiedy ludzkość podzieliła się na tych, co zdają egzaminy, i na egzaminatorów, znajduje się zawsze dość wielu chętnych, by otrzymać stopień bodaj nieco wyższy niż niedostateczny. W naszym zaś mieście docent Kryżeń należał właśnie do tych, od których woli i mocy zależały takie lub inne stopnie, słowem, był tu niezależny jak Bóg, który nagradza i karze, a wszyscy inni byli zależni od niego — dlatego właśnie krążyli.

No ale tym razem wyglądało na to, że niespodziewanie sam docent okazał się zależny od kogoś, gdyż odprawiwszy niedbałym ruchem ręki wszystkich swoich satelitów skierował się w moją stronę; nie chwycił mnie zresztą w objęcia i nawet się nie uśmiechnął jak

zwykle, lecz z pewnym zakłopotaniem, powiedziałbym nawet zafrasowaniem, wymamrotał:

— Słuchaj pan, Czereda, musimy pogadać.

— Skoro musimy, to proszę — przystałem bezzwłocznie.

— Zapraszam pana do „Brzózki" — powiedział Kryżeń.

„Brzózka — to kawiarnia znajdująca się w śródmieściu, koło poczty. W naszym mieście wszystko nosi teraz lekkie i wesołe nazwy: kawiarnia „Brzózka", restauracja „Mariczka", sklep „Trzewiczki". Widocznie wszyscy ci panowie, co wymyślali te nazwy, nie chcieli ustąpić tamtym wesołym i pomysłowym panom, co nazwali pociąg relacji Donieck-Kijów „Węgielkiem", a relacji Kursk-Moskwa nawet „Słowikiem"!

Do „Brzózki". Czas miałem wolny, a gdy ma człowiek ten wolny czas, jakoś mu się nie chce odrzucać takich przyjacielskich propozycji, tym bardziej kiedy występuje z nimi ktoś taki uczony jak Kryżeń.

Byłem w dodatku ciekaw, co właściwie piją docenci — kawę, herbatę czy coś, od czego aż w nosie kręci? Za tę niepoważną ciekawość zostałem ukarany od razu, ledwieśmy usiedli przy plastykowym stoliku. Docent Kryżeń bowiem uniósł swoją wspaniałą uczoną głowę, posłał uśmiech szczuplutkiej kelnerce, która też uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo, i po chwili postawiła przed nami... po całej górze lodów.

— Co to? — zapytałem trochę zbity z tropu.

— Lody — odrzekł Kryżeń.

— Przecież chyba z kilogram!

— Myli się pan, Czereda, zaledwie czterdzieści deka. Zawsze tyle właśnie zjadam, żeby hartować gardło czy raczej... no, migdały... poza tym lody są dosyć pożywne. Jestem, jak panu wiadomo, starym kawalerem i muszę, że tak powiem, dbać o swoje wyżywienie, więc nie

mogę przyjmować małokalorycznych pokarmów. Lody — to w ogóle coś nadzwyczajnego i — jakkolwiek brzmi paradoksalnie — ale z ich lodowatego zimna wytwarza się w naszym ciele ciepło. Wbrew wszelkim prawom natury, których działanie jest, jak panu wiadomo, niechybne i nieuniknione. Ale niech pan je i nie słucha mojej gadaniny, proszę jeść do syta. A pogadamy o czymś innym.

Pogrzebałem trochę w swojej porcji, nie miałem wcale chęci na ten ocukrzony lód.

— Co do migdałków — powiedziałem, by podtrzymać rozmowę na zaczęty temat — to potrzebne są nie ludziom, tylko chirurgom. Tak samo jak ślepa kiszka. Chirurdzy muszą coś mieć do operowania, bo inaczej po co by byli? Podobnie jak docentom będą zawsze potrzebni durnie, nabici i nie nabici uczonością, czyli wypchani wszelkimi terminami, datami i cytatami...

Docent Kryżeń nagle posmutniał i aż zmienił się na twarzy.

— Posłuchaj pan, Czereda — w głosie jego zadźwięczała tragiczna nuta — właśnie o tym chciałem z panem... Bo osiągnął pan poziom, na którym... Powinien pan... A tymczasem... Widzi pan...

— Wolałbym kawę na ławę, bo nic nie rozumiem.

— Fajny z pana chłopak, Czereda — mamrotał docent — czeka pana świetna przyszłość... Ale...

— Ale?

— Ale nie podoba mi się pański... no, jak by to powiedzieć?... Nie podoba mi się pański sposób mówienia!... To pańskie dowcipkowanie... Jest takie francuskie porzekadło... Francuscy felietoniści jeszcze w ubiegłym stuleciu... No, zapomniałem, mniejsza o to... Nie wypada panu teraz robić z siebie dowcipnisia... Bo przecież stąd tylko jeden krok do lekkomyślności... A pan...

Rozwijał nadal swoją myśl, to się w niej plącząc, to wyplątując, ja zaś patrzyłem na jego pełną wszelakich mądrości głowę i aż mnie korciło, żeby mu powiedzieć... No o czym? Bodaj o pogodzie w dniu jutrzejszym.

„Jak podaje IM, o godzinie dziewiątej z rana w Gorkim były trzy stopnie ciepła, w Kujbyszewie i Wołgogradzie — 5, w Mińsku i Rostowie — 6, w Kijowie i Czerkasach — 7, we Lwowie, Użgorodzie, Moskwie, Zaporożu, Charkowie, Odessie, Woroneżu — 8, w Wilnie i Astrachaniu — 10, w Tbilisi — 12, w Suchumi — 13, w Jałcie — 15.

Poziom wody w Dnieprze w ciągu ubiegłej doby podniósł się o 4 centymetry i wynosi 157 centymetrów poniżej poziomu przyjętego za zerowy. Temperatura wody — 8,8 stopnia.

Ciśnienie atmosferyczne o godzinie 9 z rana wynosiło 755,2 mm, wilgotność względna — 96%.

Jutro w mieście będzie zachmurzenie zmienne, opadów nie przewidujemy, z rana możliwe zamglenia. Wiatry słabe.

Temperatura nocą 3—5, w dzień 13—15 stopni ciepła".

Referować docentowi sprawy tak oczywistej jak pogoda na dzień jutrzejszy mimo wszystko jakoś nie wypadało. Zapytałem go więc:

— Co panu wiadomo o królikach?

— O królikach? — docent całkowicie zbity z pantałyku aż zapomniał dojeść swoje czterdzieści deka lodów.

— Hodowali je już starożytni Rzymianie. Hodowla królików uważana była za duży przywilej. Mogli sobie na nią pozwolić tylko władcy. Króliki nazywano dawniej królami, bo tylko królowie mogli u siebie hodować te kosztowne zwierzątka. Jest na Ukrainie miasto

Królewec, nazwane tak dlatego, że hodowano tam króle dla hetmanów ukraińskich. Może dla Mazepy.

— Jaki Mazepa, jakie króle? Co pan wygaduje, Czereda? — otrząsnął się wreszcie Kryżeń, którego udało mi się schwytać na haczyk udanej powagi. — Proszę, jaskrawa ilustracja tego, o czym właśnie... No, niech się pan zastanowi, Czereda, pan... pańskie stanowisko... Trzeba tu odczuwać co chwilę, co sekundę odpowiedzialność, powiedziałbym, za własne czyny i słowa... A pan... Taki brak powagi...

— No, a jeżeli wesoły ze mnie chłopak. To co?

— Powinien pan teraz myśleć nie o wesołości, lecz o doskonałości! Właśnie! O doskonałości, Czereda!

— Z perspektywy wieczności — powiedziałem.

— Co pan mówi?

— Powtórzyłem słowa, które usłyszałem kiedyś od pana. Były wtedy adresowane do Ali Czemerys, tylko że wleciały jej przez jedno i wyleciały przez drugie ucho, ja zaś je zapamiętałem, co więcej, doszukałem się, do kogo należą, i postarałem się czegoś dowiedzieć o tym filozofie.

— O Spinozie?

— O Spinozie. Rzeczywiście marzył o ludzkiej doskonałości. Usiłował stworzyć doskonałą filozofię, a na razie, żeby zarobić na wyżywienie, szlifował soczewki na sprzedaż. Szlifował soczewki niemal doskonałe, ale oddychając wciąż szklanym pyłem dorobił się równie doskonałej gruźlicy i zmarł na nią w czterdziestym czwartym roku życia.

— Spinoza był wielkim filozofem, materialistą i takie żarty...

— To nie żarty, tylko fakty. A zainteresowałem się bez specjalnej potrzeby, żadnego egzaminu nie zdawałem...

— Pan znowu swoje — Kryżeń podniósł w górę palec. — Ale dajmy już sobie spokój ze Spinozą.

— Nawiasem mówiąc, znalazłem u niego myśl, która bardzo mi sie spodobała: „Dobry humor jest w pewnym stopniu niezbędny, by człowiek mógł się mianować doskonałym, smutek bowiem i tęsknota są oznakami słabości i bezradności".

— Z pomocą cytatów nigdy nie udaje się niczego dowieść — westchnął docent — niestety, nie udaje się. Nie mając w tym wypadku nic przeciwko Spinozie, mogę panu przytoczyć słowa Dostojewskiego, który sądził, że prawdziwie wielcy ludzie powinni odczuwać na świecie wielki smutek. Nie chodzi mi jednak o to, żeby się pan smucił, tylko by nabrał pan powagi czy raczej godności. Oczy wszystkich są teraz zwrócone na pana... A ponadto... Pańskie stanowisko zobowiązuje pana... Powinien pan odpowiednio do stanowiska podnieść poziom swego wykształcenia i jednocześnie...

— Wszyscy uczymy się chętnie i hartujemy, nabieramy sił, czytamy z zainteresowaniem książki i marzymy o przyszłości — wypaliłem.

— Przepraszam, nie rozumiem — z urazą powiedział Kryżeń.

— Z podręcznika dla klasy szóstej — wytłumaczyłem z niewinnym wyrazem twarzy.

— Chciałem właśnie o tym pańskim braku powagi...

— Chybisz brodu, wdepniesz w błoto...

— Jak widzę, nie chce mnie pan słuchać, Czereda — już nie na żarty obraził się docent.

— Ależ słowo honoru, przecież to również z podręcznika dla klasy szóstej. Albo jeszcze: „Przelicz wydaną ci resztę nie odchodząc od kasy". Wcale nie zmyślam, wszystko to jest tam napisane.

Docent Kryżeń już mnie więcej nie słuchał. Stawiał

siebie ponad wszystkie podręczniki dla klasy szóstej, siódmej i innych.

— Chodzi o sprawy światopoglądowe, Czereda. Nikt nigdy nie będzie występować przeciwko wesołości, ale światopogląd... Nasz pogląd na świat nie może być wesoły, musi być poważny... Rozumie mnie pan?... Pogadajmy nie jak nauczyciel z uczniem, lecz po prostu jak przyjaciele... Zwłaszcza że jestem także... Co prawda, nie taki młody jak pan... Stary kawaler, ale zawszeć kawaler... Właśnie... Otóż doskonałość równa się odpowiedniości... Jeszcze wczoraj mógł pan być niepoważny itepe, ale dzisiaj... Rozumie mnie pan?

— Ale jakaż tu różnica? Wczoraj czy dzisiaj?

— Widzi pan, Czereda... Wczoraj... hm... miał pan jeszcze prawo nie dbać o zachowanie odpowiednich proporcji w swoim sposobie bycia, w słowach, w sposobie mówienia, jeżeli sformułujemy to naukowo w pewnym stopniu.

— Nie rozumiem.

— Nie chce pan rozumieć. Narzuca mi pan niepożądaną otwartość... Ale powinienem... Bo nikt panu tego nie powie... Ludzie, Czereda, nie są zawsze szczerzy... Niestety, zwykle... O panu na przykład wszyscy mówią, że w swoim zachowaniu czy raczej w sposobie mówienia zbyt często pozwala pan sobie na wypowiedzi nieodpowiednie do pańskiego cenzusu wykształcenia... Jak nam wszystkim wiadomo, Czereda, zwykły z pana chłopak, życiorys pański jest bardzo zwyczajny...

— I wykształcenie nieduże — podpowiedziałem skwapliwie — nie mam dyplomu ukończenia instytutu, nie uczyłem się filozofii, cybernetyki i...

— Proszę — uniósł palec Kryżeń — oto jest pan cały jak na dłoni, Czereda... Pańskie sentencje... Wczoraj można to było jeszcze puszczać mimo uszu, ale dzisiaj, kiedy wyniesiono pana na taką wysokość...

— Więc co, mam sobie zatkać usta i przyglądać się światu w milczeniu?

— Odpowiedzialność — ciężko westchnął Kryżeń — nie dba pan o odpowiedzialność. Wszystko powinno być odpowiednie...

— Ależ do czego? — niemal wrzasnąłem. — Do czego odpowiednie? Do mego szkolnego wykształcenia? Przecież upłynęło już od tego czasu tyle lat! Przecież nie siedziałem przez cały ten czas zawiązany w worku! Żyłem, pracowałem, czytałem gazety, słuchałem radia, oglądałem telewizję, przysłuchiwałem się, jak rozmawiają mądrzy ludzie, nie mówiąc już o trzynastu różnych kursach i uniwersytecie wieczorowym, na którym nam pan wykładał. Jakie mam wykształcenie? Bodaj gazetowe. Czytam co dzień gazety, a więc mam bodaj dzięki temu jakieś tam wykształcenie. Dyplom? A czyż mieli dyplomy tacy towarzysze jak Sancho Pansa albo Taras Bulba? Poza tym... — Waliłem łyżeczką po tym, w co się przekształciły moje nie zjedzone lody, czując, że w końcu nie wytrzymam tej dziwacznej rozmowy. — Nie wiem, jak było w innych czasach, ale obecnie, jak mi się zdaje, wszystkich durniów można podzielić na dwie kategorie: durnie z dyplomami i durnie bez dyplomów. Co do mnie, jakoś nigdy nie pragnąłem należeć ani do jednych, ani do drugich. Oto odpowiedź pod adresem tych, co nie wierzą w zdolności umysłowe Dmytra Czeredy. Przepraszam za szczerość.

— Wierz mi pan, Czereda — bardzo już po przyjacielsku położył rękę na sercu docent — zamiary mam jak najlepsze.... Wierzę... Wiem, jaki ma pan wrodzony rozum i... hm... Chodziło mi tylko... o doskonałość... odpowiedniość... powagę... Powiedziałbym nawet, solidność... Pojedzie pan przecież odebrać odznakę laureata... Pan i pańscy przyjaciele... To podniosły moment... I konieczny jest nastrój uroczysty... Właśnie dlatego

postanowiłem.. Rozumie pan?... Żeby pana zmobilizować... Jak najbardziej po przyjacielsku... Jak między dwoma starymi kawalerami, bo przecież pan, Czereda, jest już także — che — che! — trochę jakby starym kawalerem... Jedz pan swoje lody, już stajały!

— Za lody dziękuję... Za dobre chęci również... Zwłaszcza jestem panu wdzięczny za szczerość, bo rzeczywiście nikt...

— Tym się tylko kierowałem, tylko tym — powiedział na pożegnanie docent Kryżeń.

Jeszcze raz podziękowałem.

Wszystkie rozeszły się zwierzaki, te do swych norek, tamte w krzaki, jak napisane jest we wspomnianym podręczniku dla klasy szóstej. Bo jaki by tam był poziom jego wykształcenia, ale obywatel Dmytro Czereda dobrze pamięta wszystko, co wykuł kiedyś w szkole. I nie tylko on jeden!

A docent Kryżeń, o którym myślałem teraz nawet z pewną sympatią i współczułem mu wspominając jego smutne doświadczenie z zakochaniem się w Ali Czemerys, co do jednego miał mimo wszystko słuszność. Rzeczywiście zostaniemy wkrótce zaproszeni do Kijowa na uroczystość wręczenia nagród i przypomniały mi się wobec tego mądre słowa docenta dowodzącego, że „wszystko powinno być odpowiednie", w przyśpieszonym tempie usiłowałem więc sprawić sobie nowy garnitur, który by bodaj w części odpowiadał mojemu ja, innymi słowy, ujałby w odpowiednie ramy dzieło natury, zwane w życiu codziennym Dmytrem Czeredą.

Owo szycie garnituru w naszych usługach krawieckich — to właściwie cała odrębna historia, która znaczy jednak niewiele w porównaniu z innymi wydarzeniami, żeby więc dowieść, że bodaj trochę spoważnia-

łem, spróbuję pominąć ją milczeniem i puścić w niepamięć. Nie ukrywam zresztą, że ciężko mi to zrobić. Bo uszycie garnituru równa się właściwie niemal budowie domu o sześćdziesięciu czy nawet dziewięćdziesięciu mieszkaniach. W każdym razie wymaga równie wiele czasu i energii — od klienta — może jeszcze więcej. Niezliczone przymiarki, dyplomatyczne pertraktacje z mistrzem Irem Leonowiczem, dyskusje z nim na temat różnych form bytu, a potem okazuje się nagle, że spodnie, które ci wyszykował Ir Leonowicz w ciągu tego rozciąganego w nieskończoność terminu, są jakoś dziwnie przyciasne i nie tylko nie schowasz w nich tego i owego, ale włazisz w nie z bardzo wielkim trudem. Twoich protestów Ir Leonowicz nie przyjmuje do wiadomości i przechyliwszy w twoją stronę swą mądrą głowę mówi:

— No więc co mogę zrobić? Mamy teraz modę na wszystko standardowe. Wszyscy mieszkamy w standardowych domach i wszyscy powinni nosić standardowe spodnie. Bo co?...

— Ależ nie mieszkam w domu standardowym! Nasz „Klub Ludzi Pracy" nie jest podobny do żadnego budynku.

— Więc powiodło się panu bodaj z mieszkaniem — rzecze Ir Leonowicz. — A skoro ma już człowiek większy metraż mieszkania, jakoś się pogodzi z mniejszym metrażem spodni. Bo co?

Zgodziłem się z nim, więcej już nie protestując i ciesząc się, że bodaj tutaj nic nie wiadomo o mojej popularności.

Popularności tej zawdzięczaliśmy za to telefon w mieszkaniu.

W „Klubie Ludzi Pracy" telefony były tylko na dole, w owych licznych biurach i organizacjach. Siedzieli tam ludzie mocno zapracowani i od rana do wieczora

gdzieś telefonowali. Póki głównym inżynierem był ojciec Eugeniusza, w ich mieszkaniu stał telefon, ale było to jeszcze przed moją erą, a później telefon ten zabrało sobie jakieś biuro na dole i my wszyscy, lokatorzy „Klubu Ludzi Pracy", należeliśmy do obywateli nie „stelefonizowanych". Żyło się tak zresztą spokojniej.

Na wypadek jakiejś nieodzownej potrzeby umieszczono na zewnętrznej ścianie „Klubu Ludzi Pracy" przeszkloną skrzynkę z automatem telefonicznym. Może przyśrubowano ją zresztą, by kupić chłopaków, co biegają po mieście i zrywają z aparatów telefonicznych słuchawki — zapadają chłopcy na tę międzynarodową chorobę, a milicja usiłuje od czasu do czasu zbadać jej przyczynę, zresztą bez widocznego powodzenia.

Teraz zaś zainstalowano telefon w naszym mieszkaniu. Tak samo u Szlachtyczów i nawet u ciotki Eugeniusza. Może nie przyczyniła się do tego nasza popularność, tylko nastał po prostu czas powszechnej „telefonizacji", co można jedynie z radością powitać.

Wielka to rzecz przyzwyczajenie. Nieprzyzwyczajenie również. Nigdy jeszcze nie telefonowałem z własnego mieszkania i teraz też nie miałem na to ochoty. Telefon zadzwonił jednak sam. Czyjś głos ze skwapliwą rzeczowością wlazł mi prosto do ucha i oznajmił:

— Przyjechał Anglik.

— Więc tylko po to zainstalowano u nas telefon, żeby nas zawiadomić o Angliku? — zapytałem nieśmiało.

— Mówię zupełnie poważnie — powiedział nieznajomy przyjaciel — przyjechał do naszej huty angielski kapitalista.

— Wobec tego — moje kondolencje. Jednocześnie zgłaszam się od razu do ochotniczych szeregów, które

ruszą do walki przeciwko kapitaliście. Bo jak mi wiadomo, z kapitalistami trzeba walczyć.

— Powinien go pan przyjąć u siebie w domu — bardzo poważnie zadźwięczało w moim uchu.

— Przyjąć go? U siebie?

— A kto właściwie mówi? — zniecierpliwił się wreszcie niewidzialny. — Czy to mistrz Czereda?

— Czereda, ale nie mistrz. Ma pan przyjemność rozmawiać z jego synem.

— A, to pan? — ucieszył się nieznajomy. — Jeszcze lepiej! Właśnie pana poprosimy. Proszę powiedzieć mistrzowi Czeredzie, że prosimy go, by przyjął kapitalistę, natomiast pana... niech pan z nim... o naszej młodzieży, o... no, słowem, wie pan sam... Anglik chce koniecznie odwiedzić jakąś robotniczą rodzinę. Zrezygnował z oficjalnych przyjęć, chce tylko atmosfery domowej...

Popatrzyłem na telefon niemal z nienawiścią. Zainstalowano nam to urządzenie tylko po to, by nas zawiadomić, że jakiemuś tam kapitaliście zachciało się domowej atmosfery? Proszę bardzo, bądź tu, człeku, poważny, jak żąda docent Kryżeń!

— Proszę pana — wrzasnąłem do słuchawki — co za dowcipniś to wymyślił?

— Co? — zapytała słuchawka.

— No, kapitalistę... atmosferę domową...

— Mówię poważnie, towarzyszu Czereda... Zrodziła się taka myśl, żeby właśnie u was... Słowem, prosimy... Anglik przyjdzie do was jutro na obiad.

Szczęknęło i tyle! Technika! Nic dziwnego, że tyle się słyszy gadania o rewolucji naukowo-technicznej. Mamy teraz w mieście własnego specjalistę od fantastyki, który co miesiąc występuje w telewizji i namawia wszystkich, żebyśmy rzucili wszystko inne i zabrali się do stworzenia synhoma, czyli syntetycznego człowieka. A wtedy można będzie ponoć spać na stanowisku roboczym i od-

dawać się rozrywkom kulturalnym, bo synhom wszystko za nas zrobi, nawet żyć będzie w naszym zastępstwie, a nam pozostanie wyspać się przy pracy i oddawać rozrywkom kulturalnym. A kiedy specjalista od fantastyki ględzi o swoich synhomach, pojawia się u nas nie syntetyczny, lecz absolutnie pełnometrażowy kapitalista i, proszę bardzo, Dmytrze Czeredo, jutro masz go przyjąć i prowadzić z nim konwersację w duchu walki klasowej! Nasuwa się pytanie, jakie zasady powinny tu zatriumfować. Naukowo-techniczne czy zrodzone z Października? Nie wiem, jak inni, ale ja odpowiadam się za zasadami Października i nie zamierzam uznawać żądnych innych rewolucji.

Anglik przyszedł pieszo. Na obiad się nie spóźnił, gdyż mimo wszystko był Anglikiem, jakkolwiek kapitalistą, ale — jak nam powiedziała towarzysząca gościowi tłumaczka — biegł ze wszystkich sił, żeby się nie spóźnić, i omal nie zamęczył tłumaczki (była to dama w starszym wieku i bardzo poważna). Samochodem jechać nie chciał, sądzi bowiem, że w nieznajomym miejscu i w takim jeszcze kraju trzeba chodzić pieszo, żeby wszystko zobaczyć i odczuć. Słowem, rakiety rakietami, a własne nogi to mimo wszystko własne nogi!

Tłumaczka miała na sobie kostium z czegoś szarego i grubego jak sukno na płaszcze wojskowe, otulała się w to coś, najwidoczniej pochodzenia zagranicznego, była chorobliwie blada i jakieś cierpienie malowało się na jej podłużnej twarzy; zdaje mi się, że cierpiała pełniąc rolę pośrednika w wielkim dialogu Wschodu z Zachodem, jak piszą zwykle gazety, i stwierdzając, że całkowite porozumienie między tymi dwiema stronami jest niemożliwe.

Ale nie tłumaczka wywarła na mnie piorunujące wrażenie, lecz kapitalista. Spodziewałem się, że ujrzę coś jaskrawo kapitalistycznego, typowego wyzyskiwa-

cza, spodziewałem się, że wpłynie do naszych cichych pokoików drapieżny rekin imperializmu i gotów byłem sam pokazać zęby, a tymczasem wpadł do nas wcale ruchliwy chłopak, umiarkowanie rudy, umiarkowanie wytrzeszczający oczy, w dodatku w dosyć wytartych spodniach i jakimś starym swetrze. Ja zaś jak ostatni idiota wbiłem się w nowiutki garnitur, który wykonał Ir Leonowicz według standardu usług krawieckich. Po angielsku znałem od Eugeniusza tylko „good by", bo w szkole uczyłem się niemieckiego (nauczyłem się zresztą niewiele, ale nic strasznego), więc zdecydowałem, że lepiej nie oszałamiać gościa swoją wiedzą i powiedziałem mu zwyczajnie, po naszemu:

— Hej!

Tata i mama zaprosili kapitalistę do pokojów, on zaczął wytrzeszczać na wszystko gały, klepnął mnie po ramieniu i powiedział, że chyba gram w siatkówkę, bo on sam gra jako obrońca w drużynie „Pipe", czyli „Rura", w której grają tylko robotnicy z jego przedsiębiorstwa, czyli walcownicy.

— A jako prawy czy lewy obrońca? — zapytałem.

— Ho-ho! — zaśmiał się Anglik. — Ani lewy, ani prawy, ani środkowy, tylko wolny, libero, jak mówią Włosi. Nazywam się Angel, co znaczy także „anioł". Aniołowie zawsze lubili swobodę ruchów i nie należeli ani do prawych, ani do lewych.

— Ludzie też zawsze lubili wolność, ale nie wszystkim była sądzona — powiedział mój tata i nie chcąc zapuszczać się zbytnio w głąb polityki, zaczął przedstawiać członków naszej rodziny. Żeby skończyć już ostatecznie z procedurą zawierania znajomości, zapytałem Anglika, czy jest sam kapitalistą, czy tylko synem kapitalistów i czy nie odbywa właśnie stażu. Bo jeżeli tak, to muszę go ostrzec, że w naszej hucie byli

w ubiegłym roku stażyści i jednego ukąsił w łydkę bezdomny pies.

— Ależ proszę pana — przestraszyła się tłumaczka. — Czyż można opowiadać takie rzeczy gościowi?

— Nie szkodzi, niech pani przetłumaczy, jeżeli człowiek przychodzi z wizytą w takim swetrze mając własną walcownię rur, to się nie obrazi.

Angel rzeczywiście się nie obraził — wprost przeciwnie, jeszcze mu się humor poprawił.

— Jestem sam kapitalistą — śmiał się — nie synem kapitalisty, lecz kapitalistą! Nie ma to jednak żadnego znaczenia! Bezdomny pies może ugryźć mnie także w łydkę, jakkolwiek nie jestem pewien, czy będzie mu smakowała kapitalistyczna łydka.

Słowem, wesoły był z niego chłopak.

Zapragnął obejrzeć nasze mieszkanie i mama mu je pokazała. Był nawet w kuchni, gdzie syczało i bulgotało, sparzył się w palec próbując coś pokosztować, zapytał, z ilu członków składa się nasza rodzina i nawet się ucieszył, dowiedziawszy się, że mamy trzy pokoje na trzy osoby: ostudziłem trochę temperaturę jego zachwytów oświadczając, że mieszkanie należy do ojca, ja zaś jestem osobą niemal obcą i kiedy ta osoba zapragnie na przykład ożenić się czyniąc zadość żelaznym prawom natury, to jeszcze nie wiadomo, jakie mieszkanie da mi hojna dyrekcja i czy da je w ogóle.

— Więc rodzice pana będą wtedy mieli jeszcze lepsze warunki! — zawołał zdziwiony Angel.

— Dlatego, że mój ojciec jest emerytem, a emeryci — to najlepsza część ludzkości.

Anglik rozdziawił usta nie wiedząc, czy się śmiać, czy wziąć moje słowa serio, ale wreszcie do jego świadomości klasowej dotarł ich sens i chłopak westchnął:

— Niestety, nie jesteśmy tacy bogaci, żeby zapewnić swoim emerytom takie warunki.

Wtedy mama zauważyła, że nasza rozmowa nabiera znowu niebezpiecznego zacięcia politycznego, i poprosiła wszystkich do stołu.

Na stole, rzecz jasna, stało wszystko, co stać powinno, ale prócz tego wszystkiego była jeszcze firmowa przekąska, którą zjeść można tylko u mojej mamy, coś szczególnego i niebywałego, zaskakująco zagadkowego dla nie wtajemniczonych, a w rzeczywistości bardzo zwyczajnego — po prostu kawior z bakłażanów zrobiony według własnego maminego przepisu. Słowem, może nawet genialne dzieło sztuki kulinarnej.

Anglik skosztował kawioru i aż syknął zachwycony.

— Co to jest? — zapytał mamy.

— Kawior — zwyczajnie wytłumaczyła mama.

— Kawior? Niebywałe!

— Tylko nie tamten kawior — wtrąciłem swoje trzy grosze — nie jesiotrowy, tylko zrobiony z bakłażanów.

— A jaka firma go produkuje?

— Firma? O — wskazałem na mamę.

— Pani! — klasnął w dłonie Angel. I zna pani „tajemnicę" tego przysmaku?

Cała tajemnica polegała na tym, że mama przygotowywała ten kawior jakoś na surowo. Podawała na stół bez wszelkiej obróbki cieplnej i jadło się go w postaci naturalnej. Gdyby Anglik wiedział, że je surowe bakłażany, może zmniejszyłby się jego zachwyt, ale w tym się właśnie kryje tajemnica wszystkich na świecie potraw, że jemy, sami nie wiedząc co.

— Smak ma cudowny — wciąż zachwycał się Angel. — Łyżką można?

— Można, można — uśmiechnęła się mama — zaraz panu dołożę, bakłażanów mamy pod dostatkiem.

— Przedziwny kraj — mamrotał Angel zajadając kawior — wszystko tu wprost oszałamia. Wielkość.

Przestrzeń. Potężne rzeki. Olbrzymie zakłady. Cudowny język. Kawior taki i jeszcze jakiś inny! Widocznie macie tu mnóstwo odmian samego tylko kawioru. Człowiek staje przed tym chcąc nie chcąc jak przysłowiowy baran.

— A propos — odezwałem się, żeby utrzymać rozmowę na odpowiednim poziomie — a co pan wie o baranach?

Tłumaczka pocierpiała trochę, ale mimo wszystko przełożyła moje słowa.

— O baranach? — zawołał Angel rozweselony. — Bo co? Wie pan coś ciekawego?

— Słyszałem, że baran wywieziony za granicę, traci apetyt. Denerwują go dźwięki niezrozumiałego języka.

— Ho-ho! Ale ja apetytu nie tracę, więc nie jestem baranem!

— Trzeba to jeszcze udowodnić — roześmiałem się.

— Ho-ho! śmiał się Anglik, a tłumaczka cierpiała tymczasem coraz bardziej z powodu mojej wołającej o pomstę frywolności. Mama usiłowała dawać mi znaki oczami, ale tata w porę też dał jej znak, żeby mi nie przeszkadzała, gdyż tym razem zgadzał się widocznie z moim wyborem form zachowania się.

Słowem, czynnikiem hamującym była tylko tłumaczka czy raczej jej nieutulone cierpienia malujące się tak wyraźnie na twarzy; było jednak coś jeszcze i nie mogłem ani rusz odgadnąć, co mi przeszkadza, co mnie jakoś krępuje i skuwa ruchy, jakby to nie angielski kapitalista był u nas z wizytą, lecz jakbym ja sam siedział gdzieś u kapitalisty na przyjęciu i zmuszony był zachowywać się jak wstydliwa dziewczyna na oględzinach. Powierciłem się na krześle, poruszyłem ramionami i domyśliłem się wreszcie: marynarka! Dzieło sztuki krawieckiej naszego niezrównanego Ira Leonowicza przeszkadzało mi prowadzić rozmowę między

dwoma obozami klasowymi na tym poziomie, na jakim należało ją prowadzić w naszym mieście żelaza.

— Pozwolą państwo? — zwróciłem się do tłumaczki i gościa — Zdejmę marynarkę, bo nie mogę wymachiwać rękoma, bez czego nie potrafię rozmawiać. Nie sprawia mi przyjemności. Ponadto chodzi mi o równouprawnienie, bo ja jestem w nowym garniturze, a gość w znoszonym. Uważam przy tym, że w nowym kładzie się człowieka tylko do trumny.

Tłumaczka znowu bardzo cierpiała nie przeczuwając zresztą, jakie nieprzyjemności jeszcze ją czekają, ale nasz Anglik pokładał się ze śmiechu. Omal nie spadł z krzesła.

— Poczucie humoru jak nigdzie na świecie! — wykrzyknął. — Nie spotkałem się z niczym podobnym nigdzie, tylko u was na Ukrainie. I co najważniejsze, że wszędzie! Wszyscy są tutaj humorystami! Rozmawiałem z ministrami, z dyrektorami zakładów, inżynierami, zwykłymi robotnikami — wszyscy mają wprost bajeczne poczucie humoru.

— Nasz kraj jest republiką humorystów — powiedziałem — Albo pan nie wie? Daliśmy światu Gogola. A nasze czasy opromienia humor Ostapa Wyszni. W Kijowie stoi jego pomnik. To symbol naszego śmiechu, dobrego humoru, odwiecznej wesołości naszego narodu.

— Co pan mówi? — szepnęła przerażona tłumaczka. — Jaki pomnik Ostapa Wyszni? Gdzie go pan widział?

— Niech pani tłumaczy, jeżeli nie chce pani sprowokować międzynarodowego skandalu — powiedziałem. — Nie ma pomnika, to kiedyś będzie. Zanim się ten Anglik zestarzeje i przyjedzie jako turysta do Kijowa, będzie już tam stał pomnik naszego humoru i wtedy go sobie obejrzy. A teraz niech posłucha. Proszę tłumaczyć.

Cierpieniom tłumaczki nie było końca, za to nasz gość mimo całej kapitalistycznej istoty miał prawdziwą przyjemność z odwiedzin w domu robotniczej rodziny Czeredów.

— A więc — zacierał ręce — co pan wie o baranach? Cudownie! Zapamiętam to sobie na całe życie! Wprost zaskakujące pytanie dla moich przyjaciół. Rzucić im to pytanie i stojąc sobie z boku czyścić paznokcie i śmiać się. Ho-ho!

— Co tam — z boku! powiedziałem. Niech pan spróbuje śmiać się od środka.

— Od środka?

— Tak.

Na obliczu tłumaczki odmalowało się nieco mniejsze cierpienie. Mimo wszystko miała też trochę poczucia humoru i zrozumiała, że udało mi się ukłuć Anglika właśnie tak, jak powinien był ukłuć wyzyskiwacza zwykły robotnik radziecki.

— Więc powiada pan, że od środka? — powtórzył zbity z pantałyku Angel.

— Od środka.

— A gdyby tak spróbować?

— Niech pan spróbuje. — Byłem w tej chwili samą powagą.

— Podoba mi się pan coraz bardziej! — wykrzyknął Angel.

— Kiedy nauczy się pan śmiać od środka, będzie mi się pan również podobać — zapewniłem go.

— Taki jest wasz kodeks moralny?

— Takie są wymagania w republice humorystów — roześmiałem się — i nie ma na to żadnej rady!

Mimo wszystko dopiąłem swego: wyraz cierpienia znikł zupełnie z twarzy tłumaczki, która chyba nawet się trochę zaróżowiła i przestała się otulać w swoje wojskowe sukno z importu, z czego wysnułem, że także

tłumaczka może z czasem zostać pełnoprawną obywatelką republiki humorystów.

Wiele było potem rozmów na ten temat, jak przyjmowałem w naszym domu angielskiego kapitalistę. Jakoś dowiedzieli się o tym prawie wszyscy z wyjątkiem jednego chyba docenta Kryżenia, który należał do ludzi będących jedynie źródłem informacji i wcale ich nie odbierających, jako że głowę ma nimi przepełnioną. Podejrzewam nawet, że gdyby docent Kryżeń siedział wtedy u nas przy stole i słyszał tę całą moją niepoważną rozmowę z angielskim Angelem, nie zachwiałoby to bynajmniej jego przekonaniem o konieczności powszechnej powagi obowiązującej wszystkich obywateli od dnia urodzin do samej śmierci.

No, nic strasznego. Świat zamieszkały jest nie przez samych docentów Kryżeniów. Był w naszej hucie jeszcze towarzysz Knysz, który usłyszał o moich dyplomatyczno-humorystycznych uzdolnieniach i bezzwłocznie przybiegł na naszą halę. Biegać mógł towarzysz Knysz dokąd i ile mu się podobało, nie obowiązywały go bowiem stałe godziny pracy. A dlaczego go nie obowiązywały? Dlatego że towarzysz Knysz był dyrektorem Pałacu Kultury im. Iljicza, czyli naszego zakładowego ogniska kultury. Jak wiadomo, ognisko pali się tylko wtedy, kiedy podrzuca się stale drwa. Otóż towarzysz Knysz zajmował się, że tak powiem, tym podrzucaniem od wczesnego ranka do późnej nocy, mieszkał właściwie w Pałacu Kultury i tylko niekiedy stamtąd wybiegał, żeby... nikt mu nie mógł tego zabronić, nikt by się nie odważył krępować jego swobody ruchów i zobowiązywać do czegoś, do czego nie był zobowiązany.

Jak wszyscy ludzie całkowicie oddani swojej sprawie towarzysz Knysz miał swoje hobby: ruch amatorski. Odnosiło się wrażenie, że zgodziłby się pozamykać zakłady i zabroniłby siać zboże, byle tylko zwolnić

wszystkich ludzi i umożliwić im udział w kółkach amatorskich. W naszym Pałacu Kultury towarzysz Knysz założył tyle kółek, że chyba ogarnęły już one wszystkie znane ludzkości nauki i sztuki; nastała więc pora, by zaatakować z kolei te jeszcze nie znane. Kiedy ujrzałem towarzysza Knysza koło siebie na hali, pomyślałem od razu, że usłyszę niewątpliwie propozycję założenia kółka amatorów dotarcia do środka Ziemi lub wydobywania złota z powietrza.

— Czołem, Czereda, czołem — zawołał towarzysz Knysz dziarsko i wesoło jak zwykle — słyszeliśmy, słyszeliśmy o twoim sukcesie, to okropne, że trzymałeś swój talent w ukryciu, ale teraz na to nie pozwolimy, basta, talent musi służyć masom.

— Kółko amatorskie? — zapytałem.

— Zgadłeś — potwierdził towarzysz Knysz. — Kółko.

— Amatorów szukania jaj dinozaurów na pustyni Gobi.

— Jeszcze nie kolej na dinozaury. Jakkolwiek... Cóż to takiego kapitalista? Z naszego punktu widzenia niemal to samo co dinozaur... Twój dialog z kapitalistą musi pójść w masy... Wyobrażasz sobie? Taka scenka!... Wiesz, bracie, to przemówi ostrzej niż Rajkin! Ludzie będą się trzymali za brzuchy. Ty wychodzisz z jednej strony, on z drugiej. A na środku stoi stół...

— Słowem, ja?

— Tak.

— A kapitalista?

— Kapitalista również.

— Ale kto będzie kapitalistą?

— No, znajdziemy. Główną osobą jesteś tu ty. A na kapitalistę znajdziemy jakiegoś chłopca. Może kogoś z młodych strażaków.

— Nie — powiedziałem — jeżeli wybierać kogoś na kapitalistę, to bierz Tokowego.

— Tokowego? — przeląkł się towarzysz Knysz. — Wysoko mierzysz, Czereda. Tokowy należy do kierownictwa, a ludzi z kierownictwa nie wciągamy do naszej pracy. A jeżeli nawet ktoś się zgadza dobrowolnie, to tylko na bohatera pozytywnego.

— Więc docenta Kryżenia.

— Zwariowałeś czy co? Docent Kryżeń — to, powiedziałbym, znakomitość, a ty go... Taki numer nie przejdzie!

— Wobec tego ze mną numer też nie przejdzie — oświadczyłem towarzyszowi Knyszowi — nie wlezę na scenę i nie będę gadać z kapitalistami, bo już się nagadałem u siebie w domu, a ty, towarzyszu Knysz, odejdź i nie przeszkadzaj mi zajmować się twórczą działalnością dla dobra naszego społeczeństwa.

— Więc uważasz, że ja nie zajmuję się twórczą działalnością dla dobra? — żachnął się towarzysz Knysz.

— Zajmujesz się, nie przeczę, tylko moja jest chyba bardziej twórcza.

— No, mimo wszystko zastanów się jeszcze, Czereda. Jeszcze do ciebie zajrzę.

Może towarzysz Knysz nawet zajrzał, ale już mnie nie zastał, bo pojechałem ze Szlachtyczem do Kijowa.

Oczekiwano nas na dworcu. A kto?

Niestety, nie moja siostrzyczka Izolda, bo wyjechała ze swoim Wiolonczelistą za granicę na nowe tournée, by wznieść tam wysoko sztandar sztuki socjalistycznej, jak piszą zwykle uczeni ludzie.

Oczekiwał nas Eugeniusz i... Frusin.

Eugeniusz — jasna rzecz, był teraz kijowianinem

i wgryzał się gdzieś tam w dyplomatyczną wiedzę, ale jak znalazł się tu przed nami Frusin?

— Nie byłbym bodaj małym uczonym — zawołał Frusin na powitanie — gdybym nie przyjechał chociażby o dzień wcześniej niż wy! Trzeba mieć dar przewidywania!

— A może sprytu? — zapytałem nie bez złej intencji.

— Przewidywania! — zatrzepotał rękami Hrysza. — Bo wczoraj była tu na peronie cała akademia, były kwiaty i przemówienia. A co dzisiaj?

Dopiero teraz domyśliłem się, że przyjechaliśmy o dzień później, że zaproszono nas na wczoraj. Szlachtycz powiedział, że nie wypada przyjeżdżać do Kijowa za wcześnie i tracić cały dzień w ciągu którego można przecież coś zrobić w oddziale, słowem Lonia pozostał wierny swoim zasadom, a te zasady — to dla niego jakby jego bóg; dla mnie zaś bogiem był Lonia, buntować się z powodu jakiegoś dodatkowego dnia pracy nie mogłem i dopiero teraz się zorientowałem, że Szlachtycz nie śpieszył się do Kijowa, bo miał przy sobie cudownie rozkwitłą Alę. Trudno tylko powiedzieć, co miałem ja prócz żelaza i nudziarza Tokowego.

— Swemu przyjazdowi o czasie zawdzięczam nie tylko korzyści prestiżowo-reprezentacyjne, ale również bytowe — gadał bez przerwy Frusin. — Dostałem w hotelu numer jednoosobowy, a wy macie wspólny. No!

Szlachtycz uśmiechnął się wstydliwie słuchając tego niepoważnego ględzenia, ja zaś podszedłem do Eugeniusza i trąciłem go ramieniem, na co zareagował w ten sam sposób, więc trąciłem go po raz drugi i dopiero wtedy zapytałem:

— A więc zwiałeś i będziesz teraz dyplomatą?

— Kto ci to powiedział — apatycznie zaprzeczył Eugeniusz. — Przecież wiesz, co ze mnie za dyplomata.

— Więc czym właściwie jesteś? Głównym specjalistą urzędu planowania?

— Przygotowuję się do instytutu politechnicznego — powiedział najzwyczajniej Eugeniusz.

— Do jakiego?

— Politechnicznego. Na metaloznawstwo.

— Metaloznawstwo? A cóż to takiego?

— No, metaloznawstwo. Będę metaloznawcą. Ty jesteś metalorobem, ja będę metaloznawcą. A pozostali ludzie są metaloodbiorcami, czyli metalokonsumentami. Podział pracy.

— Ach tak, podział. Jedni bułeczki wypiekają, a drudzy je zjadają. Bardzo ładnie.

— Weź pod uwagę fakt — powiedział Eugeniusz z powagą, która powinna cechować przyszłego metaloznawcę — że gdyby nikt bułeczek nie jadł, przestano by uprawiać zboże.

— Trzeba więc dziękować wszystkim zjadaczom chleba i kłaniać się do ziemi tym, co zjadają ilości rekordowe? Szanujmy zjadaczy? Tak?

— Wyobraź sobie — uśmiechnął się Eugeniusz — widocznie jest tym uwarunkowany postęp czy nawet życie. Wszystko pozostaje z sobą w związku.

— Bierz to licho — westchnąłem — nas też coś z sobą łączyło, a teraz oddaliliśmy się od siebie o dobre pięćset kilometrów i z jakiego powodu?

Eugeniusz z przestrachem zatrzepotał rękami i nawet spróbował mi zatkać usta, żebym nie wspomniał przypadkiem Ali, bo stał koło nas Szlachtycz. Wprawdzie Frusin buczał mu coś do jednego i drugiego ucha, ale Lonia mógł usłyszeć naszą rozmowę, zwłaszcza o Ali. Och, te dziewczyny, och, ta miłość, jakiej jeszcze sobie nie wyobrażałem w całej pełni i tylko świeciły mi w dali niezapomniane szare oczy, zagadkowe i niedosiężne.

— No! — wykrzyknął Frusin. — Ale urządziliśmy

wam powitanie jak nikomu innemu! Zaraz zobaczycie!

Na placu przed dworcem zobaczyliśmy kilometrowy ogonek na postoju taksówek, oszołomiły nas dzwonki tramwajowe, omal nie wpadliśmy od razu pod dwa trolejbusy, wpadali na nas na zmianę pasażerowie przyszli, którzy dopiero biegli do pociągów, i pasażerowie byli co powysiadali już z pociągów, ale jeszcze nie zdołali wyhamować swoich szybkości zgodnie z owym prawem Newtona, nie trzymającym się już mojej głowy. Eugeniusz i Hrysza wyprowadzili nas w końcu z tego rozhukanego morza, z tego zgiełku i tłoku i znaleźliśmy się na szerokim, nie zatłoczonym chodniku. Wrzało teraz, wirowało, huczało i dzwoniło za naszymi plecami. Przed nami zaś, przycumowana do brzegu chodnika niby oceaniczny liniowiec, stała duża, czarna limuzyna, przystrojona różnobarwnymi wstążkami i kwiatami, a kierowca uśmiechał się do nas z daleka i otwierał drzwiczki, jakbyśmy byli indyjskimi maharadżami czy bodaj członkami tej indyjskiej partii, którzy przyjeżdżając do nas w gościnę wkładają na tę okazję diablo sympatyczne gacie.

— Proszę! — wykrzyknął Frusin wskazując ukwieconą limuzynę.

— To dla nas? — nie uwierzył oczom Szlachtycz i aż przystanął zaskoczony.

— Mój pomysł, realizacja Eugeniusza! — terkotał uradowany Frusin. — Limuzyna z Kijowskiego Pałacu Ślubów. Wynajęliśmy ją na wesele. Bo co? Czyż wesele ważniejsze jest niż to, w imię czego tu przyjechaliśmy? Alboż nie jesteśmy kawalerami do wzięcia?

— Jestem kawalerem do wzięcia — powiedziałem — i ktoś jeszcze również. Nie ma tylko panien młodych. Samochód z samymi kawalerami? Takie to niepoważne!

— Mytia! — klasnął w dłonie Frusin. — Chcesz być

poważny? Co słyszę! Spójrz tylko na ten samochód. Czy widziałeś kiedykolwiek poważniejszy samochód?

— Nigdy, i po wieki wieczne nie zobaczę.

— Więc wsiadaj i bądź poważny.

Rzecz jasna, że nie zawahałem się ani na chwilę. Tylko Szlachtycz nie mógł się jakoś na to zdobyć.

— Dobra, Loniu — powiedziałem siedząc już w samochodzie — a gdyby cię wybrano na prezydenta? Musiałbyś jeździć też takim samochodem, niekiedy udekorowanym kwiatami. Mogło się przecież wydarzyć coś takiego?

— W ogóle — to każdy może zostać wybrany — uśmiechnął się Szlachtycz i wpakował się w końcu też do samochodu.

Tak więc korzystając z czynnego i biernego prawa wyborczego oraz z prawa do wcześniejszego czy późniejszego ożenku (na razie skorzystał z niego tylko Szlachtycz), jechaliśmy po Kijowie dużym samochodem udekorowanym wstążkami i kwiatami, przyciągaliśmy wszystkie spojrzenia i wszystkich, co nas tego dnia widzieli, intrygowaliśmy naszą zagadkowością.

Samochód wiezie samych kawalerów i ani jednej panny. Ale towarzyszyła nam ta panna. Uznaliśmy, że towarzyszącą nam pięknością jest Kijów. Uznaliśmy jednogłośnie.

Jechaliśmy po ulicach Kijowa. Kijów patrzył na nas, my przyglądaliśmy się Kijowowi i w naszych pełnych podziwu oczach miasto było świeżą, zdrową, młodą dziewczyną. Gdybyśmy mieli już jakie takie doświadczenie życiowe, porównalibyśmy Kijów nawet z młodą kobietą, co rozkwitła w miłości i budząc się z rana czuje się szczęśliwa, silna, dobra jak bogini, obdarowuje tą hojnością wszystkich, co się do niej zbliżają; nie mogliśmy się jednak pochlubić doświadczeniem i nic podobnego nie mogło nam przyjść do głowy. Mogliśmy

za to zawołać: „Jaka tam bogini! Jacy tam, u licha, bogowie! Kijów — to Kijów i wszystko mieści się w tej nazwie niezależnie od nas i po wieki wieczne" Nie wymyśliliśmy tych słów, zrodziły się z naszego żywiołowego zachwytu.

Jeździliśmy i jeździli naszą limuzyną, którą Eugeniusz wynajął na cały dzień, Kijów wlewał się w nas jak złota woda, byliśmy przepełnieni kijowską łagodnością, kijowską muzyką, staliśmy się jak gdyby tą powszechnie śpiewaną piosenką kijowską: „Jak cię nie kochać, mój Kijowie". Słowa Łucenki, muzyka Szamo.

Siedząc w limuzynie nie byliśmy jeszcze, rzecz jasna, czytelnikami gazety „Weczirnij Kyjiw", ale zgadzaliśmy się już z jej raz po raz powtarzanym twierdzeniem, że „ozdobą Kijowa są ludzie", i utwierdzaliśmy się w tym przekonaniu na każdym kroku. Bo jeżeli Kijów wydał się nam panną w symbolicznym tego słowa znaczeniu, to panien autentycznych, żywych i ślicznych można się tu było doliczyć co najmniej pół miliona; nie ma pewnie nigdzie na świecie takich dziewczyn jak w Kijowie — chętnie zatrzymalibyśmy się przy każdej, na co nie pozwalały jednak znaki drogowe, których było na ulicach kijowskich tak samo wiele jak kwiatów zdobiących nasz samochód. Postój wzbroniony. Parking wzbroniony. Przejazd wzbroniony. Wjazd wzbroniony. No, rzecz jasna, sygnały dźwiękowe były też surowo wzbronione — nie sposób ani gwizdnąć, ani krzyknąć, ani sygnalizować klaksonem, żeby zwrócić na siebie uwagę.

A dziewczyny są piękne jak Kijów i Kijów piękny jest jak wszystkie jego dziewczyny razem wzięte. Gdybym był poważny jak docent Kryżeń, może dopiero wtedy opowiedziałbym jak należy o tym mieście, a na razie poprzestanę na tych tylko słowach, choć

wiem, że nie są jedynymi możliwymi określeniami — cóż, po prostu brak mi innych.

Potem jedliśmy kotlety po kijowsku, piliśmy kijowską mineralną wodę, marzyliśmy o koniaku „Kijów", postanowiliśmy przywieźć do domu w podarunku tort kijowski, ja kupiłem sobie aparat fotograficzny „Kijów", żeby...

Ale co ja tu wygaduję? O jakichś tortach i wodzie mineralnej.

Wprost nie wypada — o takich drobnostkach.

Bo...

„Dzisiejszy Kijów jest ważnym politycznym, administracyjnym i kulturalnym ośrodkiem kraju. Przeżywa swą drugą młodość, miasto rozszerza się i rozbudowuje. Wszystko to powinno być uwidocznione w jego nowym herbie. Pod koniec ubiegłego roku nowy herb Kijowa został zatwierdzony. Podobnie jak w dotychczasowych, każdy element nowego herbu pełni funkcję symboliczną. Na czerwono-lazurowym tle, powtarzającym dwukolorowość sztandaru państwowego USRR, widnieje srebrny łuk, jako symbol naszej bohaterskiej przeszłości, i złota gałązka kasztanu wystylizowana zgodnie z tradycjami ludowej sztuki dekoracyjnej, symbolizująca wieczną młodość i potężny rozkwit Ukrainy. Srebrną tarczę wieńczy sierp i młot, symbol władzy ludu pracującego, na dole widnieje Złota Gwiazda, nadana miastu-bohaterowi".

Pisała tak jedna z gazet kijowskich. Ale mniejsza o gazetę i nie chodzi mi w tej chwili o herb. Więc o co?

Trzeba pisać o górach. Nie o kijowskich, gdyż nie ma w Kijowie gór, tylko pagórki i to takie czarująco zielone i miłe, że powinny się nazywać jakoś inaczej, wzniesieniami lub zielonymi wzgórzami.

A pisać trzeba o bezlitosnych i surowych górach, odstraszających nieprzystępnością, lodowatymi wiatra-

mi, różnymi niespodziankami i niemożliwością powrotu. Tylko wyżej i wyżej, nie masz czasu na podziw, nie masz prawa do zmęczenia i wyczerpania, nie ma mowy o odpoczynku, gdyż piąć się trzeba coraz wyżej i wyżej, dopiero na szczytach osiągniesz upragniony cel, tam dopiero ujrzysz swój świat, usłyszysz muzykę wieczności, którą każdy z nas powinien usłyszeć bodaj raz w życiu.

Nigdy nie myślałem o górach. Miasto nasze leży wśród stepów, na równinie, moje życie, jak mi się wydawało, też toczyło się dotąd gładko, wszystko było proste i zwyczajne, życie uśmiechało się do mnie nawet w najcięższych chwilach, nawet wtedy, kiedy tak się mocno potłukłem w lesie, życie zajaśniało przede mną w niezapomnianych szarych oczach. Wyczerpujące dni i noce zmagań z metalem poszły w niepamięć, odchodziły od nas tak szybko może dlatego, że musiały ustąpić miejsca nowym dniom i nocom, wypełnionym jeszcze większą mordęgą, ale i radością zarazem, w naszej nieustającej walce z metalem czyhało mnóstwo niespodzianek, które były wówczas surowe i bezlitosne, mogło się także zakraść do naszych serc zwątpienie, nie cofnęliśmy się jednak, Szlachtycz do tego nie dopuścił; nawet o tym nie wiedząc szliśmy wówczas ku szczytom, ale byliśmy zbyt niedoświadczeni, by rozejrzeć się dokoła, a może po prostu młodzieńcza lekkomyślność, skłonność do ironizowania, zbytnio rozwinięte poczucie humoru (cecha narodowa, odziedziczona po Kozakach zaporskich!) nie pozwoliły nam ocenić w pełni tych wysiłków, które ocenili inni.

I dopiero tutaj, w Kijowie, idąc z hotelu do owej paradnej sali, w której prezes Akademii Nauk miał nam wręczyć odznaki laureatów, przeżyłem jakby na nowo zadziwiająco trudną i jednocześnie cudowną, oszałamiającą drogę ku szczytom i może po raz

pierwszy w życiu spoważniałem tak bardzo, że sam docent Kryżeń pozazdrościłby mi siły tego uczucia.

Żeby dostać się z hotelu do sali, trzeba było jedynie przejść przez ulicę, ale w Kijowie jakoś wszystko było niespodziane i niezwykłe, więc ulica okazała się bardzo głęboka, niby kamienisty wąwóz; długo schodziliśmy na tę ulicę z hotelu, a potem wspinaliśmy się po nie kończących się stopniach między szarymi głazami, które ściskały nas coraz bardziej; mimo wszystko przedzieraliśmy się między nimi coraz wyżej i wyżej, gdzieś chyba odpoczywaliśmy chwilę czy może nie odpoczywaliśmy, nie lubiliśmy bowiem odpoczynków, a potem była sala, która też wydała się nam drogą w górę i trzeba było też wziąć to wzniesienie; wchodziliśmy więc znowu wyżej, coraz wyżej, wszyscy razem jak wówczas na hali w ciągu długich miesięcy, kiedy zwalczaliśmy zwątpienie, podejrzliwość, przeszkody, niepewność, scena pałacu była dla nas takim samym szczytem, jak ów dzień, w którym odnieśliśmy sukces i zwyciężyliśmy metal, pokorny teraz i posłuszny. Prezes Akademii, mężczyzna o wysokim czole intelektualisty i rozpromienionej w tej chwili twarzy, wręczał nam dyplomy i przypinał każdemu z nas na piersi złotą odznakę z zawsze jednakowo mądrym profilem Lenina, my zaś jeszcze nie ochłonęliśmy dotąd po naszym wspinaniu się w górę i, jak mi się zdawało, wciąż jeszcze szliśmy coraz wyżej, brakło nam tchu, chciało się nam krzyczeć, śpiewać i... płakać, powiedzieć całemu światu, co następuje:

„Stoimy tu oto jako przedstawiciele sześćdziesięciu milionów robotników radzieckich i jako przedstawiciele pięciuset czterdziestu milionów robotników na całym świecie, szliśmy tu długo, każdy z nas idzie tą drogą, ten i ów traci na nią może całe życie i powinien tracić całe życie, żeby dojść do Lenina i stanąć u jego boku!

Umiemy pracować, lubimy pracować, żyjemy pracą, rozumiemy, jakie ma znaczenie dla państwa nasza praca, nasze wysiłki, w naszych rękach jest sprawa odrodzenia ludzkości, nie jesteśmy na ziemi istotami krótkotrwałymi, nie stworzył nas przypadek, nie przeminiemy, jesteśmy wieczni, jak wieczne jest ludzkie pragnienie wolności, sprawiedliwości, szczęścia i piękna!"

Możliwe, że powiedziałem coś podobnego w tej najbardziej uroczystej chwili mego życia, bo nawet powściągliwy Lonia Szlachtycz obejmował mnie i chwalił za zdolności krasomówcze, ale ja sam nic nie słyszałem, ani własnego głosu, ani cudzych — stałem na olbrzymiej scenie olbrzymiego pałacu, dokoła było tysiące ludzi, patrzyło na mnie tysiące jaśniejących oczu przez łzy radości bądź moje, bądź z tamtych oczu, nic nie mogłem pojąć, stałem i płakałem jak dziecko.

Ochłonąłem dopiero po pewnym czasie z dala od tej wysokiej sali. Były tam ustawione w podkowę stoły, świąteczna wrzawa, płeć piękna, uroczyste toasty, oprowadzano nas wokół stołów, roześmiane panie chciały koniecznie pocałować się z każdym z nas, nie przestraszała ich nawet zjeżona czupryna Hryszy Frusina (ktoś mu zrobił komplement, że jego czupryna przypomina czuprynę pieśniarza Kobzona, i Hrysza bardzo się pysznił podobieństwem do takiej znakomitości!), a na zakończenie wieczoru, czy może nie było to zresztą zakończenie, lecz punkt kulminacyjny tego balu laureatów, sam prezes Akademii wyszedł w towarzystwie dwóch chyba najpiękniejszych dziewcząt kijowskich, które niosły olbrzymi wieniec spleciony ze świeżych liści wawrzynu. Szlachtycz i Frusin w porę się cofnęli i w rezultacie odbieraliśmy wieniec we dwóch z Eugeniuszem. Staliśmy całkowicie zbici z tropu i speszeni, nie byliśmy w stanie wyciągnąć rąk, mimo że prezes

uśmiechał się do nas bardzo zachęcająco, aż poszedł do nas z boku Szlachtycz i cicho powiedział:

— Bierzcie, bierzcie, trzeba to wziąć...

Wzięliśmy wieniec i postawiliśmy go, oparliśmy o stół. Prezes mrugnął wtedy do dziewcząt, które chwyciły wieniec i nagle włożyły na nas obu łącząc mnie z Eugeniuszem tą strojną zieloną więzią. Potem każda z nich wycisnęła na moim i Eugeniusza policzku pocałunek, tylko że trudno byłoby znaleźć bardziej niewdzięczne obiekty — nie było chyba w tej chwili na świecie większych od nas bałwanów i sztywniaków. Tak to bywa, kiedy człek od dzieciństwa przyzwyczajony jest do liści laurowych tylko w zupie i nigdy nie przychodziło mu do głowy, że zostanie nimi uwieńczony!

Mimo wszystko jakoś te chwile przeżyliśmy; a kiedy tylko nadarzył się odpowiedni moment, szepnąłem Eugeniuszowi na ucho:

— Zwiewajmy!

— Przecież nie wypada...

— Nikt nie zauważy...

Dowiedliśmy tutaj swego absolutnego braku doświadczenia. Bo kiedy chce człek być nie zauważony, niech nie odwraca wzroku w mylnym przekonaniu, że skoro on nikogo nie widzi, jego też nikt nie dostrzeże. Wprost przeciwnie! Należy zjadać wszystkich oczyma, trzeba zmuszać innych do odwracania wzroku, wtedy sami staniemy się niewidoczni! Obaj z Eugeniuszem byliśmy jednak młodzi, jak to słusznie stwierdzał Czemerys. Spuściwszy wzrok, na palcach przemykaliśmy między rozbawionymi i roztańczonymi ludźmi sądząc, że nikt nie zwraca na nas uwagi, uciekaliśmy cichaczem z tej uroczystości, ale tuż przy drzwiach dopędziły nas te same urodziwe dziewczyny z tym samym wieńcem

i z taką samą zręcznością znowu nas nim połączyły i dopiero wtedy śmiejąc się wypchnęły nas z sali.

Wyglądaliśmy chyba bardzo śmiesznie, kiedy o północy znaleźliśmy się na Chreszczatyku z albrzymim laurowym wieńcem w rękach. Szczęście, że o tej porze prawie już nie było przechodniów na ulicy, zwłaszcza że padał deszcz. Pobiegliśmy po Chreszczatyku rozpryskując wodę w kałużach, nie zwracając uwagi na deszcz, wieniec uczciwie nieśliśmy we dwóch, gdyby nie deszcz, może posprzeczalibyśmy się trochę, kto go zabierze do domu, ale nie sposób było tracić czas na sprzeczki, więc biegliśmy w zgodzie do mego hotelu i dopiero wtedy, kiedy zaczęliśmy wchodzić po nie kończących się stopniach i byliśmy zmuszeni zwolnić kroku, domyśliliśmy się, że powinniśmy trzymać wieniec nad głowami chroniąc się czy raczej usiłując się ochronić przed zimnymi strugami, bo z wianka zaczęło nam oto kapać prosto za kołnierze. Czułem, że mój odświętny garnitur zatraca swoje wyszukane linie, ale co mogłem na to poradzić!

— Kapie! — od razu wykrzyknął Eugeniusz. — Okropność!

— Wprost leje! — dodałem. — Nie taka to łatwa rzecz nosić laury, Gen!

— Musisz jednak zawieźć ten wieniec naszym ludziom.

— Jasna rzecz. Myślisz, że rzucili tam wszyscy pracę, siedzą na dworcu i wypatrują, czy przywiozę im wieniec.

— Starczy po listeczku dla wszystkich trzech tysięcy robotników naszego oddziału — upierał się przy swoim Gen.

— Przeliczę do rana wszystkie, czy rzeczywiście starczy — obiecałem.

Wreszcie Eugeniuszowi wlało się za kołnierz tak

obficie, że odzyskał poczucie humoru, trącił mnie wolną ręką w ramię i powiedział z żalem:

— Mimo wszystko zazdroszczę ci, Mytiu! Znowu wrócisz do naszego żelaznego miasta.

Staram się ciebie zrozumieć, jakkolwiek mi się to jeszcze nie udaje. Wszędzie byłeś pierwszy, usiłowałeś mnie wyprzedzać we wszystkim, do żelaza też przyszedłeś pierwszy i pierwszy przeszedłeś do miłości, co ci się zresztą niezupełnie udało. Masz za to doświadczenie, którego brakuje mnie. Więc próbuję cię zrozumieć i chyba chcę cię zrozumieć, Gen.

— Masz przecież swoje Szare Oczy — przypomniał Eugeniusz. — Czy już o nich zapomniałeś? Ja nie zapomniałem, pamiętam.

— No nie — powiedziałem starając się, by słowa moje zabrzmiały dziarsko — powiedzmy zwyczajnie i skromnie: ludzkość pamięta!

Rozstaliśmy się do jutra.

Właściwie nie spałem tej nocy i wcale nie dlatego, że liczyłem liście z wieńca, żeby z rana odpowiedzieć na pytanie, czy starczy dla wszystkich w oddziale nie wyłączając Tokowego — nie spałem z powodu tych niezwykłych łez, jakie cisnęły mi się do oczu na wysokiej scenie mego życia, i wciąż jeszcze odczuwałem to wzruszenie. Pomyśleć tylko — Dmytro Czereda odczuwał wzruszenie!

Brzmi to może nieco śmiesznie, ale było tak naprawdę. I naprawdę myślałem o swoich Szarych Oczach, o tych szarych i jaśniejących radością jak wczesny świt ciepłego lata, o tych dziewczęcych oczach, co pochylały się nade mną w dalekiej leśnej chatce po moim bynajmniej nie bohaterskim locie z czołgu na ziemię. I wtedy właśnie poczułem, że przybliżyłem się do Szarych Oczu, że są tu gdzieś tak blisko, trzeba się tylko zdobyć na niewielki wysiłek i... Owa dobra babunia, co

mnie wtedy pielęgnowała, powiedziała, że jej wnuczka pracuje w kombinacie włókienniczym. Szare Oczy i kombinat włókienniczy! Dziesięć tysięcy niezamężnych dziewcząt i tylko jedna z nich ma te niezapomniane szare oczy. Za mało tych cech nawet dla rzeczywistego członka telewizyjnego Klubu Podróży Filmowych. Nawet nie wiedziałem, gdzie się znajduje ten kombinat: w Kijowie, Czernihowie, czy aż w Chersoniu!

Ale przecież młodość!

Czytajcie gazety, a dowiecie się, że w Kijowie, w Darnycy, są aż dwa kombinaty. Jedwabniczy i włókien sztucznych. Nie zajmujmy się błahostkami, nie chwalmy na razie dziewcząt z jednego kombinatu za jedwabistość i nie wyrzucajmy tym drugim sztuczności. Szare Oczy mogą być i tu, i tam!

Nie czekałem, aż wyschnie mój imponująco skonstruowany przez Ira Leonowicza garnitur, zawiesiłem sobie na szyi aparat „Kijów", jakkolwiek jeszcze nawet nie wiedziałem, gdzie i co w nim naciskać, żeby fotografował, wyszedłem z hotelu, dałem nura w kijowskie metro z taką miną, jakbym od dzieciństwa nic innego nie robił, tylko jeździł metrem, i wynurzyłem się aż na stacji o wesołej nazwie „Komsomolska".

Problem, dokąd iść, nie istniał dla mnie. Prosto przed siebie. Nie przejmowałem się również tym, do jakiego dotrę kombinatu. I tak nie wiedziałem, gdzie jej szukać i czy w ogóle należy tu szukać. Ale — szukaj, a znajdziesz. Zobaczyłem po przeciwległej stronie szosy prostą aleję, prowadzącą widocznie do któregoś z kombinatów. Przypadła mi ta aleja do gustu, bo przypominała trochę naszą, prowadzącą do huty, więc wkroczyłem na nią bez wahania i wątpliwości i w jak najlepszych zamiarach. Wybrałem się na swoje poszukiwania dosyć wcześnie, ludzi w alei jeszcze nie spotykałem, ale — jak to powiedział raz w telewizji pewien człowiek, który

wrócił z zaprzyjaźnionego z nami kraju — „bardzo była miła naiwność haseł i napisów na transparentach". Byłem jednak tak bardzo niezdolny do koncentracji uwagi, że nie zapamiętałem żadnego sloganu i nie uświadomiłem sobie, co było napisane na transparentach. Zauważyłem za to od razu dziwaczną konstrukcję wznoszącą się trochę w bok od głównego wejścia. Ułożona była z modnych obecnie struganych palików, którymi wykłada się także ściany w sklepach, kawiarniach, biurach, w ogóle wszędzie, gdzie bywa mnóstwo ludzi i istnieją najbardziej sprzyjające warunki dla gromadzenia się kurzu. Widocznie mają pełnić funkcję nowoczesnego pochłaniacza kurzu. Rzeczywiście w krótkim czasie tyle się go zbiera na owych palikach, że aż psy kichają, więc nawet przezwaliśmy z chłopakami ten styl „psią moderną". W tym wypadku od razu właściwie oceniłem funkcjonalność struktury z palików! Z tych śmiesznych, jakby się zdawało, i niedorzecznych palików ułożona była bowiem fabryczna tablica honorowa, rzeczywiście wyjątkowo udana! Na przeźroczystej, żeberkowatej i jakby wyginającej się jakoś ścianie w malowniczym bezładzie porozmieszczane były duże fotograficzne portrety przodowniczek kombinatu. U licha, rzeczywiście przodowniczki pod każdym względem! Ładne, urocze, miłe, piękne twarze dziewczęce jakby zlatywały ku mnie ze wszystkich stron i leciały razem z nimi gdzieś wysoko, ku niebiosom zachwytu zapominając o swoim prawosławnym ateizmie, jak powiedział dramatopisarz Kornijczuk zaczynając wierzyć w istnienie aniołów, archaniołów, niebieskich ptaszków i rajskich ogrodów. Może było ich sto, a może dwieście tych przodownic i same dziewczyny! Cud? Słusznie, cud. Ale większy jeszcze cud oczekiwał mnie w dolnym rogu struktury, ukryty tam i niby to niewidoczny, lecz w rzeczywistości bardzo widoczny,

wprost rzucający się w oczy. Promienniejsze niż wszystkie zorze na świecie patrzyły stamtąd na mnie Szare Oczy! Towarzyszu Czereda, urodziłeś się w czepku, jakkolwiek to burżuazyjny zabobon wierzyć w te czepki. Wiodło ci się w ogólności przez całe życie, a teraz poszczęściło ci się wprost nadspodziewanie. Z milionów możliwych szans potrafiłeś chwycić właśnie tę niezbędną do zrealizowania twego szczęścia, a teraz zadanie polegało na tym, jak pisze się zwykle w gazetach, żeby nie zmarnować okazji.

Podbiegłem do jej fotografii i dzięki odpowiedniemu poziomowi swego wykształcenia dowiedziałem się w jednej chwili, że na imię jej Maria, dowiedziałem się również, jak brzmi jej nazwisko — nie wiadomo tylko czy panieńskie, czy po mężu. Pobiegałem więc bez potrzeby trochę w jedną, trochę w drugą stronę, żeby się zorientować, co robić dalej, ale nic mądrego nie wymyśliłem, pewnie z powodu absolutnego braku doświadczenia. Chciałbym jednak widzieć na swoim miejscu doświadczonego człowieka!

Co robić? Czekać, aż zacznie nadchodzić nowa zmiana i zaglądać w tysiące twarzy, żeby znaleźć Marię o szarych oczach? Nie ma chyba sensu szukać znowu, kiedy już się znalazło. Dowiedzieć się w dziale personalnym, gdzie Maria pracuje, i pójść na halę? Nietrudno sobie wyobrazić, jak będą tam na mnie wszyscy patrzeć, na faceta, co przeszkadza ludziom pracować i obnosi się ze swoją miłością jak idiota.

A więc, towarzyszu Czereda, ciągnąć rury jest, jak się okazuje, o wiele łatwiej, niż przejść do miłości, nawet postawić dopiero pierwszy krok. Jeżeli chodzi o rury, wszystko odznacza się tam żelazną ścisłością, wszystko jest proste i chyba proste są nawet trudności, bo wiadomo, co ma być na końcu, a tutaj — całkowity mętlik, nieokreśloność, nieznajomość, że wprost

rozpacz ogarnia. „Spotkaliśmy się dziwnie i dziwnie rozstaniemy". Tak, tak. A jeżeli nie doszło jeszcze do spotkania? I nie wiadomo, jak do niego doprowadzić? I jedna z umawiających się stron, zwana na przykład Marią, nie ma pojęcia o istnieniu drugiej strony, zwanej w życiu codziennym Myt'kiem Czeredą. Co wtedy? I jak? Nie poradziłby tu chyba sam Hrysza Frusin, gdyby nawet sto razy zatapiał palce w swojej drucianej czuprynie. Szlachtycz w takich sprawach nie może być żadnym doradcą. Eugeniusz, jeżeli chodzi o dziewczęta, jest samą chwiejnością albo gapą, czego najlepiej dowodzi historia z Alą. Mogłaby mi dopomóc jedna Zizi, ale dzieli ją ode mnie pół tysiąca kilometrów! A może ją wezwać? No, używałaby sobie na mnie!

Skoro tak, skorzystajmy ze zdobyczy cywilizacji, z ponumerowania wszystkich bez wyjątku obywateli! Skoro Maria pracuje w kombinacie i jest tu znana, więc dlaczego nie miałaby być znana także w kijowskim biurze ewidencji? Rok urodzenia? Nic łatwiejszego. Odejmę trzy-cztery lata od swego wieku i otrzymam wiek Marii. Jak wytłumaczyć swoje zniknięcie Szlachtyczowi? Napiszę karteczkę, że pojechałem do krewnych. Wczoraj mojej siostrzyczki jeszcze nie było, ale dzisiaj mogła wrócić z zagranicznego tournée i przywieźć sztandar sztuki socjalistycznej do domu.

Pojechałem więc znowu metrem, znalazłem się w centrum Kijowa, pobiegłem do hotelu, żeby zostawić karteczkę dla Szlachtycza, zjadłem śniadanie w kawiarni i poszedłem szukać biura ewidencyjnego z myślą, że powałęsam się potem po mieście do końca dnia pracy i odwiedzę Marię u niej w domu. Do hotelu więcej nie wracałem, bo co tam miałem do roboty? Pilnować wieńca? Przecież wawrzyny nie więdną.

Adres Marii dostałem z łatwością i szybko, nie powiem tylko, że równie szybko upłynął mi ten czas, kie-

dy Maria pracowała w kombinacie. Wałęsałem się po Kijowie nie odczuwając jednak wczorajszego zauroczenia. Nie opromieniał mnie już blask Kijowa, lecz Szarych Oczu, lękałem się ich.

Wprost dygotałem z niecierpliwości, kiedy się znalazłem w dzielnicy nowych dziewięciokondygnacyjnych domów, oblicowanych ładnymi, jasnymi płytami, z różnokolorowymi balkonami — czerwonymi, zielonymi, żółtymi. Domy stały na piasku, jeszcze zupełnie nowe, na piasku nie zdążyła wyrosnąć nawet trawa, obrośnięte były za to balkony i ściany domów, gdyż każdy z lokatorów wkładał w to swój twórczy wysiłek korzystając z konstytucyjnej nietykalności swego mieszkania. Najwięcej rosło na balkonach kwiatów, bo w Kijowie ludzie chyba nie wyobrażają sobie życia bez kwiatów. Ten i ów zdążył już wyhodować winorośl, gdzieniegdzie wyrosły już prawdziwe zielone dżungle, niektórzy porobili z balkonów barwne altanki, ci zaś, co nie zdobyli się ani na dżungle, ani na budowę altanki, ale uważali, że rozwieszanie na balkonach wypranej bielizny uznać należy za zjawisko przejściowe i trzeba się starać o trwałą dekorację, przyczyniali się również do wspólnej sprawy: rozwieszali na balkonie pęczki suszących się ryb i girlandy dojrzewającej na słońcu papryki, wieszali na ścianie granatowe i czarne polówki, a jakiś pomysłowy lokator umieścił na ścianie przy drzwiach balkonowych olbrzymią cynkową miednicę, która połyskiwała jak niezwykłych rozmiarów herb rodowy.

Stałem i patrzyłem na ten okrągły cynkowy herb, gapiłem się na niego jak wiadome zwierzę domowe na malowane wrota, nie mogłem wzroku oderwać, może dlatego że miednica tak obrzydliwie psuła estetykę nowego kompleksu architektonicznego, we mnie zaś budził się podświadomie, powiedzmy, przyszły dzia-

łacz gospodarki komunalnej, a może deputowany do rady miejskiej lub nawet sam jej przewodniczący, gdyż w naszym kraju „młodzi wszędzie wolną drogę mają", słowem, widzicie, do czego może doprowadzić oglądanie zwykłej cynkowej miednicy, tyle że odpowiednio umieszczonej. Dopiero po dobrej chwili zdałem sobie sprawę, dlaczego sterczę przed tym domem ozdobionym cynkowym symbolem życia rodzinnego; był to ten właśnie dom, w którym mieszkała Maria i do którego miałem teraz wejść, żeby zobaczyć swoje Szare Oczy!

Nie będzie tu mowy o szczytach i trudnościach wspinaczek. Poniosła mnie na siódme piętro automatyczna winda, cyfra „siedem" wróżyła szczęście, bo siedem razy siedem jest czterdzieści dziewięć, a czterdzieści dziewięć podzielone przez dwa daje dwadzieścia cztery i pół, a dwadzieścia cztery i pół — to prawie mój wiek, wszystko się zgadza i świetnie wychodzi! „Spotkaliśmy się dziwnie". Nie rozstaniemy się jednak.

Nacisnąłem dzwonek i chwyciłem w ręce aparat fotograficzny, bo chwytać się za serce w moim wieku jakoś nie wypada, drzwi się otworzyły i w drzwiach... Nie, nie ujrzałem Szarych Oczu ani Marii, ani dziewczyny z mych marzeń, lecz stał tam niewysoki, śniady na twarzy mężczyzna, jeszcze młody, może nawet młodszy ode mnie, ale już mężczyzna, głowa rodziny, gospodarz, jednostka samodzielna, obywatel i człowiek pracy, czego dowodziła jego rozpięta kraciasta koszula zalatująca mazutem, mocna, smagła szyja i mocne ręce pewnie z takimi samymi odciskami jak moje. Za jego plecami było mieszkanie, dwa lub trzy pokoje, słychać było stamtąd pluskanie wody i basowy dwugłosowy ryk — może nie prywatne mieszkanie, tylko męski hotel robotniczy?

— Przepraszam — powiedziałem — ale...

Nie ma co, znalazłem swoje Szare Oczy. Lepiej było

nie znajdować. Przemknęło mi przez głowę co najmniej sto milionów najrozmaitszych przypuszczeń. Maszyna matematyczna mogłaby w tej chwili pozazdrościć mojej głowie, bo maszynie nie śniło się nawet to wszystko, co wyobrażałem sobie przez ten czas, kiedy obserwowaliśmy się wzajem z właścicielem kraciastej rozpiętej koszuli.

— Proszę — odezwał się wreszcie — a o co chodzi?

— O nic.

— A mimo wszystko?

W pokojach słychać było coraz wyraźniejsze pluski, a basowy ryk przechodził niekiedy w pisk. Dzieci! Nie jedno dziecko! Mąż i dwoje albo troje dzieci w mieszkaniu. Plus fakt, że zupełnie się nie znamy. Nie ma co, ładna sytuacja. Nie mogłem się jednak wycofać.

— Co? — zapytał tamten. — Przyszedłeś do mnie?

— Nie, nie.

Rozejrzał się trochę zmieszany. Przecież nie do niemowląt przyszedł ten pan z aparatem fotograficznym. Nie wyglądałem na wychowawcę z przedszkola. Na razie zresztą pracują tam jeszcze wychowawczynie.

— Więc do kogo?

— Jestem... — aparat służył mi nadal zamiast serca — jestem... z redakcji... Czy tutaj wisi na balkonie duża cynkowa miednica?

— Miedniczka?

— Tak.

— Tutaj. Bo co? Nie wolno?

— Nie, nie. Po prostu chciałem się przyjrzeć. Może sfotografować... U nas...

— Maniu! — zawołał mężczyzna. — Maniu, jakiś dziwak chce sfotografować naszą miedniczkę.

Woda przestała chlupotać, ustał także basowy ryk, z pokoju wyłoniła się postać kobieca — wystarczyło zrobić krok, żeby znaleźć się u drzwi wyjściowych,

ale wydawało mi się, że przedpokój nagle się wydłużył w nieskończoność, że postać i przybliżała się, i jednocześnie jakby stała w miejscu, ponadto nie mogłem się jej przyjrzeć, bo przesłaniał ją mąż w kraciastej koszuli, który wciąż stał przede mną i któremu nie przychodziło do głowy poprosić, żebym wszedł; w dodatku, jak się okazało, nieznośnie wymachiwał rękoma znacząc tym wymachiwaniem każde swoje słowo i nawet nie wypowiadane myśli. Wprost nie mężczyzna, tylko wiatrak, z początku nie zwróciłem uwagi na ten jego obrzydliwy zwyczaj, ale teraz chętnie bym mu przywiązał ręce do tułowia, znienawidziłem go za to idiotyczne wymachiwanie, od którego dwoiło mi się i troiło w oczach, tak że ani rusz nie mogłem przypatrzeć się zbliżającej się do nas młodej kobiecie i nie przyjrzałem się jej ostatecznie, zobaczyłem tylko oczy, rozpoznałem je — to one, patrzyły na mnie moje Szare Oczy!

— Rzeczywiście... chce pan fotografować?

Była niewysoka, zgrabna, o jasnych włosach, właśnie taką widziałem ją zawsze w wyobraźni, a jej oczy były jeszcze piękniejsze, było w nich jeszcze więcej wyrazu i świetlistości niż w moich marzeniach o tych oczach. Całkowicie zbity z tropu zapomniałem języka w gębie, przytaknąłem tylko głową i mocniej ścisnąłem swój aparat, którego chwyciłem się teraz jak tonący brzytwy.

— Ależ proszę bliżej — zrobiła zapraszający gest — Hryciu, nie stój w drzwiach i nie wymachuj rękoma. Poprowadź pana na balkon, bo ja nie skończyłam jeszcze kąpać chłopaków. Mamy dwóch chłopczyków — wytłumaczyła mi. — Bliźniacy. A grymaśni jak ich tata.

— Dają się we znaki nam obojgu — wciąż wymachiwał rękoma Hryć. — W dzień ryczą basem, a w nocy

dyszkantem. A co, rzeczywiście spodobała ci się nasza miedniczka? Bo mamy jeszcze cynkową wanienkę.

Widocznie ze złości na to wymachiwanie rękoma odzyskałem wreszcie mowę i powiedziałem do Marii, która szła już do łazienki kąpać swoich chłopaczków:

— Nie tyle nawet miedniczka, ile... Mam za zadanie poznać się z panią, Mario... Zresztą znamy się już trochę...

Pewnie nie usłyszała moich słów, bo już kąpała swoich chłopaczków, a w jej mężu moja informacja szczególnego zainteresowania nie obudziła.

— Byłeś już pewnie u niej w oddziale? — powiedział. — Swój oddział ma każdy. A takiej miedniczki — nie. To ja ją kupiłem i sam przygwoździłem na balkonie. Nikomu by to nie przyszło do głowy, prawda, że nikomu?

— Nikomu — potwierdziłem apatycznie — właśnie ta miednica zwróciła moją uwagę. Nawet nie wiedziałem, że to u was...

Maria zawołała nagle męża, żeby jej pomógł, i wynieśli oboje z łazienki swoich opatulonych i uspokojonych już chłopaczków, jednego niosła Maria, a drugiego Hryć, któremu udawało się trzymać dziecko i mimo to jakoś wymachiwać rękoma, co stanowczo już nie miało sensu i dziecko powinno było zaprotestować na swój sposób przeciwko takiemu zachowaniu taty, ale pewnie przypadł mu do gustu ten swego rodzaju taniec nad przepaścią czy może rosło już na przyszłego kosmonautę, dość że milczało i w dodatku jeszcze potrafiło patrzeć na mnie przez wszystkie te wymachy, a oczy miał chłopaczek tak samo szare jak matka. Drugi też miał szare oczy, po ojcu dzieci nie odziedziczyły chyba nic.

— Słyszałaś? — powiedział Hryć do żony. — Korespondent mówi, że już był u ciebie.

— Był pan na naszej hali? — zapytała spokojnie.

Gadałem coś o redakcji, o „Kijowię, który zdobią ludzie", potem przeskoczyłem na lasy i chatkę wśród lasów, wspomniałem o babuni i jej wnuczce, a wreszcie przedstawiłem historię z czołgistą jako epizod niemal bojowy... Maria nic z tego nie zrozumiała... Może nawet pamiętała owego niefortunnego czołgistę, co wyleciał z czołgu i zwalił się na ziemię, ale kiedyż to było! Nie mogła zresztą ani rusz skojarzyć tamtego pożałowania godnego chłopca z drągalowatym korespondentem samozwańcem, który pojawił się w jej domu i paple, o czym mu się żywnie podoba, a potem zaczyna jeszcze — w obecności męża! — niemal umawiać się na spotkanie w dniu jutrzejszym, tyle że miejscem ma być kombinat — mówi tak dla niepoznaki czy też rzeczywiście zamierza spotkać się z nią w pracy?

Spodobał się za to Hryciowi.

— Ależ przyjdź do nas do domu także jutro, jeżeli trzeba — pomachał rękoma. — Dzisiaj nie byliśmy przygotowani, nic nie wiedzieliśmy. A jutro przyjdą chłopaki, coś zorganizujemy. Nie zapomnij tylko aparatu. Marię możesz sfotografować na jej stanowisku roboczym, a może pstrykniesz coś także tutaj. Fajne robisz zdjęcia. Teraz sobie ciebie przypominam. „Komsomołka" je zamieszcza. Laureat? Rzeczywiście? Nazwiska twego, rzecz jasna, nie pamiętam, bo dużo jest na świecie nazwisk, nie warto pakować ich sobie do głowy, a zdjęcia są fajne! Zasłużyłeś na laureata. Co prawda, trochę to za dobrze dawać taki tytuł za zdjęcia, ale tobie się należy! Niepotrzebnie się tylko podpisujesz pod swoimi fotkami. Nikt tego nie czyta. Ci, co mają nie wszystkie klepki w porządku, czytają, ale normalni — nigdy! Za to zdjęcia są pierwsza klasa! Słowem, przychodź jutro!

Hryć terkotał i wymachiwał rękoma, ja zaś patrzyłem na Marię i ona patrzyła na mnie swoimi jedynymi na świecie szarymi oczami, z których czytałem, że domyśla się, kim jestem i po co przyszedłem do ich domu, domyśla się i przygląda mi się z niemym i gorzkim wyrzutem. Gdzie byłeś? Dlaczego zwlekałeś tak długo? Przecież czas upływa niepowstrzymanie. Dni, miesiące, lata. Czyż można marnować bodaj chwilę?

Cóż jej mogłem odpowiedzieć? Jaką dać jej bodaj niemą odpowiedź. Że pasowałem się z wiecznością? Ależ trzeba to dokładnie wytłumaczyć, na co musiałbym mieć czas. Wszyscy zresztą mamy nadzieję, że czas, którego brak nam dzisiaj, znajdziemy jutro.

— Do jutra — powiedziałem — do jutra!

Ludzkość usiłuje nabrać doświadczenia już w ciągu kilku tysięcy lat, co się jej, jak mi wiadomo, nie udało. Cóż więc dziwnego, że nie mając najmniejszego doświadczenia w miłości, spodziewałem się, iż wszystko zostanie rozstrzygnięte w ciągu jednego dnia?

Nie pomógł mi dzień, nie pomógł także cały tydzień. Szlachtycz wrócił do domu sam. Hrysza Frusin też pojechał gryźć w dalszym ciągu granit nauki, ja zaś obracałem się w martwym kręgu zauroczenia Szarymi Oczami, jakkolwiek nie chodziło już nawet o moje zauroczenie, tylko o ratowanie bliźniego swego. Wszystkim nam wiadomo, że z łatwością można człowieka uratować przecież przed burzą i piorunem, nawet przed złym losem, ale przed człowiekiem — nie zawsze się udaje.

Wiedziałem, że nie mogę tracić czasu, więc od razu, kiedy spotkałem się z Marią sam na sam, powiedziałem jej wszystko: i o marszu czołgów przez dalekie lasy, i o swoim niefortunnym locie z wieży czołgu, i o babcinej chacie, i o Szarych Oczach, czyli oczach Marii, o których marzyłem przez kilka lat.

Maria nic nie odpowiedziała, tylko westchnęła.

— Jesteś szczęśliwa? — zapytałem.

Nic nie mówiąc westchnęła znowu.

— Rozumiem, masz męża, dzieci... A ja mam tylko marzenie... Marzenie o Marii... Brzmi to pięknie, ale... Zachowałem się jak ostatni dureń... Sądziłem, że muszę mieć jakieś swoje miejsce na ziemi... A jak może je zdobyć taki chłopiec jak ja? Tylko tak! — Wyciągnąłem przed siebie ręce, które chyba nie różniły się niczym od rąk jej Hrycia. Jakby odgadłszy moją myśl, powiedziała w zadumie:

— Masz spokojne ręce, a on wciąż nimi wymachuje... Bez przerwy wymachuje rękoma... Można zwariować.

— Mario! — wykrzyknąłem odnajdując w jej słowach jakąś nadzieję dla siebie. — Mario, co mogę dla ciebie zrobić?

Znowu westchnęła nic nie mówiąc, ja westchnąłem również, czego chyba dotąd nigdy nie robiłem.

— Czas już pójść po dzieci do żłobka — powiedziała Maria.

— Pomogę ci.

— Nie trzeba.

— Mąż ci pomaga?

— Nie, nigdy...

Tak, dla sądu sprawa jest jasna. Jej mąż umie tylko wymachiwać rękoma, ale palcem nie kiwnie, żeby w czymś dopomóc żonie.

— Obiecałem mu, że dziś do was przyjdę. Może nie warto.

— Chyba nie warto.

— Powiesz, że odwołała mnie redakcja?

— Coś tam powiem.

Było to już niewielkie porozumienie, układ separatystyczny, umocniony ponadto wspólną tajemnicą,

i pozostawało go tylko ratyfikować, do czego potrzebne było jeszcze jedno spotkanie na najwyższym szczeblu.

— Czy mogę zobaczyć się z tobą także jutro, Mario?

— No, skoro ci zależy...

Spotkaliśmy się nazajutrz i jeszcze na drugi dzień i trzeci... Dowiedziałem się wreszcie, o czym rozmawiają zakochani. Głównie mówiłem zresztą ja, Maria milczała albo ograniczała się do kilku słów: „Nic nie rozumiesz, Mytiu". Mogłaby właściwie nie przypominać mi raz po raz o moim braku doświadczenia.

— No tak — godziłem się z nią od razu — wielu rzeczy rzeczywiście nie wiem jeszcze i nie rozumiem, ale... Jak mi się zdaje, nawet małe dzieci dobrze wiedzą, kiedy człowiek jest szczęśliwy, a kiedy nie.

Nasz spisek umacniał się z każdym dniem, Maria zwolniwszy sią na parę dni z pracy towarzyszyła mi w moich wędrówkach po Kijowie; wybieraliśmy najbardziej malownicze zakątki tego miasta, które sama natura stworzyła dla zakochanych i rozmarzonych, nie było między nami nic, nawet pocałunków, ale im dalej, tym lepiej rozumieliśmy oboje, że łączy nas dawne marzenie zrodzone w dalekiej chacie leśnej, że marzenie to w nas żyło i jakkolwiek odżegnaliśmy się od niego, teraz gotowi jesteśmy złożyć wszystko w ofierze, byle je tylko odzyskać. Bo co znaczy człowiek bez marzenia?

Marzenie o Marii, o Marii... byłem w jakimś beznadziejnym zapamiętaniu, coś wirowało w mojej głowie w szalonym tańcu — w takim stanie człowiek gotów jest narobić nie wiadomo jakich głupstw czy może nawet czegoś niebywale śmiałego i szlachetnego.

— Musimy stąd wyjechać! — nalegałem. — Byle dalej!

— Dokąd właściwie? — pytała Maria trochę kpiąco,

gdyż uważała mnie nadal za człowieka bardzo niedoświadczonego.

— No, bo ja wiem... Nad rzeki syberyjskie, nad Chantajkę, Indygirkę, na Tałnach... Budować hydroelektrownie na terenach wiecznej zmarzłoci, wydobywać złoto, diamenty, miedź...

— Mam dzieci...

— Zabierzemy je! Są twoje! Obaj chłopcy całkowicie wdali się w matkę. Nic nie mają ojcowskiego. Usynowię ich. Wszyscy tak robią... Będziemy mieszkali w tundrze, chłopcy wyrosną, będą silni i wytrzymali... Najprawdziwsze chłopaki!... Będziemy tam prawdziwymi ludźmi, co kochają się naprawdę, bo tylko w tundrze... Co tam dużo mówić! Jest piosenka o tundrze, śpiewa ją co tydzień w telewizji Jurij Hulajew — sam nie śpieszy się co prawda do tundry, woli Kijów, ale śpiewa o tundrze fajnie. Tundra biała i bezkresna, tundra surowa mocno śpi. Mrozy tam w tundrze, wichry, zamieć — śpi i nie czuje ich. Skrę mego serca, uśmiech promienny i miłość niosę ci w darze. Tundra się budzi i odpowiada: „Czekam cię, czekam i marzę!" Słowa Kołomijcia, muzyka Szamo.

— Przecież to pieśń. Gdyby wszystko było tak, jak w pieśniach!

— Ach, pieśń! Chodzi ci o rzeczywistość. Proszę bardzo, już się robi. List do redakcji zamieszczony w gazecie młodzieżowej. Mam go przy sobie. Nie myśl, że mielę językiem, byle tylko mówić! Proszę, możesz przeczytać. Tak jest właśnie zatytułowany. „Jeden dzień w tundrze". Pisze naoczny świadek. Ale jaki świadek! Nie taki jak ty i ja. Nie człowiek młody, który ma jeszcze całe życie przed sobą. Lepiej przeczytać. O, proszę cię. „Wiele widziałem w ciągu 65 lat mego życia. Byłem na Południu, byłem na Wschodzie, a na

starość zapragnąłem zobaczyć daleką tundrę. Zawód mam zresztą odpowiedni, jestem cieślą.

Przychodzę do kantoru Ekspedycji Geologiczno-Poszukiwaczej na stacji Sajda i pytam, czy mają dla mnie pracę. Powiedzcie mi od razu, mówię, weźmiecie cieślę czy nie? Bo pociąg mi ucieknie — bilet mam do innej stacji, więc mi przepadnie. Przejrzał inżynier moją książeczkę służbową, wziął kartkę papieru, skreślił kilka słów i posłał mnie do ambulatorium. Lekarz kazał mi się rozebrać, chociaż mu powiedziałem, że jestem zdrów, zbadał i dopiero wtedy dał zaświadczenie.

Jak się ucieszyłem, wprost odmłodniałem! Idę do magazynu, wyfasowałem nowy wacik, drelichy, gumowe buty, z innych rzeczy zrezygnowałem, miałem własną odzież roboczą. Otrzymałem narzędzia. A środek transportowy już czeka. Jadę samochodem terenowym, nowiusieńkim. Jakby moja dusza do raju leciała. Gdziekolwiek okiem rzucę — różne figury ze śniegu. Szkoda, myślę, że nie jestem malarzem, bo namalowałbym obraz bezcenny. O mało co nie wpadliśmy w dużą jamę. Tyle już razy zaglądałem śmierci w oczy: jako młody chłopak — podczas wojny domowej, jako dorosły — podczas narodowej. Ale śmierć się mnie bała i pewnie tutaj też wolała nie mieć ze mną do czynienia. Bo mimo wszystko... Zginąłby marnie Omelanenko.

Słowem, jedziemy dalej po górach i przełęczach. Pasą się całe stada reniferów. Potem pokazały się białe dzikie kuropatwy. Takimi chmarami, że wpadały nawet pod samochód, nie udawało im się w porę wzlecieć spod śniegu. Myślałem, że tundra to pusty teren, ale ujrzałem coś zupełnego innego.

Przyjechaliśmy wreszcie. Stoi kilka wagoników. Inżynier pyta, czy nie zmarzłem. Wyrosłem przecież i przeżyłem sześćdziesiąt lat w zimnych krajach, a na

Południu znalazłem się już jako emeryt. Więc mrozu nie boję się na razie. Jest już dwunasta w nocy, ale wciąż jeszcze jasno. Od kwietnia do grudnia słońce tu nie zachodzi. Od razu znalazło się dla mnie miejsce.

Piękna jest tundra: jasno tu i spać się nie chce. Leżę i rozmyślam. Wtem wchodzi inżynier i pyta szeptem: «Dziaduniu, nie śpicie? Nasi ludzie chcą jechać po węgiel, ale sanie się połamały». Odpowiadam: «Skoro trzeba, o czym tu gadać. Znajdziemy jeszcze czas na odpoczynek».

Dano mi gwoździe i deski, zabrałem się do roboty. A dlaczego by nie popracować? Jasno, cicho, lekki mróz. Nawet przyjemniej jest zajmować się ciesielką w takich warunkach — pomyślałem — aniżeli podczas upału.

Wyrychtowałem sanie. Ludzie pojechali po węgiel, ja zaś poszedłem do wagonika. Podrzuciłem węgli do piecyka. Wszyscy śpią, zasnąłem również. Budzę się, wchodzi naczelnik bazy i pyta, czy nie mogę szybko naprawić trzech sań, bo ciągnik stoi. Naprawiłem, a tu już mnie zawołano na obiad. Wydano mi niemal pół worka różnych artykułów: masło, konserwy, także mięsne, zupy i barszcz w torebkach, śledź, żółty ser, cukier, herbata, chleb. Zacząłem gotować od razu kolację, śniadanie i obiad. Inżynier dziękuje mi za nocną pracę, a ja znowu się dziwię: Jakaż to noc!

Tak oto pracowałem w tundrze.

Chciałem powiedzieć, że niektórzy młodzi ludzie boją się jechać na zagospodarowanie Syberii i tundry. Niepotrzebnie. Pracują tam cudowni ludzie. Zastanawiałem się nawet, dlaczego ci ludzie w tundrze tacy są zawsze pracowici, weseli, gotowi w każdej chwili pomóc jeden drugiemu. Widocznie sama przyroda tak tu na nich wpływa. Bo na przykład ja — nie tylko że nie osłabłem przy pracy, ale wręcz przeciwnie, odmłodniałem.

Postanowiłem opisać jeden spędzony w tundrze dzień. Gdybym miał zdolności i wiedzę, żeby opisać wszystkie, powstałaby cała książka. A gdybym przeczytał taką książkę w młodości, już bym się nie odżegnywał od tundry".

A więc, czegośmy się dowiedzieli o tundrze? Właściwie wszystkiego, bo jeżeli autor listu, człowiek zupełnie samotny, zapomniał nas poinformować, czy jest tam na przykład żłobek dziecięcy lub przedszkole, możemy sobie sami z łatwością wyobrazić, że jeden z tych wagoników, które autor opiewa, służy temu właśnie szlachetnemu celowi. A że nie ma tam żadnej kawiarni „Śnieżynka" i restauracji „Biały niedźwiedź", tylko wydaje się każdemu pół worka artykułów, z którymi można robić, co się człowiekowi podoba, to nie mogło to nas również odstraszyć, nie jesteśmy bowiem przyzwyczajeni do odżywiania się w kawiarniach i restauracjach. Okazało się w ogóle, że oboje z Marią jesteśmy w wielu sprawach bardzo niepraktyczni, nie potrafiliśmy omówić żadnych szczegółów i było nam nawet wszystko jedno, dokąd jechać: nad Jenisej, Inidigirkę czy Chantajkę, wszystko to wyobrażaliśmy sobie jedynie w przybliżeniu, a pociągało nas tylko jedno — było to niebywale daleko, tak daleko, że nawet nasza wyobraźnia tam nie sięgała. Daleko w czas nasza wyobraźnia też nie wybiegała, myśleliśmy tylko o dniu jutrzejszym, a o tych późniejszych jakoś się nie udawało, co nietrudno wytłumaczyć. Nie było to lenistwo myśli ani dość żywa wyobraźnia; po prostu tak bardzo cieszyliśmy się ze spotkania, baliśmy się, że znowu się rozstaniemy, chcieliśmy być razem za wszelką cenę i oto życie samo wyznaczało cenę, a my bez wahania gotowi byliśmy przystać na proponowane warunki.

Zapewne wszystko tak by też było, zabralibyśmy chłopaczków Marii, zostawilibyśmy wymachującego

Hrycia w jego dwóch pokojach z połyskującą miedniczką na ścianie balkonu (chyba jako symbol niepowodzeń w życiu rodzinnym) i pojechalibyśmy do północnych reniferów, żeby zacząć tam nowe, prawdziwe życie, jakie sądzone było tylko nam we dwoje; niewątpliwie wszystko tak by właśnie było, bo przecież powiedział poeta — a słowa jego cytował wspomniany już podręcznik dla klasy szóstej — że odważny człowiek radziecki pokona największą nawet dal i nie kończącą się drogę.

Pieda tylko, że wszystko to wymyśliłem siedząc w pociągu razem ze Szlachtyczem i Frusinem, wymyśliłem nie tylko Marię, jej dwóch chłopaczków, machającego rękoma męża, miedniczkę na balkonie, ale nawet wieniec laurowy. Chantajki nie wymyśliłem, bo rzeczywiście wybudowano tam hydroelektrownię. Chantajka istnieje w rzeczywistości, Szare Oczy również, nie szukałem ich jednak, bo nie wiedziałem, gdzie szukać, i przegapiłem przecież odpowiednią po temu porę, bo minęło już kilka lat, a rozeznanie w czasie mam mimo wszystko niezłe. A może nie zacząłem szukać swego marzenia dlatego, że dotychczas było mi wstyd: nie utrzymałem się przecież w czołgu i wyleciałem śmiesznie i sromotnie z wieży, leżałem potem przed nieznajomą dziewczyną bezradny, potłuczony i do niczego. Może właśnie wtedy przyszło mi do głowy powiedzonko, którym dopiekałem stale Eugeniuszowi jeszcze w owym czasie, kiedy był śmiertelnie zakochany w Ali: „Lepiej poznać się z nieznajomą dziewczyną, bo znajoma już cię zna i nie zechce się poznać".

A co do wawrzynowego wieńca, to niezupełnie go wymyśliłem, tylko wyprzedziłem trochę wydarzenia. Bo w domu, w hucie rzeczywiście urządzono wieczór na cześć laureatów, posadzono nas na honorowym miejscu, sam dyrektor zakładów usiadł z boku ustępując swego

miejsca nam, za co oberwał dobrą porcję besztaniny od małżonki, która szeptała mu z gniewem, że przecież on tu jest dyrektorem powołując się na „podejście państwowe". Potem, kiedy wieczór był w zenicie, wszedł nasz surowy i miły, nasz drogi Czemerys, a za nim dwie ładniutkie pracownice oddziału kontroli technicznej wniosły duży, rzeczywiście laurowy wieniec.

— No, młodzi ludzie — powiedział do nas Czemerys i bardzo mi się spodobało, że nazywa tak teraz nie tylko mnie, ale również Szlachtycza, swego niespodzianego zięcia — no, młodzi ludzie, podstawcie szyje...

Dyrektorowa znowu nie mogła się powstrzymać i głośnym już szeptem przypomniała mężowi, że on tu jest dyrektorem, że on to wszystko zorganizował, więc dlaczego nie dano wieńca jemu, na co dyrektor odpowiedział jak zwykle: „Przecież trzeba mieć podejście państwowe".

Potem w zakładowym Pałacu Kultury, już nie na naszą część, co prawda, ale tego samego wieczoru, towarzysz Knysz zademonstrował osiągnięcia swoich kółek amatorskich. Nie poszedł utartą drogą, nie zorganizował wystawy, nie pochwalił się zakładową orkiestrą symfoniczną, nie pokazywał na scenie śpiewaków i śpiewaczek, bo kogo to dzisiaj zadziwi! Nie, towarzysz Knysz zademonstrował ni mniej, ni więcej tylko najprawdziwszy balet i to jeszcze taki, o jakim chyba nikt dotąd nie słyszał — balet „Otello". No, „Jezioro łabędzie", „Fontanna Bachczysaraju" albo o tej ślepej dziewczynie z francuskim imieniem — każdy to zna, ale „Otello", ale Szekspir — i balet! Nawet taki mocny, wątpliwy „znawca" Szekspira jak ja tylko wzruszył ramionami, a co dopiero ludzie, którzy gruntownie przestudiowali angielskiego pisarza.

Towarzysz Knysz znał się jednak na rzeczy, walczył

odważnie o tytuł zasłużonego pracownika kultury i w tym swoim szlachetnym dążeniu nie cofał się przed niczym.

Czarnego, mężnego, uczciwego i łatwowiernego Otella tańczył dyspozytor naszego oddziału transportowego, chłop jak dąb, pod którym wprost scena się uginała, w roli Jaga wystąpił nasz mistrz „Doczekajmy do poniedziałku", co było taką niespodzianką, że ktoś z tylnych rzędów nawet krzyknął: „Zamienił kino na Desdemonę!" i sala aż się zatrzęsła od śmiechu, bo wielu wiedziało, jak nasz mistrz pasjonuje się filmem; Desdemony chyba nie znał nikt, po towarzyszu Knyszu można się tu było spodziewać wszystkiego, mógł cichaczem namówić jakąś stołeczną balerinę, żeby wystąpiła jako uczestniczka kółka amatorskiego, bo podobne rzeczy zdarzały się już niejednokrotnie i felieton o towarzyszu Knyszu nie pojawił się dotąd tylko dlatego, że gazety na takie tematy felietonów nie zamieszczają, poprzestając na wyławianiu nielegalnych piłkarzy i zawodowych lekkoatletów w amatorskich drużynach przyzakładowych. Tak czy inaczej, nie zagłębiajmy się w sprawy zakulisowe i zaznaczmy jedynie, że Desdemona tańczyła, jak mi się zdaje, cudownie i ponadto była chyba także diablo ładna, smukła, giętka, o dużych oczach — że też się taka urodziła! Twarz miała w ogóle jakby stworzoną do oglądania jej na scenie: pełne wyrazu oczy, usta, nos — wszystko piękne i delikatnie zarysowane jak na wzorcu twarzyczki dziewczęcej z państwowym znakiem jakości. Dodajmy do tego harmonijne kształty naszej hutniczej Desdemony, miękkość i lekkość jej tańca i ruchów na scenie, a nie zdziwimy się wcale, że pod koniec spektaklu cała sala była w niej bez pamięci zakochana i kiedy wysmarowany sadzą dyspozytor zabrał się do wymierzenia kary

swojej małżonce, którą podejrzewał o zdradę, rozległy się krzyki: „Uważaj, durniu, bo rzeczywiście zadusisz!"

Dyspozytor okazał się człowiekiem ostrożnym i delikatnym, ściskał długą i smukłą szyję Desdemony tylko dla oka i w porę wypuścił ją z rąk, za co został nagrodzony odpowiednią porcją oklasków. Oklaski, jak to często bywa, przeszły w owację, po przedstawieniu kilkakrotnie wywoływano wykonawców na scenę, Desdemona nie stojąca na palcach okazała się małą, szczuplutką dziewczynką i przyszło mi nawet na myśl, że chyba ją widziałem w naszym mieście: wyszedł raz na scenę także towarzysz Knysz, ale stał skromnie z boku, wiedział bowiem dobrze, że nie odznaczającego się skromnością człowieka nikt nie wytypuje do tytułu zasłużonego pracownika kultury, a skromność zdobi niezależnie od tytułów i nagród. Chłop był z niego porządny, z naszego towarzysza Knysza, nie podbiegł potem ani do dyrektora, ani do sekretarza egzekutywy Wasyłenki, żeby wysłuchać należnych komplementów, nie, wyróżnił ze wszystkich takiego samego skromnego chłopaka jak on sam, Dmytra Czeredę, podszedł do niego, czyli do mnie i powiedział cicho:

— Chodźmy do mego gabinetu.

— No cóż, chodźmy — przystałem, zwłaszcza że nie miałem już żadnych obowiązków tego wieczoru i mogłem dysponować wolnym czasem, jak mi się podobało.

W gabinecie towarzysza Knysza nic nie mówiło o jego związku ze sztuką. Olbrzymi pokój, gołe ściany, niewielkie biurko, dosyć odrapane, kilka krzeseł, też nie pierwszej młodości, i pod ścianą nowiutka niemiecka szafa zwana „Helgą", ta właśnie „Helga", na jaką polują wszystkie nasze panie domu.

Żadnych afiszy na ścianach, żadnego portretu czy

krajobrazu, nic tylko owa „Helga". I to w gabinecie dyrektora Pałacu Kultury, przyszłego zasłużonego pracownika kultury!

— Po coś ją tu postawił! — wskazałem zdziwiony na szafę.

— Trudno ją dostać, wystarano się dla mnie, więc się już nie wymówiłem — powiedział towarzysz Knysz podchodząc do „Helgi", żeby wyjąć stamtąd butelkę i dwa kieliszki. Koniak pijesz?

— Jeżeli mnie poczęstujesz, to owszem.

— Właśnie częstuję.

— Dzisiaj tobie się należy koniak za twój sukces.

— No, nie pracujemy z myślą o nagrodach. Umiłowanie sztuki — oto co stawiam ponad wszystko, Mytiu. Przyjm do wiadomości, że nasze zakładowe kółko choreograficzne osiągnęło już poziom standardów światowych.

— Niedawno poziom ten osiągnął płaszcz naszej fabryki konfekcyjnej im. Wołodarskiego, tylko że okazało się w tydzień później, iż jednocześnie fason ten wyszedł z mody.

— Nie śmiej się, Mytiu — powiedział poważnie towarzysz Knysz — nasz ruch amatorski — to... No, wypijmy.

— Za twoje sukcesy — podniosłem kieliszek.

— Za twoje — powiedział towarzysz Knysz.

— Moje mogą być tylko produkcyjne, a twoje są wyższe, bo twórcze.

— Możesz też odnosić twórcze — znacząco powiedział towarzysz Knysz.

— Czy nie kaptujesz mnie znowu do kółka amatorskiego?

— A dlaczego by nie? Cóż to jest ruch amatorski? Przyjm do wiadomości, że — wszystko. Na Ukrainie

do kółek amatorskich należy trzy miliony dwieście tysięcy ludzi. To całe państwo.

— Więc chcesz, żeby ich było trzy miliony dwieście tysięcy i jeden jeszcze człowiek?

— Ależ posłuchaj. Kółka amatorskie uprawiają przecież twórczość samorodną. Więc właściwie wszyscy jesteśmy amatorami. Nawet Szołochow. Sam przecież pisze swoje powieści, co? Proszę bardzo — twórczość samorodna.

— Żelazna logika! — roześmiałem się. — Tylko do naszych żelaznych rur ani rusz jej nie zastosujesz. Bo z rurami sam nie dasz rady. Potrzebny tu jest wysiłek wielu ludzi. Zespół jest potrzebny, towarzyszu Knysz. Właśnie. Twoje zdrowie!

Słuchając mnie Knysz wcale się nie zasmucił, wprost przeciwnie... jakby się ucieszył.

— Zespół? — powtórzył. — Słusznie. — Bardzo słusznie. Mytiu. Sam to chciałem powiedzieć. A jak powstaje zespół? Z poszczególnych ludzi. Jeden człowiek, drugi... — proszę, powstaje zespół.

— Co mi tu klarujesz jak sztubakowi z pierwszej klasy? Jeden człowiek i drugi, ziarenko do ziarenka, dziadek ciągnie rzepkę, babcia chwyta się dziadka, wnuczka babci... Jeżeli sądzisz, że popisujesz się przede mną swoim dowcipem, to powiem ci wprost, że dowcip masz nawet mniej niż przeciętny.

— Chwileczkę — uniósł rękę towarzysz Knysz i pobiegł do drzwi — jedną chwileczkę, Mytiu!

Miał świetny słuch, bo posłyszał za drzwiami kroki, jakich ja nie usłyszałbym za nic, takie były ciche i lekkie. Towarzysz Knysz otworzył drzwi swego gabinetu i przyfrunęła do nas... Desdemona!

Zdążyła się już przebrać, swój strój baletowy zastąpiła zwyczajną sukienką i modnymi lakierkami, była teraz jeszcze ładniejsza i z bliska jeszcze bardziej nie-

bezpieczna dla takich młodych i nieżonatych chłopców jak Dmytro Czereda, postanowiłem jednak trzymać się mocno, bo nie podobają mi się takie spotkania czy oględziny, które organizują postronni ludzie, różni protektorzy i dobroczyńcy. Każdy rodzi się sam, umiera sam i zakochać się też powinien sam, bez czyjejkolwiek pomocy i wtrącania się, bo inaczej znajdą się tacy gorliwcy, co w sprawach miłości też powypisują różne orzeczenia!

— Poznajcie się — dziarsko zawołał towarzysz Knysz zamykając drzwi — Dmytro Czereda, a to — Klementyna.

Dziewczyna podbiegła do mnie, ja też poszedłem na jej spotkanie, żeby nie okazać się chamem i całkowitą świnią, uścisnęliśmy sobie dłonie, tak zwana Klementyna (co za idiotyczne imię!) obdarzyła mnie uśmiechem, jakim nie obdarzała na scenie nawet swego ukochanego Maura, ja zaś nie chcąc pozostać dłużnym powiedziałem:

— Po raz pierwszy mam zaszczyt poznać żywą baletnicę.

— A ja po raz pierwszy w życiu — żywego laureata! — odpaliła Klementyna.

Spodobała mi się, że odparowała tak z mety, warto by taką dziewczynę znowu zaatakować, ale jakoś mi się nie chciało, pewnie przeszkadzała mi obecność towarzysza Knysza, więc próbowałem się wycofać:

— Należało pewnie powiedzieć prawdziwą baletnicę.

— A ja się nie pomyliłam, chciałam powiedzieć — żywego laureata.

Policzki jej się zaróżowiły, wydawała się podenerwowana, widocznie niezbyt łatwo jej przychodziły takie cięte odpowiedzi, ale dziewczyny takie są z natury, zgrywają się na bardzo pewne siebie, kiedy stoi przed nimi nieznajomy chłopak. A w dodatku — byłem przecież laureatem.

— Może zmienimy temat — zaproponowałem. — Pięknie pani tańczyła, za co nagrodzono panią oklaskami przechodzącymi w owację. Tak? Ja coś tam zrobiłem w hucie i mniej więcej zasłużyłem na tytuł laureata. A jeżeli oderwiemy się od tych naszych spraw — to co?

— Łatwo panu mówić — oderwiemy się od naszych spraw! — niemal rozgniewała się dziewczyna.

— Nie rozumiem — powiedziałem zwracając się jednocześnie do niej i do towarzysza Knysza, który stał już koło dziewczyny i znowu nalewał nam po kieliszku, Klementynie zaś dał cukierka wyciągnąwszy go zwyczajnie z kieszeni. Towarzysz Knysz przerwał mi podnosząc rękę.

— Dość słów! Jak myślisz, kim jest Klementyna? Zwykłą uczestniczką naszego kółka amatorskiego, ale ponadto moją siostrą.

— Siostrą? — trudno mi było uwierzyć. — Więc dlaczego... Dlaczego nazywa się Klementyna? Takie rzadkie u nas imię. A może tylko takie teatralne, specjalnie na afisze?

— Nasza mama w młodości też była bardzo czynnym członkiem kółka amatorskiego. To ona... — odezwała się Klementyna.

— A nasz ojciec jest elektrykiem — dodał towarzysz Knysz.

— Jeszcze dobrze — pozwoliłem sobie na dowcip — że Klementyna, a nie na przykład Świetlówka!

— Grecy mieli imię Elektra, jest nawet taka tragedia — powiedział towarzysz Knysz — śliczne imię! Ale kiedy urodziła się Klementyna, nic jeszcze nie wiedziałem o Elektrze i nie mogłem, rzecz jasna, ojcu doradzić. Nie jestem zresztą pewny, czy by mnie posłuchał. Nasz tato jest bardzo uparty. Mnie na przykład nazwał Hawryłem. No cóż to za imię! Wolę się nazy-

wać towarzyszem Knyszem. Trochę to brzmi oficjalnie, ale zarazem oryginalnie. To „knysz" jest dzisiaj dla naszego ucha jakby wyrazem obcym i nikt nie wie, że kiedyś dawno wypiekano przecież knysze.

Klementyna ssała tymczasem cukierek i spoglądała na mnie z roztargnieniem. W końcu przerwała bratu:

— Dość o tych knyszach, powiedz, o co chodzi.

— No więc chodzi nam o to, Mytiu, żebyś pomógł Klementynie urządzić się w waszym oddziale.

— W naszym oddziale? A cóż tam będzie robić?

— Widzisz, jak to było — westchnął towarzysz Knysz. — Klementyna skończyła średnią szkołę, chciała pojechać do instytutu teatralnego, zapowiadało się, że zda maturę z odznaczeniem, ze złotym medalem, ale potem...

— Przestań o tym medalu! — przerwała mu Klementyna.

— No tak się zgadało. Bo jak to bywa? Jeden ojciec te medale wykuwa, ale rozdaje je już tato innych dzieci. No więc w tej samej klasie co Klementyna była jeszcze jedna dziewczynka, też dobrze się uczyła, a jej ojciec siedział właśnie tam, gdzie się decyduje o odznaczeniach...

— Nie waż się! — tupnęła nogą dziewczyna.

— Dobrze, nic więcej nie powiem. Tylko że powinieneś wszystko wiedzieć, Mytiu. Klementyna już od roku pracuje w hucie, skończyła kursy dla kontrolerów technicznych, uczęszcza na uniwersytet wieczorowy, na wykłady docenta Kryżenia, ale...

— Ale praca jej nie zadawala, wykonywanie zawodu nie daje jej żadnych przeżyć estetycznych...

— Chcę pracować w waszym oddziale! — wykrzyknęła Klementyna.

— Nic łatwiejszego. Pójść do towarzysza Tokowego, napisać podanie, powiedzieć kilka przyjemnych słów

i włączy się pani do naszych zgodnych szeregów — pokpiwałem sobie już jawnie, bo cała ta rozmowa wydawała mi się bardzo niepoważna. Jeżeli towarzysz Knysz rzeczywiście zamierzał poznać swoją diablo ładną siostrzyczkę ze świeżo upieczonym młodym laureatem, ona zaś z łatwością zgodziła się na tę rolę, więc jakże można było brać to serio, a tym bardziej, jak brać to mógł serio taki człowiek jak Myt'ko Czereda, który przysiągł sobie mierzyć wszystkie swe czyny z perspektywy wieczności?

— Chcę pracować na zmianie Szlachtycza — kapryśnie powiedziała pannica puszczając mimo uszu moje kpiny.

— Trzeba się więc zwrócić do Szlachtycza. Bo ja się nazywam Czereda.

— Prosimy właśnie, żeby pan z nim porozmawiał — powiedziała Klementyna.

— Właśnie, zrób to, Mytiu — poparł ją towarzysz Knysz.

— Prosicie mnie o pośrednictwo? O opinię polecającą?

— A jeżeli nawet? — Klementyna nabierała zuchwałości, a we mnie zrodziło się podejrzenie, że coś się tu jeszcze kryje i to tak głęboko, iż dotrzeć mi się tam nie uda.

— Całe życie marzę o udzielaniu opinii polecających. Nikt, co prawda, nie prosił mnie o to jeszcze, więc cześć i chwała tym, co się okazali pierwsi. Mogę porozmawiać ze Szlachtyczem, to nic trudnego, ale... Obawiam się, że trzeba chyba pogadać z Alą. Stoi na czele brygady kontroli technicznej.

— A któż to taki ta Ala? — zapytał towarzysz Knysz.

— Stoi na czele brygady kontroli technicznej.

— To żona Szlachtycza — powiedziała Klementyna — córka Czemerysa, przecież wiesz.

— Zapomniałem, zupełnie mi wyleciało z głowy — podrapał się w potylicę towarzysz Knysz — ale przecież wiesz lepiej od nas, Mytiu, komu i co trzeba powiedzieć. Bardzo bym cię prosił... Wiesz, Klementyna jest moją jedyną siostrą, młodszą siostrą, któż się o nią zatroszczy, jeżeli nie starszy brat...

Dobrze, że ja sam nie miałem młodszych siostrzyczek i nie musiałem szukać dla nich protektorów i opiniodawców! Jak już powiedziałem uprzednio, byłem w rodzinie najmłodszy, więc wszystko dobre i złe, z czego nie skorzystali pozostali członkowie tej naszej zgodnej rodziny, wcześniej czy później przypadało w udziale mnie, a jeżeli dobrze się przypatrzymy, to mimo wszystko nawet więcej mi przypadało tego dobrego niż złego, bo widocznie w naturze czy raczej w społeczeństwie ludzkim istnieje swego rodzaju prawo rekompensaty, w myśl którego każdemu, kto doznał zła, ucisku, nieszczęścia albo po prostu nieprzyjemności, należy się koniecznie coś przyjemnego, miłego, radosnego i dobrego. Nie usiłuję udowadniać, że odkryte przeze mnie prawo ma uniwersalne zastosowanie, ale jeżeli chodzi o mnie, działa ono niezawodnie.

Świeciły mi Szare Oczy, w najcięższych dniach naszych zmagań z metalem i nieufnością ludzką jaśniały jak zorza, a teraz kiedy — jak się zdawało — zorza ta gaśnie zgodnie z nieubłaganym prawem czasu, los jako swego rodzaju rekompensatę posyła mi delikatną istotkę i prosi ten los przez usta towarzysza Knysza, żebym się opiekował tą kruchą istotką imieniem Klementyna: chciałbym zobaczyć bodaj jednego młodego człowieka z zakładów, który na moim miejscu zrezygnowałby z takiego daru posłanego mu przez los!

Poprosiłem więc, zostałem wysłuchany i Klementyna przyłączyła się do gromadki odzianych w białe kitle istot, celebrujących swoje obrzędy wśród skompliko-

wanych mechanizmów kontrolnych bądź ujawniających wadliwość naszej produkcji, bądź godnie oceniających nasze wysiłki.

„Gromadka", „stadko", „szereg" — to dla naszych dziewcząt z huty niezbyt udane określenia, powiedziałbym, że nawet niebezpieczne, jest bowiem w tych słowach pewna tendencja, by wszystkich zglajchszaltować, pozbawić ludzi indywidualności, ujednolicić ich, na co nikt się nigdy nie zgodzi, o czym świadczy bodaj nasza rodzina, której członkowie nosząc nazwisko Czereda odznaczali się jednak tak zindywidualizowanymi charakterami, że niekiedy nie sposób było wierzyć w ich pochodzenie od tego samego pnia. A co dopiero dziewczęta, młode, urodziwe, niezależne, dumne, że są robotnicami naszych zakładów, że są takie młode i ładne, że korzystają z powszechnego prawa wyborczego! Nie będę się wobec tego posługiwać więcej słowem „gromadka", a ponieważ nie jestem w stanie opowiedzieć o każdej z naszych dziewcząt — z Klementyną zawarłem już zresztą bliższą znajomość — będę ciągnął dalej swoją opowieść nie zapominając o tej dziewczynie, która ma taką ciekawą twarz i dosyć ciekawy, jak się niebawem okaże, charakter.

No, jaki ma charakter, nie odgadłem od razu, stanęły mi na przeszkodzie „pozostałości".

Nazywamy je „pozostałościami kapitalizmu". Nazywamy uparcie chyba nie dlatego, zresztą, że uważamy to określenie za właściwe, po prostu nie umiemy znaleźć innych czy raczej jesteśmy za leniwi, by je znaleźć. Nie wiem, kto to powinien robić, mój zawód nie nadaje się do tego, ale skoro jest takie określenie w użyciu, ktoś musi być za to odpowiedzialny. Jeżeli chodzi o istotę zagadnienia, to mam o tym własne, sprecyzowane zdanie. Bo dlaczego właściwie, pytam uprzejmie, dlaczego Dmytro Czereda ma w sobie mieć pozostałości ka-

pitalizmu, jeżeli nie widział tego kapitalizmu na oczy, urodził się w jakieś trzydzieści lat po Październiku, pochodzi z robotniczej rodziny, należy do klasy najbardziej rewolucyjnej, rozumie ciągłość przeobrażeń rewolucyjnych i wszystko poświęca w imię tej ciągłości? Więc dlaczego „pozostałości kapitalizmu"?

Ale jeżeli podejdziemy do zagadnienia z drugiej strony, okaże się, że w sercu towarzysza Czeredy syna gości od pewnego czasu niezbyt szczytne uczucie, że towarzysz Czereda przekształca się powoli w takiego sobie drobnego posiadacza, z którego zrodzić się może najprawdziwszy właściciel niewolników i to wcale nawet nie taki, niestety, jakim wydawał się w swoim czasie Lonia Szlachtycz, kiedy nie wypuszczał nas obu z Eugeniuszem z hali przez dwanaście do szesnastu godzin w imię dobra wspólnej sprawy, lecz we właściciela niewolników o małej duszyczce i niecnych, co tu gadać, zamiarach. Jak to nazwać? Nie wiem, sam nie wiem.

A zaczęło się wszystko od Klementyny, od tego, że pogadałem ze Szlachtyczem, pogadałem z Alą, przekonałem nawet samego Tokowego, że bez takiej dziewczyny nasz oddział się rozwali, zbłaźni, w ogóle przepadnie, ludzie poszli, że tak powiem, na rękę ja zaś ze swojej strony zacząłem się powoli oswajać z myślą, że niby to Klementyna ma mi być nie tylko wdzięczna, lecz ponadto stać się niejako moją własnością — niech wstydzi się ten, który źle tu pomyśli.

Właściwie może bym tak nawet nie myślał, może nie obudziłyby się we mnie „pozostałości", gdyby nie Krywcun.

Krywcun zasługuje na to, żeby coś nieco o nim opowiedzieć, nie jest to bowiem taka najzwyklejsza sobie postać.

Skąd się Krywcun wziął? Najłatwiej byłoby tu odpowiedzieć, że spławił go do nas Tokowy. Tokowy

bowiem, jakkolwiek starał się usilnie dowieść, że zamierza pokojowo koegzystować ze Szlachtyczem, mimo wszystko — wiedzieliśmy to dobrze — śledził każdy ruch Loni, by z tego skorzystać w celach bynajmniej nie pokojowych. Pewnie tak się właśnie pilnują dwa okręty wojenne dwóch różnych mocarstw, płynąc równoległym kursem na neutralnych wodach i z jak najbardziej neutralnymi zamiarami, z których w każdej chwili wyniknąć może próba uderzenia w burtę przeciwnika. Przekonaliśmy się już jednak, że różni Tokowi wcale nie są straszni, kiedy ludzie zabierają się do pracy rzeczywiście na całego, więc ani w głowie teraz było wyolbrzymiać siłę i wpływy naszego zdezorientowanego i ośmieszonego Tokowego. Krywcuna też nie wymyślił Tokowy, Krywcun pojawił się w tak samo niewyjaśniony sposób, jak pojawiają się u nas pozostałości kapitalizmu, przez pewien czas uważano go nawet za chlubę, za wychowanka oddziału, pokładano w nim nadzieje, jako przedstawiciela młodzieży proszono go, by zabierał głos, i słuchano jego słów, póki się nie okazało, że ten chłopak nie potrafi nic do rzeczy powiedzieć i że w ogóle straszny z niego nicpoń.

Gdyby był po prostu leniem, machnęlibyśmy na niego ręką i basta. Ale po pierwsze Krywcun był bardzo przystojnym chłopakiem, czyli bardzo pociągającym leniem. Ponadto był to leń ideowy, leń z przekonania. Doskonale znał wszystkie swoje prawa i słyszeć nie chciał o żadnych obowiązkach. Rzecz jasna, wychowywano go, perswadowano mu i tłumaczono, żeby przyłączył się do wysiłku, jaki podejmuje oddział celem opanowania czy wdrożenia. Krywcun odpowiadał jednak kapryśnie:

— A ja sobie nie ży-czę!

Wprost klasycznie korzystał z naszego systemu

ubezpieczenia społecznego i pomocy lekarskiej, kiedy tylko chciał, brał sobie team-outy jak bramkarz hokejowy, szedł do zakładowej przychodni i wywalczał tam zwolnienie chorobowe, a kiedy mu go odmawiano, szedł do jakiegoś ambulatorium miejskiego i unosząc w górę palec mówił do lekarza:

— Jeżeli mi pan nie da zwolnienia, będzie miał pan telefon stamtąd!

Dawano mu zwolnienie, bo nikt nie ma ochoty odbierać telefonu z góry, Krywcun zaś, odpocząwszy sobie do woli, przychodził do huty rumiany jak jabłuszko i na wszelkie wyrzuty odpowiadał:

— Na-le-ży mi się!

Właśnie tak: „nie ży-czę sobie" i „na-le-ży mi się!"

I nicpoń ten znalazł się w naszej zmianie na miejscu Eugeniusza, sterczał mi przed oczami i przyczyniał niemało kłopotów Szlachtyczowi, nie tylko zresztą jemu jednemu. Kiedy powiedziałem Loni, że lepiej było nie brać Krywcuna, Szlachtycz chwilę milczał stropiony, a potem wytłumaczył mi cicho, lecz z przekonaniem w głosie:

— Widzisz, Mytiu, czasem lżej bywa z żelazem niż z ludźmi. Trzeba umieć ich uczyć, pomagać im pozbywać się rdzy... No, rozumiesz mnie przecież...

Rozumiałem Lonię, bo przecież to on zdejmował kiedyś ze mnie całe pudy rdzy, więc kwestia Krywcuna była tym samym wyczerpana sama przez się i teraz „na-le-ża-ło" słuchać jego „a ja sobie nie ży-czę" i pozostać na razie pośmiewiskiem jeżeli nie całej huty, to przynajmniej oddziału. Tokowy mógł teraz dopiekać Szlachtyczowi i tylko czekałem, kiedy to zrobi, ale pomyliłem się, nie tyle co do Tokowego, który z czasem przestał nas w ogóle interesować, ile co do Krywcuna.

Bo Krywcun przestał brać zwolnienia chorobowe! Co prawda, nie świecił przykładem pracowitości

i osiągnięć wytwórczych, uchylał się zręcznie od pracy trudnej i przynoszącej mniejsze zarobki, ale pracował! Przychodził codziennie na zmianę, stał, jak należało, przy swojej walcarce, ciągnął rury i to na ogół dobre, niemal nie wadliwe, tak że miałej już nadzieję nawrócić go na prawdziwą wiarę walcowniczą i próbowałem przeprowadzać z nim rozmowy oświatowe. Gdyby się tego podjął Czemerys, udałoby mu się o wiele lepiej. Czemerys powiedziałby Krywcunowi mniej więcej tak: „Słuchaj, młody człowieku! Nie zadzieraj nosa bo nietrudno ci go utrzeć. Tutaj trzeba ciągnąć rury. I nie tak, jak byś chciał, żeby z jednej strony lał się gotowy barszcz, a z drugiej wylatywały gotowe kiełbasy, trzeba ciągnąć prawdziwe rury, sprawne. A co to takiego sprawna rura? To taka rura, młody człowieku, jakiej nikt na świecie nie potrafi dzisiaj ciągnąć. To kształtowa rura, do tego potrzebna, do czego ma być. Tak, młody człowieku!"

Czemerys jakiś czas tolerowałby Krywcuna, a potem wziąłby go za ucho i wyprowadził z hali, poszedłby z nim do portierni, zabrałby mu przepustkę i wypchnąłby go za drzwi mierząc kolanami w pewne miejsce wiadome nawet bez szkolnych podręczników.

Tak by właśnie postąpił Czemerys! Ja zaś uciekłem się do propagandy i agitacji wierząc w zwycięstwo sił dobra nad mocami zła.

Nasz oddział miał już nowe zadanie, rury o jakimś niezwykłym profilu i znowu Szlachtycz (bo któż jeszcze!) zabrał się do tych rur, a ponieważ sprawa była wciąż w stadium eksperymentowania, Krywcun nie korzystając, co prawda, ze zwolnienia chorobowego, ciągnął sobie zwyczajne rury jak cały oddział.

Spróbowałem przemówić mu do serca.

— Słuchaj — powiedziałem do Krywcuna — jak ci nie wstyd? Zamówienie państwowe, nikt w Związku

nie potrafi wyprodukować takiej rury, a tobie ruble w głowie! Przecież jesteś młodym chłopakiem!

— Młodzi chłopcy mają wszystkie zdrowe zęby — Krywcun pokazał mi swoje mocne i białe, idealnie piękne zęby — a skoro zęby są zdrowe, trzeba nimi żuć, żeby zaś żuć...

— Aha, żuć! Bardzo dobrze! A co wiesz o krowach?

— O krowach? — Krywcun zmieszał się tylko na chwilę. — Bądź spokojny, wiem wszystko. Krowa ma dawać mleczko. A mleczko daje tylko wtedy, kiedy jest dobrze karmiona. Jasne? Jestem też krówką, roboczą krówką i trzeba, żebym się dobrze odżywiał!

— Hipopotam jesteś, nosorożec, szakal — syknąłem Krywcunowi w jego twarz — jeżeli chcesz, chętnie skuję ci mordę!

— Nie masz prawa!

— Na prawach się znasz, nie ma co.

— Znam się na wszystkim, co mi jest potrzebne. Jasne? Ty masz odznakę laureata, a ja — prawa! I zapamiętaj sobie, że prawa takie same jak ty. Jasne?

— Ale posłuchaj, Krywcun, jesteś przecież młodym człowiekiem. No, zrozum, jeżeli nie my będziemy inicjatorami nowych poczynań, to któż właściwie?

— Jesteś laureatem, więc się zabieraj do tego!

— Przecież jeszcze wczoraj nie byłem żadnym laureatem. A jutro możesz nim zostać ty.

— Rzeczywiście, po takich jak wy! Wszystko, co się nam na-le-ży, jużeście capnęli. Nie warto teraz hakować, nie ma głupich! Robię tam, gdzie zarobię. Jasne?

— A słyszałeś o czymś takim jak entuzjazm?

— Słyszałem, słyszałem. Pół wieku nic tylko nagi entuzjazm.

— Wcale nie jest nagi!

— A w cóż właściwie przyodziany?

— W idee.

— Z idei portek nie uszyjesz.

Ale typek! I coś takiego też się nazywa „klasą robotniczą"! Gdzież sprawiedliwość na świecie?

— Słuchaj, Krywcun — nie dawałem za wygraną — jesteś przecież hutnikiem, wartościowym obywatelem, jednym z tych, na których wspiera się państwo, zrozum, że nie tylko stoimy przy zwykłej walcarce, że jest to jakby brama, przez którą wdziera się nowe życie, wszystko się tu tworzy w imię szczęścia ludzi i ich pomyślności i wcale nie jest nam obojętne, jak to wszystko powstaje, ile pochłania energii ludzkiej i środków uzyskanych z ludzkiej pracy. Bo weźmy bodaj tylko nasze walcownictwo. W Związku produkuje się około tysiąca różnych wyrobów walcowanych, a zapotrzebowanie przemysłu wynosi co najmniej trzy tysiące. Z powodu wadliwości w kształtowaniu wyrobów walcowanych tracimy blisko osiem milionów ton stali rocznie! Osiem milionów ton! Setki krajów na świecie nie może nawet marzyć o rocznej produkcji takiej ilości metalu, a my tracimy go bezużytecznie. Więc jeżeli się zabieramy do opanowania produkcji rur o nowym przekroju, to co się za tym kryje?

— Nic się nie kryje — powiedział znudzony Krywcun — każdy głupiec rozumie, że przez dwa czy nawet trzy miesiące nie będziecie mieli żadnych zarobków, jak w swoim czasie ta dziewucha, o której pisały wszystkie gazety. Porzuciła dobrze płatną pracę i poszła podciągać za darmo jakiś zaniedbany odcinek. Miała takie śmieszne nazwisko... Gdzie się właściwie podziała? Nie wiesz przypadkiem?

Podszedłem i dałem Krywcunowi w szczękę. Chciał mi się zrewanżować tym samym, ale był trochę niższy ode mnie i pewnie słabszy z powodu nieustannego leniuchowania. Ścisnąłem mu mocno ręce, przytrzymałem go trochę nic nie mówiąc, bo jakoś mi się ode-

chciało agitacji i propagandy, potem puściłem Krywcuna, odepchnąłem od siebie i wróciłem na swoje stanowisko robocze.

— Poskarżę się w komitecie komsomołu! — wrzasnął Krywcun, ale od razu umilkł, bo tanecznym krokiem weszła Klementyna, pewnie żeby nas zawiadomić o jakichś brakach, ale Krywcun nie pozwolił jej ust otworzyć i zaczął się uwijać wokół dziewczyny; teraz dopiero zaświtało mi w głowie, dlaczego tak mu na nas zależało, dlaczego przestał brać zwolnienia chorobowe i przychodził do pracy niemal w białej koszuli i krawacie: Klementyna!

Co za typ!

Mówiąc otwarcie, ani mi w głowie było kochać się, w Klementynie, bo świeciły mi jeszcze gdzieś w dali Szare Oczy, zresztą zasnuwające się niekiedy mgłą, ponadto zdawało mi się, że Klementyna, jakkolwiek zwracająca uwagę i twarzą, i budową ciała, jest chyba trochę za drobna dla mnie. Może działało na mnie hamująco jej nie uzyskane, co prawda, ale zasłużone odznaczenie, złoty medal za szkołę średnią, i jej wytrwałe dążenie do studiów. Słowem, nie chodziło tu o miłość, lecz odezwała się we mnie widocznie owa „pozostałość", mentalność drobnego posiadacza, bo nagle zdecydowałem, że tylko ja, nikt więcej, mam niepodzielne prawo do Klementyny.

Pomogłem jej urządzić się w naszym oddziale, pomagałem jej i... Zasług miałem niewiele czy raczej w ogóle żadnych, ale czyż może człek spokojnie rozumować, kiedy na jego oczach zaleca się do takiej dziewczyny Krywcun!

Nicponiom zawsze się wiedzie. Jest to również jedno z niepisanych praw, jakimi rządzi się społeczeństwo. Jeden pracuje ponad siły, góry z posad rusza i niemal nic za to nie ma sam dla siebie, a taki nicpoń siedzi

sobie, zaciera rączki i gębę rozdziawia, żeby wlatywały do niej gołąbki! Przysiągłem sobie jednak, że z Klementyną nie pójdzie Krywcunowi tak łatwo. Póki tu jestem i mogę swobodnie działać, nie dopuszczę, żeby się skumali.

Kiedy się człek denerwuje, trochę go to ogłupia i zatraca wtedy poczucie humoru. Kiepsko z nim wtedy! Trzeba było poczekać, aż Klementyna podejdzie do mnie, podchodziła do mnie co dzień po kilka razy, czego nawet nie dostrzegałem, nie zwracałem uwagi, ale teraz, kiedy chciałem, żeby podeszła, dziewczyna jak na złość uwijała się to wokół jednego, to wokół drugiego i ani rusz nie zbliżała się do mnie. Nie wytrzymałem w końcu i zawołałem ją:

— Czy coś się stało, towarzyszu laureacie? — podbiegła do mnie swym tanecznym krokiem.

— Stało się — burknąłem. — Powiedz mi taką rzecz: czy poczucie humoru dowodzi, że człowiek ma rozum?

— No cóż, jeżeli nie ma na to żadnych innych dowodów — Klementyna śmiała się jak zwykle, gdy ze mną rozmawiała, ale wydawało mi się teraz, że pokpiwa sobie ze mnie.

— Więc powiedz mi coś jeszcze — ciągnąłem zasępiony — powiedz mi, dziecinko, gdzie mieszkasz.

— W alei Kosmonautów — odpowiedziała „dziecinka".

— Czyli na Glinianej Górze?

— Niech będzie, że na Glinianej Górze.

— A nie boisz się wracać wieczorem z pracy do domu?

— Nie boję się, bo nie idę do domu, tylko na próbę do kółka baletowego, a potem do instytutu...

— A co byś powiedziała, gdyby towarzysz Czereda syn wziął cię pod rękę i zaprowadził na próbę i do instytutu?

— Nic bym nie powiedziała, bo towarzyszowi Czeredzie synowi wcale nie będzie po drodze.

— A skąd wiesz, że nie po drodze?

— Bo „Klub Ludzi Pracy" znajduje się po drugiej stronie miasta.

— A skąd wiesz, że mieszkam w „Klubie Ludzi Pracy"?

— Wszyscy to wiedzą — Klementyna obróciła się wkoło na jednej nodze — towarzysz Czereda jest przecież znakomitością.

— Nie chcę być znakomitością, chcę być dobry.

— Bądź nim!

— I dlatego chcę ci wszędzie towarzyszyć aż do Glinianej Góry!

— Ależ nie będzie ci po drodze. Idzie w tym kierunku Krywcun i czasem udaje się nam...

— Z Krywcunem?

— Tak. Bo co? Przypadkiem nasze domy stoją obok siebie.

— Przypadkiem, czy może ktoś dopomógł temu przypadkowi?

Klementyna popatrzyła na mnie trochę zaniepokojona.

— Czy Krywcun ci coś powiedział?

— Nie, nic mi nie powiedział. Po prostu połamię mu nogi. Gdyby miał nawet nie dwie, tylko całe dwadzieścia dwie nogi, to też bym mu wszystkie połamał!

— Po cóż łamać mu nogi? Umówmy się lepiej. Przecież nie warto, żebyś się drapał na Glinianą Górę i potem z niej schodził. A mnie będzie po drodze, jeżeli dojdę z tobą do „Klubu Ludzi Pracy", a potem już pójdę na próbę. Dobra?

— Ale po co masz mnie odprowadzać?

— Bodaj po to, żebyś nie łamał Krywcunowi nóg. Jeszcze mu będą potrzebne, żeby mocno na nich sta-

nął w życiu. Przecież nie wszyscy stoją tak mocno jak ty.

Ugryzłem się w język przypomniawszy sobie, że kiedyś wcale mocno nie stałem, co było, na szczęście, jeszcze przed erą Klementyny i dziewczyna nic o tym nie wiedziała. Od niewielkich nawet sukcesów kręci się ludziom w głowie, mnie się też zakręciło, bo dopiąłem przecież swego i mogłem sobie pozwolić na lekceważącą łaskawość. Powiedziałem więc arogancko:

— Jeżeli chcesz, możesz sobie chodzić u boku swego Krywcuna i ochraniać jego cenne kończyny.

— Nie przeszkadzaj mi pracować!

— Ooo!

— Ale obiecałaś mi...

— Nudziarz z ciebie, Mytiu, wiesz! — Klementyna wykręciła się na pięcie i uciekła ode mnie.

Wieczorem dotrzymała jednak słowa i szliśmy rzeczywiście razem aż do „Klubu Ludzi Pracy" uparcie milcząc, oboje nachmurzeni. Chciałem ją odprowadzić dalej, ale nie pozwoliła mi i powiedziała, że będzie stać przed „Klubem Ludzi Pracy", póki się nie przekona, że jestem już w swoim mieszkaniu.

Wszedłem na swoje piętro, otworzyłem drzwi balkonowe, krzyknąłem Klementynie, że wkroczyłem już na swoją powierzchnię mieszkalną, na jakiej jestem zameldowany od urodzenia, i dopiero wtedy to wstrętne dziewczynisko poszło na swoją próbę.

Jakby się zdawało, sprawa została wyczerpana, zaspokoiłem swój instynkt drobnego posiadacza, siły pokoju i demokracji zwyciężyły, między mną i Klementyną zapanowały koleżeńskie stosunki o charakterze żartobliwym, a Krywcun krążył wokół dziewczyny odarty z wszelkiej nadziei i perspektyw. I nagle spadł na mnie nowy cios!

Przekonałem się teraz, jaki to potężny czynnik —

dziewczyny! Mimo że nie zakochałem się jeszcze w żadnej, dziewczęta dokonały w mojej świadomości całego przewrotu, powiedziałbym, rewolucji naukowo-technicznej, odsunęły gdzieś daleko i wszystkie nasze sprawy zakładowe, i wszystkich moich krewnych i przyjaciół, wszystkich drogich mi ludzi, wszystkich nieprzyjaciół. Jeszcze niedawno sądziłem, że w pełni korzystam z życia, a okazało się, że był to sąd absolutnie mylny, wszystko szło w niebezpiecznie niepożądanym kierunku, zawisłem w niepewności, w świecie nie sterowanym i nie kontrolowanym, tłoczyły się w mej głowie idiotyczne myśli, ogarnęły mnie jakieś nieokreślone pragnienia, byłem w takim stanie ducha, że.. tfu!

Tymczasem zaś w naszej pracy dokonała się wielka zmiana, obaj ze Szlachtyczem przechodziliśmy w nową, że tak powiem, jakość, czego bym zresztą nie zauważył i nie przywiązywał do tego znaczenia, gdyby obok nas nie znalazł się także ten nicpoń Krywcun i... Klementyna.

Sprawa wymaga wyjaśnienia, może nawet bardzo szczegółowego, ale nic tu nie poradzę.

Szlachtycz ze swoim niepojętym charakterem dokonał nowego przeskoku jakościowego z królestwa wolności, w którym znaleźliśmy się po naszym odznaczeniu, do królestwa konieczności jeszcze okrutniejszej niż wtedy, kiedy rozpoczynaliśmy swoje zapasy z metalem.

W naszej hucie budowano nową walcownię rur. Urządzenia automatyczne już dziś hutnikom nie imponują, ale w grę wchodziło coś, czego dotąd nie znaliśmy zupełnie: nowa walcownia miała być podłączona do SSA. Co to takiego SSA? System sterowania automatycznego. System „Lwów" w lwowskiej fabryce telewizorów rozwiązuje czterdzieści zadań i zwiększa opłacalność inwestycji trzykrotnie. System sterowania „Donieck" wykonuje już sto sześćdziesiąt czynności. Projektowanie pierwszych systemów trwało wiele lat

i kosztowało dużo pieniędzy, ale w przyszłości, jak obiecywali uczeni, systemy te będą same produkować urządzenia sobie podobne, koszt ich budowy będzie stale maleć, a opłacalność odpowiednio wzrastać.

Nasza nowa walcownia miała być cudem techniki i elektroniki, ostatnim słowem nauki. Jeszcze się nie urodziła, ale już ją nazywano „dziecięciem ostatniej pięciolatki". Na każdym kroku maszyny matematyczne. Wszystko ukryte przed ludzkim okiem. Potężne procesy obróbki metalu przebiegają we wnętrzu mechanizmów, operatorzy i inżynierowie zmianowi stoją na swoich stanowiskach pracy w białych kitlach. Zautomatyzowana jest kontrola wszystkich procesów i gotowej produkcji. Położono kres potępianemu systemu zleceń, na którego mocy mistrz wpisuje każdemu, co chce, zależnie od humoru, bo maszyna elektroniczna ściśle wskaże kto, co, jak i ile każdy zrobił i jakie mu się za to należy wynagrodzenie. Jak wiadomo, maszyna, jakkolwiek bezduszna, jest jednak sprawiedliwa, z czego nie należy wnioskować, że sprawiedliwość jest niby to zawsze bezduszna. Taka jest tylko sprawiedliwość maszyny, ludzka natomiast powinna się odznaczać serdecznością, bo inaczej na co mi jest potrzebna!

Otóż mówiło się wiele o nowym oddziale. Rozbrzmiewały słowa: „korzyść", „warunki optymalne", „sprawność", „brak zwykłych konfliktów", „stosunki wewnętrzne przedsiębiorstwa, wiele bardzo ciekawych i, powiedziałbym, solidnych słów. Byłoby to wszystko bardzo dobrze, ale cała bieda, że nowa walcownia egzystowała na razie w sferze rozmów. To znaczy, była dawno zaprojektowana, od dawna ją budowano, wyznaczono już dość dokładnie datę uruchomienia, opracowano nawet plan produkcji, tylko że wszystko było jak u tego Cygana, u którego palił się ogień i gotowała woda, nie było tylko mąki, sera i masła, żeby zrobić pierogi.

Budowa nowego oddziału przeciągała się. Przyczyn było mnóstwo. Chyba żadna maszyna elektroniczna nie zdołałaby ich wyliczyć, bo przyczyn było tyle, ilu ludzi miało taki czy inny związek z budową, a każdy człowiek ma również w sobie mnóstwo tego rodzaju powodów — więc nawet maszynom z całego świata wszystko się tu pomyli. Jakkolwiek maszyna elektroniczna coś tam właściwie znalazła. Kiedy założono do niej informacje dotyczące szczegółów projektu, okazało się, że fundamenty pod halę oparte są na wadliwych obliczeniach. Trzeba je było przerabiać. Następna zwłoka związana była z dostawami materiałów. Nie mogła tu już pomóc żadna maszyna, bo nie było nic do wyliczenia, wiadomo wszak, że jeszcze nikomu nie udało się policzyć tego, co nie istnieje.

Przy budowie oddziału pracowało ludzi co niemiara. Rzeczywistą pracą zajmowała się ich niewielka tylko część, reszta należała do tych, co urządzają sobie nieskończone przerwy, wymachują rękami i usiłują rozwiązywać problemy na światową miarę. We wszystkich epokach nie brakło chętnych do ich rozwiązywania, ale jakoś zawsze brakło ludzi, którzy umieli dobrze wykonywać swoją pracę. Jeżeli pójdzie tak dalej, to wkrótce nie znajdziemy człowieka, który potrafi wbić gwóźdź jak należy. Wszystkie bowiem nieroby i paple ujrzawszy takiego człowieka będą za nim biegać, póki nie wpędzą go do grobu.

A w ogóle — to tylko takie marginesowe uwagi, a do nowej walcowni ustosunkowałem się jak wszyscy — oczekiwałem z zainteresowaniem. I do głowy mi nie przychodziło, że znajdę się wśród tych, co robią sobie przerwy na papierosa i wymachują rękami, że porzucę swój oddział, swoją walcarkę i swoje rury, porzucę wszystko, żeby zacząć dziwne i niespokojne życie w tak zwanej „strefie montażowej", czyli w tej, gdzie mają

się znaleźć owe zautomatyzowane i zelektronizowane mechanizmy, a gdzie tymczasem panoszy się dziki nieporządek, piętrzą się chaotycznie nagromadzone części i panuje taki bezład, że chyba cała ludzkość nie poradzi sobie z nim w ciągu stulecia. Trzęsienie ziemi, katastrofa kosmiczna, cyklon i tsunami — wszystko, co chcecie, tylko nie ową walcownię — cud ujrzeliśmy tutaj, kiedy przyszliśmy po raz pierwszy na nowe miejsce pracy.

Zaznaczam, że na dobrowolnie wybrane miejsce pracy. Nikt nas nie zmuszał, nikt nie posyłał, nie było skierowań komsomolskich, nie było mobilizacji wysiłków celem ratowania planu, nie obiecywano nam trzynastej pensji i bezpłatnych podróży zagranicznych.

Byliśmy komsomolcami-ochotnikami.

A jacy właściwie „my"?

Zacznijmy od inicjatora. Każdy odgadnie bezbłędnie, że był nim Szlachtycz. Człowiek ten pozostanie dla mnie na zawsze niepojęty. Coś się w nim wiecznie paliło, coś go podpędzało, nie pozwalało mu spocząć na laurach. Kiedy biedziliśmy się nad walcowaniem na zimno, ci i owi uważali, że Szlachtycz złakomił się na gruby zysk, jeżeli mu się powiedzie, ale oto został już Szlachtycz laureatem, wybił się faktycznie ponad wszystkich inżynierów naszej huty, mógłby z łatwością zająć stanowisko i głównego technologa, i głównego inżyniera, stanąć na czele oddziału, a tymczasem Szlachtycz nie chciał się nigdzie przenieść, pozostał na swoim zwykłym miejscu i jeszcze zawracał sobie głowę takimi drabami jak Krywcun!

Teraz oświadczył niespodzianie, że chce się przenieść do nowego oddziału! Do oddziału, który jeszcze nie istniał! Istniała „strefa montażowa", w której brakło połowy sprzętu i trzeba było przedzierzgnąć się

z walcownika o wysokich kwalifikacjach w zwykłego montera lub robotnika niewykwalifikowanego!

Komsomolcy-ochotnicy. Można tak nazwać innych prócz mnie jednego. Szlachtycz zobowiązał mnie bowiem, żebym przeniósł się z nim razem.

— Powinniśmy, Mytiu — powiedział krótko, jak mówił zawsze.

— Dlaczego powinniśmy? Przecież to nie ma sensu!

— Sens nie zawsze leży na wierzchu. Trzeba patrzeć w głąb. Widzieć następstwa.

— Następstwa będą takie, że na cały rok może porzucimy obaj swój zawód i będziemy przykręcali nakrętki. Masz swoje następstwa.

— Za to będziemy mieli oddział uruchomiony i zorganizowany własnymi rękami.

— Alboż ktoś nas tam prosi?

— Sami się poprosimy.

Nie miałem zwyczaju przeciwstawiać się Szlachtyczowi, nie miałem po temu prawa, bo kim i czym właściwie jestem! Wszystkie swoje osiągnięcia zawdzięczałem Loni. Wierzyłem mu zawsze. Nie było podstaw, by mu nadal nie wierzyć. A zresztą, biorąc na rozum, sprawa, do której mnie wciągał, była rzeczywiście szlachetna i zaszczytna.

Co prawda, zakiełkowało we mnie podejrzenie, że Loni układa się nie najlepiej pożycie z Alą, że nie znalazł prawdziwego szczęścia i spokoju w domu, albo jeszcze coś innego w tym guście. Odrzuciłem jednak od razu te przypuszczenia, bo nie wypada człowiekowi, co mierzy swoje czyny z perspektywy wieczności, żywić podejrzeń i nie wierzyć w szlachetny poryw.

Ala przeniosła się razem z nami, inaczej być nie mogło, zadecydowała tu nie tyle jej miłość do Szlachtycza, ile charakter odziedziczony po ojcu.

Stary Czemerys zresztą pozostał w swoim oddziale.

— Stary już jestem — powiedział — nie przystoi mi skakać z miejsca na miejsce. A wy jesteście młodzi, więc idźcie, ciągnijcie rury na nowym miejscu. Może okażą się lepsze niż nasze, chociaż żelazo jest wszędzie żelazem i wszędzie trzeba umieć te rury ciągnąć...

Ale w zdumienie wprawił mnie Krywcun! Także oświadczył, że przenosi się razem ze Szlachtyczem.

— Weź pod uwagę — ostrzegłem go — sądząc z pewnych oznak, nasze zarobki mogą spaść do zera.

— Nic mnie to nie obchodzi.

— Śmiałeś się kiedyś z Gaganowej. Zapomniałeś?

— Mam prawo. Wolność myśli! Jasne?

Znał prawa i wolności lepiej niż wszystkie zespoły adwokackie razem wzięte, a jeżeli chodzi o umiejętność korzystania z nich, to nikt by mu nie dorównał w całym kraju od Moskwy do najdalszych kresów!

No, niech się przenosi — wolność poruszania się, nie ma rady. Ale Klementyna! Klementyna też poszła z nami i mimo że dobrze suszyłem sobie nad tym głowę, ani rusz nie mogłem wykombinować, kto poszedł za kim: czy Klementyna za Krywcunem, czy Krywcun za Klementyną? Zapytać? A kogo? Zresztą, co mnie to obchodzi?

Życie zaczynało się na nowo. Kursy celem zapoznania się z nowym sprzętem, ślęczenie nad rysunkami, piekielna, nie kończąca się mordęga w „strefie montażowej". „Królewskie życie mamy, mateczniki karczujemy, w matecznikach nocujemy..." Tak mi się przypomniało...

Życie człowieka przypomina statek kosmiczny „Sojuz", w którym jest komora dowodzenia i komora orbitowania, a ponadto blok urządzeń energetycznych. Energię otrzymujemy nie po to, by ją magazynować, lecz by z niej korzystać. Miniony dzień już nie wróci, trzeba zrobić, co się da, dzisiaj, jutro będzie coś nowe-

go do roboty. Im więcej energii zużyjemy, tym więcej jej przybędzie. Moje prawo kompensacji działa tu bez zarzutu.

Co tu dużo gadać, starczało mi czasu i energii także na chodzenie z Klementyną do kina i odprowadzanie jej po pracy aż na Glinianą Górę, nie brakło mi nawet cierpliwości na spokojne pogaduszki z Klementyną, bo tamten typek nie chciał się od niej odczepić i rzeczywiście stał mi już kością w gardle.

Klementyna zaś na nowym miejscu jakby się odrodziła, odpowiadał jej ten nieporządek, szła przez stosy metalu, wśród dzikiego chaosu jak uosobienie absolutnej harmonii, wygładzała wszystkie te rumowiska, wywoływała uśmiechy na zmęczonych twarzach mężczyzn, odprowadzały ją zachwycone spojrzenia, ktoś powiedział o niej „zjawiskiem byłaś, zwiewnym cieniem" — klasa robotnicza bowiem też czyta wiersze i zna klasyków!

Mimo że nasz oddział faktycznie nie istniał jeszcze, jego przyszła sława już przyciągała całą chmarę rzutkich chłopaków, którzy rozdawali nam różne kwestionariusze i zanudzali nas dosyć prymitywnymi pytaniami w nadziei, że zadziwią ludzkość wnioskami wysnutymi z naszych odpowiedzi. Pytania były mniej więcej takie: Z kim chciałby pan pracować? Z kim chciałby pan pójść do kina czy teatru, podzielić się myślami? Jakiego chciałby pan mieć sąsiada za ścianą? Z kim chciałby pan spędzić świąteczny wieczór lub obchodzić swoje urodziny? Czy jest pan zadowolony z pracy? Co pan sądzi o kierownictwie oddziału i huty?

Zapewniano nas, że nazwiska respondentów zostaną zachowane w tajemnicy, jak zachowane są w tajemnicy wkłady w kasach oszczędności, odpowiadaliśmy więc wszyscy i pojawiały się coraz nowe i nowe kwestionariusze, aż stało się to wreszcie czymś w rodzaju gry,

która powoli wciągnęła wszystkich, i teraz kiedy szliśmy gromadką do domu i razem ze Szlachtyczami odprowadzaliśmy Klementynę lub Klementyna odprowadzała nas, bawiliśmy się w pytania i odpowiedzi upewniając się coraz bardziej, że podnosi się nasz poziom intelektualny, co nam zresztą obiecywali owi rzutcy socjologowie, którzy przychodzili nie wiadomo skąd i nie wiadomo, gdzie znikali.

— Loniu — zapytałem raz Szlachtycza — powiedz, co byś zrobił, gdybyś był bogiem?

— W zasadzie nie mogę mówić na ten temat serio — jak zwykle Lonia wziął moje słowa poważnie — wierzę jednak w konieczność sił kierowniczych i porządkujących. Więc gdybym był jedną z takich sił, przede wszystkim uwolniłbym kobiety od ciężkiej pracy fizycznej. Zwłaszcza w halach zakładowych.

— Więc na kogo patrzylibyśmy wtedy na hali? — zawołałem. — Sami na siebie? A „zjawisko... zwiewny cień"?

Usłyszawszy moją aluzję, Klementyna pewnie się zaczerwieniła, czego nie udało mi się jednak zauważyć, gdyż na jej szczęście było już ciemno.

— Co za „zjawisko... zwiewny cień"? — zapytała Ala, nie wtajemniczona w męskie sekrety.

— Kto po-wi-nien wiedzieć, ten wie — z nutą zarozumiałości w głosie odezwał się Krywcun, który wciąż się pętał koło nas jak piąte koło u wozu.

— Zjawisko i zwiewny cień — to ja — powiedziała niespodzianie Klementyna wyzywająco i nawet zuchwale, jak mi się wydało. Z jakiej właściwie racji?

Odłóżmy to wyjaśnienie na później, a na razie porozmawiamy o sprawach rodzinno-dynastycznych.

Tato wycina z „Izwiestii" niewielką notkę wydrukowaną na ostatniej stronicy. Jak wiadomo, na ostatniej stronicy zawsze drukuje się coś szczególnie ciekawego.

— Chcesz rzucić okiem, Mytiu? — zapytał tato. — Przeczytaj. Bardzo ciekawe.

Przeczytałem: „Rodzinna relikwia liczy 250 lat. Kto wchodzi do domu L. Nenartowicza, kowala spółdzielni rolnej «Przyjaźn» w rejonie Woronowskim obwodu Grodnieńskiego, zwróci niewątpliwie uwagę na niezwykły przedmiot, na młot z napisem «Rok 1727».

Pan domu swierdza:

— Przez dwa i pół stulecia młot ten przechodzi w naszej rodzinie z rąk do rąk, od dziadka do wnuka, od ojca do syna.

Rzecz znamienna, że przez dwieście pięćdziesiąt lat nikt z dynastii Nenartowiczów nie sprzeniewierzył się zawodowi kowala. Obecny posiadacz drogiej relikwii rodzinnnej otrzymał ją od swego ojca Bolesława Mychajłowicza Nenartowicza, który pracował przy kowadle dokładnie pół wieku".

Oddałem tacie wycinek przeznaczony do teczki, na której we dwójkę z Zizi wykaligrafowaliśmy dowcipny napis: „Przechowywać po wieki wieczne", i zauważyłem niejako na marginesie:

— Nasza dynastia robotnicza jest o wiele młodsza, liczy sobie tylko pół wieku, ale mamy nadzieję, że okaże się też długotrwała. Tylko powiedz mi, tato, czy nie upraszczamy zbytnio tych kwestii dynastycznych? Czy są jeszcze na czasie te nasze zachwyty nad rodzinami kontynuującymi ten czy inny zawód i czy nie wynikają przypadkiem z tych dawnych teorii, które potępiła i odrzuciła nasza rewolucja i które głosiły, że ludzie rodzą się z pewnym przeznaczonym im z góry losem: jeżeli mają w swym ciele złoto, będą przywódcami, jeżeli srebro — wojownikami, a jeżeli żelazo i miedź — rzemieślnikami i rolnikami?

Tato zastanawiał się trochę, bo zawsze wpierw się chętnie zastanawia i dopiero potem odpowiada na nie-

spodziewane pytania, nie lubi mielić językiem byle czego, zawsze ściśle rozumuje i słowa również dobiera oszczędne i trafne.

— Widzisz, Mytiu, może rzeczywiście tak wygląda. Bo jeżeli zgodzimy się z myślą, że wszyscy powinni się trzymać swoich tak zwanych dynastii i nikt nie ma prawa wyłamać się z rodzinnego klanu zawodowego, to co właściwie będzie? Społeczeństwo nasze zastygnie w istniejących ramach, wygasać będą zdolności i pragnienia, śmiałe porywy. I cóż wtedy? Koniec, martwota, zagłada? Może dziennikarze rzeczywiście przebierają miarę. Bodaj z tym młotem. Przecież nie o młot chodzi, lecz o to, co nim wykuto. Młot można przechowywać nawet tysiące lat, mniejsza o to. I wcale nie o to chodzi, żeby wszyscy członkowie rodziny koniecznie trzymali się tego młota. Weź naszą rodzinę. Przecież nie wszyscy zostali walcownikami. Faktycznie — tylko ty. Siostry poszły innymi drogami, jakkolwiek Zizi ma z naszym zawodem powiązania. Ale znowu — nie to jest najważniejsze. W tym sęk, żeby nie przepadła, nie zginęła umiejętność. Bo nie ma na świecie nic ponad umiejętność człowieka, który coś robi dobrze, doskonale, po mistrzowsku. Warto by wychwalać nie po prostu dynastie, lecz dynastie talentów. Moskiewski ślusarz Antonow ma rzeczywiście talent, zasłynął na cały Związek. Przychodzi do zakładów syn Antonowa i zostaje też ślusarzem. Jest także utalentowany. To już dynastia! Właśnie takie są potrzebne. Trzeba, żeby trwały, należy je popierać, nie pozwalać, żeby wymierały. Bo kiedy na przykład umrę ja...

— Nie umrzesz, tato...

— Nie przerywaj, nie zamierzam na razie umierać, po prostu tak się zgadało... Jeżeli umrze dobry walcownik czy odlewacz lub garowy, a nikt nie przyjdzie na jego miejsce, ani syn, ani zięć, ani brat czy swat

— co wtedy? Nie wolno do tego dopuszczać. I ma tu chyba znaczenie także kwestia oszczędzania wysiłków. Bo lżej nauczyć człowieka tego, co już umie jego ojciec, aniżeli brać kogoś obcego, kto ma z tym do czynienia po raz pierwszy. Gdybym kierował państwem lub bodaj jakimś ministerstwem, może wprowadziłbym nawet jakieś ulgi dla tych, co reprezentują dynastyczne zawody, żeby zachęcić w ten sposób młodzież. I kazałbym jeszcze zrobić rejestr wszystkich zawodów i pilnowałbym, żeby nie zanikały, bo ludziom wszystko jest potrzebne. Dzisiaj niby to nie ma na coś zapotrzebowania, a jutro — proszę bardzo — pojawiło się, coś trzeba zrobić, a nie ma komu. Umarł na przykład ostatni w mieście cynowacz albo nie ma już nikogo, kto potrafiłby zbudować łódź. W swoim czasie w naszym mieście było najwięcej bednarzy i niewykwalifikowanych robotników, a znajdź dzisiaj bodaj jednego! Kupują ludzie motorówki w sklepach, terkoczą silniczkami na Dniestrze, a kiedyś pływały tu i dłubanki, i łodzie sześciowiosłowe, i wiosłowo-żaglowe. No, przeminęło, niech tam. Ale czyż musi nas wszystkich zadowolić motorówka, sprowadzona aż z Kazania. I droga jest, i nie zawsze można ją dostać...

Tak oto od spraw dynastycznych niepostrzeżenie przeszliśmy w naszej rozmowie do kwestii budowy łodzi.

Renciści są ludźmi niebezpiecznymi z powodu swoich różnych hobby. Można ich tu porównać tylko z zakochanymi. W tej dziedzinie nie mogę się jeszcze pochwalić doświadczeniem, ale dobrze pamiętam Eugeniusza i mogę dzięki temu porównywać.

No więc proszę bardzo. Tato znalazł w periodyku, w rubryce „Zrób to sam" projekt motorówki dla niewielkiej rodziny. Ach, cóż to była za łódka! Mocna, lekka, piękna w każdej swojej linii, wygodna i przytulna,

prawdziwy pływający dom, w którym można spędzić całe lato na rzece lub jeziorze. Napisane było o tej łódce tyle, ile trzeba by na opisanie całego oceanicznego liniowca, powiedziane było wszystko, redakcja zapomniała tylko o pewnej drobnej informacji: gdzie wziąć materiały, żeby łódkę zbudować? No, a taki niepraktyczny człowiek jak mistrz Czereda wiedział jeszcze mniej niż wszechwiedząca redakcja, z jakich źródeł można by te materiały uzyskać.

Kiedy ojciec spróbował mnie zainteresować swoim wymarzonym czółnem, oświadczyłem, że z problemem starania się o budulec nigdy nie miałem do czynienia, wychowałem się bowiem w duchu poszanowania obowiązującego w naszym państwie systemu, który reguluje podział dóbr materialnych. Myślałem wówczas, że ojciec wyrzeknie się swego zamiaru budowy czółna, zapomni o nim, myliłem się jednak srodze. Przy każdej bowiem sposobności ojciec kierował rozmowę na łódkę i dzisiaj też sprowadził wszystkie problemy dynastyczne do budowy łódek, aż wreszcie zawiadomił mnie niespodzianie, że jutro przyjedzie Zizi.

Siostra nie przyjeżdżała do nas od tego czasu, kiedy Ala przyszła do Szlachtycza, nie chciała pewnie pojawiać się w mieście, w którym jej miłości, ukrywanej zresztą przed wszystkimi, zadano taki niespodziany cios. Rozumieliśmy jej stan ducha i czekaliśmy cierpliwie, aż zabliźni się rana w jej sercu, jakkolwiek wątpię, czy takie rany się goją.

I oto przyjeżdża i jeszcze o tym zawczasu zawiadamia, czego nigdy nie robiła, przyjazdy jej były zawsze niczym piorun z jasnego nieba.

— Może wynająć orkiestrę dętą? — zażartowałem. — Tylko gdzie ją poprowadzić: na dworzec, do przystani czy na lotnisko? Sama przyjeżdża?

— Zaprosiłem ją — powiedział tato.

— Ty? A po co?

— No, chyba jest naszą córką, co? Oboje z mamą chcemy ją zobaczyć i jeszcze łódka...

— Łódka? Znowu o tej łódce? I co ma do tego Zizi?

— Przecież Zizi wszystko potrafi, przypomnij sobie, wam też pomogła, kiedy nic się wam nie udawało...

— Uważasz, że to Zizi nam pomogła? Moim zdaniem, tylko przeszkadzała! Ale niech przyjeżdża!

Zizi przyjechała nie sama. Nie byłaby sobą, gdyby wybrała się w taką daleką drogę sama. Przywiózł ją w nowiutkiej, jakkolwiek mocno zabłoconej wołdze jakiś pyszałkowaty technokrata w białej koszuli i jaskrawym krawacie z importu, z głową ostrzyżoną do skóry, jakby odsiedział dwa tygodnie za drobne chuligaństwo.

— Na milicji go ogolili? — wskazałem w stronę technokraty, pocałowawszy Zizi w oba policzki.

— Nie waż się! — tupnęła swoją ładną nóżką. — Jesteś co prawda laureatem, ale także obrzydliwym smarkaczem! Przedstaw się natychmiast Derżykrajowi! Derżykraj, to mój brat!

Technokrata wygramolił się z samochodu. Okazało się, że jest niewysokiego wzrostu, jakoś podobny do Szlachtycza, tylko o mocniejszej budowie ciała i mocniej, jak się zdawało, stał na ziemi, głowę wysuwał do przodu gotów chyba atakować czołem jak byk, ale głos miał przy tym śpiewny i miękki, zupełnie taki sam jak Szlachtycz.

— Derżykraj — przedstawił się wszystkim po kolei członkom naszej rodziny. I tyle. Nie powiedział, jak ma na imię, jakie jest imię jego ojca. Derżykraj — i basta. Aż mnie korciło, żeby go zapytać, czy nie jest może krewnym starej Derżykrajowej, co mieszka koło przystani i ma najlepsze w mieście wiśnie, ale technokrata

znowu wsiadł do samochodu, zaterkotał silnikiem i nic nie mówiąc pojechał, może rzeczywiście do starej Derżykrajowej.

— Skąd go wytrzasnęłaś? — zapytałem.

— Nie twoja rzecz! — odparowała Zizi. — Opowiedz lepiej, co tu u was słychać.

— Aktualna jest sprawa łódki.

— Wiem. Łódka. Płonne marzenia. Ojciec był zawsze niepraktyczny, kiedy bodaj ty okażesz się praktyczny, Mytiu?

— Jak się ożenię.

— A kiedy się ożenisz?

— Po twoim ślubie.

— Będziesz długo czekać.

— Nie szkodzi, jestem cierpliwy.

— No więc tak — mówiła Zizi fruwając po naszych pokojach i robiąc wszędzie miły nieporządek — powinniśmy... Ach, macie telefon? Cudownie! Mogliście mnie zawiadomić... Będę teraz telefonować do was codziennie!... A na razie zadzwoń do Antonidy, niech natychmiast przyjeżdża...

— Może w niedzielę — wtrąciłem.

— Niech przyjeżdża w niedzielę czy jutro, wszystko jedno. Mogę zaczekać. Mam urlop.

— I postanowiłaś spędzić urlop z nami?

— Możliwe. Zobaczymy.

— A Derżykraj? — dopytywałem się w dalszym ciągu.

— Derżykraj również, jeżeli cię to interesuje. Jeszcze się z nim poznasz — obiecała Zizi.

— A kto to taki — bóg walcowania na zimno? Sława naukowa? Przyjm do wiadomości, że obaj ze Szlachtycze przeszliśmy do nowego oddziału. Do oddziału przyszłości, droga siostrzyczko. To dziecię ostatniej pięcio-

latki. O SSA słyszałaś? A EMM — wiesz co to takiego? Elektroniczna maszyna matematyczna.

— Rzeczywiście przeszedłeś? — nie uwierzyła w pierwszej chwili Zizi.

— Nie ja sam, tylko cała nasza brygada ze Szlachtyczem.

— Zwariowałeś! Przecież przepadniesz! A co słychać jeszcze?

— Co jeszcze? Łódka!

— Wiem już o łódce. Nawet więcej niż ty.

W niedzielę przyjechał Wuer z moją siostrzyczką Tonią i synkiem. Niezwykłe wydarzenie. Zbuntowały się wszystkie psy w naszym mieście, milicjanci wybiegali na ulicę zamierzając gwizdać ze wszystkich sił, ale opuszczali gwizdki widząc na samochodzie Wuera najprawdziwszą i najlegalniejszą tabliczkę rejestracyjną. Gdyby w telewizji pracownicy byli bardziej operatywni, przybycie Wuera niewątpliwie demonstrowano by wieczorem w dzienniku telewizyjnym.

Było to rzeczywiście wydarzenie. Wuer przyjechał własnym wozem. Nie wołgą, jaką miał nadzieję odziedziczyć po profesorze weterynarii, lecz gazikiem, nie służbowym wszakże, tylko własnym, kupionym za uczciwie zapracowane radzieckie pieniądze i wyposażonym zgodnie z gustem i możliwościami naszego wiejskiego, wielce zasłużonego mechanizatora.

Mocno zajęty to Klementyną, to nową pracą, mniej poświęcałem uwagi naszym sprawom rodzinnym i przegapiłem tę podniosłą chwilę, w której Wuer znalazł się w zgodnych szeregach radzieckich automobilistów amatorów. Do owej spółdzielni rolnej, w której Wuer mechanizował wszystko na prawo i na lewo, przyjechał do swojej starej matki pewien zajmujący wysokie stanowisko generał wojsk rakietowych. Znaczenie miało tu, co prawda, nie to, że wojsk rakietowych, i może

nawet nie to, że był generałem, lecz fakt, iż był po prostu dobrym człowiekiem, żywiącym wiele życzliwości dla wszystkich. Przebywając w swojej wsi rodzinnej poznał się z Wuerem, pochwalił go za mechanizację, a kiedy dowiedział się o marzeniu Wuera, obiecał, że mu dopomoże nabyć jakiś stary, wycofany już wóz. Nikt nie brał tej obietnicy na serio, ale generał był człowiekiem słownym i niebawem Wuer otrzymał depeszę, w której proszono go, by przybył tam a tam i wykupił wóz. Wuer przyjechał, zapłacił jakieś tam nieduże pieniądze i... wrócił do domu własnymi czterema kółkami. To, co przywiózł, trudno było nazwać samochodem, była to tylko rama i silnik, ale to coś jechało i ruszało się, nosiło wszystkie niezbędne numery i posiadało wszystko, co było niezbędne, brakło tylko komfortu, ale tutaj dla Wuera trudności nie istniały. Zmobilizował swoich wiejskich mistrzów, którzy pomedytowali trochę, zabrali się do dzieła i wyklepali dla Wuerowskiego samochodu wspaniałe nadwozie z nowej ocynkowanej blachy. Za kształt zasadniczy przyjęto tu przewrócone blaszane koryto, odpowiednio powiększone i umocowane na ramie samochodowej. Teraz te koryta, roztaczając dokoła blaski owej ocynkowanej blachy i budząc wśród ludzi podziw i zdumienie, podjechały do naszego „Klubu Ludzi Pracy", mnie zaś przyszła jakoś do głowy myśl o prawach podświadomości, które działały na mnie widocznie wtedy, kiedy wymyślałem swoją historię o wymarzonej Marii i wielkiej cynkowej miednicy na balkonie. Bo właśnie wtedy wiejscy mistrzowie wyklepywali nadwozie dla Wuera.

Poczciwy chłopiec był z tego Wuera. Ledwie postawił nogę przed „Klubem Ludzi Pracy" i ujrzał mnie z daleka, zawołał od razu:

— No, Mytiu, mamy własny wóz! Weźmy razem

urlop i wypuśćmy się nad morze w naszej rodzinnej arce!

— No cóż — spodobała mi się jego propozycja — nie mam nic przeciwko temu. Można się położyć na dachu i opalać podczas jazdy.

— A milicja nie pozwoli, a milicja nie pozwoli! — podskakiwał synek Wuera, który wiedział wszystko, na co milicja pozwala automobilistom i co jest im zabronione.

Mama ugotowała pierogi z wiśniami, wypiliśmy po kieliszku wódki ziołowej za pomyślność naszej zgodnej rodziny i usiedliśmy wreszcie, żeby się naradzić nad sprawą ojcowskiej łódki.

Tato poprosił o głos poza kolejką i oświadczył, że do Izydy też pisał o swoich kłopotach i nie tyle prosił o pomoc, ile chciał się poradzić starszej córki. Dalej mógł już ojciec nic nie mówić, wiedzieliśmy, jak musiało się wszystko potoczyć. Izyda, bez pamięci zakochana i oddana swemu Wiolonczeliście, pokazała mu list, rzecz jasna, i może poprosiła, żeby pomógł ojcu, Wiolonczelista zaś jako człowiek znający się na wyszukanej etykiecie nie mógł nie odpowiedzieć na prośbę teścia, pochłonięty jednak swoją muzyką i koncertami, w życiu codziennym był zerem i nic tu zrobić nie był w stanie, ale milczeć też nie mógł. Napisał więc list. Tato mógłby ten list przemilczeć, ale coś widocznie ubodło starego Czeredę, bo kończąc swoją wypowiedź odczytał pismo starszego zięcia. Ten zaś pisał, że aprobuje i zamiar, i hobby teścia, bo sam ma również hobby. To cudowna rzecz. On sam dwa razy przepływał koło Kijowa motorówką, było wspaniale, wprost słów mu brak. Widział motorowe jachty na przykład w Grecji albo w Szwecji czy we Włoszech. Ich linie wywierały na nim wprost niezatarte wrażenie. Nie może tylko zrozumieć, po co ojcu jakieś materiały budowlane, w do-

datku jeszcze kupowane za dewizy niemal za oceanem. (Ciekawe, skąd właściwie wziął tę myśl?) Nie rozumie również, dlaczego nie można kupić gotowej łódki z motorkiem, żeby się w ogóle nie zabierać do żadnej budowy. Mógłby nawet kupić ojcu w podarunku łódkę węgierską albo niemiecką, ale trudno mu pojąć, dlaczego nie kupić naszej radzieckiej łódki, bo co radzieckie, to doskonałe!

— Myślę, że nasz Wiolonczelista mógłby zostać ministrem spraw zagranicznych.

Wuer patrzył na sprawę praktyczniej.

— Nie ma człowiek czasu i nie zorientował się — usprawiedliwiał Wiolonczelistę. — Niech ojciec przyjedzie do mnie i razem z moimi chłopami wyklepie sobie tato taką łódkę z materiałów, co je mamy pod ręką, że proszę siadać!

— Przecież wody u was nie ma — przypomniał tato.

— A czyż statki buduje się na wodzie? Kiedy już są gotowe wtedy się je spuszcza na wodę. My swoją łódkę też przewieziemy na wodę i jeszcze rozbijemy flaszkę szampana o burtę!

— Inteligencja wiejska walczy o nagrodę łodziarską! — wykrzyknąłem. — Inteligencja pracująca na polu kultury nie jest w ogóle w stanie zrozumieć samej koncepcji budownictwa łodzi, inteligencja techniczna w osobie naszej Zizi zdobyła się jedynie na pewne kroki organizacyjne, za to inteligencja wiejska przewyższyła wszystkich zmysłem praktycznym i energią, gotowa jest zabrać się od razu do rzeczy. Niech żyje inteligencja wiejska reprezentowana przez Wuera! Wznoszę ten okrzyk w imieniu klasy robotniczej!

— Jeszcze się do ciebie zabiorę, klaso robotnicza — pogroziła mi Zizi.

Zabrała się do mnie nie od razu. Kilka dni trwały

narady na szczeblu najwyższym, Zizi prowadziła zagadkowe i tajemnicze rozmowy z tatą i mamą, mnie nikt nic nie mówił, czym się zresztą niezbyt przejmowałem, bo mój stan ducha był wciąż nieokreślony, a stosunki z Klementyną układały się tak, że nie wiedziałem, czy zakochać się w niej, czy nie i co to właściwie jest ta miłość. Gdyby mnie nie denerwował Krywcun, jawnie i nachalnie zalecając się do dziewczyny, może wszystko skończyłoby się jeszcze tam, w gabinecie towarzysza Knysza. „Zjawiskiem byłaś, zwiewnym cieniem".

Jak się okazało, Krywcun służył jednak celom maskowania, kamuflażu, mydlenia oczu! Gdybym wiedział! I gdybym wiedział, że problem łódki w pewnym stopniu był także tylko zasłoną dymną dla spraw na wskroś rodzinnych i Zizi została wezwana wbrew wszelkim naszym zasadom nakazującym pozostawić w spokoju człowieka pogrążonego w zmartwieniu, wezwana wcale nie po to, by pomogła starać się o materiały budowlane, lecz ze względu na mnie, Dmytra Czeredę, w imię mojej przyszłości!

Zizi siedziała u nas w domu tydzień, nigdzie nie biegała, jej technokrata też się nie pokazywał na oczy, otaczała ją jak gdyby jakaś tajemnica, coś się działo ważnego, lecz moja lekkomyślność nie pozwalała mi wnikać w sprawy domowe, spałem, jadłem śniadanie, biegłem do pracy, potem na kursy i potem odprowadzałem Klementynę. Bodajbym pocałował dziewczynę lub objął! Nic, tylko rozmowy na tematy międzynarodowe, o budowie Ziemi i Wszechświata, o pogodzie, o faunie i florze.

Co nam wiadomo o przelotnych ptakach? Zostaje u nas na zimę niewiele ptaków. Byłoby niewypowiedzianie smutno, gdyby nie pozostał żaden.

A co daje oświetlanie kurników? To marnotrawstwo trzymać niosące się kwoczki jesienią i zimą w ciemnych

kurnikach. Żywić je trzeba, a pożytku z nich nie ma. A przecież odpowiednie odżywianie, ciepło i światło — oto trzy najważniejsze warunki, by kury niosły się zimą. Działając na nerwy wzrokowe i przysadkę mózgową światło sprzyja wydzielaniu hormonów i dojrzewanu komórek jajowych, co pociąga za sobą zwiększenie wydajności niosek.

Mimo wszystko technokrata chyba przypomniał Zizi, że czas już wracać, bo siostrzyczka przyłapała mnie pewnego późnego wieczoru, kiedy chciałem się już wślizgnąć do łóżka, i oświadczyła:

— Muszę z tobą porozmawiać.

— Co do mnie — to wcale nie muszę.

— Nie bądź idiotą, mówię poważnie.

— Zizi, od kiedy jesteś poważna?

— To już moja rzecz od kiedy. Możesz mi podziękować, że bodaj ja jedna w tym nienormalnym domu potrafię pomyśleć o ważnych sprawach.

— O jakich właściwie? O mojej przeraźliwej niedojrzałości wykazywanej w całym szeregu problemów?

— Bodaj o tym. Przestań w końcu strugać wariata.

— A kto ci powiedział, że strugam wariata?

— Nikt. Nie jestem ślepa, sama widzę.

— Co właściwie widzisz, Zizi?

Wzięła mnie za ucho, zaprowadziła do pokoju, w którym zawsze mieszkała, kiedy przyjeżdżała do nas z wizytą, usadowiła mnie na krześle, sama usiadła naprzeciw, oparła się łokciami o stół i zaczęła wpatrywać się bacznie w moją twarz. Patrzyła i oczy jej się śmiały.

— Przeszedłeś do miłości, Mytiu? — zapytała cicho, ze współczuciem i nawet, jak mi się wydało, z ukrytym żalem.

— Dokąd, dokąd? Nigdzie nie przechodziłem! Żyję wśród żelaza!

— Nie bujaj, Mytiu.

— Uważasz, że „bujanie" i „Mytia" daje się pogodzić?

— Niekiedy tak.

— Ale w żadnym razie w tym wypadku, droga siostrzyczko. Bo dzisiaj nie mogę nawet powiedzieć, że lubię swoją pracę. Nie ma właściwie żadnej pracy. Tylko krzątanina i strefa montażowa, w której nie zorientowaliby się nawet członkowie Akademii.

Widocznie praca mało dziś interesowała siostrę.

— Muszę cię zapytać o jedną rzecz — powiedziała bardzo już poważnie.

— Pytaj. Wieczór pytań i odpowiedzi.

— Masz jakąś sympatię?

— Powiedziałem ci, że żyję wśród żelaza. Mało ci?

— No żyj sobie. Ale wśród tego żelaza są dziewczyny? i któraś z nich żywi dla ciebie sympatię?

— Spytaj dziewczyn. Możesz zamieścić moje zdjęcie na okładce pisma „Ogoniok" i zaapelować do wszystkich dziewczyn w Związku Radzieckim, by dały wyraz swej sympatii do Dmytra Czeredy.

— Dobra, języczek masz nasz, rodzinny. Ale to? Co to znaczy?

Na stole spoczęła dobrze mi znana teczka z napisem „Przechować po wieki wieczne".

— To? Wycinki z gazet. Mogę ci powiedzieć, jaki leży z wierzchu. Tytuł brzmi: „Relikwia rodzinna liczy 250 lat". O kowalskim młocie z napisem „rok 1727". Jak widzisz, jestem wyjątkowo dobrze poinformowany!

— Nie tak bardzo dobrze — Zizi rozwiązała tasiemki i otworzyła teczkę. Nie było tam żadnych wycinków z gazet. Cała teczka wypełniona była listami! Poukładanymi równiutko w dwie paczki ładnymi kopertami ze starannie wypisanym adresem naszego „Klubu Ludzi Pracy" i numerem naszego mieszkania. Koperty były cienkie, może puste, może to czyjś żart?

— Są tam również listy czy same koperty? — zapytałem, jeszcze nie wiedząc, co to wszystko znaczy.

— Listy — powiedziała Zizi. — Nie udawaj, że nic nie wiesz.

— Rzeczywiście nie wiem.

— Więc co to znaczy? Patrz!

Obróciła teczkę tak, że zobaczyłem napis na jednej z kopert. Jak się już rzekło, figurował tam adres naszego „Klubu Ludzi Pracy" i numer naszego mieszkania, a pod nim — dwa słowa: „dla Syna". Ani nazwiska, ani imienia, tylko to jedno takie niespodziewane i niepojęte „dla Syna". Jasna rzecz, że ktoś sobie zażartował! Ale aż tyle tych żartów? Cała teczka pełna kopert? Czy nie za dużo?

— I co, na wszystkich kopertach napisane jest to samo?

— To samo.

— A listy?

— Listy są różne.

— Co, czytałaś je?

— Czytałam.

— Nie są, zdaje się, adresowane do ciebie.

— Aha, więc do ciebie? Wiedziałeś? Wiedziałeś?

— Nic nie wiedziałem. I nie do mnie. Nie oczekiwałem i nie oczekuję listów od nikogo. Myślę sobie po prostu, że skoro napisane jest „dla Syna", to powinny być doręczone synowi. Ty zaś, mam nadzieję, nie jesteś synem.

— Jestem siostrą tego syna. W dodatku — starszą.

— Nie nadużywaj swoich uprawnień, Zizi.

Zizi wydęła wargi.

— Mogli tu właściwie beze mnie rozwiązywać twoje miłosne problemy. Nigdy i w niczym nie możecie się obejść bez Zizi.

Masz ci łódkę! Środek maskujący, zasłona dymna.

W rzeczywistości tato wezwał Zizi, żeby się jej poradzić w sprawie tych listów. A mnie przez cały czas — ani słówka! To się nazywa charakter! To się nazywa stara kadra!

— Tato czytał listy? — natarłem na Zizi.

— Przecież znasz jego zasady. Nie otworzył ani jednego. Skoro nie do niego, nawet do rąk nie weźmie.

— Ale skoro napisane jest „dla Syna", mógł chyba oddawać je odpowiedniemu członkowi rodziny. Jak sądzisz?

— Tato bał się, że to jakieś anonimy! Nie chciał robić ci przykrości.

— Przecież to kobieca ręka, jakie tam anonimy!

— To co, że kobieca. Nawet dzieci służą czasem pomocą w takiej pisaninie. Autorzy anonimów są niezwykle pomysłowi.

— Niechby przemyśliwali nad zastosowaniem energii atomowej w celach pokojowych. A mama?

— Dotychczas nic nie wie.

— Aha, dwustronna konspiracja — i przede mną, i przed mamą. Pod płaszczykiem łódki. I naraził się nasz tato na przełknięcie nowej porcji wysoce ideowych morałów od waszego ukochanego Wiolonczelisty, byle tylko ukryć właściwy cel twego przyjazdu. A co odkryłaś w tych listach stosując ostatnie osiągnięcia waszego Instytutu Walcownictwa?

— Przeczytasz i sam wszystko odkryjesz. Zakochała się w tobie.

— Kto?

— Sam wiesz najlepiej. Nie udawaj głupiego. Zawróciłeś dziewczynie głowę, to się z nią ożeń. Dość już zbijania bąków.

— Czekam, żebyś mi dała przykład.

— A może już dałam? Skąd wiesz? Poczekaj, przywiozę wam męża.

— Nam czy sobie?

— Przywiozę wam swego męża. Będziemy tu mieszkać.

— Rzeczywiście? A któż to jest? I odejdziesz z instytutu Zizi?!

Zapomniałem nawet o listach, mimo że leżały przede mną starannie ułożone ojcowską ręką w teczce z napisem „Przechowywać po wieki wieczne".

— Nadmiar informacji działa zabójczo — roześmiała się Zizi. — Zabieraj swoje listy, przeczytaj, a potem mi powiesz, jakie masz zamiary. Nie wyjadę, póki nie doprowadzę całej sprawy do końca, pamiętaj! No, bierz i idź!

Listy. Czytałem je po kilka razy przez całą noc, do samego rana. Po raz pierwszy w życiu przysłano mi tak wiele listów i to t a k i c h.

Jeden list po drugim — i nigdzie żadnej wzmianki, kto pisze, żadnych nazwisk, prócz nazwiska Krywcuna, niepotrzebnie wspomnianego, całkowita zagadkowość i anonimowość, ale mimo to równanie można było z łatwością rozwiązać, bo niewiadoma była tu tylko jedna, a wiadomych co najmniej dwie. Akcja rozgrywała się w naszym oddziale — mniejsza z tym, w którym, bo listy nadchodziły także po naszym przeniesieniu się na budowę nowego oddziału. Zaadresowane były do mnie — nie ulegało to najmniejszych wątpliwości, bo w naszym domu „synem" nazywano tylko mnie, czyli że byłem nim ja, Myt'ko Czereda.

Podstawiwszy te dwie wiadome w naszym równaniu i biorąc jeszcze pod uwagę, że autorka miała dobre pióro, z łatwością wysnułem wniosek, że pisała listy była uczennica szkoły średniej, o mały włos nie odznaczona złotym medalem, dziewczyna o zamiłowaniach artystycznych rozwijanych dzięki staraniom towarzysza Knysza! To ona, tylko ona!

Nie spałem całą noc wciąż czytając listy i śmiałem się na całe gardło z siebie i wszystkich Klementyn na świecie, a potem wpadłem nagle w jakiś cielęcy zachwyt, młodość wzbierała we mnie potężną falą, cały świat wirował dokoła, pędziły i wpadały na mnie zielone drzewa w dalekim lesie, dzwoniło żelazo w naszym oddziale, jaśniały Szare Oczy, dźwięczał srebrzyście śmiech Klementyny, gdzieś na horyzoncie pojawili się Ala ze Szlachtyczem, którzy trzymali się za ręce jak małe dzieci, gdzieś tam smucił się Eugeniusz, a Zizi jakoś tarmosiła Frusina, aż chwiały się dżungle jego czupryny, towarzysz Knysz wciągnął mnie do kółka amatorskiego, brałem udział w jakimś przedstawieniu, wychodziłem na scenę i wygłaszałem z emfazą jakieś bzdury.

Z rana nie poszedłem do huty. To znaczy udałem, że idę, nikt nie powinien był wiedzieć, gdzie jestem i co robię. I postąpiłem jak bumelant. Świadomie i bez powodu. Po raz pierwszy i może ostatni w życiu zdecydowałem się na bumelanctwo. Inaczej nie mogłem. Wziąłem listy, wepchnąłem je do kieszeni i poszedłem na Skrzypajkę. Poszedłem pieszo, jak chodziłem w dzieciństwie na lekcjach przyrodoznawstwa, położyłem się pod tym krzakiem, za którym, jak mi się zdawało, Eugeniusz w swoim czasie, wyprzedziwszy mnie, po raz pierwszy pocałował się z dziewczyną, położyłem się na trawie, patrzyłem na niebo, na zielone wiązy na zboczach Skrzypajki, wsunąwszy ręce do kieszeni obmacywałem listy szeleszcząc papierem, ale już ich nie czytałem, bo po co? Wszystko to umiałem już niemal na pamięć! Wszystkie wiązy na zboczach Skrzypajki miały usychające wierzchołki. Smutny to był widok: od dołu ładne, zielone drzewa, a na górze czarne, straszne, martwe. Zdaje się, że na całym świecie jakoś usychają wiązy i zaczyna się to od wierzchołków.

Ale co mnie obchodzi to usychanie! Moje drzewo jest zielone, rośnie bujnie i niepowstrzymanie! Niech żyje drzewo radosnego istnienia, drzewo młodości i zachwycenia. Dzięki ci, miłości moja, jak powiedział pewien dramatopisarz. Ale nie ja to powiedziałem. Trzeba w porę pohamować swoje cielęce zachwyty. Spójrzmy jeszcze raz obiektywnie na tę pisaninę. Przebywanie na łonie natury sprzyja refleksjom. Wszyscy filozofowie uciekali na łono przyrody. Tylko ona pobudza mózg do rozmyślań. Przy czym rzecz najważniejsza — to leżeć. Bo człowiek w położeniu pionowym myśli tylko o polepszeniu warunków i podniesieniu wydajności pracy, stanie jest stanem najbardziej czynnym. Chciałoby się wtedy przeobrażać i przebudowywać świat. Kiedy siedzisz, masz chęć wstać, wyprostować się, otrząsnąć i rozruszać. Zawody siedzące bez wątpienia budzą w człowieku skłonność do anarchizmu. Wszyscy szewcy na przykład — to najwięksi anarchiści. Co prawda, w ludowym porzekadle zamiast „anarchiści" powiedziane jest „pijacy", ale to wszystko jedno.

Nie chciałem dzisiaj stać, nie chciałem siedzieć, tylko leżeć, żeby spokojnie przemyśleć niespodziankę, jaka spadła na moją głowę. I wreszcie znowu zacząłem czytać listy, znowu ścierała się we mnie ironia z zachwytem wobec świata, ale im dłużej leżałem i czytałem listy lub przypatrywałem się usychającym wierzchołkom zielonych wiązów na zboczach Skrzypajki, tym bardziej sobie uświadamiałem, że znalazłem się w sytuacji głupiej i beznadziejnej.

Kto pisał listy? Klementyna? Tak jest, ona. Ale skąd mi to wiadomo? Pójść i zapytać? A po co? Przecież to nie Ala pisała do mnie. Ma swego Szlachtycza i nic jej więcej nie trzeba. Wdała się w swego tatę. Ten ciągnie swoje rury, a ona świata nie widzi poza Szlachtyczem. Tak jest. Więc co teraz począć? Nadal

milczeć? Przypuśćmy. Ale jak długo milczeć? Łykać komplementy i otwierać gębę, żeby nowe wlatywały? Jak hipopotam w zoo czekający na smaczne kąski. Przyjemnie człowiekowi, u licha, kiedy go ktoś chwali. A tym bardziej ładna dziewczyna. I chwali tak mądrze, wynosi cię ponad ciebie samego, odkrywa w tobie pokłady takich cennych kruszców, o jakich sam nie masz pojęcia. Ale rzeczywiście, jak długo milczeć? Przecież to nie ma sensu, kiedy wszystko mi już wiadomo. Hm, wiadomo albo nie! Jak wróżba z kwiatkiem rumianku: kocha — nie kocha... Ale stop! Dlaczego zaczynam odliczanie jak przed startem rakiety dopiero dzisiaj! Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem... jeden, start! Bo listy przychodzą już od dłuższego czasu. Więc powinienem był je czytać w takiej kolejności, w jakiej nadchodziły. To zwykły przypadek i jeszcze chwiejność i przyzwoitość mego taty, że otrzymałem je wszystkie razem i tak późno! Ale Klementyna (czy może ktoś inny?) nie wie o tej zwłoce. Była pewna, że listy odbiorca czyta w takiej kolejności, w jakiej je pisała. Wiedziała o tym, pisała nadal, co dzień spotykała się ze mną, chodziliśmy razem do domu, do kina i na koncerty i nigdy najmniejszej nawet aluzji... „Zjawiskiem byłaś, zwiewnym cieniem". Stosunki braterskie, pokój i przyjaźń, koegzystencja pokojowa... Krywcun — ten ma własne zasady: „Bierze się dziewczęta, póki są ciepłe!" Obiecałem mu, że go zrobię inwalidą, jeżeli pozwoli sobie gadać przy mnie na ten temat. Sądząc z listów, u Klementyny cieszył się takim samym powodzeniem jak u mnie. Ale nie jestem przecież Krywcunem, bierz go licho! Jeżeli wypisała tyle pochwał, mogła powiedzieć bodaj jedno żywe słowo, prawdziwe, nie anonimowe! Jest wstydliwa? Słusznie. A ja mam swoją robotniczą dumę. Nie będę próbował jej obejmować, nie pójdę przebojem — nie potrafię.

Prawdę mówiąc, nic nie wymyśliłem. Nie ma co, filozof ze mnie nie wyrośnie. Czy będę stać, czy leżeć — wszystko jedno. Nie potrafiłem się zdobyć nawet na prymitywne posunięcie taktyczne. Nie przeleżałem bowiem na Skrzypajce nawet połowy naszej zmiany i wróciłem do domu. Zizi domyśliła się od razu.

— Nie byłeś w pracy?

— No, nie byłem.

— Bumelanctwo?

— No, bumelanctwo.

— Czytałeś swoje listy?

— No, czytałem.

Myślałem, że zacznie mi robić wyrzuty i prawić morały jako starsza siostra, przypomni mi, że mam obowiązek stać na wysokości swego tytułu itp., a tymczasem Zizi podbiegła do mnie, objęła mnie swoimi miękkimi, ładnymi rękoma, pocałowała w policzek i wyszeptała z przejęciem:

— Zuch z ciebie, Mytiu! Masz wrażliwe serce, musisz... Przecież to taka dziewczyna... Nie należy deptać własnego szczęścia, bo...

— Przecież nie wiem, jak się nazywa to moje szczęście...

Zizi odskoczyła ode mnie.

— Przecież kłamiesz!

— Słowo honoru. Domyślam się, ale pewności nie mam. A moralnie jeszcze nie dojrzałem do miłości.

— Głupi jesteś, Mytiu.

— Nie przeczę. Bardzo możliwe. Ciemna sprawa.

— Musisz z nią porozmawiać.

— Z kim i o czym?

— Więc odjadę niczego się nie dowiedziawszy i nie okazawszy się w niczym pomocną?

— Odegrałaś rolę czynnika decydującego, czyż to nie dosyć? A zresztą, obiecałaś, że wkrótce wrócisz...

— Wrócę, z pewnością wrócę! Ale wpierw musisz wszystko wyjaśnić, Mytiu. Obiecaj mi. Uspokoję tatę.

— Uspokój. Nic minus nic równa się nic.

Zizi odjechała chyba znowu z tym technokratą w białej koszuli, którego zresztą więcej nie widziałem. Nic się nie zmieniło w naszym życiu, toczyło się dalej. Nazajutrz poszedłem do pracy, wrzały we mnie całe wulkany drwiny i złości, ale złość tę wytraciłem przedzierając się przez „strefę montażową" na stanowisko naszej brygady, więc kiedy napotkałem spojrzenie Klementyny, a było chyba niespokojne i trochę zmieszane, nie znalazłem już w sobie ani złości, ani drwiny.

— Co z panem, Mytiu? — zapytała Klementyna jakby umyślnie zwracając się do mnie per „pan", tak samo jak w listach, mimo że od dawna, właściwie od pierwszej chwili tykaliśmy się przecież.

— Grypa — powiedziałem — taka azjatycka na jeden dzień. Nie zbliżaj się, bo wirusy cię zabiją.

— Och, boję się! — roześmiała się Klementyna niby to chowając się za Szlachtycza, który właśnie podszedł i usłyszawszy moje słowa poradził, żebym na siebie uważał, jeżeli jestem rzeczywiście chory. To najcięższe miałem już za sobą i poczułem się taki pewny siebie, że zawołałem za oddalającym się Szlachtyczem naśladując jego głos: „Dzień, w którym wytwórczość socjalistyczna zacznie prześcigać kapitalistyczną, będzie dniem wielkich przeobrażeń w pojęciach ludzi o wszystkim, w co należy wierzyć". A w co wierzy pani, Klementyno Knysz?

Według wszystkich praw, które wysnułem wczoraj z listów nieznajomej dziewczyny, Klementyna powinna była umrzeć na miejscu z zachwytu nad moim dowcipem, wymierzonym w samego Lonię Szlachtycza, na co nie pozwalałem sobie niemal nigdy. Mechanizm tych praw, które odkryłem, nie był jednak widocznie odpo-

wiednio wyregulowany, bo Klementyna nie zdradzając zachwytu spojrzała na mnie jakoś obojętnie i odeszła na bok, chyba w ogóle nie interesując się mną więcej.

„Maskuje się!" — zdecydowałem i przysiągłem sobie, że będę śledzić każdy jej ruch, żeby zerwać z niej tę maskę, chwycić ją za rękę i zmusić do przyznania się.

Najprościej było porównać jej pismo z listami. Starałem się usilnie przypomnieć sobie, jakie pismo ma Klementyna, ale nie mogłem. Bo pismo to nie dziewczęca twarzyczka. Zobaczysz je raz, przeczytasz i zapomnisz. Poprosić ją, żeby coś napisała specjalnie dla mnie? Może się jej to wydać podejrzane. Do zbieraczy autografów nie należę, Klementyna zaś nie należy do świata sztuki, mimo że tańczy Desdemonę i podstawia swoją długą, delikatną szyję, by dusił ją dyspozytor z oddziału transportowego. Więc co? Zaapelować o materiały do gazetki ściennej? Czy rozdać w oddziale tekst jakiejś modnej ankiety z krótkimi pytaniami, wymagającymi długich odpowiedzi?

— Jaki masz stosunek do ankiet? — zapytałem Klementyny.

— Pozytywny.

— Lubisz na nie odpowiadać?

— Lubię.

— A gdyby to były pytania intymne? O przeżycia, o uczucia? Oczywiście, osoby respondentów pozostają tajemnicą. Taka na przykład ankieta romantyczno-romansowa. Jak w powieści obcego autora. Powiedz „oui", dziecinko, po francusku, powiedz „tak", bodaj po chińsku czy po rosyjsku, powiedz, jak chcesz, cóż, że to banalne, miłość jest wszak międzynarodowa. Daj bodaj do zrozumienia, w mglistych słowach, powiedz w tajemnicy lub w ekstazie, powiedz „oui", powiedz w końcu „yes" czy „tak" i mów mi ty, ty mi mów i jam u nóg, u twoich nóg!

— Mytiu, mówiąc poważnie, jesteś niepoważny.

— Słyszałem. Od docenta Kryżenia. A mam rzeczywiście ankietę.

— Skąd?

— Z Instytutu Młodzieżologii.

— Alboż jest taki instytut!

— Z wydziału niemowlęctwa.

— Dość tych żartów!

— Dam ci ją za tydzień — obiecałem.

Rzeczywiście, na co też człowiek traci siły! Cały tydzień biegałem do działu administracyjno-gospodarczego, częstowałem maszynistki cukierkami, z jedną umówiłem się nawet na randkę i wszystko po to, żeby mi napisały kilkadziesiąt egzemplarzy ankiety, którą ułożyłem. Była tam prośba o określenie stopnia autorytatywności kierownictwa huty, począwszy od dyrektora i sekretarza egzekutywy aż do inżynierów zmianowych i mistrzów, były pytania o stosunek do mini-spódniczek i płaszczy maxi, dziewczęta pytano o obwód w talii, a chłopców proszono odpowiedzieć, ile razy podnoszą jedną ręką dwupudowy ciężar. I tym podobne. Dzięki ogarniającej dzisiaj cały świat ankietomanii moja próba ustalenia pewnych aspektów opinii społecznej mogła i nie zwrócić uwagi, i pozostać bez następstw, których się zresztą nie spodziewałem: potrzebne mi było pismo Klementyny, prawdziwe, nie zmienione, naturalne i spokojne.

I oto miałem wzór jej pisma. W wyniku starannej ekspertyzy udało się stwierdzić, że autorką wszystkich listów dostarczonych dla Czeredy syna do „Klubu Ludzi Pracy" i mieszkania numer trzy była Klementyna Knysz!

Ale nie sposób powiedzieć jej o tym bez ogródek, obsztorcować ją na zebraniu komsomolskim albo zaproponować, żeby się zdekonspirowała, skoro zależy

jej na anonimowości! Wyjście jest tylko jedno: złapać Klementynę za rękę! Myślałem logicznie, co — jak wiadomo — nie pozwala wyprzedzać wydarzeń, wprost przeciwnie, człowiek nigdy za nimi nie nadąża, spóźnia się właśnie o tyle, ile trzeba, żeby wybiec naprzód i dostrzec to, czego szuka. Dotychczas myśli moje były zaprzątnięte tylko porównaniem pisma autora listów i Klementyny, teraz, kiedy mi się to udało, z odpowiednim opóźnieniem połapałem się i pomyślałem, że w tej mojej ankiecie można jeszcze było umieścić pytanie o ulubioną skrzynkę pocztową albo zapytać respondentów o schemat odbywanych codziennie lub nawet w ciągu tygodnia wędrówek po mieście niby to w celu ustalenia optymalnych odległości przy rozmieszczeniu w dzielnicach mieszkaniowych sklepów, pracowni, urzędów pocztowych, kinoteatrów itp. Z czasem mógł ze mnie wyrość nie byle jaki działacz gospodarki miejskiej, przypadek skierował mój umysł na drogę wytrwałego, planowego rozumowania, ale — niestety — trzeba było położyć temu kres, bo jeżeli jedna moja ankieta nie zwróciła jakoś uwagi, na drugiej przyłapano by mnie niewątpliwie i wyszłoby wtedy na jaw, że nie mam żadnych pełnomocnictw i posługuję się metodą szewca-anarchisty, a przecież wiadomo, że anarchistom, czyli pijakom, przypada w udziale co najmniej czternaście dni paki i głowa ogolona właśnie tak, jak u tego technokraty Derżykraja.

Zmuszony byłem uciec się do metody prymitywnej, żmudnej i niewdzięcznej, ale niezastąpionej: trzeba było śledzić Klementynę i złapać ją za rękę, kiedy będzie wrzucała list do skrzynki.

Należało w tym celu przejrzeć dokładnie wszystkie koperty jej listów. Aż dziw, jaka naiwna jest ta Klementyna. Nie starała się wcale zacierać śladów, wrzucała wszystkie listy do tej samej skrzynki, a jeżeli

nawet nie do tej samej, to przynajmniej w tym samym urzędzie pocztowym oznaczonym cyfrą siedem. Jak się okazało, urząd pocztowy nr 7 był daleko i od Glinianej Góry, i od naszego „Klubu Ludzi Pracy". A więc Klementyna starała się mimo wszystko bodaj trochę zatrzeć swoje ślady. Utrudniało jej to zadanie, bo musiała za każdym razem udawać się do innej dzielnicy miasta i w dodatku tylko po to, żeby wrzucić tam list. W dni pracy chyba nie mogła tego robić, bo z rana biegła do huty, a wieczorem, jeżeli nie ja ze Szlachtyczem, to bodaj ten typek Krywcun odprowadzał ją do samego domu. Pozostawały więc dni wolne od pracy i święta.

Zabrałem się do ustalania schematu poruszania się Klementyny po mieście w te wolne od pracy dni. Trzeba ją było podglądać i szpiegować, ale innej rady nie było. Jeszcze nikt dotąd nie widział i chyba nie zobaczy Myt'ka Czeredy w śmieszniejszej i bardziej poniżającej roli. Ale nie mogłem przecież spodziewać się łask od przyrody, trzeba było zmuszać do biegu swoje nieposłuszne nogi! Daj bodaj do zrozumienia, w mglistych słowach, powiedz w tajemnicy lub w ekstazie...

Złapałem Klementynę za rękę, kiedy wrzucała do granatowej skrzynki nowy list. Na skrzynce wymalowany był herb państwowy i możliwe, że zastosowałem przymus pozbawiając jedną z obywatelek wolności korespondowania, ale byłem przekonany, że list zaadresowany jest do mnie, więc skracałem tylko jego drogę do adresata. Powiem na swoje usprawiedliwienie, że paliłem się z niecierpliwości, by przeczytać nową porcję komplementów pod swoim adresem, bo któż by nie chciał porcji pochwał od takiej ładnej dziewczyny jak Klementyna?

Ale Klementyna nie zaaprobowała mojej chęci, by skrócić drogę jej nowego listu do adresata. I wcale nie

boskie drżenie miłosne przebiegło po jej ręce, kiedy moja dłoń przeszkodziła jej wrzucić list do skrzynki. Nic podobnego! Wykręciła się całym ciałem jak żmija, aż zasyczała ze złości i — wprost nie do wiary! — ugryzła, tak, tak, ugryzła mnie w rękę!

— Wściekłaś się! — wrzasnąłem.

— Jak śmiesz! — zasyczała Klementyna i wbiła we mnie spojrzenie oczu wezbranych takimi łzami, że jak trysną, to chyba zabiją.

— Klementyno — spróbowałem wszcząć pertraktacje pokojowe i bodaj trochę usprawiedliwić swoje szpiegowanie — Klementyno, po co ta zabawa w chowanego? Jesteś mądrą dziewczyną!...

— A ty głupcem! — wypaliła nagle z niezrozumiałą złością. — Jak śmiesz? I w ogóle czego właściwie chcesz?

— Powiedz „oui", dziecinko, po francusku... — spróbowałem obrócić wszystko jak zwykle w żart, ale gdzie tam.

— Nie strugaj wariata! Oddaj list! — natarła na mnie Klementyna.

— Przecież i tak przyjdzie do mnie?

— Do ciebie? Kto ci powiedział? Co ty pleciesz?

— No a jakże, droga Klementyno? Czyż zapomniałaś, do kogo piszesz listy od dłuższego już czasu? Patrz, co tu jest napisane: „Klub Ludzi Pracy, mieszkanie 3, dla Syna". Może ci pokazać dowód, żebyś się przekonała, że syn mistrza Czeredy, Dmytro Czereda, ma stały meldunek w „Klubie Ludzi Pracy", w mieszkaniu numer trzy? Zgoda, postąpiłem nieładnie, może nawet po świńsku, łapiąc cię za rękę. Ale obrzydły mi już te listy od anonimowej dziewczyny, a jeszcze bardziej, że nazywa mnie „synem". Wprost oburzające! Czyż jestem tylko synem? Młodym człowiekiem, jak zawsze mówi Czemerys? Do wszystkich diabłów, jestem

człowiekiem samodzielnym, nazywam się Dmytro Czereda i jestem pełnoprawną klasą robotniczą, moja droga Klementyno! Mam nadzieję, że teraz wszystko jest pani jasne.

Wygłaszać długie przemówienia do dziewcząt — to absolutny nonsens. Dziewczyny nigdy nie słuchają długich przemówień. Korzystają z tego czasu, żeby wymyślić godną odpowiedź, zręczny wykręt czy oskarżenie.

— To nie mój list — oświadczyła Klementyna spokojnie, nawet z dumą.

— Nie twój? Więc czyj?

— Poproszono mnie, żebym wrzuciła.

— Ależ to twoje pismo!

— Poproszono mnie, żebym napisała adres.

Nie, bujać to my, nie nas!

Wiedziałem doskonale, jak przycisnąć do muru tę obrzydliwą dziewuchę.

— Może cię poproszono, żebyś pisała takie listy? — zapytałem ironicznie wymachując paczką arkusików, które wyjąłem z kieszeni. — Wszystkie zostały sprawdzone! Słyszałaś o ekspertyzie grafologicznej? Zostało stwierdzone i dowiedzione, że wszystkie te listy pisała ta sama osoba, która nazywa się Klementyna Knysz.

Rzucałem jednak słowa na wiatr, Klementyna ich nie słyszała. Nie trzeba już było żadnej ekspertyzy. Olbrzymimi, pełnymi zgrozy oczami patrzyła na feralną paczuszkę. Z trudem uniosła rękę, jakby chciała mi odebrać czy wyprosić listy, któż by jednak zdołał mi odebrać moją własność!

Oto chwila mego triumfu, czyli poskromienia złośnicy.

Omyliłem się jednak srodze, jak się zwykle mówi w takich razach. Klementyna podbiegła do mnie jeszcze bardziej rozwścieczona niż wtedy, kiedy ugryzła mnie w rękę, i wrzasnęła:

— Oddaj!

I krzyknęła jeszcze:

— Cham!

A potem:

— To nie twoje listy!

Ogarnęło mnie bezgraniczne zdumienie.

— Niby jak nie moje? Wszystko, co zostało do mnie wysłane, jest moje!

— Nie do ciebie! — znowu krzyknęła Klementyna. — Oddaj! Wszystkie oddaj! Wszystkie nie są do ciebie!

I rozpłakała się.

Spróbowałem wysilić nieco mózgownicę, co mi się za nic nie udawało, bo tuż obok płakała przecież taka istotka, ludzie mogli zobaczyć i usłyszeć, słowem idiotyczna sytuacja.

— Więc do kogo pisałaś? — spróbowałem się wycofać na pozycje nie zaplanowane i dopiero teraz wyznaczane w gorączkowym pośpiechu.

— Nie do ciebie! Nie do ciebie! — przez łzy, ale wciąż z tą samą złością powtarzała dziewczyna.

I teraz dopiero doczołgałem się wreszcie do pożałowania godnych stanowisk zapasowych, doczołgałem się rozbity, złamany i rozgromiony, przypominając swego przyjaciela Eugeniusza, który leżał w swoim czasie jak nieżywy na kanapie z importu, leżał na brzuchu ukrywając twarz i cierpiał strasznie i beznadziejnie. I oto cierpiąc i przewiązując swoje rany domyśliłem się, kto mnie zwyciężył. Powtórzyło się to samo, co wtedy z Eugeniuszem! Znowu Szlachtycz! Klementyna pomyliła numer mieszkania. Powinna była pisać „cztery", a pisała „trzy", w obu zaś mieszkaniach byli synowie. Tyle że tam syn udany, a w naszym mieszkaniu niewydarzony. No, co za historia! Rzeczywiście nie z tej ziemi! Ale te dzisiejsze dziewczyny! Cały rok pisać

takie listy do żonatego mężczyzny! I to wtedy, kiedy o piętro niżej mieszka młody i kawaler!...

Och, co za dureń ze mnie! Co za bałwan!

Patrzyłem na Klementynę wprost z nienawiścią.

— Przestań beczeć — powiedziałem posępnie — już się domyśliłem, że pomyliłaś numer mieszkania. Klasyczny przykład gapiowatości. Ale możesz otrzeć łzy, piszesz fajno! Tym mnie tylko ujęłaś. Wyśpiewujesz jak ten ptak, którego nazwy nigdy nie potrafiłem zapamiętać, ale ty jako prymuska powinnaś wiedzieć...

— Syrena — pochlipując powiedziała Klementyna. — Żaden ptak, tylko skrzydlata kobieta. Oddaj listy!

— Weź — wręczyłem jej wszystkie listy wraz z ostatnim, nie przeczytanym — weź, skrzydlata kobieto, i nie wlatuj mi więcej do serca. Jasne?

Wyrwała mi je z rąk i zmiąwszy wepchnęła czym prędzej do torebki, przy czym kilka listów upadło na ziemię. Podniosłem je spokojnie i podałem Klementynie.

— Pogrzebane i trawą porosło — machnąłem ręką. — Kropka i z nowej linii. „Jeśli do drugiego odeszła dziewczyna, kto wie, mój chłopczyno, który z was szczęście ma" — jak głosi tekst pewnej budującej piosenki. Ale powiedz mi teraz. No, rozumiem, Lonia Szlachtycz — to rzeczywiście człowiek... Ja w porównaniu z nim... Ale ty... Coś w nim znalazła?

— Jest taki mądry.

— A na przykład ja — jestem głupi?

— Taki głęboki.

— A ja jestem płytki?

Po raz pierwszy spojrzała na mnie spokojnie, spróbowała się uśmiechnąć.

— A co ty masz z tym wspólnego, Mytiu?

— Jak to co? No bodaj jako ofiara tej historii nie z tej ziemi!

— Nie zrozumiesz. Sama też nie rozumiem. Nie sposób to wytłumaczyć. Ale dobrze, że tak się wszystko ułożyło. Dziękuję ci.

— Nie ma za co.

— Mimo wszystko dziękuję. Uratowałeś mnie.

— Czysty przypadek.

— Ale uratowałeś. Jak kolega. Po raz drugi mnie ratujesz. Wtedy, kiedy wprosiłam się do waszego oddziału...

— Już wtedy zależało ci na Szlachtyczu?

Milczała. Czyż mówi się o takich sprawach?

— Daj łapkę — powiedziałem. — Pokój i przyjaźń. Powiedz towarzyszowi Knyszowi, niech mnie zapisze do kółka amatorskiego. Będę grał w sztukach role pechowców. Nadam się?

Klementyna uśmiechała się. Może bez wyraźnej ulgi, ale łez już nie było.

Trzeba było zatelefonować do Wuera.

— Zaproszenie jest nadal ważne?

— Nadal.

— Jedziemy?

— Jedziemy!

Szlachtycz zasępił się, że porzucam „strefę montażową" w okresie jak najbardziej decydującym, ale miałem już tego dość: zawsze jest zasępiony i każdy okres uważa za najbardziej decydujący. Typowy właściciel niewolników! O, teraz gotów byłbym zawrzeć pakt z Krywcunem, ale ten opowiedział się niespodzianie po stronie Szlachtycza.

— Zwijasz chorągiewkę? — przymrużył oko. — Ciekawe, kto nazywał mnie filistrem! A teraz filister zo-

staje, żeby hakować, natomiast jednostka przodująca spływa! Ktoś tu gadał o szlachetnej roli pracy, nie słyszałeś?

— Wiesz co — poradziłem Krywcunowi — odwal się i to w tempie przyśpieszonym, bo inaczej...

Szczerze mówiąc, wcale mi się nie chciało nigdzie jechać. Ale pozostać też nie mogłem. Opowiadać o naszej podróży też nie mam wielkiej ochoty. No, wsiedliśmy i pojechaliśmy. Jak powiedział pewien mędrzec, droga była bardzo daleka, przez całą Ukrainę — do całkowitego zapamiętania. Asfalt, po obu stronach widoki. Wuerowi było wesoło, mojej siostrze Toni było wesoło, ich synkowi było wesoło, mnie zaś smutno. A taki już jest ten smutek — czułem to — że wystarczy się raz w niego pogrążyć i kto wie, czy uda się już z niego wyrwać. Przez całe życie będzie ci smutno. Z powodu asfaltu, pól kołchozowych, skowronków na niebie, spotykanych samochodów jadących w tę i tamtą stronę, z powodu tego wszystkiego będzie ci smutno. Ale nie! Nie wszystkiego! Wóz Wuera nie pozwalał się smucić. Potrafiłby nawet umarłego rozweselić! Był to nieustający śmiech na kołach. Śmiech ruchomy, jeżeli można się tak wyrazić.

Właściwie wszystko mi było obojętne na świecie, ale widocznie niepokoiło mnie jakieś przeczucie, bo kiedy Wuer z rodziną podjechał pod „Klub Ludzi Pracy", żeby zabrać mnie w podróż, pożałowałem, że nie przyszło mu na myśl, by polakierować tę cynkową budę. Błyszczała jak sto cynkowych miednic!

— Nie znasz praw automobilizmu — poważnie odpowiedział Wuer. — Im samochód bardziej się rzuca w oczy na autostradzie, tym mniejsza jest możliwość katastrofy.

— Najwidoczniejszy jest kolor czerwony i żółty, wujciu — wytłumaczył mi mały Jurek.

— A cynk? — zapytałem. — Na którym miejscu figuruje cynk?

— Nasz cynk jest jeszcze widoczniejszy! — z dumą oświadczył Jurek.

Nie wiem, jak tam z prawami automobilizmu, ale jeżeli chodzi o prawa rządzące wytykaniem palcami, psykaniem, gwizdaniem i śmiechem, to w naszych ocynkowanych korytach na kółkach biliśmy wszystkie rekordy. Póki jechaliśmy przez miasto, było pół biedy, ale kiedy wydostaliśmy się na autostradę — to już cała bieda! Sygnały biegły na nasze spotkanie i na wyścigi z nami, rzucano w naszą budkę pomidorami i ogórkami, cynk dudnił i dzwonił, pojawiły się na nim groźne wklęśnięcia. Co prawda, Wuer spokojnie tłumaczył, że pomidor chyba dziury nie wybije, ale ogórek może ją wybić, bo jest twardszy i dodają się do siebie dwie prędkości: prędkość wozu i prędkość lotu ogórka. Prawo fizyki. Nie wiem, z pomocą jakiego prawa wytłumaczyć fakt, że wyprzedzały nas literalnie wszystkie samochody, nawet przedpotopowe moskwicze z łóżkami polowymi i materacami na górnych bagażnikach. Każdy z siedzących w wozach, które wymijały naszą cynkową karetę, przesyłał nam jakiś przyjazny gest: jedni grali na nosie, drudzy przystawiali kciuki do uszu i przebierali palcami, podskakiwali na siedzeniach pokazując, że pękają ze śmiechu, wysuwali język, chwytali się za głowę — bezgraniczna jest ludzka pomysłowość!

Za to cierpliwość mojej siostrzyczki Toni nie była bynajmniej bezgraniczna. Przejechaliśmy chyba ze dwadzieścia kilometrów i Tonia rozkazała mężowi zdecydowanie:

— Zawracaj z powrotem!

— Zapomniałaś czegoś? — zaniepokoił się Wuer.

— Nic nie zapomniałam, zawracaj!

— Powiedz, o co chodzi — spokojnie powiedział Wuer i skulił się nagle, gdyż z głośnym „bach" upadł, przeleciawszy nad jego głową duży pomidor, który wyrzucono z jakiejś ciężarówki.

— Mam tego dosyć — powiedziała Tonia. — Dalej nie pojadę! Zawracaj albo zatrzymaj się, pójdę do domu pieszo.

— Tak przyjemnie zaczęła się podróż, a ty... — w głosie Wuera zabrzmiał wyrzut. — Jurek, powiedz mamie...

— Mamo, no dlaczego? — zaczął popłakiwać Jurek. — Przecież nie rozpędziliśmy się jeszcze! Bo jak się nasz wóz rozpędzi!

— Zawracaj! — powtórzyła Tonia. — Możesz jechać sam. A ja nie chcę. I dziecku nie pozwolę! Przecież sam powiedziałeś, że masz wóz, żeby jeździć po najbliższej okolicy. Po co było wystawiać się na pośmiewisko na autostradzie?

— Ależ prawa automobilizmu — próbował się bronić Wuer, wiedząc zresztą, że żadne prawa go nie uratują.

Wróciliśmy do miasta, bo Tonia nie chciała nałykać się wstydu i wrócić od razu do swego domu. Jurek zalewał się łzami, ale musiał też zostać u dziadków, my zaś we dwóch z Wuerem znowu wyruszyliśmy w drogę. Droga była daleka i powinna była przebiegać dla mnie jak jedno pasmo smutku, ale dzięki Wuerowi i prawom automobilizmu rozbrzmiewała nieustannym śmiechem.

Sunęliśmy z prędkością, do której wymierzenia jeszcze nie wynaleziono żadnego przyrządu. Mam na myśli prędkość minimalną, nie maksymalną. Podróż odbywała się mniej więcej w takich samych warunkach jak poprzednio, ale ponieważ nie było w samochodzie kobiety, kierowcy popisywali się swoją gorliwością mniej żarliwie. Bo nie było przed kim, a narażać się nie miało sensu. Próbowali pokpiwać sobie z nas ci, którzy

jechali w towarzystwie swoich własnych pań, ale nie było to już to samo co przedtem.

— Do diabła — westchnął Wuer. — Tonia powinna się była schować, żeby jej nikt nie widział w wozie, jechalibyśmy sobie spokojnie. Po co ją posadziłem z przodu?

— Przecież siedziała z tyłu — przypomniałem mu. — Ale tam ją również widziano. Jak tu się schować w samochodzie? Alboż przed tą publiczką schowasz babkę w dodatku taką ładną jak Antonida!

— Antonida jest ładna! — ciężko westchnął Wuer. — Ale niepojęte prawa automobilizmu!

Sunęliśmy z szybkością niedopuszczalną w wieku dwudziestym, dokoła rozbrzmiewały mechanizacją pola spółdzielcze, Wuer ukradkiem rzucał spojrzeniem to w prawo, to w lewo i pewnie zepchnąłby chętnie swoje cynkowe niecki w pierwszy lepszy jar przydrożny, popędziłby, żeby w dalszym ciągu mechanizować te pola — tam czuł się rzeczywiście człowiekiem, szanowano go, praca dawała mu zadowolenie. A tutaj — nic tylko prawa automobilizmu!

Przy pierwszej stacji benzynowej odczuliśmy działanie tych praw w całym ich bezlitosnym okrucieństwie. Wuer chwacko dokołował na koniec do długiej kolejki i zahamował ze zgrzytem i skrzypieniem, a ponieważ ogon był długi, zgasił silnik zamierzając spokojnie czekać. Marzenia ściętej głowy. Nasz wóz otoczyli od razu szoferzy, zaczęli walić kułakami po cynkowej budzie, ktoś wybijał jakąś jazzową melodię, ktoś inny proponował nam, że kupi i zdemontuje naszą budę, póki stoimy tu w kolejce po benzynę, mówił, że taka ocynkowana blacha jest mu na gwałt potrzebna, bo musi pokryć chlew.

— Pisz podanie — powiedziałem spokojnie amatorowi pokrycia chlewu ocynkowaną blachą — rozpatrzy-

my je, a kiedy już sobie dobrze poleży, przydzielimy ci cynk, skoro tak go potrzebujesz.

— A coście właściwie za jedni? — od razu zainteresowali się kierowcy.

— Możecie się wystarać o coś z zasobów towarowych?

— Łupek jest?

— A cegły?

— Żużlobeton?

— Wszystko możemy — pochwaliłem się — piszcie podania!

Kolejka posuwała się tymczasem do przodu, ale my staliśmy na tym samym miejscu, bo kiedy Wuer zapalał silnik, stojący za nami wóz wyrwał się tymczasem naprzód. Wuer nie chciał, żeby nasz silnik turkotał, bo wydawał głosy bynajmniej nie harmonijne. Trzeba było silnik znowu gasić, ale zapalić go w porę nie udawało się ani rusz, więc wciąż nas wyprzedzano, staliśmy tu już godzinę czy dwie i zaczynałem podejrzewać, że będziemy stali, jeżeli nie wiecznie, to w każdym razie do końca urlopu czy nawet sezonu uzdrowiskowego. Zorientowałem się wreszcie w sytuacji, wysiadłem z wozu, udało mi się chwycić wąż do tankowania i wymachując nim, by odpędzić atakujących mnie kierowców, krzyknąłem Wuerowi:

— Podjeżdżaj z tamtej strony!

A przez ten czas, kiedy nasze niecki próbowały to tu, to tam przedrzeć się na przestrzeń operacyjną, spokojnie perswadowałem kierowcom:

— Wolnego, nie warto tak na chama! To wóz Ministerstwa Usług Bytowych. Słyszeliście o nim? Komfort dla każdej rodziny. Reklamowy rajd samochodowy Kijów — Symferopol!

Do Symferopola było daleko, dalej niż na Księżyc. Bo na Księżyc — wielkie mi rzeczy! Trzy dni i „Łunochod" już sobie spaceruje po ciele niebieskim! My zaś,

podlegli prawom automobilizmu i skazani na szybkość naszego wozu, nie dojedziemy do Symferopola nawet w ciągu tygodnia.

Co prawda, samochód nie nadużywał naszej cierpliwości. Wytrzymał dokładnie jeden kalendarzowy dzień i stanął na amen. Toczyć się właściwie mógł, ale...

Zresztą wybiegam nieco naprzód, czego nie należy robić. W ogólności wszystko szło dotąd bardzo dobrze. Weźmy bodaj liczne miejsca, w których droga pięła się w górę. Olbrzymie samochody-chłodnie, spycharki, wielokołowe ciężarówki i te mniejsze, podniszczone, ze spółdzielni rolnych — wszystko to stało w długim łańcuchu na łagodnie wznoszącej się drodze, która pięła się, jak się wydawało, do samego nieba, łańcuch posuwał się jeszcze wolniej niż nasz cud techniki, bo gdzieś przed nami pewnie jakiś wóz nie mógł ani rusz sprostać ciężarowi swego olbrzymiego ładunku i zatrzymywał całą kolumnę, kierowcy wołg, moskwiczów i zaporożców, znalazłszy się w królestwie wolnobieżności, denerwowali się, naciskali klaksony, usiłowali prześlizgnąć się między ryczącymi ciężarówkami, które buchały spalinami, i narażali się bądź na katastrofę, bądź na to, że spocznie na nich nie drzemiące oko kontroli drogowej, która zgodnie z bezlitosnymi prawami automobilizmu pojawia się właśnie tam i właśnie wtedy, gdzie i kiedy nikt się jej nie spodziewa. Słowem, nie jazda, tylko męka! Za to my dwaj z Wuerem byliśmy w siódmym niebie! Spokojnie i z powagą zajmowaliśmy miejsce między potężnymi wozami, posuwaliśmy się ze swoją „krążownikową" szybkością nie zwiększając jej i nie zmniejszając, silniki spalinowe spowijały nas w czarne kłęby gazów wylotowych i wydawało się, że nawet nasza budka pokrywa się kopciem i traci swój cynkowy blask. Czuliśmy się za to jak pełnometrażowi automobiliści, poważni obywatele potężnego Mo-

carstwa Automobilowego, nic nam tu nie groziło, przeciwnie, wszystko nam sprzyjało, oddychaliśmy pełną piersią wciągając w płuca gazy wylotowe z silników spalinowych, a wydawało się nam, że jesteśmy już na Krymie i dokoła kwitną róże i oleandry, jak pisał poeta.

Jak się okazało, rzecz najważniejsza w automobilizmie to nie prędkość, lecz regularność ruchu. Spieszyć się trzeba powoli... Dzień się jeszcze nie skończył, a dojechaliśmy już do dużej i sympatycznej tablicy, na której był napis: „Do stacji obsługi — 15 kilometrów".

Przeczytaliśmy napis i przeczytał go chyba również nasz wóz, bo ledwie przejechał koło tablicy, coś w jego wnętrzu się stało, a co właściwie, nie zorientowaliśmy się obaj w pierwszej chwili. Potem zdziwiła nas cisza i dopiero teraz zauważyliśmy, że samochód się zatrzymuje.

— Motor wysiadł — zawołałem do Wuera.

— Słusznie.

— Coś mu zrobił?

— Nic nie zrobiłem.

— Więc dlaczego wysiadł?

— Zaraz zobaczymy — raźnym głosem rzekł Wuer — ustalimy to w jednej chwili! Popchnij mnie tylko, zjadę na pobocze.

Popchnąłem. Wuer wyskoczył z wozu, podniósł maskę i zaczął się przypatrywać silnikowi. Spróbowałem też się przypatrzeć, ale nic nie zobaczyłem. Wszystko było z metalu i wszystko na swoim miejscu.

Na świat boży pojawiła się wtedy korbka, czyli w gruncie rzeczy dźwignia, o której marzył niegdyś Archimedes zamierzając podnieść kulę ziemską.

— No pokręć! — powiedział Wuer.

Pokręciłem.

— Daj, ja pokręcę.

Pokręcił Wuer.

— No, teraz znowu ty.

Co tu gadać, w ciągu całego dnia można się w wozie tak zasiedzieć, że nie pomoże nawet taka gimnastyka, jaką uprawiają kosmonauci. Więc prośbę o pokręcenie korbką człowiek przyjmuje do wiadomości z jak największym zadowoleniem. Pokręciłem.

— No to jeszcze raz ja!

Zaniepokoiłem się już trochę.

— I jeszcze raz ty!

Pokręciłem.

— Kręć!

Wykonałem rozkaz.

— Kręć jeszcze!

Zaczynało mi to już przypominać kręcenie z perspektywy wieczności. I chyba już nie ja kręciłem korbką, tylko mną obracano na wszystkie strony. Przeklęta korbka nie była obliczona na normalny wysiłek fizyczny przeciętnego obywatela. Nie pomogło moje pochodzenie robotnicze ani moje pokryte odciskami ręce. Od razu porobiły mi się od tej korbki pęcherze na dłoniach, oczy mi zalewał pot, taki gęsty i lepki, że nawet mi się nie śniło, by go mógł wydzielać mój organizm, a Wuer pokrzykiwał:

— Kręć, kręć!

Silnik milczał. Odrzuciłem wreszcie korbkę. Usiadłem na trawie, wyciągnąłem przed siebie nogi i zabrałem głos, by złożyć nie przewidziane porządkiem dziennym oświadczenie.

— Podobno człowiek jest zwierzęciem, które opanowało sztukę inżynieryjną. Jako Wuer widocznie potwierdzasz tę definicję. Ale brak ci jeszcze wiadomości z zakresu sztuki automobilowej. Musisz to wyznać szczerze i otwarcie.

— Prawa automobilizmu — zaczął Wuer, ale nie pozwoliłem mu dokończyć.

— Prawa automobilizmu podpowiadają nam, żebyśmy zanocowali w tej tu stercie słomy, a jutro z rana spróbowali dotrzeć do stacji obsługi. Dzięki troskliwości mojej mamy, a twojej teściowej, mamy coś niecoś na kolację, jutro zaś przejdziemy na wikt państwowy.

— Spróbuję coś zatrzymać — powiedział Wuer — przecież samopomoc...

Nikt mu pomóc nie zamierzał, nie zatrzymał się żaden samochód, mimo że Wuer gorliwie wymachiwał rękami; wszyscy kierowcy byli jakoś pewni, że stroi sobie z nich żarty. Może zresztą stało się nawet lepiej, bo inaczej nie miałbym sposobności przespać się w słomie. Słoma była świeża, pachnąca, szeleszcząca, spało mi się słodko, a śnili mi się kierownicy wielkich mocarstw, którzy urządzili spotkanie na najwyższym szczeblu, by rozwiązać problemy automobilizmu w skali planetarnej.

Obudziłem się wcześnie, słońce jeszcze nie wzeszło, ale Wuer wstał widocznie jeszcze wcześniej, bo w słomie go nie było. Koło samochodu również. Na siedzeniu leżała karteczka: „Poszedłem na stację obsługi". Zapomniał zabrać wóz. Zapomniał, że stacja obsługuje samochody, nie ludzi. No, nie ma nieszczęścia. Poszedł, więc niebawem wróci!

Poleżałem jeszcze trochę w słomie rozmyślając, jakie mimo wszystko genialne są prawa automobilizmu, i wkrótce zmuszony byłem upewnić się, że prawo pomocy wzajemnej również istnieje. Do naszych niecek podjechała umorusana wywrotka, chwacko zawróciła, przybliżyła się tyłem do naszej chłodnicy, a z szoferki wyskoczył rozweselony Wuer z liną w ręku.

— Jedziemy, Mytiu! — zawołał. — Naprawimy zaraz wóz i w drogę!

Okazało się, że idąc na stację obsługi Wuer natknął się na wywrotkę, która wyjechała na autostradę z polnej drogi. Należała do jakiejś spółdzielni rolnej, no a z kierowcami ze spółdzielni rolnych Wuer gadać umiał!

Wywrotka doholowała nas do samej bramy stacji obsługi. Wuer odczepił linę i podziękował kierowcy, który pomachał ręką i pojechał dalej, my zaś skierowaliśmy się do bramy.

Wisiała na niej kłódka, a przed tą kłódką siedziała na stołku zaspana osoba, która apatycznym głosem poinformowała nas:

— O, tam. Wpierw się trzeba zgłosić, potem zapłacić pieniądze, a wtedy dopiero wpuszczam.

Tam, gdzie trzeba się było „zgłosić", stała kolejka. Nic strasznego. Można postać. Dotarliśmy wreszcie z Wuerem do okienka, za którym siedziała jeszcze jedna zaspana i obojętna osoba. Oświadczyła nam, że zgłosić się można tylko wtedy, kiedy udzieli na to pozwolenia główny mechanik.

— Gdzie on jest? — aż podskoczył poirytowany Wuer.

— Poszukajcie — powiedziała osoba ziewnąwszy. — Gdzieś na terytorium.

Jak wiele znaczy dobra rada!

Znaleźliśmy głównego mechanika momentalnie. Chodził po podwórzu stacji obsługi leniwie, z ważną miną, a za nim falowała pstrokata chmara oszalałych automobilistów, którzy na wyścigi coś wykrzykiwali, prosili o coś, błagali, żebrali; wszechpotężny pan tego przytułku dla niepełnosprawnych wozów wyjmował z kieszeni paczkę amerykańskich papierosów, z królewską nonszalancją wyjmował długi papieros ze specjalnym filtrem, mlasnąwszy apetycznie wargami pakował do ust niemal jego połowę i w tej samej chwili przy

drugim końcu papierosa zapalało się kilkanaście zapałek i zapalniczek, gdyż każdy z automobilistów usiłował sięgnąć do papierosa pierwszy, przysłużyć się wielkiemu mechanikowi, panu i władcy. Jednym ruchem ręki mechanik odtrącał wszystkie płomyki i błysnąwszy własną zapalniczką, taką gazową, z importu (cud techniki i komfortu) przypalał i wypuszczając kłęby dymu szedł w stronę boksów, gdzie nad kanałami rewizyjnymi stały wozy tych, którym los się uśmiechnął.

Mechanik podszedł do moskwicza, spod wozu wylazł starszy sierżant, nadterminowy, cały wysmarowany, mechanik skinął mu głową:

— Co, kapitanie; demontujesz?

— Demontuję.

— Demontuj, demontuj!

Mechanik szedł dalej. Koło wołgi z moskiewskim numerem stało dwóch mężczyzn i kobieta, manipulowali przy wiertarce elektrycznej zamierzając wywiercić z głowicy bloku cylindrów złamaną śrubę. Mechanik zapytał ich:

— No, ministrowie, wiercicie?

— Wiercimy.

— Wierćcie, wierćcie.

Tęgi mężczyzna ciężko sapiąc rozśrubowuje małego zaporożca starego typu.

— Co, wielorybniku, rozśrubowujesz?

— Rozśrubowuję.

— Rozśrubowuj, rozśrubowuj.

Ktoś śmielszy spróbował przemówić mechanikowi do sumienia. Może nie śmielszy nawet, lecz po prostu zuchwalec.

— Nie zapominaj pan, że nie my tu jesteśmy dla was, tylko wy dla nas. Powinniście nas obsłużyć.

— Obsługuj się pan, obsługuj — wypuścił kłąb

słodkawego dymu wszechwładny pan stacji. — Zobaczymy, co będzie, kiedy produkcja wzrośnie do miliona samochodów rocznie. Jak się pan wtedy obsłuży?!

Był to leń ideowy — nasz Krywcun nawet się nie umywał do niego. Bo cóż Krywcun — taki sobie prymitywny nicpoń, bez żadnego autorytetu i władzy, ladaco indywidualny, samouk. A tutaj widać jak na dłoni, jaka to bieda, kiedy nicwart staje się wszechpotężny.

Mechanik był mimo wszystko strasznie podobny do Krywcuna. Jak rodzony brat. Nawet tak samo elegancko ubrany, we wszystko z importu. Chętnie bym go zapytał, czy nie jest krewnym naszego Krywcuna. Głupie pytanie, ale zawsze jakaś rozrywka dla śmiertelnie nudzącego się człowieka.

Zacząłem się przedzierać do mechanika.

— Co pan powie, pułkowniku? — zapytał. Chciał zbić mnie od razu z tropu tym niespodzianym tytułem.

— Jestem majorem, panie dyrektorze — odpaliłem.

— Majorem? Będziesz pułkownikiem.

— A ty, dyrektorze, nie jesteś przypadkiem Krywcunem?

Mimo wszystko stropił się trochę. Bo od razu i dyrektor, i jakiś, licho go wie, Krywcun. Dyktatorska poza pomogła mu jednak ukryć tę chwilową konsternację.

— Prawcun jestem, pułkowniku. Niepotrzebnie do nas zajechałeś. Co wieziesz? Kawony? Melony? Nie kupujemy.

— Rajd reklamowy. Żmerynka-Bachczysaraj. Jedziemy do fontanny.

— Reklamuj, reklamuj.

— Popatrz na nasz wóz, nigdy takiego nie zobaczysz

— Wszystko już widziałem. Nie chcę.

— To przyślij elektryka. Coś nie w porządku z zapłonem.

— Posłać też nie mogę. Sam jestem elektrykiem.

— Więc popatrz sam.

— Powiedziałem, że nie chcę.

— Wykonasz plan.

— Już wykonałem.

— Wykonasz z nadwyżką.

— Wykonałem już z nadwyżką.

Wtem komuś udało się odciągnąć mechanika ode mnie i wszystkich innych, zaczęły się negocjacje dwustronne, zaszeleściły trójki i piątki. Wziąłem Wuera na bok.

— Szkło masz?

— Dwie butelki morelówki.

— Przygotuj jedną!

Wuer jeszcze się ociągał.

— A może powiemy, że jesteś laureatem? Żeby bez tej kolejki i straty czasu...

— Też coś! Obedrze nas wtedy, że pojedziemy na Krym na golasa. Szykuj butelkę!

Dopchałem się znowu do władcy.

— Co, pułkowniku?— zapytał od niechcenia.

— Coś ci zaproponuję.

— Proponuj, proponuj.

— Trzeba to rozpatrzyć.

— No dobra.

Jednym królewskim ruchem ręki odpędził automobilistów. Dyktator!

— Tylko krótko i szybko, bo jestem zmęczony.

— Jesteśmy z terenu.

— Z jakiego?

— Z tego, gdzie zatyka się butelki kaczanami kukurydzy.

— Propozycja przyjęta. Gdzie jest twoja łajba?

Pokazałem, jakkolwiek zauważył nas od razu, kiedyśmy podjechali do bramy. Oko miał jak strzelec wyborowy.

Wuer szastał się wokół mechanika z niezwykłym ugrzecznieniem — nawet nie wiedziałem, że jest do czegoś takiego zdolny.

— Spokojnie — powściągnął jego gorliwość mechanik — nie migaj mi przed oczami. Męczą mi się, kiedy tak biegasz. Pokaż, co z tą iskrą. Powiadasz, że nie ma jej. Dobra. Korbka jest?

Wetknął korbkę wcale nie tam, gdzie wtykaliśmy ją my. Prosto w silnik. I nie kręcił, tylko coś tam jakby uniósł. Posłużył się korbką jak Archimedes dźwignią.

— No, bracie, naciskaj starter.

Wuer nacisnął, starter prychnął, silnik warknął. Cud!

Bez zbędnych słów wręczyłem mechanikowi butelkę zatkaną kaczanem kukurydzy i, jak nakazywała grzeczność, wyraziłem mu podziękowanie w imieniu naszej załogi.

— Rajd reklamowy trwa! — zawołałem wesoło.

— Stop, pułkowniku, jeszcze nie wszystko — zgasił moją radość mechanik — teraz wybieraj. Albo wypisz rachunek na dwa osiemdziesiąt i wpłać do kasy, albo wykładaj piątkę bez biurokracji.

— A kaczan? — zapytałem trochę naiwnie.

— To moje premialne. A państwowa taksa — to co innego. Dla państwa musi być plan.

Przeciwko planowi wystąpić nie mogłem. Wykombinowawszy sobie, jak długo trzeba będzie stać w kolejce, żeby wypisać rachunek, dałem mechanikowi pięć rubli.

— Przyjeżdżaj, pułkowniku. Kumpla też przywieź, taki jest cichy.

— Ominiemy cię, dyrektorze, z daleka ominiemy.

— Omijajcie, omijajcie.

Pewnie długo wybierano strefę klimatyczną dla tej stacji. Albo wytworzono antyklimat samochodowy już po wybudowaniu stacji. Bo ledwieśmy ujechali równo piętnaście kilometrów, tylko w innym kierunku, nasz wóz znowu stanął koło takiej samej tablicy reklamującej stację obsługi jak wczoraj. Może tablice mu się spodobały, a może obsługa.

Spróbowaliśmy wetknąć korbkę mniej więcej w to samo miejsce co mechanik, ale nic z tego nie wyszło. Kręcić już, rzecz jasna, nie próbowaliśmy. Nie mieliśmy jakoś chęci. Wuer, wymizerowany i rozzłoszczony, popędził na przełaj do najbliższego gospodarstwa rolnego. Z Wuerem człek nie zginie. Przed obiadem stanęliśmy znowu przed bramą stacji. Zaspany wartownik zrzuciwszy koszulę opalał się na słońcu, obojętnie opędzając się od automobilistów. Nas poznał, bo trudno nie poznać cynkowych niecek na kółkach, ale rozłożył ręce. Mechanika już nie było. Po całym dniu pracy zniknął aż do następnego rana.

Musieliśmy się przespać na siedząco w wozie.

Od świtu biegaliśmy wokół wozu jak rozwścieczone tygrysy. Szczerze mówiąc, żal mi było mechanika. Ten nie przestraszył się nas wcale, przeciwnie, ucieszył się.

— Kogo widzę? — zawołał już z daleka. — Pułkownik? Z kumplem? No, zuchy! Znowu iskra wysiadła?

— Znowu — posępnie spojrzał na niego Wuer.

— A przywieźliście premialne?

Wyciągnąłem korbkę, znacząco ważąc ją w ręku, wręczyłem mechanikowi i powiedziałem słodkim głosem:

— Masz to narzędzie, dyrektorze. I pokaż, daj nam lekcję poglądową, gdzie je pakujesz i w jakim celu.

Wytłumacz nam popularnie. Dostaniesz wtedy swoje premialne i banknocik bez wypisywania rachunku. Bo...

W jednej chwili zrozumiał znaczenie mego „bo" bez zbytecznych objaśnień.

— Nie denerwuj się, pułkowniku. Pomogłem wam z całego serca. Wibracja. Słyszałeś? W starterze brakuje jednej śrubki i z powodu tej wibracji starter oddala się od przekaźnika, nie ma styku i motor się nie zapala. Podważamy więc korbką starter, stawiamy go na miejsce i twój kumpel naciska. O tak. W porządku.

Pożegnaliśmy się tym razem jako przyjaciele na wieki wieczne.

— Dokąd pojedziemy? — zapytałem Wuera. — Dalej czy kierunek na dom, póki mamy jeszcze niedaleko?

— Wracajmy chyba do domu — westchnął Wuer. — Najeździłem się już.

Może było tak, a może inaczej. Nic nie stało na przeszkodzie, żebyśmy się wybrali z Wuerem w taką niezwykłą i, powiedziałbym, komiczną podróż, ale z drugiej strony szczególnie potrzebna nie była, a Wuer jako człowiek obznajomiony ze sprzętem technicznym dobrze wiedział, że jego ocynkowany wóz niezbyt się nadaje do wyjazdów poza granice okolicy wiejskiej. Podróż ta potrzebna była tylko mnie po owej idiotycznej historii z Klementyną, kiedy znalazłem się w tym chyba każdemu dobrze znajomym stanie ducha, w którym chce się człowiekowi „zapaść pod ziemię". A ponieważ jeszcze nikomu nie udało się zapaść pod ziemię, ja zaś w najbliższej przyszłości w ogóle nie planowałem nic podobnego, musiałem więc bodaj w wyobraźni wywędrować z rodzinnego miasta, zmienić na jakiś czas otoczenie i, szczerze mówiąc, ratować się ucieczką, jeżeli nawet nie rzeczywistą, to wymyśloną.

Prawo kompensacji, jakie odkryłem, działa stale, wymaga jednak cierpliwości, gdyż działanie to przebiega w czasie nierównomiernie. Czas oczekiwań nie jest równy czasowi spełnień i trzeba się umieć odpowiednio dostosowywać do czasu oczekiwań, starać się żeby upływał niepostrzeżenie i nie dawał się we znaki. Wyjście najprostsze wielu ludzi widzi w tym, co prymitywnie, powiedziałbym, wulgarnie nazwano „zabijaniem czasu". Zabija się czas zbijaniem bąków, nieobowiązkowymi sprawami, wytężoną pracą. Nie wiem, może próżnowanie czy jakieś bagatelne sprawy rzeczywiście go zabijają, podobnie jak zatraca się czas w tajemnicach starych legend i proroctw. Ale pracą, prawdziwą pracą czas nadrabiamy. Koncentruje się wtedy, przybywa go, od nieokreślonych nadziei musi doprowadzić do spełnień i dlatego, jeżeli bywa mi nawet niekiedy bardzo ciężko, zawsze sobie powtarzam: nie rozklejaj się, nie trać otuchy, zakasz rękawy i bierz się do roboty!

Nie udałem się w żadną podróż, nie zachorowałem ze zmartwienia i krzywdy wyrządzonej mi przez Klementynę, nikt się o niczym nie dowiedział, nawet Zizi nic nie wiedziała i nigdy się nie dowie i chyba tylko Krywcun mógł coś zauważyć, bo już nie patrzyłem na niego więcej jak na domniemanego rywala, tylko zabrałem się do niego na całego, żeby zrobić z niego człowieka, prawdziwego naszego chłopca, mistrza żelaznego rzemiosła, bo po co miałby nadal przebywać w leniwym świecie półpragnień, półmyśli i półnadziei!

Zostałem wreszcie znowu pierwszym pomocnikiem i sojusznikiem Loni Szlachtycza i teraz też zaczęliśmy realizować w naszej strefie montażowej zasady Dobrej Roboty.

Wypracowaliśmy sobie wytyczne.

Po pierwsze: nie szukaj winnych, szukaj przyczyn zakłócenia.

Po drugie: lepiej pracuje ten, kto się uczy.

Po trzecie: nie ma anonimowych wykonawców, każdy odpowiada za swoją pracę i otrzymuje w tym celu numer roboczy.

Po czwarte: za dobrą pracę należą się wyróżnienia. Złota odznaka daje prawo do dodatku specjalnego w wysokości 50 proc. uposażenia albo do bezpłatnego skierowania na wycieczkę zagraniczną. Srebrna odznaka upoważnia do dziesięcioprocentowego dodatku, a brązowa — daje prawo do wyboru terminu urlopu.

Po piąte: nie trzeba nam ludzi dodatkowych, niech wszyscy będą pracowici.

Po szóste: nie czekaj na słowa zachęty, sam stawaj co dzień ochoczo do pracy.

Innymi słowy, zmuszaj do biegu swoje nieposłuszne nogi!

Stosowaliśmy doświadczenia Szczokina, uczyliśmy się od saratowian, codziennie wymyślaliśmy coś własnego, co dodawaliśmy do zasad Dobrej Roboty i przybliżaliśmy się w ten sposób do czasu spełnień, do dnia, w którym nasz oddział — cud ujęty w elektroniczny pierścień systemów matematycznych — drgnie po raz pierwszy, w którym zacznie bić jego automatyczne serce, by zapoczątkować piękny i tajemniczy proces przetwarzania żelaza z nie zorganizowanej, bezkształtnej masy w precyzyjne wyroby o wielkim przeznaczeniu.

A więc nie zabijałem czasu, lecz tworzyłem go na co dzień i co godzina spodziewając się spełnień i kompensacji nie w płaszczyźnie państwowej, lecz spełnień po prostu osobistych, przeznaczonych tylko dla Dmytra Czeredy, człowieka młodego, a więc nie pozbawionego umiejętności i chęci czekania.

Zdawało mi się: w każdej chwili mogą się otworzyć

drzwi i wejdzie... Co i kto wejdzie, nie wiedziałem. Bogini szczęścia? Nie wierzyłem w boginie. Anioł wielkości naturalnej? Znałem anioły tylko z obrazów starych mistrzów, a ci byli zajęci głównie doborem kolorów i jeszcze nie mieli czasu zorientować się w budowie wszechświata. Więc kto i co miało wejść? Alboż wiedziałem? Wystarczy, że czekałem i czekałem cierpliwie, dzielnie, bohatersko, tworząc w imię tego oczekiwania mnóstwo czasu wypełnionego całkowicie pracą, dobrą robotą w naszym przyszłym oddziale, który można było już dzisiaj nazywać oddziałem przyszłości. Po co właściwie autorzy powieści fantastycznych piszą o astronautyce i syntetycznych ludziach przyszłości, zamiast zejść na naszą grzeszną ziemię, na której dotychczas jeszcze kopie się grunt łopatami, wywozi się taczkami żelazne wióry z hal (w naszym kraju — pięć ton żelaznych strużyn rocznie!) i zamiata ulice takimi samymi miotłami jak w starożytnym Egipcie. Co prawda, są rzeczy, jakich nie uda się zmienić ani z pomocą fantastyki, ani z pomocą maszyn elektronicznych. Bo jabłka rosną tak samo, jak rosły przez tysiące lat, dzieci rodzą się w dziewięć miesięcy od poczęcia, a kamień rzucony w górę spada na ziemię pod wpływem siły przyciągania.

Zresztą autorzy książek fantastycznych widzą w antygrawitacji jedną z głównych zasad przyszłej techniki. Siła przyciągania zostaje przezwyciężona, ludzie korzystają z siły odpychania, która panuje we wszystkim. Pewnie, jak mi się zdaje, ludzkość nauczyła się już dawno przezwyciężać siłę przyciągania i przypomina klepsydrę, w której piasek przechodzi stopniowo w górę, zamiast sypać się w dół, co wydaje się na pierwszy rzut oka przeciwne naturze. Wszystko spada w dół, w górze zawsze zostaje wolna przestrzeń, a tu na odwrót: wbrew wszystkim znanym prawom

natury ludzkość przechodzi w górne sfery życia nie pozostawiając niemal nic na dole. Czy jest to nowe prawo, które wytworzyła cywilizacja, czy początek wszystkich przyszłych przeobrażeń, jakich dokona jeszcze na świecie człowiek ze swoją niestrudzoną pracowitością i żądzą twórczości?

Będę jeszcze miał sposobność opowiedzieć dokładniej o jednym z takich sposobów przejścia w zbyt wysokie sfery życia, a na razie muszę zrelacjonować, jak to było z realizacją prawa kompensacji, jak nareszcie otworzyły się drzwi i...

Co wiecie o otwartych drzwiach? Pamiętacie, jak nasz niezapomniany Gogol pisał o śpiewających drzwiach? O ich stugłowym śpiewie. A żeby drzwi nie śpiewały i nie skrzypiały, trzeba je smarować gęsim smalcem. Gęsi zaś smalec... No, któż nie wie, skąd się bierze gęsi smalec!

Ale, dziwna rzecz, u mnie wszystko wiąże się z indykiem. Może to trochę śmieszne, ale nie ma rady.

Kupowanie indyka należało do naszych zwyczajów rodzinnych. Przypadało na jesień, bo jesienią nasze miasto wypełnia się najobficiej, jeżeli można się tak wyrazić, darami pól. Wiozą ludzie ze stepów pulchne, jakby spieczone na słońcu placki, na niezliczonych kamiennych stołach miejskiego bazaru pysznią się obok rdzawożółtych gruszek jedyne na świecie ukraińskie jabłka: renety, kalwile, jonatany. A na straganach z nabiałem i mięsem znajdziemy najsmaczniejszą na świecie „riażankę", niezwykle delikatny w smaku owczy serek, usmażone tej nocy krwawe kiszki, wędzone nóżki wieprzowe i szynki, tam znów leżą żółte od tłuszczu gęsi, długonogie koguty, z których gotuje się świetną galaretę, i wreszcie szczyt szczytów, arystokracja

naszego drobiu stepowego, indyki o białej skórze i białym mięsie!

Leżały na szarych kamiennych stołach dumnie i majestatycznie, przed zgiełkowym drobnym handlem rynkowym chroniła je nieprzystępna na zwykły dzień powszedni cena, która nie wykluczała jednak, że ten i ów urządzał sobie czasem święto spożycia tego świętego ptaka stepowego; mobilizowano wtedy wszystkie oszczędności, budżet domowy odpowiednio przerabiano, pani domu w towarzystwie jednego z odpowiedzialnych członków rodziny udawała się na targ, wybierała największego i najpiękniejszego indyka, którego uroczyście przynosiła do domu i...

Nie wiem jak u kogo, ale u nas każdej jesieni kupowano, pieczono i zjadano indyka, właśnie jesienią, bowiem ileś tam lat temu miał zaszczyt przyjść na świat obywatel, który zwie się Dmytro Czereda.

Mama piekła indyka na kolor brązowozłoty, był to indyk niczym u zmarłego prezydenta Eisenhowera, jeżeli nie jeszcze wspanialszy, a co najważniejsze, kupowaliśmy go z mamą zawsze we dwoje, we dwoje go wybieraliśmy i nieśliśmy do domu, nawet w pieczeniu pomagałem mamie zapoznając się z niełatwą rzeczą, z przyrządzaniem smacznych potraw.

Tato nigdy nie chodził na targ. Miał zasadę: nie należy popierać własności prywatnej. Co do mnie, to naginałem prawa ekonomii politycznej do własnych potrzeb. Co to takiego indyk? Własność prywatna czy osobista? Nie bądźmy drobiazgowi i zbyt skrupulatni. Póki jest cudzy — to własność prywatna, a kiedy należy już do mnie — to osobista. A jak wiadomo, własność osobista nie jest u nas zabroniona.

Otóż nastała jesień i poszliśmy oboje z mamą na bazar, żeby kupić naszego tradycyjnego indyka.

Nie przesadzajmy. Kupowanie indyka nie jest żad-

nym obrzędem, tylko zwykłym procesem roboczym. W procesie tym służyłem za siłę pomocniczą, czyli środek transportowy, innymi słowy niosłem indyka do domu.

Byłoby tak również tym razem i właściwie tak też było, ale przedtem los otworzył mi drzwi.

Szliśmy z mamą koło straganów z kwiatami, gdzie aż się pstrzyło od różnych kolorów, od bieli, czerwieni, niebieskości i liliowości; kwiatów na naszym bazarze było zawsze mnóstwo, a ludzi kręciło się tu chyba jeszcze więcej niż było kwiatów. Nigdy nie zwracałem na te tłumy uwagi i nikt nie zwrócił mojej uwagi także tym razem, dochodziliśmy już z mamą do końca tego szeregu straganów, kiedy wyszły na nasze spotkanie dwie kobiety czy raczej starsza kobieta i dziewczyna, może córka z matką albo dwie siostry — starsza i młodsza, może siostrzenica z ciotką, było mi wszystko jedno kto i co, nie widziałem niemal starszej, oszołomiony, wstrząśnięty, wprost porażony widokiem młodszej. Biała i delikatna, usta stworzone do pocałunków, na czym zresztą nie znałem się jak należało, oczy bezdenne, czym przypominały mi tamte, szare, twarz, która budziła niepokój i koiła go zarazem, porywcze ruchy. Zjawiła się i zniknęła, nie ma jej, nie ma ani śladu. Chyba kupowały kwiaty czy już je miały w rękach, gdybym nie był w towarzystwie mamy, może zdobyłbym się na odwagę i podszedł, ale ona była również z matką czy kimś tam. Przyleciała z wiatrem i zniknęła. Na wieki. Była rzeczywiście „Zjawiskiem, cieniem zwiewnym". A Klementyna — to raczej „uwznioślające kłamstwo".

Stanąłem jak wryty i tak bym stał na tym samym miejscu, gdyby mama się nie odwróciła i nie zawołała mnie. Uleciała z wiatrem. Otworzyły się drzwi

i zamknęły. Przyszła kompensacja za stratę i od razu zostałem z pustymi rękoma.

Po wylegiwaniu się na Skrzypajce i czytaniu listów, po rozczarowaniu z powodu Klementyny byłem jednak filozofem ostrożnym.

Spokojnie niosłem za mamą indyka z targu i usiłowałem wyrzucić z głowy tę, co wyjrzała z otwartych drzwi losu.

Nie zakochałem się.

Nie zaprzątnąłem sobie głowy.

Miałem wszak doświadczenie i z Szarymi Oczami, i z Klementyną.

Poza tym znałem się trochę na zwykłej arytmetyce. Nasze miasto liczy kilkaset tysięcy mieszkańców, a Związek Radziecki — dwieście czterdzieści siedem milionów. Ziemię zamieszkuje trzy i pół miliarda ludzi. Gdzie szukać dziewczyny, o której nie wiem nic poza tym, że dzisiaj spotkałem ją na bazarze, kiedy kupowała kwiaty? Nie wiem, jak się nazywa, nie wiem, gdzie mieszka, nie wiem nawet, jaką jest obywatelką, bo może to turystka z zagranicy, która zawędrowała przypadkowo na bazar w mieście wśród stepów, żeby kupić tak pięknie pachnące ukraińskie kwiaty.

Gdzie jej szukać?

Szukać nie będziemy!

Dzieci przypominają wróble. Rozbiegają się i znowu zlatują w jednym miejscu. To zbijanie się w gromadkę jest wróblim kompleksem.

Zizi przyleciała. Tym razem już nie sama. Tato i mama chodzili z uroczystym i trochę wystraszonym wyrazem twarzy. Zizi się żeni! Raczej już się ożeniła! Ktoś mi pewnie powie, że mówi się: wyszła za mąż, nie wierzyłem jednak, by znalazł się na świecie mężczyzna,

który mógłby się ożenić z Zizi. Tylko ona mogła się ożenić!

Mężem Zizi okazał się ów technokrata Derżykraj, który przywiózł ją w celu rozwiązania tajemnicy zagadkowych listów. I okazało się teraz, że był rzeczywiście synem starej Derżykrajowej, która miała najsmaczniejsze w naszym mieście wiśnie. Ale wszystko to nie miało większego znaczenia: i że Derżykraj był synem starej Derżykrajowej, i nawet fakt, że ożeniła się z nim Zizi. Wyszło na jaw, że Derżykraj nie przyjechał do miasta z powodów natury rodzinnej i nie po to, by ożywić wspomnienia z dzieciństwa, które spędził, zdaje się, z Lonią Szlachtyczem, jakkolwiek przyjaciółmi nigdy nie byli. Nie, towarzysz Derżykraj, z dyplomem i nawet stopniami naukowymi, został mianowany kierownikiem nowej walcowni, tego samego oddziału, w którym od dłuższego już czasu stosowaliśmy swoją zasadę Dobrej Roboty, który budowaliśmy nie dla kogoś, lecz dla siebie.

Dziwiliśmy się, dlaczego nie mianowano kierownikiem oddziału Szlachtycza. Przecież jak nikt inny dowiódł, jakim jest zdolnym inżynierem, mógł bodaj dziś zostać głównym inżynierem huty — starczyłoby mu i wiedzy, i autorytetu. No dobra. Szlachtycz nigdy by się nie zgodził kogoś zepchnąć, nie znosił takich posunięć, kiedy w grę wchodziło jego dostojne ja, ale w nowym oddziale nie trzeba było żadnych przesunięć, przyszliśmy tu, kiedy była jeszcze na tym miejscu „strefa montażowa", na cały rok zapomnieliśmy o swoim zawodzie, o swoich wysokich kwalifikacjach walcowniczych, sam Szlachtycz pracował nieraz nie jak inżynier, lecz jak niewykwalifikowany robotnik, i wszystko to po to, żeby nam teraz przysłano kierownika oddziału? Nawet wielki znawca praw, Krywcun, był oburzony tą niesprawiedliwością i wszędzie wykrzykiwał, że tylko

Szlachtycz ma wszelkie prawa do stanowiska kierownika oddziału, a obcy nie mają tu nic do roboty.

Derżykraj nie był taki głupi, żeby nie wyczuć naszego ogólnego nastroju. Nie przyjechał jednak po to, żeby mu ulegać.

Zwołał całą załogę oddziału na krótką naradę, stanął przed nami w swojej białej jak śnieg koszuli, krótko ostrzyżony, krzepki i ruchliwy, pochylił jak do ataku swoje strome czoło i spojrzał przez okulary w czarnej profesorskiej oprawie.

— Wszystkie te rozmówki w oddziale puszczam mimo uszu. Nie dzielmy skóry na niedźwiedziu. Skoro mianowano mnie tu kierownikiem, nie myślę pluć sobie w brodę, że spod dobrego deszczu wpadłem pod kiepską rynnę. Dziękuję za uwagę.

Domyśliliśmy się z tej jego przemowy, że Derżykraj jest człowiekiem grzecznym (podziękował za uwagę) i dobrze zna folklor (na poczekaniu modyfikuje przysłowia).

Okazało się jednak wkrótce, że pierwsze wrażenie bywa bardzo mylne. Dziękując bowiem za uwagę Derżykraj ani myślał rzeczywiście komuś dziękować, a przysłowia mu podsuwała maszyna elektroniczna, której rady zasięgnął przed pierwszym swoim przemówieniem na hali.

Niebawem za przykładem Derżykraja przyjechało jeszcze kilku takich samych jak on chłopaczków-technokratów i wtedy zrozumieliśmy, że zobaczymy, jak żelazny wilk śmieje się ostatni, mówiąc stylem komputera, z którego korzystał Derżykraj.

Chłopcy wyglądali zupełnie tak samo jak Derżykraj. Wszyscy w białych koszulach, wszyscy ostrzyżeni. Mówi się przecież, że człowiek jest zwierzęciem, które się strzyże.

Początkowo ich białe koszule pod koniec dnia pracy

miały opłakany wygląd, ale nadal przychodzili uparcie w koszulach świeżo odprasowanych i wytrwale zaprowadzali porządki w oddziale; niebawem dopięli swego, nasz oddział zaczął przypominać coś japońskiego czy w ogóle nie z tej ziemi.

Derżykraj poniechał elektroniczno-porzekadłowych igraszek z masami i ukazał im swoje rzeczywiste oblicze:

— Mamy piękny oddział i potrzebni nam są piękni ludzie, żeby praca szła tu rzeczywiście pięknie, bo tylko w tym wypadku będziemy produkowali piękne rury.

Od razu przezwaliśmy Derżykraja „Piękną rurą".

On zaś niestrudzenie demonstrował swoją niebywałą uczoność:

— W stadium realizacji planu przy operatywnym planowaniu produkcji w ostatecznym rezultacie chodzi o zapewnienie przewidzianego w planie bieżącym poziomu wskaźników planu i oceny.

Mówiąc po ludzku: wykonywać plan to znaczy plan wykonywać. Derżykraj nie życzył sobie jednak gadać po ludzku, podobał mu się elektroniczny, że tak powiem, sposób bycia.

Byłem pierwszy, który poczuł na własnej skórze ten sposób bycia, bo zetknąłem się z Derżykrajem nie w oddziale, lecz u siebie w domu.

Zizi przyleciała i przywiozła ze sobą Derżykraja. Właściwie on ją przywiózł własną wołgą, co pozwalało mu traktować z góry resztę ludzkości nie posiadającą własnych wołg. Trzeba było wyładowywać z wozu mnóstwo waliz i tobołów. Cały dobytek Zizi i Derżykraja.

— Przyjechaliśmy na stałe. Będę teraz mieszkała z wami — szczebiotała Zizi — skończyły się spotkania i rozłąki, nareszcie, nareszcie wszystko się skończyło...

Derżykraj w swojej białej koszuli niestrudzenie dźwigał walizy, komenderował nami wszystkimi tak, jakby mieszkał w naszym domu co najmniej ze dwieście lat: „To tam, a to tutaj, owo tak i siak!" Dał się od razu poznać jako człowiek o umyśle ścisłym i przy tym niezwykle nachalny, bo wypadało bodaj dla przyzwoitości pytać, a nie tak od razu komenderować. Zachowanie Derżykraja literalnie oszołomiło mojego zawsze delikatnego tatę, ale co do mamy, to niewiele sobie robiła z zagrań zięcia i kiedy wszystko zostało już rozstawione i upchane, zapytała Zizi po prostu, kiedy urządzić wesele i w ogóle jak je urządzić, kogo zaprosić prócz sióstr, które koniecznie trzeba obie wezwać.

Zizi może by się zgodziła na wesele, ale głos zabrał towarzysz Derżykraj, jakkolwiek nikt go właściwie nie pytał, i oświadczył, że nie trzeba żadnego wesela, bo cóż to takiego wesele? Pozostałość po dawno już minionych czasach, element feudalizmu, barbarzyństwa i pogaństwa, my zaś jesteśmy nowymi ludźmi, współczesnymi i przodującymi, pięknymi ludźmi, budującymi piękne społeczeństwo i piękne życie.

— Ależ jak można nie urządzać wesela? — klasnęła w dłonie mama. — Przecież wszyscy nas wyśmieją!

— Jacy wszyscy? — zainteresował się Derżykraj. — I co to znaczy „wszyscy"? Czy uważa mama, że to normalne, kiedy wypełniają całe mieszkanie mało znani lub w ogóle nieznajomi ludzie, jedzą, piją, gadają głupstwa i drą się na całe gardło „gorzko", a nowożeńcy mają im demonstrować pocałunki zapominając o wszelkim wstydzie, jakby nie byli już ludźmi, tylko zwierzętami w zoo! Jestem przeciwnikiem takich wesel! Opowiadam się za dobrymi stosunkami międzyludzkimi, za wysokim poziomem bytu i szczęśliwym życiem! Czyż nie lepiej poprzestać na kole rodzinnym? Pięknie sobie siądziemy do stołu, pięknie posiedzimy...

— I będzie bardzo pięknie — podpowiedziałem.

— Tak, rzeczywiście bardzo pięknie — nie stropił się Derżykraj. — Co zaś do wezwania sióstr Zinaidy, nie sądzę, żeby było to potrzebne. Myślę, że mojej matki też nie warto niepokoić. Zaglądniemy do niej innym razem. A teraz ograniczymy się do naszego ścisłego grona rodzinnego...

Dyktował swoje warunki ledwie przestąpiwszy nasz próg, ale rzecz najdziwniejsza, że go słuchano! Jak mogła Zizi, nasza niezależna, przyzwyczajona do swobody i taka czupurna Zizi, podporządkować się takiemu elektronicznemu facetowi?

Rzecz jasna, że upatrzyłem odpowiednią chwilę i zapytałem o to siostrę, która odpowiedziała mi zupełnie tak samo, jak niegdyś Klementyna, zapytana o Szlachtycza:

— Przecież jest taki mądry, czyż nie widzisz?

— A duszę ma, nie spróbowałaś się przekonać?

— Ma bardzo piękne serce!

— Piękne serce! Już nawet zwroty zapożyczyłaś od Derżykraja!

— Jest taki dobry.

— Jakoś nie zauważyłem.

— Zaraz zobaczysz!

Zizi wybiegła z pokoju i wróciła po chwili z czymś czarnym i włochatym na rękach.

— Co to jest? Może mi wytłumaczysz?

— Alboż nie widzisz? Futro karakułowe. Derżykraj podarował mi je na urodziny.

— Zizi! — ryknąłem. — Oddajesz honor rodu Czeredów za barana. Jeszcze dobrze, że ten baran miał rozum i w porę zmarł, by przeistoczyć się w futro. Ale po co ci to futro od Derżykraja?

— Po co? — żachnęła się Zizi. — Chcesz, żebym bu-

dowała przyszłość goła i bosa? Jestem kobietą czy nie? Bez drogich rzeczy kobieta jest sobą tylko w połowie...

— Nie strugaj idiotki! Doskonale rozumiesz, co chcę powiedzieć! Ten technokrata...

— Jest świetnym specjalistą!

„Świetny specjalista" jakby wyczuł, że to o nim mowa, bo położył kres naszej rozmowie: wyjrzawszy z łazienki, gdzie się mył, zawołał:

— Zino, gdzie jest moja biała koszula?

W naszym domu zaczęła się teraz epoka Białych Koszul. Od rana do wieczora mama prała i prasowała koszule dla technokraty, czasem pomagała jej Zizi, ale nie umiała dobrze prasować kołnierzy i kiedy do rąk Derżykraja trafiła jej „produkcja", pouczał Zizi na cały głos:

— Prawdziwa biała koszula — to koszula z dobrze wyprasowanym kołnierzem, Zinaido. Powinniście o tym dobrze pamiętać.

Jak się okazało, zwracał się per „wy" nie tylko do ojca i matki, ale nawet do Zizi i zaszczycał również mnie tą wyszukaną formą gramatyczną wymagając, żebym odpowiadał mu tym samym i też zwracał się do niego w domu i na hali per „wy". Figa z makiem!

— Kiedy mówię do was obojga, do ciebie i Zizi — wyklarowałem Derżykrajowi — mogę się zwracać per „wy", bo zgodnie z gramatyką jest to liczba mnoga. Ale kiedy stoisz przede mną sam, jesteś tylko „ty" i nic ponadto, a gramatyka, jak się nauczyłem jeszcze w piątej klasie, nazywa to liczbą pojedynczą. „Wszyscy uczyliśmy się trochę..."

— Jestem kierownikiem oddziału i żądam elementarnej grzeczności — przypomniał mi Derżykraj.

— Jesteś kierownikiem, nie przeczę. Ale nie przypominam ci przecież, że ja jestem laureatem, który też mógłby żądać należnej mu grzeczności. Skoro jesteśmy

krewniakami, mieszkamy w tym samym domu, po co ta cała oficjalność? Ucz się od Szlachtycza! Mniej sobie zawracaj głowę problemami dobrego wychowania, a zainteresuj się lepiej naszą zasadą Dobrej Roboty. Wiesz, co to takiego? Robić dobrze, co do mnie należy, a ludzie niech gadają, co chcą.

— Między innymi właśnie po to tu przyjechałem — stwierdził Derżykraj — i będę miał piękną sposobność udowodnienia to wszystkim, także wam, czy mówiąc prościej, tobie...

Z realizacją swoich zamiarów długo nie zwlekał. Nie uznawał podziału na czas oczekiwania i czas spełnienia, Derżykraj nie umiał i nie chciał czekać, problem wieczności dla niego nie istniał, był człowiekiem niewzruszonym dnia dzisiejszego, jednym z tych, co nie oczekują łask od przyrody, lecz od razu sami je biorą wydzierając z gardła.

A ponieważ od przyrody bierze się mimo wszystko kosztem sił i o wiele lżej jest na przykład obedrzeć swoich bliskich, Derżykraj zaczął od nas.

Razem z Zizi dokonali zdobywczego przemarszu przez mieszkanie, zdecydowanie zgnietli i odrzucili nasze nędzne osłony na swej drodze i zmusili nas do cofnięcia się do sypialni rodziców. Derżykraj z jawnym żalem obejrzał także ten pokój, ale nawet jego bezczelność miała granice, więc nie cofając się z progu powiedział, a Zizi przytakiwała każdemu słowu swego technokraty kiwając głową:

— To piękny pokój i zupełnie wystarczający na was troje. Oczywiście, Dmytro będzie tu tymczasem z wami, jako laureat powinien otrzymać mieszkanie i dziwię się, że nie skorzystał dotąd z tego pięknego prawa. Nie wypada korzystać z gościnności własnych rodziców, kiedy człowiek jest już laureatem, czyli uzyskał najwyższe w naszym kraju odznaczenie. Tamte dwa pokoi-

ki zajmiemy my oboje z Zizi. Nie mamy jeszcze dziecka, ale możemy je mieć, więc potrzebne są nam na razie bodaj dwa pokoiki. Pewnie, nie mogą nas zadowolić, więc po pewnym czasie wystąpimy o przydział kwaterunkowy także dla was, tato i mamo, a na razie spróbujemy z Zizi pomieścić się tutaj, mimo że łatwe to nie będzie. Tymczasem...

— Tymczasem ja będę mieszkać w swoim pokoju, ty zaś w pokoju Zizi — powiedziałem do Derżykraja — a jeżeli ci za ciasno, możesz umocować do balkonu jeszcze jedną izbę do nadmuchiwania. Niech ją twoi elektroniczni chłopaczkowie zaprojektują. I radzę ci: nie strugaj idioty. Bo jeżeli mąż będzie idiotą, to kto w rodzinie będzie mieć rozum?

Tata pokaszliwał zmieszany słuchając tych moich wcale niedelikatnych słów, ale nic nie powiedział. Niespodzianie Derżykrajowi przyszła z pomocą Zizi.

— Dobra — powiedziała — jeżeli jesteście tacy bez serca, to my zajmiemy sypialnię, bo jest największa, a mam nadzieję, że nikt z was nie zaprzeczy, iż potrzebny nam jest największy pokój.

— Najpiękniejszy — podpowiedziałem. — Ale powinnaś jeszcze zapamiętać sobie, Zizi, że mama nie ma obowiązku prać białych koszul dla twego technokraty. Niech sam pierze, jeżeli chce paradować co dzień w świeżej koszuli!

— Jak śmiesz! — wrzasnęła Zizi i rzuciła się na mnie z pazurami. Pewnie by mi podrapała twarz, gdybym w porę nie zastosował uniku.

Nareszcie moje własne doświadczenie potwierdziło słuszność prawa o przechodzeniu ilości w jakość. Kiedy Zizi była sama, stanowiła jedną jakość, połączywszy się zaś z Derżykrajem przez tę mnogość zatraciła wszystko, co niegdyś było w niej takie czarujące, i przeszła w inną jakość, powiedziałbym: derżykrajowską.

Upatrzywszy moment spróbowałem siostrzyczkę nawrócić z powrotem na wiarę Czeredów, ale wysiłki moje poszły na marne.

— Nie znasz go, Mytiu — tłumaczyła mi Zizi — jeszcze go dobrze nie poznałeś...

— A nie pomyślałaś, że są takie rzeczy, których nie mam ochoty poznawać dobrze czy w ogóle nie chciałbym poznawać?

— Więc uważasz go za rzecz! — krzyknęła Zizi nawiązując do swoich starych najlepszych tradycji. — Jest moim mężem, a ty — po prostu obrzydliwym chłopakiem!

— Jeżeli się nie mylę, jesteś moją siostrą, a ja — twoim bratem — przypomniałem. Jeszcze nie wszystko jest dla ciebie stracone, masz jeszcze czas, żeby się opamiętać, póki nie wyczerpała się moja cierpliwość i nie wyrzuciłem cię z twoim technokratą na ulicę wraz z waszymi planami ujęcia całego życia w zautomatyzowane systemy zarządzania i ograbiania swoich bliźnich ze wszystkiego, co wam przypadnie do gustu. Zrozumiałaś! Możesz powtórzyć swemu technokracie główne tezy mego przemówienia.

— Powtórz mu sam, jeżeli chcesz — odwróciła się ode mnie Zizi, w której poznałem w końcu swoją nieujarzmioną siostrzyczkę i obudziła się we mnie nadzieja, że jeszcze nie wszystko jest stracone.

A dla Derżykraja byłem teraz widocznie wrogiem numer jeden. W domu nie wszczynał ze mną rozmów na żadne tematy, burczał tylko coś elektronicznie niezrozumiałego, za to na hali zadręczał mnie ciągłym wzywaniem do swego elektronicznego pulpitu i nudnymi pouczeniami.

— Dziwię się, Dmytrze, bardzo się dziwię — powiedział pewnego razu — strasznie się dziwię...

„Zepsuło się — pomyślałem — coś się zwarło w jego

komputerze i teraz do końca zmiany będzie powtarzał w kółko to samo".

— Cóż cię tak bardzo i strasznie dziwi? — zapytałem, żeby go wytrącić z tego ciągłego powtarzania.

— Jesteś laureatem, człowiekiem szanowanym, człowiekiem zauważanym, wyniesionym na piękną wysokość...

— Wieża telewizyjna — wtrąciłem, żeby go znowu wytrącić z elektronicznych repetycji.

— Hę? Co? — przestraszył się Derżykraj nie odznaczający się zbyt lotnym umysłem. — Co tu ma do rzeczy wieża telewizyjna?

— Ma wysokość — wytłumaczyłem skromnie.

— Wysokość? Nie rozumiem. Nie odnosi się wcale do naszej rozmowy. Chciałem ci coś innego powiedzieć. Wiesz, jaki jest nasz oddział?

— Doskonale wiem, że mamy piękny oddział i że powinni w nim pracować piękni ludzie.

— Bardzo pięknie! Ale nie wiesz jeszcze wszystkiego, Dmytrze. Zwróć uwagę, nie rozmawiam z tobą oficjalnie, ale jak z krewniakiem. Bo bardzo kocham twoją siostrę i w ogóle całą waszą piękną rodzinę. A więc — o oddziale i o tobie. Mamy piękny oddział. Oddział w dodatku doskonały, jedyny w Związku Radzieckim. W praktyce światowej też nie znajdziemy nic podobnego. Elektronika i automatyczne sterowanie w walcownictwie. A skoro tak, więc co? W naszym oddziale ludzie muszą być doskonali. Doskonali pracownicy. Potrafisz to zrozumieć?

Aż mnie korciło, żeby go zapytać: „A co wiesz o dinozaurach?" Powiedziałem jednak Derżykrajowi o filozofie Spinozie, o jego koncepcji filozofii doskonałej, o jego soczewkach i gruźlicy.

— Słyszałeś o Spinozie? — zdziwił się Derżykraj. — Przecież nie masz wyższego wykształcenia! a' propos,

właśnie o tym chciałem... Ty, jako laureat... warto by... już dawno należało...

Wygarnąłem mu wtedy o idiotach z dyplomami i idiotach bez dyplomów i że nie chcę należeć tak do jednych, jak do drugich. Obraził się zupełnie tak samo jak niegdyś docent Kryżeń. W ogóle, jak mi się zdawało, w swoich perorach dokładnie kopiował docenta Kryżenia. Widocznie została już gdzieś zorganizowana produkcja seryjna takich mądrali, którzy mają kręćka na punkcie doskonalenia się... Ale był to konflikt, że tak powiem, produkcyjno-rodzinny, miałem swój szczególny stosunek do Derżykraja dlatego, że chcąc nie chcąc widziałem go poza sferą stosunków produkcyjnych, zajrzałem tam podobnie, jak radziecka stacja automatyczna w swoim czasie spenetrowała niewidzialną stronę Księżyca. Bo kto nie znał Derżykraja z jego strony niewidzialnej, lecz widział tylko jego białą koszulę, okulary w czarnej oprawie i pochylone jak do ataku czoło, kto odczuł na własnej skórze niesamowitą energię kierownika oddziału i jego ostrzyżonych chłopaków, ten deklarował się jako jego sprzymierzeniec i zwolennik na zawsze, zapisywał się do „drużyny Derżykraja", jak zaczęto mówić w hucie; oddział nasz, kiedy go opuścili monterzy i służby pomocnicze, był wyludniony, że aż dziw, wszystkich pracujących można tu było rzeczywiście policzyć teraz na palcach jak drużynę piłkarską, wszyscy powinni byli żyć z sobą w zgodzie jak idealnie wytrenowana drużyna sportowa, więc nie mąciłem tego ogólnego nastroju i stosowałem zasadę Dobrej Roboty, mimo że miałem pretensje do Derżykraja. Aż nastał wreszcie dzień, w którym ukryte potężne mechanizmy, sterowane przez tajemniczy SSA, przezwyciężyły wszystko, co je dzieliło, i w zgodnym rytmie zabrały się do pierwszej porcji metalu podobnego, bardzo być może, do tej gliny, z której zgodnie z legendą ulepiony

został pierwszy człowiek, wzięły go w swoje mądre żelazne objęcia i ukształtowały dźwięczną i doskonałą rurę-cud, jakiej jeszcze nie widziano w naszej hucie i jaka nie miała sobie podobnej w praktyce światowej, jakby się wyraził Derżykraj, gdyż była zrobiona z jednego metalu, a potem pokryta została z wierzchu innym, a od środka jeszcze innym metalem — nazwać go tutaj nie zostałem upoważniony, podobnie jak nie mam prawa wskazać przeznaczenia naszej pierwszej rury, co nie ma zresztą znaczenia; znaczenie miał tylko fakt, że nasz oddział zaczął pracować, że było nas dziwnie mało na hali, Derżykraj w białej koszuli, wystawiając swoje okulary w czarnej oprawie siedział przy pulpicie w swojej szklanej kabinie niemal pod samym pułapem, my, operatorzy, też siedzieliśmy przy pulpitach, nikt nie biegał, nie wiercił się tu i tam, nie było przerw na papierosika, nie było wymachiwania rękoma, olbrzymia hala z przezroczystym stropem jaśniała jak starożytna świątynia, warkot mechanizmów był jak huk morza, jak muzyka organowa, Derżykraj był Johanem Sebastianem Bachem, Szlachtycz i jeszcze kilku inżynierów, naszych przełożonych, dyrygowało skrzydłami kolosalnej orkiestry organowej, my zaś wygrywaliśmy nieustannie, kunsztownie, swobodnie, byliśmy tu głównymi osobami i żal nam tylko było, że nie mamy dość licznej publiczności, bo niewielka gromadka pracowników kontroli technicznej z Alą i Klementyną nie mogła nas w żadnym razie zadowolić.

Naszą pierwszą rurę całą pokryliśmy napisami, zawczasu przygotowawszy w tym celu białą i czerwoną farbę. Każdy pisał swoje: ostrzyżeni chłopaczkowie Derżykraja wypisywali SAS-SAS-SAS, my zaś rewanżowaliśmy się im jeszcze większymi napisami: Dobra Robota. Potem, jak zwykle w takich razach, odbył się wiec, na który przyszli do naszej hali dyrektor huty

i sekretarz egzekutywy Wasyłenko, Derżykraj wygłosił przemówienie o pięknym oddziale, pięknych ludziach i pięknych rurach, co się nadzwyczaj spodobało dyrektorowi, więc od razu oświadczył, że nigdy dotąd nie słyszał, by ktoś tak idealnie sformułował podejście państwowe, po czym złożył Derżykrajowi życzenia nowych sukcesów, a nam — nowych bohaterskich czynów dla dobra ogółu.

Wasyłenko powiedział, że partia też aprobuje rury, ale przede wszystkim pamięta o ludziach. Wszyscy się spodziewali, że powie teraz o Derżykraju i jego ostrzyżonych chłopcach, którzy wypięli piersi i zadarli głowy w oczekiwaniu należnej im pochwały, Wasyłenko nie powiedział jednak o nich ani słowa, mówił zaś o Szlachtyczu i o mnie. Że niby ci nasi wyjątkowej klasy specjaliści, laureaci, słynni walcownicy nie zawahali się postawić na karty swojej sławy, poszli na budowę, faktycznie musieli się przestawić na nowy fach, doskonalić, zuniwersalizować swoje umiejętności, gdyż tylko na drodze uniwersalizacji można dzisiaj dojść do istotnie wielkich sukcesów. No, jednym słowem, gadał jak trzeba, a technokraci musieli wszystko to przełknąć w milczeniu i jeszcze na końcu głośno go oklaskiwać.

Prawdę mówiąc, nie mogłem się jeszcze przyzwyczaić do nowej pracy. Wszystko to rzeczywiście przypominało i świątynię, i organy — jakiś pokazowy koncert elektroniczny, nie produkcja, królestwo Białych Koszul i królewskich gestów. Ale niebawem zacząłem coraz częściej odczuwać, że mi czegoś brak. Jakby mnie toczyła od wewnątrz jakaś choroba, jakieś coraz głębsze niezadowolenie nękało moją duszę; może jeszcze się nie przyzwyczaiłem do swoich nowych obowiązków, a może działały tak przygnębiająco stosunki, jakie się wytworzyły między mną i Derżykrajem, w domu raz po raz dochodziło między nami do starć i jakkolwiek

były to utarczki o znaczeniu miejscowym, nie mogły, rzecz jasna, nie pozostawić żadnych śladów.

Ostrożnie, siląc się na lekceważący ton spróbowałem podzielić się swoimi reakcjami uczuciowymi z Klementyną. Zapanowały teraz między nami stosunki czysto oficjalne. Odżegnać się od niej całkowicie byłoby z mojej strony okrucieństwem, bardzo cierpiała z powodu swojej nieszczęśliwej miłości do Szlachtycza i przez to że cała ta historia miała takie śmieszne zakończenie, więc odepchnąć dziewczyny w takim stanie ducha nie miałem po prostu prawa. Patrzyła na mnie swoimi wielkimi oczami, w których czytałem: „Odwrócisz się ode mnie, wtedy zginę".

— Dobra — powiedziałem wobec tego Klementynie — nie myśl, że Myt'ko Czereda nie jest humanistą! Jestem jednak humanistą socjalistycznym. Innymi słowy, nie włożę ci palca do ust, żebyś go odgryzła, ale pomocną dłoń będę do ciebie wyciągać, żeby cię przeprowadzić przez kałuże. A więc — pokój i przyjaźń?

Żeby nie wyolbrzymiać swoich doznań na skalę ogólnooddziałową czy nawet ogólnoludzką, wtajemniczyłem w nie Klementynę ostrożnie. Ta od razu przyczepiła się do mnie jak pijawka:

— Musisz opowiedzieć o wszystkim Derżykrajowi!

— Co, co? Komu?

— Kierownikowi oddziału, Derżykrajowi.

Cofnąłem się o dwa kroki i zmierzyłem Klementynę od stóp do głów. Nic się w niej nie zmieniło. Smukłe, pełne piękna we wszystkich szczegółach dzieło natury.

— Co ty wygadujesz? Już się zakochałaś w technokracie? Mało ci Szlachtycza? Układasz już listy do wodza Białych Koszul? Ale pamiętaj, że będę je teraz otrzymywać, jeżeli nawet nie pomylisz adresu. Mieszkamy z Derżykrajem w tym samym mieszkaniu. Żyje sobie Derżykraj i nie daje żyć innym. Jasne? Jeżeli

chcesz mu posyłać miłosne wyznania, kup sobie gołębie i niech lecą do niego na pulpit. Będzie cudowne widowisko. Wszyscy zapomnimy o własnych pulpitach, zadrzemy głowy i będziemy odprowadzali wzrokiem twoje gołębie. W rezultacie pojawi się rysa w naszym SAS, idealnie wyregulowane mechanizmy zgubią rytm, dziecię ostatniej pięciolatki wyda stuprocentowy brak i wasz OKT będzie miał co robić. Nie przecz, nic nie mów, patrz, dziecino, i módl się do niego... No i tak dalej...

— Mytiu — powiedziała Klementyna gryząc wargi — chętnie bym ci powiedziała, jaki jesteś, ale sam to dobrze wiesz! I proszę cię...

Człek się nigdy nie dowie, o co go właściwie prosi dziewczyna, bo dziewczę od razu ucieka jak zając, a sroki za ogon nie złapiesz, jakby powiedziała elektroniczna maszyna Derżykraja.

Poszedłem więc do Szlachtycza.

Dawno już nie byłem u nich w domu. Wciąż jakoś nie było sposobności. Przed powiększeniem się naszej rodziny bodaj wuj Wasia przychodził czasem do mego taty i „żołnierze dni minione wspominali", ale teraz mogli się spotykać jedynie na terytorium neutralnym, czyli na ulicy lub zebraniach komitetu domowego, na których administrator zanudzał ich informacjami o zbieraniu odpadków kuchennych i sprawozdaniami z dyżurów drużyn ormowskich, które — rób co chcesz — nie mogły ani rusz natrafić na najmniejsze naruszenie porządku publicznego na terytorium podlegającym naszej wzorowej administracji.

Wszyscy byli w domu, w mieszkaniu Szlachtyczów niewiele się zmieniło, przybyło tylko przez ten czas książek i zrobiło się chyba przytulniej dzięki staraniom Ali, czy może nawet nie przytulniej — atmosfera kobiecości nadała mieszkaniu coś bardzo miłego, prze-

pędziła z niego chłód. Co prawda, prócz atmosfery kobiecości pojawiły się tu jeszcze nowe meble, za których znawcę się nie uważam, spodobało mi się tylko, że nie wyrzucono starego, długiego stołu, Ala zachowała go pewnie jako pamiątkę po weselu, po tym, jak przy nim siedzieliśmy, dyskutowaliśmy, śmialiśmy się i mówili o rzeczach ważnych, o których powinno się mówić na robotniczych weselach. Nie to co nasz Derżykraj, który wszystko uważa za przeżytek, bo tylko on sam jest „nowożytkiem"!

— Po kieliszku? — zapytał wuj Wasia, który zawsze trzymał się święcie pięknego rytuału poczęstunkowego.

— Niech będzie po kieliszku — przystałem wcale chętnie — bo wprost głowa mi schnie i coś miga przed oczyma.

— Nie wysypiasz się, biegasz za dziewczynami — wtrąciła Ala. — Trzeba się ożenić.

— Nie ma kandydatur.

— Możemy znaleźć.

— Czasu też nie ma — zbyłem ją żartem — obaj z Lonią wciąż się dokształcamy. Jeszcze dobrze, że on zdążył znaleźć ciebie i ma teraz zapewnione zaplecze, może się całkowicie poświęcić nowemu sprzętowi technicznemu. A ja muszę wybierać — albo technika, albo dziewczyny. Wybieram technikę, bo ona mnie wybrała!

— Nasz poeta zamierzał napisać o tobie poemat, Mytiu, ale pojechał, niestety, na wyższe kursy literatury — roześmiała się Ala.

— Nie wrabiaj mnie! Czyż mogą być takie kursy?

Lonia wziął z rąk Ali kieliszki i zaczął je wycierać ręcznikiem. Aż dziw — Lonia przy takim zwykłym, ale nie pasującym do niego zajęciu. Wskazałem więc palcem na kieliszki i ręczniczek i uśmiechnąłem się:

— Chcecie, żeby Dmytro Czereda też zrezygnował ze swojej wolności?

Ale Lonia nie zareagował na moje słowa, nawet ich nie zauważył. Swoim starym zwyczajem nad czymś się zamyślił.

— Kursy — to pół biedy — powiedział Lonia w zadumie — bo są przecież całe instytuty podnoszenia kwalifikacji. Dla nauczycieli, dla lekarzy. Jak można podnosić kwalifikacje nauczyciela? Powinien podnosić je sam codziennie, przez całe życie, a nie czekać, aż raz na dziesięć lat zostanie skierowany na kursy trwające dwa tygodnie czy miesiąc! Mechanika jest w takich razach bardzo prosta. Bierze się coś, co jest, jak się zdaje, pożyteczne, jakąś myśl na pozór interesującą, a potem doprowadza się ją do całkowitego absurdu, do jej zaprzeczenia i zniszczenia. Kpiny z koncepcji. To straszne. Tu by się właśnie przydała ustawa. Zabraniająca kpin z pożytecznych pomysłów.

— Słuchaj, Lonia, a nie pomyślałeś o ustawie zabraniającej dobrym specjalistom stawać się kiepskimi specjalistami? — zapytałem. — Bo jakoś mi się zdaje, że staję się takim kiepskim specjalistą. Co prawda, może nigdy zresztą nie byłem dobrym. Jeszcze należałoby tego dowieść.

— Wypijmy po kieliszku — zaproponował wuj Wasia, żeby mi przerwać samokrytykę, której zasadniczo nie lubił.

Wypiliśmy w milczeniu, po czym złożyłem Szlachtyczom życzenia, by powiększyła się ich rodzina, co powściągliwie przemilczano. Orientuję się jednak, kiedy i jak ludzie milczą. Tym razem było to milczenie aprobaty.

— Bierzcie mnie na kuma w razie czego — nie wytrzymałem — i, broń Boże, nie zapraszajcie Derżykraja czy jego drużyny! Jakby powiedziała ich elektroniczna maszyna, żeby im się z pustego nie lało, a po brodzie kapało!

— Wybrałeś swoją obecną pracę jeszcze przed przyjazdem Derżykraja — przypomniał Lonia.

— Chcesz, żebym ciebie też zbeształ! Bo przecież to przez twoją agitację! Ba, co tam agitacja! Wziąłeś i zaprowadziłeś mnie do strefy montażowej! Popędziłeś przed sobą jak rzymskiego niewolnika! Właściciel niewolników!

— Wspiąłeś się na nowy, wyższy szczebel.

— Na wyższy! Naciskam przyciski i pilnuję, jakim okiem mignie do mnie przeklęta elektronika.

— Analizujesz sytuację. Myślisz. Podejmujesz niestandardowe decyzje, jakich maszyna powziąć nie może, gdyż jest bardziej ograniczona niż człowiek.

— Przecież siedzi koło mnie Krywcun, najbardziej ograniczony człowiek na świecie. Czyż także podejmuje niestandardowe decyzje i też przewyższa maszynę?

— Tak. Cóż w tym dziwnego?

— Loniu, przecież czytałeś kiedyś książki i radziłeś mi, bym robił to samo...

— Cóż, czytam je po dziś dzień i nadal ci radzę...

— No, mam teraz mniej czasu z powodu tych wszystkich dokształceń... Ale mniejsza o to... Stałem dawniej przy walcarce, zgniatałem metal, podgrzewałem go albo obrabiałem zimny, męczyłem się, nic mi się wtedy nie udawało, znęcał się nade mną Czemerys, wyciskał ze mnie siódme poty. Przychodziłem do domu wprost nieżywy, wydawało mi się, że nie ma we mnie ani jednej żywej komórki, padałem na łóżko nie myjąc się, rezygnując z jedzenia, i dziwiłem się, jak Eugeniusz może wkładać białą koszulę i krawat, i biec... No, mniejsza z tym, dokąd wówczas biegł... No... Ale potem czułem, jak zaczynają się odradzać moje komórki jedna po drugiej, znowu żyłem i byłem Dmytrem Czeredą, wesołym, ironizującym chłopakiem, bierz go licho, chłopakiem, co chętnie by trochę narozrabiał, chciałem róść i działać,

pierś mi rozpierało jakieś niezniszczone pragnienie, czułem się szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy! A teraz przychodzę do domu czyściutki, jakbym w ogóle nie pracował, wychodzę z królestwa Białych Koszul. Przez cały dzień podejmowałem tam niestandardowe decyzje, żeby produkować absolutnie standardowe rury o jakimś wielkim przeznaczeniu, ale życie wydaje mi się teraz takie szare i standardowe, takie monotonne jak sama nuda, jak ostrzyżone głowy chłopaków Derżykraja. Jak to wytłumaczysz, Loniu? Może jestem chory?

— Zawsze byłeś nienormalny, Mytiu — wtrąciła się Ala — jak długo cię znam, nigdy nie byłeś podobny do innych. Dobrze by było, gdybyś sobie znalazł dziewczynę, tylko taką, co potrafi wziąć cię w garść. Będziesz wtedy taki, jak wszyscy!

— Nie ży-czę so-bie! Mam pra-wo!

— Zastanawiam się nad tym również — po chwili milczenia odezwał się Lonia. — Wiele można tu znaleźć objaśnień. Na przykład brak przyzwyczajenia. Ale wątpię, by człowiek mógł się przyzwyczaić do takiego stanu wyzucia z własnego ja. Bo co właściwie stanowi nasze ja? Moim zdaniem, nieustanne pragnienie tworzenia nowych pożytecznych rzeczy, przedmiotów, wyrobów. A co się teraz dzieje? Nie tylko u nas. Na całym świecie. Człowiek przestaje tworzyć sam, zostaje członkiem olbrzymiego zespołu, zespół ogarnia właściwie całe narody, w niektórych gałęziach niemal całą ludzkość. Bo kiedy ciągnęliśmy rury na „rock'n'rollach" czy innych walcarkach, kiedy walcownicy dają co dzień blachówkę i w ich obecności z rozpalonych kawałów metalu powstają albo ładne wstęgi na rury, albo z blachówki — arkusze blachy na samochody, to nie wytwarzamy przecież wyrobu końcowego, nie tak jak niegdyś rzemieślnik, szewc, krawiec czy stolarz, który szył lub strugał i otrzymywał potem wyrób, któremu mógł

się przyjrzeć z przyjemnością. My mamy rury, ale czyż sprawi nam przyjemność przyglądanie się rurom? Rura potrzebna jest do czegoś, do tego czy innego mechanizmu, który bez niej jest martwy. Trudno powiedzieć, czy podnosi nas na duchu świadomość jej użyteczności. To już późniejsze wrażenia. Droga nam jest ta rura jako wytwór naszej pracy i wysiłków, widzimy w niej swój pot, swoją wolę, swoje niepowodzenia, ale również radości! A w oddziale zautomatyzowanym, podłączonym do SSA i całkowicie podporządkowanym mocy wszechpotężnej elektroniki — co widzimy? Nic. Pracujemy dzień, tydzień, miesiąc i odnosimy wrażenie, że nie ma żadnych śladów naszej pracy. Wszystko jest nieuchwytne, efemeryczne. Stąd pierwsze odczucie pustki. Stąd niezadowolenie. Nie sądź, Mytiu, że tę pustkę odczuwasz tylko ty. Możliwe, że jako człowiek przyzwyczajony działać bezpośrednio, przyzwyczajony do pracy fizycznej, odczuwanej w całym ciele, cierpisz szczególnie z powodu tej nieuchwytności, powiedziałbym, widmowości naszej nowej pracy.

Wiesz, Mytiu, życie jest ciągłym dążeniem do triumfu rozumu. Nasz nowy oddział jest jednym z wcieleń potęgi intelektualnej człowieka. To przyszłość. A do przyszłości, która tak się wdziera w dzień dzisiejszy, trudno się przyzwyczaić. Wypada niejedno w sobie przełamać. I trzeba przełamać! Ucz się od Derżykraja.

— Od Derżykraja? Mówisz to poważnie, Loniu?

— Jak najpoważniej. Zresztą, zaraz tu przyjdzie — niespodzianie oświadczył Szlachtycz.

— Co, zaprosiłeś go dzisiaj do siebie? Przepraszam, że przeszkodziłem! — zerwałem się od razu z krzesła.

— Siedź, siedź. Zatelefonowałem do niego, kiedy przyszedłeś. Od dawna trzeba, żebyście się spotkali. Klementyna mi...

— Klementyna? O, do diabła!

Usiadłem jednak. Derżykraj wiedział bowiem, o co chodzi, i pojawił się w porę, żebym nie dał drapaka. Zizi też z nim przyszła, zadowolona, że może złożyć swoją pierwszą oficjalną wizytę. Obie z Alą wycofały się od razu do kuchni, żeby omówić palące problemy międzynarodowego ruchu kobiet, my zaś, zachęcani przez wuja Wasię, wypiliśmy po kieliszku za pokój i przyjaźń, po czym Derżykraj nareszcie raczył mnie zauważyć:

— Jesteś tutaj? Cudownie! Jedz chleb ze słoniną, ale...

— Nie pchaj się na afisz — uzupełniłem w stylu komputerowym.

— Zahaczyliśmy tu właśnie z Mytią o problem naszego oddziału i człowieka w nowych warunkach pracy — powiedział Lonia. — Siadaj, Derżykraj. Może w konstrukcji nowoczesnych maszyn jest jakieś niedopatrzenie? Zapomniano o człowieku? Jak sądzisz?

— Projektuje się nie maszyny, tylko systemy. Oto wyjście. Technika jako taka już nas dzisiaj nie interesuje. Interesuje nas nauka. Nauka o technice. Nauka jako czynnik postępu. Nauka i jej rola w społeczeństwie. W życiu. W skali naszej planety. Rewolucja naukowo-techniczna... Czy tego chcemy, czy nie, nauka niepostrzeżenie włącza się literalnie do wszystkich procesów życia na naszej planecie.

— Nikt jej nie przeszkadza — burknąłem — niech się włącza. Tylko co ja mam z tego wszystkiego?

— To, młody przyjacielu — Derżykraj spojrzał na Szlachtycza z pewnym zdziwieniem, spodziewał się widocznie, że ten przyjdzie mu z pomocą — to, młody przyjacielu, że nauka...

— Poczekaj — niespodzianie przerwał mu Szlachtycz — poczekaj, Derżykraj. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, że popełniasz tu pewien błąd. Mówisz: „nauka",

mówisz „rewolucja naukowo-techniczna", ale wciąż unikasz słowa „technika". Zastanówmy się jednak nad działalnością człowieka w wieku dwudziestym. Jaka jest ta działalność przede wszystkim: naukowa czy techniczna? Kiedy mówimy o Rewolucji Październikowej, o teorii Marksa i Lenina, nie ma tu żadnych wątpliwości: jest to rzeczywiście wielka nauka, jakiej ludzkość dotąd nie znała. Utożsamiać ją przez słowo „rewolucja" z wynalazkami technicznymi, nawet największymi — to rzeczywiście zuchwałość. Jak sądzisz?

— Są to piękne wynalazki, które wyzwolą ludzkość spod jarzma przyrody — odrzekł Derżykraj.

— Jeszcze do tego dojdziemy. W jakim kierunku idzie działalność człowieka? Musimy zdobyć energię niezbędną w przemyśle i rolnictwie, konstruować i budować wciąż nowe maszyny ułatwiające pracę i doskonalić istniejące już maszyny, zwiększać ich moc, usprawniać ich pracę. Źródła energii są nam znane, trzeba je tylko odnaleźć i eksploatować. Wszystkie wysiłki zmierzają obecnie w tym kierunku. Ludzie odkrywają nowe pokłady węgla i złoża ropy naftowej, rąbią, pompują, palą, przerabiają. Wszystko to z pożytkiem. Dobrze. Ale czy nie przychodzi ci na myśl przypowieść o dwóch chłopcach, którym dano po wozie słomy? Jeden spalił słomę w piecu, starczyło mu jej na tydzień, żeby ugotować barszcz i ogrzać przy ogniu ręce. A drugi słomy nie spalił, tylko pokrył nią chatę, która stoi sto lat i mieszkają w niej wszyscy potomkowie chłopa. Który z nich mądrzejszy?

— Cóż więc proponujesz? — Derżykraj był nieco zakłopotany. — Chcesz powstrzymać postęp? To niemożliwe. A co do nowych źródeł energii, to ludzie nad tym też przemyśliwają. Uczeni umieją już utrzymać plazmę o temperaturze miliona stopni w magnetycznej pułapce. Kiedy doprowadzą czas jej trwania do dzie-

sięciu minut, problem energetyczny będzie raz na zawsze rozstrzygnięty.

— A plazma? Czym się będzie żywić? Wodorem? A skąd będziemy brać wodór? Od Pana Boga? — Szlachtycz sypał swoimi pytaniami, atakował, ale Derżykraj ani myślał się poddać.

— Dla współczesnej ludzkości zrozumienie przyrody jest mniej istotne niż korzystanie z niej.

— I szanowanie jej praw — przypomniał Szlachtycz.

— Dobra. Cóż więc proponujesz? — spokojnie zapytał Derżykraj.

— Cała bieda, że nic nie potrafię zaproponować, bo jestem tylko technikiem. Nie uczonym, lecz zwykłym technikiem. Takim samym jak ty, mimo że masz tytuł naukowy i ambicje uczonego. Cóż zresztą ty, Derżykraj. Mamy setki uczonych, akademików o światowej sławie i wszyscy ci uczeni zajmują się w rzeczywistości rozwiązywaniem problemów technicznych, które nie przyczyniają się do postępu ludzkości czy raczej dają tylko postęp krótkotrwały. Powiesz mi, że nastaje epoka maszyn elektronicznych, że za jakieś dziesięć-dwadzieścia lat będziemy nosili przy sobie aparacik matematyczny zamiast notesu czy długopisu. Zgoda. Będziemy nosili, wyliczali, odbierali informacje. Ale informację możemy otrzymywać tak długo, jak długo istnieją źródła informacji. A kiedy maszyny nie będą już miały co liczyć? Kiedy spłonie ostatni kilogram węgla na Ziemi, kiedy wydobyta zostanie ostatnia kropla ropy naftowej z szybu, kiedy ostatni zielony liść, zatruty gazami z przedsiębiorstw chemicznych, spadnie na ziemię i ustanie tajemniczy proces fotosyntezy na Ziemi? Właśnie nad tym powinna myśleć dzisiaj nauka, prawdziwa nauka. My zaś, Derżykraj, nie jesteśmy uczonymi, tylko technikami. Myt'ko ma rację,

warto by mniej perorować i mędrkować, a już dzisiaj się zatroszczyć, żeby człowiek pracował z radością! Biała koszula — to bardzo pięknie, ale nawet w białej koszuli człowiek dostaje zawału od razu po czterdziestce albo nawet wcześniej. Sama koszula — to za mało, jakkolwiek zgadzam się z tobą, że jest to również czynnik. Naszą zasadą powinna być Dobra Robota. Tak, Mytiu?

— Zapomniałeś jeszcze o czymś — przypomniałem Loni — w swoim czasie wiele o tym mówiliśmy.

— Zapomniałem. Przypomnij.

— O umiejętności myślenia. Pojmowania. Ruszania mózgownicą.

— Myślenia uczy tylko matematyka — powiedział Derżykraj — to pewnik. Dlatego będę żądać, żeby w oddziale... Galileusz powiedział: księga natury napisana jest językiem matematyki i zrozumieć ją potrafi tylko ten, kto nauczył się rozumieć ten język. Dlatego, powtarzam, będę wymagać...

Nie dowiedzieliśmy się jednak tym razem, czego będzie Derżykraj wymagać, gdyż Szlachtycz spokojnie zaoponował:

— Niestety, mylisz się, Derżykraj. Właśnie matematycy wcale nie umieją myśleć. Umysł ich pozostaje dziewiczo czysty. Nikt tego nie wie jednak, gdyż matematyków nie sposób sprawdzić. Surowo strzegą tajemnic swej kasty i opanowawszy potrzebny im wybór wzorów straszą wszystkich nie wtajemniczonych ich niedostępnością. Żaden rząd nigdy się nie wtrącał do spraw matematyki. Nigdy nie brakowało chętnych do pouczania pisarzy, artystów, kompozytorów, architektom po prostu dyktowano, co i jak budować, ale który król czy cesarz próbował sprawdzać rozwiązanie równań nieliniowych albo podawał w wątpliwość układ jednostek Gaussa? Nikt i nigdy. W starożytności mate-

matycy byli zarazem filozofami, usiłowali wytłumaczyć otaczający ich świat, ale przekonali się niebawem, że w ten sposób tylko obciążają swój umysł.

Derżykraja wcale nie zbiły z pantałyku oskarżenia pod adresem matematyków, których zamierzał wynieść tak wysoko ponad innych ludzi. Uśmiechał się nawet, najwyraźniej triumfująco.

— Wskażcie bodaj jednego artystę lub pisarza, który zainteresowałby się w wolnych chwilach teorią Einsteina albo potrafił zrobić obliczenia celem zaprojektowania zwykłego mostu drogowego. Ale mogę wam wyliczyć setki przedstawicieli nauk ścisłych, którzy wsławili się bynajmniej nie jako dyletanci, lecz jako genialni twórcy na polu literatury, muzyki, malarstwa, teatru! Żądacie nazwisk? Łomonosow, Borodin...

— Nie wysilaj się, bracie, nie przelewaj z pustego w próżne — przyhamowałem Derżykraja.

— I potrafię jeszcze, jeżeli chcecie, dowieść wam wszystkim nawet tutaj, że my... Cóż, że technicy, jak nazywa nas Szlachtycz... Technicy są także przedstawicielami nauk ścisłych. No więc... dowiedziemy... Pomyślę o tym...

Co nam jeszcze pokaże ten chodzący móżdżek elektronowy w białej koszuli, którą wyprała i wyprasowała moja mama mimo moich protestów?

Nie potraktowaliśmy wtedy poważnie jego przechwałek. Zebraliśmy się niby po to, żeby rozpatrzyć problem zaburzeń nerwowych Dmytra Czeredy, przeszliśmy potem na problemy ogólne i rozeszliśmy się, nic nie rozstrzygnąwszy. I co najważniejsze, każdy trwał nadal przy swoich przekonaniach. Podobało mi się, że Derżykraj jest taki niezachwiany, wybaczyłem mu nawet jego drobiazgowość w sprawach domowych jako nieistotną, bolało mnie jednak jego lekceważenie robotniczej żyłki w człowieku i że tak się ten technokrata przechwala

swoją rozległą uczonością. Przyjemnie mi było, kiedy Szlachtycz bezlitośnie zdzierał z Derżykraja całą skorupę tak zwanej naukowości i dowodził, że oto stoi przed nami człowiek o umysłowości czysto technicznej, a ludzi takich namnożyło się teraz mnóstwo i często, jak powiedziałby komputer, nie znając brodu osiadają na koszu.

Zizi płakała. Nigdy nie przypuszczałem, że ta lekkomyślna wiercipięta, że moja wiecznie roześmiana siostrzyczka może tak płakać. Chlipała tak prostacko i poniżająco, hańbiła sławne nazwisko Czeredów, zalewała łzami całe nasze mieszkanie, rzeki łez rozlewały się po wszystkich pokojach, nic tylko buduj kaskadę hydroelektrowni!

Nie ma mowy, żeby zapytać taty czy mamy o przyczynę łez siostry — taki niepokój malował się na ich twarzach, niepokój i smutek, i wszystko w ogóle, co wypisuje bezlitosna ręka natury na rodzicielskich twarzach, kiedy dzieje się coś złego z ich dziećmi. Milczące westchnienie, nieokreślony ruch ręki, może zapraszający niemo do przyłączenia się do tego ogólnego smutku rodzinnego i pozostawienia w spokoju tej, co cierpi najwięcej.

Jeszcze się nie znałem na tych subtelnościach, więc przebrnąłem przez rzeki łez, znalazłem Zizi na tamtym brzegu rozpaczy, potrząsnąłem nią za ramiona i zawołałem wesoło:

— No co? No co? No po co? No dość! No przestań!

Wykrzykiwałem jak estradowy prezenter, mistrz od chałtury, nie zdążyłem tylko zawołać jeszcze dla efektu: „Napluj i rozetrzyj nogą!"

Ale dziwna rzecz: Zizi jakby wprost czekała na te moje niewyszukane okrzyki. Chwyciła mnie za ramię, tonąc w potokach gorących łez czekała na kogoś, żeby wypłynąć, wydostać się na ląd, uczepić jakiejś nadziei.

— Pojechał — zaszlochała — pojechał znowu, a droga dzisiaj... jest taki zwariowany... Nikt nie wie, że to wariat... Wszyscy myślą, że jest... ale on...

— Ależ kto i dokąd pojechał, kto jest zwariowany? — postanowiłem dopytać się jakoś, mimo że już się domyślałem mniej więcej, o kim mowa i kto jest wariatem, bo kto jak kto, ale chyba ja pierwszy zauważyłem, jak dalece nienormalny jest Derżykraj. — No kto? Derżykraj, co?

— Aha — szlochała siostrzyczka — pojechał... powiedział, że musi się otrząsnąć... a droga...

Spróbowałem wyobrazić sobie, jaka jest dzisiaj droga za miastem. Nie trzeba było w tym celu wyglądać jeszcze raz przez okno zalane deszczem i przypominać sobie, jak brnąłem przez kałuże wracając po pracy do domu. Ciemno, deszcz, wąska i mokra szosa... Licho go skusiło, tego Derżykraja, gdzieś tam dzisiaj jechać, żeby się otrząsnąć. Może go tam potrząść, że nie sposób będzie części pozbierać... I ostrzyżeni chłopcy nie potrafią ześrubować swego szefa... Jechać w taką pogodę na przechadzkę — to czysty nonsens... I cóż to za spacer po wyczerpującym dniu na hali i tych denerwujących rozmowach, które Derżykraj uparcie i niestrudzenie przeprowadza co dzień z nami wszystkimi, w tej liczbie także ze mną?

A w ogóle podobał mi się stosunek Derżykraja do jego wozu. Mogę się wypowiedzieć jako osoba niezainteresowana, bo stanowczo odmówiłem, żeby Derżykraj woził mnie bodaj do pracy czy zabierał czasem z huty do domu. Mamy dwie własne nogi, mamy komunikację miejską, a jeżeli zechcemy, będziemy mieli własną, trzeba w tym celu tylko zebrać fundusze i doczekać się kolejki, co udaje się, jak dowodzi praktyka, wielu zwykłym radzieckim ludziom pracy, a pewnego dnia w ich liczbie może się znaleźć także Dmytro Czereda.

Ale wracając do Derżykraja i jego wołgi. Kupił wóz skorzystawszy widocznie z hojności państwa, które tak szczodrze obdarza uczonych. Przebywając stale wśród sprzętu technicznego, mając do czynienia z rozumnymi mechanizmami Derżykraj, jakby się zdawało, powinien świecić przykładem pieczołowitości w stosunku do takiego mechanizmu, jakim jest samochód. Nic podobnego! Przede wszystkim, w odróżnieniu od innych samochodziarzy, Derżykraj nie uznawał garaży. Bo garaż to szesnaście metrów powierzchni, czyli M-1. Jeżeli będziemy produkowali milion samochodów osobowych rocznie i trzeba będzie dla każdego wybudować garaż, to okaże się, że dla samych tylko samochodów prywatnych należy przeznaczyć milion jednopokojowych mieszkań. Budulec i siła robocza potrzebna dla ludzi zostanie użyta dla samochodów. Absurd? Tak jest. Bzdura? Niewątpliwie. A więc Derżykraj parkował swój wóz przy chodniku naprzeciw „Klubu Ludzi Pracy" albo przed portiernią huty, gdzie stawiano u nas rowery i motory — i sprawa skończona. Ponadto od dnia, kiedy kupił wóz, chyba nie mył go ani razu. Był to najbrudniejszy wóz w Kraju Rad. Aż dziw, jak z niego wysiadał czysty człowiek w białej koszuli. Kiedy jakiś nadgorliwy przedstawiciel „drogówki" zatrzymywał Derżykraja i żądał, by umył swój wóz, Derżykraj pytał go, gdzie jest najbliższy punkt mycia samochodów; inspektor, rzecz jasna, nie mógł sobie jakoś przypomnieć, gdzie jest punkt najbliższy, podobnie jak nie przypominał sobie, gdzie jest najdalszy, i sprawa na tym się kończyła. Pod względem technicznym Derżykraj doprowadzał swój wóz do stanu niemal idealnego. Wszystko w nim było zawsze sprawdzone i podciągnięte, silnik pracował doskonale, hamulce działały niezawodnie, we wnętrzu wozu było czysto i przytulnie, jakoś wyjątkowo przyjemnie. Nieprzyjemnie było tylko,

kiedy siedziałeś w nim i Derżykraj, wywiózłszy cię na szosę, pędził ze zwariowaną, maksymalną szybkością, a wóz tak ryczał, że — jak się zdawało — rozerwie go lada chwila na kawałki jakaś niesamowita siła; ale zanim sam się rozpryśniesz jak bańka mydlana, musisz się jeszcze zetknąć z całym tym bezgranicznym światem bezlitośnie twardych i groźnych przedmiotów, które pozrywały się jakoś wszystkie z miejsca i z szybkością literalnie kosmiczną pędzą na oszalałą wołgę: słupy przydrożne i drzewa, niepotrzebnie stojące na zakrętach szosy domy wiejskie, ciągniki spółdzielcze, które przetransportowują przez szosę przyczepy z kiszonką i nawozem, a potem nagle zwariowawszy — lecą bokiem prosto na nas. A rozumie się samo przez się, ile pojazdów jeszcze się toczyło po szosie zwykłym rzeczy porządkiem, że tak powiem. Liniowe autobusy ekspresy w kłębach czarnego dymu, olbrzymie chłodnie połyskujące optymistycznie cmentarną srebrzystością, obojętne na wszystko ciężarówki i żelazne wywrotki, nowiutkie wołgi, które dopiero próbują, kogo by tu przegonić, moskwicze o pięciu prędkościach, dla których nie istnieją dzięki temu żadne ustawy, zaporożce z terkoczącymi jak motocykle silnikami i motocykle, nieuchwytne i niezauważalne, zawsze podstępne i nieodgadnione w swoich manewrach, wreszcie stare modele samochodów, byłe samochody, widmowe i zwodnicze, bo zawsze człek sądzi, że niby to posuwa się to coś naprzód, ale okazuje się niebawem, że faktycznie stoi na miejscu, że nie jesteś w stanie zauważyć jego ruchu i w rezultacie możesz werżnąć się w jego bagażnik nie zdążywszy zahamować. A więc wszystko to, co było na szosie, sypało się na naszą wołgę; kuliłem się tylko, wciągałem głowę w ramiona i czekałem na zderzenia, ciosy, chrzęst, trzaski, brzęki i huk: Bum! Bach! Trrach

Jak, kiedy i jakim cudem udawało się Derżykrajowi

skręcić, przeskoczyć, prześlizgnąć się, uniknąć, przemknąć, przelecieć, uratować się, ocaleć, zostać przy życiu — przechodziło to ludzkie pojęcie.

Po pierwszej takiej przejażdżce wygramoliłem się z wozu, podziękowałem Derżykrajowi za bardzo mile spędzony czas i dodałem:

— Właściwie wiozłeś mnie dwa razy: po raz pierwszy i po raz ostatni. Nie ma głupich! Może szkolono cię na kosmonautę, a potem przerzucono do naszej huty, ale nasz etap to mimo wszystko nie kosmos. Coś ci się tu pomyliło.

— Pięknie — potrząsnął głową Derżykraj.

Zizi też bez wyraźnej chęci wsiadała z nim do wozu. Nie mówiąc już o starszym pokoleniu. Wytrzymałby tu chyba tylko Wuer, ale w jego spółdzielni zaczęła się właśnie gorąca pora i nie mógł ani rusz wybrać się do nas, żeby zobaczyć nowego szwagra, pokazać mu swój ocynkowany samochód i wypróbować jego wołgę.

Tymczasem Derżykraj niemal codziennie pędził po pracy swoim wozem gdzieś za miasto, w dalekie dale, w stepy, mknął na oślep bez celu, byle prędzej i dalej, przepadał niekiedy do północy, a nawet do samego rana. Latem, kiedy było sucho i ciepło, Zizi mniej się niepokoiła, przynajmniej nie pokazywała tego po sobie. Ale zaczęła się jesień, padały deszcze, szosa pokryła się cienko rozsmarowaną warstwą błota, które nazwać można „Śmierć motocykliście", jakkolwiek — prawdę mówiąc — nie widzę szczególnej różnicy między motocyklistami i automobilistami podczas takiej pogody. Derżykraja nie przerażała jednak zła pogoda, nie zwracał uwagi na błoto, nie lękał się jesiennych ciemności, pędził nadal, nie wiadomo dokąd i po co po stepowych szosach i wracał w takim zabłoconym wozie, jakby przewoził buraki cukrowe. Trzaskał drzwiczkami i narzuciwszy nylonowe wdzianko biegł pod deszczem

do domu, ale do mieszkania wchodził już bez wdzianka w swojej białej koszuli, z gołą głową, z zagadkowym błyskiem w oczach za szkłami okularów, z wiatrem i tchnieniem stepów w całej swojej krzepkiej postaci. „Jak cię nie kochać, Ukraino!..." Słowa Łucenki, muzyka Szamo...

Zizi witała męża, mama witała zięcia, tata wychodził na spotkanie Derżykraja, żeby pokazać, że nie jadł kolacji czekając na jego powrót. Kiedy byłem w takich chwilach w domu, nuciłem na melodię marsza żałobnego: „Tu-104 — dobry samolot..." Zizi tupała nogą i krzyczała: „Cicho bądź!" A dzisiaj zalewała łzami cały „Klub Ludzi Pracy".

Nie należałem do ludzi mściwych. Bo mógłbym przecież wypomnieć im te uroczyste powitania Derżykraja po jego wariackich gonitwach, mógłbym z oburzeniem potępić ich politykę pobłażania i aprobaty, mógłbym... Ale co z tego? Czyż dzięki temu siostra przestanie płakać? Czy droga stanie się mniej śliska? Czy Derżykraj pojawi się w drzwiach w swojej białej koszuli zaciskając w krótkich, mocnych palcach nylonowe francuskie wdzianko?

Trzeba zastosować inną taktykę. Nie płacz, tosi, tosi... Próbowałem Zizi pocieszać:

— Ależ wróci. Diabli go nie wezmą. A jeżeli nawet wezmą, to się udławią. Twoim Derżykrajem nawet diabły się udławią. Przecież wiesz. Prowadzi jak bóg. A może nigdzie na pojechał. Może jakaś narada w hucie. Albo jest w instytucie u Kryżenia. Taki wykład tam odstawi, że wszyscy gęby porozdziawiają...

— Nie, pojechał, pojechał... wiem... pojechał... poje... — jeszcze rozpaczliwiej szlochała Zizi.

Wytrąciło mnie to w końcu z równowagi.

— Pojechał, pojechał! — powtórzyłem przedrzeźniając Zizi. — Więc co z tego? A dlaczego taka jesteś pew-

na, że go poniosło za miasto, po szosie. A może pojechał...

Zastanawiałem się chwilę usiłując odgadnąć, dokąd mógł pojechać Derżykraj. Przejażdżka po alei Kosmonautów. Trwałoby to pięć minut i tyle! Zasiedział się w bibliotece? Nie przesiadywał tam, dawano mu książki do domu, nawet jeżeli miała je biblioteka tylko w jednym egzemplarzu. Ba, przecież doktor takich a takich nauk. Moje uszanowanie! A może machnął się do cyrku?

— Słuchaj, a przecież cyrk! Widziałem dzisiaj afisze. Nowy program w dwóch częściach z atrakcją „Drapieżniki — grupa mieszana". Wyobrażasz sobie to cudo — mieszana grupa drapieżników? Wiesz, co to takiego?

— Odczep się ze swoją mieszaną grupą! On nie lubi cyrku... Zabrałby mnie z sobą. I do teatru by zabrał. I do kina.

— Drapieżniki odpadają. Z pewnością. Tym bardziej grupa mieszana. Jest tu coś nieokreślonego, a Derżykraj nie znosi nieokreśloności. Jest człowiekiem we wszystkim dokładnym. O! A dlaczego nie miałby pojechać do swojej matki? Do starej Derżykrajowej? Jeździł do niej kiedyś?

— Raz. Byliśmy oboje...

— Jeden raz to mało. Po prostu pokazał synową. Czysto oficjalna wizyta. A teraz pojechał jako syn. Bez świadków. Jedynak. Trudno ci to zrozumieć, bo mama ma was trzy, a ja trochę rozumiem. Bo jestem jedynym synem. No a Derżykraj ma jeszcze, powiedziałbym, kompleks półsieroty. Ojca nie ma. Co? Z całą pewnością. Pojechał do starej Derżykrajowej!...

Jak się już rzekło, Zizi czekała, żeby się uczepić bodaj cienia nadziei, potrzebny jej był nawet taki niezręczny kłamca jak ja i chętnie uchwyciła się mego przypuszczenia; wciąż jeszcze pochlipywała, ale łzy już

się nie lały, wysychały nawet i mogliśmy spokojnie rozważyć wszystkie „za" i „przeciw".

Zizi chciała, żebym ją nadal przekonywał i uspokajał.

— Niemożliwe... Nie pojechał do matki... Wiem... Pojechał...

— A ja ci mówię, że do matki!... Dokąd jeszcze — w taki deszcz!... Nie znasz męskiej duszy, Zizi! Podczas niepogody mężczyzna ma chęć... — Jaką ma mężczyzna chęć, jeszcze dobrze nie wiedziałem, ale tym razem miałem absolutną pewność. — Posiedzieć w samotności przy matce... Za oknem wiatr i deszcz, step się rozciąga... Rewolucyjna przeszłość... Kozacy, szable... Rozumiesz, Zizi!... Zalewasz się łzami, a on korzysta ze swego prawa, żeby pobyć w samotności z matką...

— Już by przyjechał... To niedaleko... nie przekonuj mnie... wiem wszystko.

Ale już tylko gaworzyła, nie było tego wysokiego „c" w jej głosie.

Kuj żelazo, póki rak świśnie, jak powiedziałby komputer Derżykraja.

— Mogę ci z łatwością udowodnić... Pobiegnę do starej Derżykrajowej i przywiozę twego technokratę cieplutkiego, w białej koszuli... Chcesz?

— No przecież to daleko... Nie, tam go nie ma... To wszystko na nic...

W takich okolicznościach słowa tracą wszelką wartość. Trzeba działać. Włożyłem kurtkę, wcisnąłem czapkę na głowę.

— Lecę... Za pół godziny będziemy w domu!

Idąc pod strugami zimnego deszczu uświadomiłem sobie, jak głupio postąpiłem. Bo po pierwsze do żadnej starej Derżykrajowej nie pójdę. W ogóle nigdy u niej nie byłem, jeżeli pominiemy dawne odwiedziny w jej sadzie, wizyty nieoficjalne, że tak powiem, i w dodatku grupowe, bo wdzieraliśmy się całą gromadą do sadu

baby Derżykrajowej (jakoś zawsze nazywaliśmy ją babą, może dlatego, że taka tajemnicza była jej samotność, że żyła w takim zamknięciu) i obrywaliśmy wiśnie, a te kradzione przecież smakują zawsze najlepiej. Ani razu nie zostałem w jej sadzie schwytany, więc obeszłoby się zapewne bez słodkich wspomnień z dzieciństwa, gdybyśmy się spotkali, ale mimo że nie schwytała mnie stara Derżykrajowa w owych takich dalekich od dnia dzisiejszego czasach, wstyd mi było spojrzeć jej w oczy, zwłaszcza że pora była późna, a wieść przyniósłbym niepokojącą, może nawet groźną.

Zresztą — a można to już uznać za drugi punkt w uzasadnieniu głupoty mego postępowania — nie pojechał Derżykraj do swojej matki, bo nie taki z niego człowiek, żeby ciemną, deszczową nocą, kiedy dobry pan nawet psa z domu nie wypędzi, dotrzeć do ociekającego deszczem domku baby Derżykrajowej tylko po to, by powiedzieć: „Dobry wieczór, mamo, no, jak leci?" Stara Derżykrajowa chyba nigdy w życiu nie wyjeżdżała za obręb naszego miasta, w ogóle nie wiedziała, co to takiego jeździć, zmieniać miejsce zamieszkania, przenosić się, prowadzić ruchliwy tryb życia. Siedziała w swoim domku, pielęgnowała swój sad, patrzyła na rzekę, po której w górę i w dół pływały statki i barki. Może starczyło jej tego ruchu, by gasić niepokój, który żyje zawsze w każdym człowieku, może umyślnie gromadziła w sobie ten niepokój, nie chciała na razie tracić go nadaremnie i przekazała później w spadku synowi takie olbrzymie jego zapasy, że Derżykraja nie pohamuje teraz żadna siła.

Nie do pomyślenia, żeby Derżykraj ni z tego, ni z owego zjawił się nocą u matki, przyjechał do niej zabłoconym wozem!

Ale wracać z powrotem z niczym też nie mogłem. Trzeba bodaj jakiś czas gdzieś się pokręcić, aż Derży-

kraj, wyhasawszy się na zalanych rzadkim błockiem drogach, wróci do naszej Zizi otrząśnięty i wytrząśnięty...

Skoro już wybiegłem na ulicę, trzeba się na coś zdecydować. Na coś niezwykłego i niespodziewanego. Żebym sam się zdziwił.

I zdziwiłem się.

Odważyłem się pójść do baby Derżykrajowej.

A co? Nie nadaję się na dyplomatę? Z angielskim kapitalistą prowadziłem konwersację na odpowiednim poziomie, jak wszyscy później orzekli. Towarzysz Knysz werbował mnie do kółka amatorskiego przez wzgląd na moje zdolności oratorskie. Do zakładowego komitetu komsomołu wybrano mnie dlatego, że umiałem przemawiać na zebraniach i w razie czego dać temu, co należało, w szczękę. Więc tu nie dam rady?

Przyszedłem do baby Derżykrajowej późnym wieczorem i uraczyłem się jej wiśniowymi konfiturami, które nie mają sobie równych na świecie.

Młody Derżykraj nie uznawał mistyki. Wiedźmy nie mogą istnieć wśród gruchotu żelaza, nieczyste siły rozpędzili ormowcy, prymitywne cuda wyglądają tak tandetnie w porównaniu z rakietami, komputerami i laserami. Derżykraj wrócił późno w nocy. Wszyscy czekaliśmy na niego i usłyszeliśmy, jak trzasnęły drzwiczki jego wozu. Zizi pobiegła, żeby otworzyć drzwi, ale odsunąłem ją, wpuściłem Derżykraja do mieszkania, usiadłem naprzeciw niego i przyglądałem się, jak zajada z apetytem kolację. Poradziłem Zizi, żeby poszła spać, i opowiedziałem Derżykrajowi o swojej nocnej wizycie w domu jego matki.

— Cóż — żując mocnymi zębami kawałek pieczeni powiedział Derżykraj. — Nie warto było niepokoić nocą mojej matki.

— A ty niepotrzebnie hulasz nocą po szosie — po-

wiedziałem z wyrzutem. — Gdybyś mieszkał sam, to mógłbyś sobie nawet skakać z zapory Hydroelektrowni Dnieprzańskiej, ale ponieważ tak nie jest, myśl o swoich bliźnich.

— Nic w tym strasznego, kiedy człowiek gdzieś sobie jedzie. Przecież wróci. Po to się jedzie, żeby wrócić. Uciekasz wiedząc, że nie uciekniesz. A szkoda. Wielka szkoda, Mytiu. Prawo koła. Nie słyszałeś o takim prawie, bo nikt go nie sformułował. W praktyce nie istnieje, ale jest takie prawo. Wszystko jest zmienne na świecie. Góry się rozpadają, rzeki płyną przez równiny przerzucając się z jednego koryta do drugiego, to znów chowają się pod ziemię lub znikają na zawsze, nawet w położeniu gwiazd zaznaczają się z czasem zmiany. Cóż więc możemy uważać za rękojmię wiecznego trwania? Czas? Powinien mieć również formę. Przestrzeń? Tu forma jest konieczna. Ruch? Ruch musi mieć kierunek, czyli też podporządkować się formie. Jaka forma odpowiada warunkom powszechnego, wiecznego trwania? Tylko jedna — koło. Więź wszystkiego, co istnieje w rzeczywistości i w wyobraźni, znak bezgraniczności i nieskończoności, co widzimy bodaj na przykładzie zwykłego jajka. Z jajka, jednej z odmian uogólnionego koła, rodzi się życie. Ale jak? Przez przezwyciężenie samej zasady koła. Żeby się urodzić, kurczak musi przekłuć jajko, zniszczyć koło, wydostać się z niego. Podobnie człowiek usiłuje wyrwać się z kręgu swego istnienia, który sam stworzył, wyrwać się ze swojej sytuacji. Dokąd i po co? Trudno dać tu odpowiedź. Może trzeba właśnie tak — wsiąść do samochodu i przejechać w pędzie sto kilometrów po mokrej i ciemnej szosie. Rozumiesz mnie?

— Nie bardzo — przyznałem się otwarcie. — Pewnie kręci ci się w głowie od szybkiej jazdy, mnie kręci się również, słowem wszystko kołem się toczy. Ale dziękuję

ci za zaufanie. Po tych wszystkich oficjalnych idiotyzmach, którymi odstręczałeś mnie od siebie, z przyjemnością słuchałem tego czegoś ciekawego, mimo że chyba nawet wariackiego.

— Ludzie, którzy wiedzą to samo, nudzą się w swoim towarzystwie — burknął Derżykraj. — Chodźmy spać. Jutro cię podwiozę. I nie wymawiaj się, skoro nabiegałeś się dzisiaj szukając mnie i jeszcze musiałeś wysłuchać, jak moja mama opowiada o głosie czasu.

Z rana pojechałem z Derżykrajem jego wozem. Złamałem swoją zasadę, jakby przeczuwając, że rozmowa, jaką Derżykraj rozpoczął wczoraj w nocy, będzie kontynuowana i że potrzebne będzie po temu terytorium neutralne: ani „Klub Ludzi Pracy", ani nasz oddział.

Derżykraj włączył odbiornik. W mroku ochrypłym pewnie z niewyspania głosem jakiś nienormalny wyśpiewywał nie kończącą się piosenkę o „oczach z naprzeciwka": „Och, jak zetknął, och, jak zetknął, och, jak zetknął nas los..."

— Słyszałeś o kwadracie? — zapytał mnie Derżykraj patrząc przed siebie i biorąc od razu, z mety, straszną szybkość.

— Tylko w granicach obowiązkowej nauki w szkole.

— Pytam poważnie.

— Cóż, wczoraj coś mówiłeś o kole, a teraz — o kwadracie.

— Mamy trochę czasu, możemy machnąć się za miasto, trochę się przewietrzyć. Wczoraj — co innego. Filozofowaliśmy, abstrahowali. Chodzi mi o jak najbardziej realny kwadrat. Nasz, zakładowy. Który był dawniej trójkątem: dyrekcja — egzekutywa — komitet zakładowy. Teraz przybyła jeszcze egzekutywa komsomołu. Czwarty wierzchołek.

— Taką figurę geometryczną znam — powiedziałem. A nienormalny wciąż wyśpiewywał przez radio: „Tylko

z drogi nie zawracaj, tylko oczu nie odwracaj swych!" Warto by się dowiedzieć, czyje słowa i czyja muzyka!

— Mielibyśmy dla ciebie piękną propozycję — Derżykraj pokręcił kółkiem i wóz poleciał gdzieś w mrok; nie było to już koło, tylko owa krzywa, na której końcu bywa „grono kolegów", po chwili pędziliśmy jednak znowu po szosie, lecieliśmy po linii prostej. — Otóż mielibyśmy dla ciebie piękną propozycję, żebyś stanął na jednym skrzydle...

— Jaki ze mnie skrzydłowy. Mam kiepskie podania.

Derżykraj puścił mój żart mimo uszu.

— Na wierzchołku komsomolskim. Zamierzamy wytypować cię na sekretarza egzekutywy komsomołu.

— Wytypować możecie. A jeżeli komsomolcy nie zechcą mnie wybrać?

— A niby dlaczego? Jesteś laureatem, wszyscy cię znają, wszystkim świecisz przykładem. Idealna sytuacja.

— A jeżeli ja nie chcę?

— Nikt tego nie zrozumie. Dajemy ci taki piękny dowód zaufania.

— Kto? Może ty? Przecież jesteś w hucie nowym człowiekiem.

„Och, jak zetknął, och, jak zetknął nas los..."

— Mniejsza o to. Ważne jest samo zaufanie.

— A jeżeli uważam, że nie nadaję się do tego? Ciągnąć rury — to owszem, ale przemawiać — nie! Nie zostanę takim mówcą, jak ów Grek, którego imienia nigdy nie potrafię zapamiętać.

— Chodzi ci o tego Greka, co uciekł z pola bitwy pod Cheroneją? To Demostenes.

— Nie wiem, kto się tam bił i o co.

— Na swoje usprawiedliwienie Demostenes powiedział, że ten, co uciekł, może jeszcze wrócić na pole walki, ale ten, dla którego nastał kres, już nigdy nie

pójdzie na wroga. Jest w tym trochę prawdy. Bo gdybyś na przykład nie wyleciał w swoim czasie z czołgu i odbył całą służbę wojskową, jeszcze nie wiadomo, czy zostałbyś dobrym walcownikiem. Sprzyjające okoliczności bywają raz w życiu. Czasem trzeba z tego umieć skorzystać.

— O czołgu dowiedziałeś się od Zizi, zapoznając się z naszymi historiami rodzinnymi, czy po prostu znalazłeś ten szczegół, uzupełniając swoją erudycję?

„Och, jak zetknął, och, jak zetknął, och, jak zetknął nas los..."

— Dobrze nie pamiętam. Ale wszystkie twoje dane opracował komputer. Interesuję się wszystkimi pracownikami oddziału. Komputer otrzymuje dane o tym czy innym i daje nam podsumowanie.

— A cóż podsumował towarzysz komputer?

— Powiedziałbym, że obraz jest niezbyt pocieszający.

„Tylko z drogi nie zawracaj, tylko z drogi nie zawracaj, tylko oczu nie odwracaj swych..."

— Jakież braki znaleziono u Dmytra Czeredy?

— Rozwój ogólny dosyć wysoki. Nawet nad podziw wysoki. Ale jeżeli chodzi o wiadomości ścisłe, o określony zakres wiedzy — tu masz braki. W wykształceniu technicznym.

— Nie mam dyplomów. Ale uczę się nie po to, żeby je mieć. Dla samej nauki.

— No właśnie. Wynika to z twego zastanawiająco wysokiego poziomu. Ale chodzi nam o określony zakres wiadomości. Uczenie się w ogóle, dla samej nauki — to dla ludzi niepoważnych. A my wykonujemy zadanie. Może jesteśmy zbyt jednostronni, ale nie ma na to rady. Technika wymaga takiej jednostronności. Dopiero po pewnym czasie, osiągnąwszy wysoki stopień wydoskonalenia w swojej umiejętności, usiłujemy przekroczyć granice swojej sytuacji. Wyrwać się z koła.

— Przekłuwanie jajka?

— Jak chcesz...

„Och, jak zetknął..."

— Zaczynam rozumieć, dlaczego chciałbyś mnie postawić na wierzchołku. Nie wszyscy mieszczą się w kole?

— Bądźmy szczerzy. Ciężko nam razem. Jesteśmy spokrewnieni, co utrudnia sytuację. Ty jesteś laureatem, a to zaostrza sytuację jeszcze bardziej.

— Przez Szlachtycza też się zaostrza?

— Też.

— A Krywcun? Co o nim powiedział komputer?

— Jego rozwój jest niższy niż przeciętny. A w ogóle — Krywcun nadaje się do nas. Z łatwością ukształtuje się na potrzebnego nam wykonawcę.

— Wiedziałem to z góry. Krywcunowie są wieczni. A mamy tu jeszcze Tokowego. W sam raz dla ciebie. Ten jest także wieczny. Chociaż Tokowego chyba nawet komputer odrzuci. Nie wytrzyma. No a ze mną będziesz miał ciężką przeprawę, Derżykraj. Co mi zrobisz? Osiemnaście wskaźników — na pięć z plusem. Z planem — normalka, nieszczęśliwych wypadków nie ma, naukowa organizacja pracy — na poziomie... I tak dalej, wszystkie osiemnaście punktów. Do czego się przyczepisz? Do wysokiego rozwoju ogólnego? Nic z tego. Nie uda ci się mnie wytypować, bo nie chcę tego. Zwolnić mnie? A ustawodawstwo pracy? Przenieść na niższe stanowisko — jest to jeden z rodzajów kary (art. 56), ale stosowany tylko na trzy miesiące. Przeniesienie do innej pracy na podstawie artykułu 13 wymaga zgody pracownika. Zwolnić mnie jako nie nadającego się do danej pracy (art. 71) też się nie uda, bo jeżeli człowiek, który został laureatem jako walcownik, nie nadaje się do walcowania rur, to kto się właściwie nadaje?

— Jedziemy z powrotem? — zapytał Derżykraj, jakkolwiek pytać nie potrzebował — byłem pasażerem, a ponadto podległym mu pracownikiem, w dodatku nastraszonym przez komputer.

Chętnie bym go złapał za tę białą koszulę na piersiach i tak bym nim potrząsnął, że... Ale jak tu złapać za taką nylonową koszulę! Trzeba chyba mieć jakieś antypalce.

Rwać koszulę na sobie? Staromodne i śmieszne.

„Tylko z drogi nie zawracaj, tylko oczu nie odwracaj swych..." Muzyka... Czyja to właściwie muzyka?... Zbyt niski poziom ogólny.

— Nie wiesz, czyja to muzyka? — zapytałem Derżykraja.

— Muzyka? Jaka muzyka? Ach ta? Nie wiem... Z niczym mi się nie kojarzy... Myślę, że to w ogóle nie muzyka... Ciężko nam będzie razem, Dmytrze... Widocznie niezgodność biologiczno-techniczna... Ale bywa... Zgodność jest zjawiskiem niemal nie spotykanym. Powszechna niezgodność... Myślałem, że jakoś się dogadamy... To ty błądzisz... Dotychczas uważasz się za bohatera... A każdy bohater wcześniej czy później staje się ciężarem...

„Och, jak zetknął, och, jak zetknął, och, jak zetknął nas los..."

Po tym, co między nami zaszło, Klementyna podchodziła teraz do mnie z rzadka tylko i ostrożnie, jakby przebiegała we mnie nie kontrolowana reakcja jądrowa. Powiedziałbym, że się mnie bała, gdybym wiedział, że takie przeklęte dziewczynisko w ogóle może się kogoś bać. Gdyby wiedziała, jakie niepewne jest moje położenie w sferze wpływów Derżykraja, może byłaby śmielsza czy, mówiąc prościej, zuchwalsza,

a może wprost przeciwnie: może zaczęłaby się litować, czego tak samo nie znoszę jak zuchwalstwa.

Podeszła do mnie, patrzyła chwilę, jak sprawnie manipuluję przyciskami na pulpicie i wyciskam siódme poty z niezbyt rozgarniętego Krywcuna, domyśliła się, że nie uda się tu pogadać, więc tylko zapytała:

— Nie jesteś po pracy zajęty?

— W ogóle nie jestem zajęty, co powinnaś wiedzieć. Nie zajęty i wolny. Jasne, dziecino?

— Nie nazywaj mnie dzieciną! Chcę z tobą porozmawiać po zmianie.

Krywcun od razu nastawił ucha.

— Nie podsłuchuj, nie podsłuchuj! — poradziłem mu. — Tym razem obejdzie się bez ciebie. Moje kondolencje.

Kiedy Klementyna odeszła, powiedziałem do Krywcuna:

— Chwalisz się, że znasz wszystkie prawa. Chwalisz się, co?

— Bo znam.

— Wszystkie?

— Te, co mi są potrzebne, znam.

— A słyszałeś o prawie wykluwania się z jajka?

— Alboż jestem kurczakiem?

— Wszyscy jesteśmy tak czy inaczej kurczakami. Ten i ów nie wznosi się nigdy ponad poziom kurczaka. Ale nie życzysz sobie przyjąć tego do wiadomości. Tak?

— A co ci do tego, że sobie nie ży-czę! Tak, nie ży-czę sobie!

Mógłbym go jeszcze zapytać, dlaczego na książki wydaje dwadzieścia kopiejek rocznie, a na wódkę — dwadzieścia rubli, ale nie zapytałem, wiedziałem, że odpowie: „Mam prawo!"

A kiedy po zmianie spróbował przyczepić się do mnie

i Klementyny, pchnąłem go delikatnie w plecy i przypomniałem mu:

— Masz prawo iść po tamtej stronie ulicy, a my — po tej.

Wielka to rzecz mieć prawa!

Klementyna obiecała towarzyszowi Knyszowi, że mnie do niego przyprowadzi. Bezzwłocznie, nie odkładając na drugi raz, prosto do Pałacu Kultury, bo — jak się okazało — towarzysz Knysz od dawna na mnie czeka.

— A w domu przynajmniej bywa? Jeść nie przestał, wciąż tak na mnie czekając? — dowcipkowałem sobie, ale poszedłem z Klementyną do towarzysza Knysza. Dlaczego nie pójść, nie urozmaicić sobie życia rozmową z takim kulturalnym człowiekiem?

Towarzysz Knysz rzeczywiście na mnie czekał, od razu otworzył swoją „Helgę" i nalał koniak, z którego należało może zrezygnować, gdybym nie miał proroczego przeczucia, ale rezygnować było nonsensem. Wiedziałem przecież, że będzie znowu mowa o siostrzyczce towarzysza Knysza, która rozsiadła się w fotelu i przyglądała się swoim paznokietkom.

— Co? — zapytałem, bo wypadało jakoś zacząć. — Znowu siostrzyczka? Potrzebna jest moja protekcja? Najbardziej wpływowym człowiekiem w Kraju Rad jest Dmytro Czereda. Dokąd ją wepchnąć? Do ekipy geologicznej poszukującej nowych terenów diamentowych? Ależ zakocha się w kierowniku.

— Nie — przerwał mi towarzysz Knysz — nie chodzi mi o Klementynę.

— Więc o co? Pozostaje odwieczny temat — kółko amatorskie. Dogadajmy się wreszcie. Cośmy za jedni i co robimy? Produkujemy metal czy zajmujemy się teatrem amatorskim? Gdzie twoje poczucie humoru, towarzyszu Knysz? Czyż można sprawdzać czynną

działalność człowieka pracy w wieku dwudziestym do takiej podrzędnej sprawy jak ruch amatorski? Na twój widok nabieram chęci, by stać się człowiekiem poważnym. Chyba po raz pierwszy w życiu nawiedza mnie ta powaga, której kiedyś żądał ode mnie docent Kryżeń. Nie, nie uda się nam żadna twórczość samorodna.

— Ale nie. Nie chodzi o nas.

— Więc o kogo? I po co ja ci jestem potrzebny?

— Bo widzisz, w tym sęk... Klementyna wie coś niecoś... No, ty pewnie jeszcze więcej... Jesteś w kontakcie...

— Z czym?

— Widzisz... Marzę od dawna, żeby wystawić u nas... No, słowem, zrealizować własny spektakl... W mojej reżyserii... rozumiesz?

— W twojej reżyserii? — wciąż nic nie rozumiałem.

— Ach, przecież to takie proste! — zerwała się z fotela Klementyna. — Brat chce wystawić jakąś sztukę... Ma talent reżyserski... To jego marzenie...

— Więc niech wystawi. Nikt się nie sprzeciwi...

Knysz znowu skierował rozmowę w pożądanym dla niego kierunku:

— Sprawa jest tego rodzaju... Wystawić potrafi każdy... Ale co wystawić i z kim? Potrzebna jest sztuka, potrzebni są zdolni ludzie... W ogóle...

— Znajdź sztukę i znajdź zdolnych ludzi... Wystaw Kornijczuka albo Szekspira — co ci za różnica? Wiesz, jak do jednego takiego Josi przyniesiono duży brylant i poproszono, żeby go porąbał na trzy części? Josia wziął młotek. Trrach! — i rozkruszył. Zapytano go, czy się nie bał walić młotkiem w taki drogi kamień. Wszyscy znani jubilerzy nie chieli się tego podjąć. „Przecież to są jubilerzy — powiada Josia — a ja? Alboż się znam na tym, co to za kamień? Chcieliście, żebym go porąbał, to porąbałem!"

Widząc, że cała moja powaga ulatuje, towarzysz Knysz przeszedł do sedna rzeczy:

— Mam do ciebie prośbę. Pogadaj z Derżykrajem.

— Z Derżykrajem? A o czym? Gadałem z nim już o wszystkim na świecie. A teraz — o ruchu amatorskim?

— Nie, o sztuce. O spektaklu... Wiem, że oni chcą go u nas zrealizować...

— Jacy oni?

— Derżykraj i ci jego... ostrzyżeni chłopcy... Twoja siostra ma również zagrać...

— Zizi? Zagrać? Gdzie? Co za bzdury?

— No, jesteś rzeczywiście ślepy — Klementyna wzruszyła lekceważąco ramionami. — O sztuce wie nawet Krywcun, a ty — nic?... Dziwne. A może nie chcesz powiedzieć...

— No, może nie chciałem — żeby nie wyglądać na ostatniego idiotę, udałem, że niby coś wiem. A co dalej? Co dalej?

— Brat chciałby wystawić tę sztukę. Dopomóc im... Nadać odpowiedni kształt... No, powinieneś zrozumieć...

— Niech wystawi... Możesz wystawić tę sztukę, towarzyszu Knysz. Może dostaniesz za to wreszcie tytuł zasłużonego działacza kultury...

— Derżykraj oświadczył, że chce wystawić sam — stwierdził ze smutkiem towarzysz Knysz.

Derżykraj i realizacja jakiejś sztuki? Brzmiało to absurdalnie! Ale jeżeli nasz technokrata wbił sobie coś do swojej wielce uczonej głowy, to...

— Skoro chce zrealizować, to zrealizuje — zapewniłem towarzysza Knysza.

— Ale chce również grać główną rolę w sztuce — zawołał wyraźnie przestraszony towarzysz Knysz. — Człowiek nie ma doświadczenia i chce być realizatorem i wykonawcą głównej roli — to niedopuszczalne!

— Skąd wiesz, że brak mu doświadczenia w takich sprawach? A może Derżykraj zna cały system Stanisławskiego jak tabliczkę mnożenia, jak dwa razy dwa i pięć razy pięć!

— No, pogadać z nim można by spróbować — stanowczo bez przekonania w głosie wyraził przypuszczenie towarzysz Knysz — przekonać go, zasugerować, otworzyć oczy...

— To mu otwórz.

— Prosimy ciebie, Mytiu — zaczęła się do mnie przymilać Klementyna — umiesz przecież mówić jak nikt inny... Z Derżykrajem jesteś w przyjacielskich stosunkach, ma o tobie takie dobre zdanie...

Przyjacielskie stosunki? Dobre zdanie? Po wszystkim, cośmy sobie wzajem nagadali? „Wszystko huragan zmiótł potężny!" A ta przymila się w przekonaniu, że oczarowała mnie na wieki. Mógłbym jej opowiedzieć o tamtej dziewczynie, co kupowała kwiaty, o dziewczynie, która teraz pozostanie dla mnie na zawsze tą, co kupuje kwiaty, dziewczyną-kwiatem, dziewczyną-pokusą, ale nie uda mi się o niej opowiedzieć, bo cóż da się opowiedzieć o zjawie, nawet najpiękniejszej!

— Mam nadzieję, towarzyszu Knysz — oświadczyłem uroczyście — mam nadzieję, że udostępnisz scenę naszego Pałacu Kultury wielce uczonemu towarzyszowi Derżykrajowi, który będzie się tu oddawał wysoce artystycznym ćwiczeniom. Ze swojej strony zgłaszam się jako pierwszy i najczynniejszy widz! Na tym kończymy naszą audycję!

— Myślałam o tobie o wiele lepiej — powiedziała na pożegnanie Klementyna.

— Dziecinko — szepnąłem jej na ucho — znowu pomyliłaś adresy. Bądź uważniejsza! A wtedy zauważysz, że „wszystko huragan zmiótł potężny"...

Znalazłem się w dwuznacznej sytuacji. Z jednej strony wiedziałem właściwie, że Derżykraj ma zamiar zadziwić miasto także działalnością artystyczną swojej „drużyny", z drugiej — niby nie miałem prawa wiedzieć, bo nikt z zainteresowanych mnie nie wtajemniczył. Biorąc pod uwagę fakt, że wśród spiskowców był nie tylko mój szwagier, ale również moja rodzona siostra, nietrudno zrozumieć ich chęć całkowitego wyeliminowania mojej osoby. Przyczyna? Bardzo zwyczajne. Talent. Nikt nie dopatrywał się we mnie talentu, więc pozostawiono mnie w spokoju. Co prawda, talent raczej nie rzuca się w oczy, ale jego brak daje się od razu zauważyć. Nie zależało mi na sławie, nie pchałbym się gwałtem na scenę, żeby wypowiadać tam słowa, które ktoś wymyślił. Są słowa, które jeszcze nikomu nie pomogły. I poza tym: jaki człowiek, takie są jego słowa. Technokraci Derżykraja należeli do ludzi, którzy na razie mogli nie nosić żadnego imienia, do ludzi bezimiennych. Wydawali się nam tacy jednakowi, wszyscy ostrzyżeni, wszyscy w białych koszulach, wszyscy ujednoliceni, jakby wytworzył ich komputer. Co potrafią pokazać na scenie? Może jeszcze tam zaciągną jakiś sprzęt techniczny? Spróbują kupić nasz czas wolny, podobnie jak kupuje się czas pracy?

Klementyna manifestowała na różne sposoby swoją dla mnie pogardę. Była przekonana, że jestem w niej beznadziejnie zakochany, i ni stąd, ni zowąd ten zakochany nie zechciał dopomóc w takiej bagatelnej sprawie! Co robić! Dziewczyny z ukończoną szkołą średnią jeszcze nie uświadamiają sobie dobrze, co to takiego szczytne zasady. Czyż mogłem wytłumaczyć Klementynie, jakie stosunki panują między mną i Derżykrajem; a nie wypowiedziawszy się, człowiek czuje się jak nie wydojona krowa, co stwierdził raz trafnie nasz zakładowy poeta. Stosując swoje prawo kompensacji, kiedy

spotykałem Klementynę, powtarzałem za każdym razem urywek z wierszyka dla dzieci: „Gdzie jest nasza krowa? W oborze, u żłobu!" Niezrozumiałe to było i idiotyczne, ale tym bardziej irytujące. W sam raz dla dziewcząt. Działa na nie niezawodnie. Klementyna pogardzała mną coraz głębiej. Ale dziewczyna potrafi zapomnieć nawet o pogardzie, kiedy dowie się o czymś, o czym chciałaby jak najprędzej zawiadomić możliwie największą liczbę obywateli. W takich wypadkach dziewczynom należałoby oddawać do dyspozycji mikrofony jeżeli nie republikańskiego, to bodaj miejskiego radia.

Klementyna poszła ze mną do domu po zmianie w jak najlepszej komitywie.

— Mam dla ciebie nowinę — powiedziała cmoknąwszy z zadowolenia, jakby ssała cukierek. — Mój brat już zaczął pracę nad spektaklem.

— Moje kondolencje.

— Nie wierzysz w jego zdolności? — od razu obraziła się Klementyna. — Przecież go nie znasz!

— Wiem za to, jaki jest ten ludzki materiał, z którym będzie miał do czynienia. Jest tam tylko jeden żywy człowiek, moja siostrunia Zizi. Ale chciałbym widzieć reżysera, który poradzi sobie z tą wymykającą się spod wszelkiej kontroli osóbką! Wątpię, czy będzie nim towarzysz Knysz. No, Zizi wniesie bodaj trochę dezorganizacji do tego nudnego towarzystwa. Derżykraj i jego „drużyna" na scenie? Śmieję się na całe gardło! Parada arytmometrów, rozmontowane mózgi elektroniczne? Mam nadzieję, że to będzie komedia?

— Komedia. Nawet farsa. Farsa polityczna.

— Polityczna? A przeciwko czemu wymierzona? Przeciwko technice, cybernetyce, energii atomowej?

— Wiesz, kto jest autorem sztuki?

— No kto? Szekspir napisałby z przyjemnością, ale

dawno już zmarł. Ktoś z żyjących klasyków czy dramaturg miejscowy, zrodzony z pełnej automatyzacji i włączony do naszego SSA jako jeden z elementów nieodzownych?

— Mytiu, skonasz, kiedy się dowiesz! Sztukę napisał komputer!

— Kto-o?

— No, maszyna elektroniczna. Pojechali gdzieś do Kijowa czy nie wiem zresztą dokąd, jest tam taka eksperymentalna maszyna, która pisze muzykę i wiersze. Spróbowano zaprogramować dla niej farsę polityczną i komputer dał sztukę. Zatytułowana jest „Pustynia". Brat powiedział, że bardzo śmieszna.

— Nie wątpię. Jeszcze jak śmieszna! Na naszych halach stoją jeszcze babki przy walcarkach i przy młotach mechanicznych, a tymczasem konstruujemy komputery do układania wierszy. Komu tak się zachciało poezji bez serca?

— Przecież to sztuka — przypomniała Klementyna — komedia. Sam śmiech. A czyż śmiech to nie brak serca. Nigdy w nim nie ma serca.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Że ja też nie mam serca? Bo zawsze się śmieję. O to ci chodziło?

— A jeżeli nawet...

— Dziecino, przecież to nie ja pomyliłem adresy!

— Ile razy jeszcze to powtórzysz! Jesteś, Mytiu, jeszcze bardziej nieczuły niż wszystkie na świecie komputery razem wzięte! Jesteś...

— Nie kończ — wziąłem dziewczynę za rękę — czytam myśli na odległość... Zakochałaś się teraz w komputerze... Nie mogę nawet marzyć o rywalizacji! Poddaję się...

Nie osiągnęliśmy porozumienia w sprawach zasadniczych, interesujących obie strony, ale nie przeszkodziło to nam jak parze starych przyjaciół przez trzy miesiące

siedzieć obok siebie w sali zakładowego Pałacu Kultury i przyglądać się temu, co się działo na scenie.

Dla naszego miasta było to nie lada wydarzenie. Po pierwsze — wszystkich zaintrygowało to najbardziej — sztukę napisała maszyna. Co mogła napisać? I jak? I czy w ogóle mogła? A może napisali jacyś sprytni chłopcy i za dobre pieniądze zgodzili się figurować jako komputer? Wszystko jest możliwe. Każdy żywił w głębi duszy chęć, by już na podstawie pierwszych słów wypowiedzianych na scenie wykryć oszustwo i ustalić ponad wszelką wątpliwość, czy rzeczywiście jest to praca maszyny, czy popracował tu ludzki mózg. Po drugie — wszystkich poruszyło to tak samo jak zagadka autorstwa komedii — wystawiali sztukę intelektualiści z naszego nowego oddziału, a główną rolę grał w komedii sam Derżykraj, człowiek uczony, doktor nauk, poważny i surowy. Doktor nauk — w komedii? Nie mieściło się to również w zwyczajowych ramach. I po trzecie — zdziwiło to wszystkich najbardziej — na komedię trzeba było kupować bilety! Żadnych zaproszeń, nawet dla dyrektora huty i sekretarza egzekutywy, każdy musiał zapłacić za wstęp, rozrachunek gospodarczy triumfował i działał, Pałac Kultury literalnie trzeszczał, taki był przepełniony, ludzie siedzieli i stali pod ścianami, nic podobnego dotąd tu nie widziano. A przecież kupowali ludzie, mówiąc w stylu komputera, czarnego kota nocą w worku.

Mieliśmy oboje z Klementyną jeden program do spółki, Klementyna umiała go już na pamięć, ja czytałem po raz pierwszy.

Osoby:

Szejk

Stary, gruby, z bródką. Ma na sobie długą białą szatę, czyli galabiję, na niej białą koszulę z krawatem. Na głowie — turban.

(Szejka grał Derżykraj. Pewnie po to została napisana sztuka).

Archeolog

Kobieta przebrana za mężczyznę. Dżinsy, koszula z naramiennikami, szeroki pas z łopatką w futerale.

(Nigdy nie przychodziło mi do głowy, że nasza Zizi może mieć coś wspólnego z archeologią. Ale w programie figurowało: Z. Czereda).

Szukający boga

Mężczyzna w przebraniu kobiecym. Gra tę rolę kobieta.

Milicjant
Przemytnik

Jego cechy: broń automatyczna, odbiornik tranzystorowy, zbójeckie wąsy.

Derwisz
Pułkownicy:
pierwszy,
drugi,
trzeci z akselbantami.

Wszyscy pułkownicy mają na sobie szorty i mundurowe koszule z krótkimi rękawami. Buciki na grubej podeszwie. Korkowe hełmy tropikalne.

Trzeci pułkownik prócz naramienników z gwiazdkami ma jeszcze na ramieniu gruby sznur, czyli akselbanty.

Młodzi małżonkowie:
mąż
żona
Ci, co podsłuchują ropę naftową:
1 ślepiec
2 ślepiec

Synowie pustyni, tragarze, służba, kobiety i tak dalej, zależnie od potrzeby. Akcja rozgrywa się współcześnie na pustyni.

— Dlaczego realizator towarzysz Knysz nie wprowadza ilustracji muzycznej? — zapytałem Klementyny, by obudzić w jej sercu dumę z tych węzłów pokrewieństwa, co łączy ją z realizatorem przedstawienia G. Knyszem.

— Cicho bądź. Zaczyna się!

Umilkłem. I w ogóle milczałem przez cały czas, kiedy oglądaliśmy wszyscy pierwszy akt tego niezwykłego spektaklu, który nie miał z naszą hutą nic wspólnego, ale zainteresował nas wszystkich niebywale, gdyż narodził się wśród nas tak samo jak rodzą się co dzień kilometry niezwykłych rur.

A więc „Pustynia". Farsa w trzech aktach.

Akt pierwszy. Poszukiwacze

Noc. Wycie szakala. Słychać w dali warkot silników. Silniki terkoczą po dwóch przeciwległych stronach. Zbliżają się dwa dotąd niewidoczne wozy. Reflektory oświetlają pustynny krajobraz. Nigdzie nic, tylko dwa snopy silnego światła z dwóch przeciwległych stron. Snopy światła krzyżują się, oba samochody rozpaczliwie sygnalizują, migają reflektorami, kierowcy widocznie oślepili się wzajem. Silniki milkną, samochody się zatrzymały, martwe światło reflektorów nad pustynią. Z przeciwległych stron z samochodów jednocześnie wybiegają dwie postaci. Widocznie zamierzają wyjaśnić konflikt. Wymachują z oburzenia rękoma.

Dwie postaci w świetle reflektorów. Dziwacznie ubrane — stroje ani męskie, ani kobiece w stylu mieszanym, amerykańsko-europejskim. Trudno się zorientować, kogo mamy przed sobą: dwóch młodych mężczyzn czy dwie młode kobiety, lub kobietę i mężczyznę.

Archeolog (*jest kobietą, ale przebrała się za mężczyznę i nie sposób rozpoznać, kto to taki).* Czy mam przyjemność z kobietą?

Szukający boga (*to młody człowiek, ale włosy ma długie i kobieca figura, na sobie dżinsy i jakiś swe-*

terek, gorliwie udaje kobietę). Do wszystkich diabłów jakie to ma znaczenie! Świeci mi pan w oczy!

Archeolog. O! Jest pan mężczyzną?

Szukający boga. Do wszystkich diabłów... Ale... Pardon... Co... mówię z kobietą?

Archeolog. Świeci mi pan w oczy.

Szukający boga. To pani mnie świeci...

Archeolog. Mam taki zawód. Żeby znaleźć w tej pustyni byle drobiazg, trzeba dobrze poświecić.

Szukający boga. Słońce zrobi to lepiej niż pani reflektory.

Archeolog. Przecież świeci pan tak samo.

Szukający boga. Chcę znaleźć na pustyni boga, a bogowie mieszkają tylko na oświetlonym terenie. W ciemnościach, jak wiadomo, mnożą się tylko złe moce.

Archeolog. Więc jesteśmy kolegami. Szukam także bogów, ale martwych. Jestem archeologiem

Szukający boga. Martwi bogowie nigdy mnie nie interesowali. Wolę żywych.

Archeolog. A widział pan ich kiedyś?

Szukający boga. Do wszystkich diabłów... Pardon... W tym właśnie celu tu... Powiedziane jest, kto chce znaleźć boga, niech idzie na pustynię.

Archeolog. Mówi się tak w znaczeniu filozoficznym. Czy jest pan idealistą?

Szukający boga. Jeżeli materialiści to ci, co usiłują układać sobie życie ze skorupek znalezionych na pustyni, to jestem rzeczywiście idealistą.

Archeolog. Skorupki — to wieczność. Nic tak nie zatrzymuje w sobie czasu jak archeologiczne skorupy.

Szukający boga. Czy ma pani whisky? Chociaż, pardon, przecież pani jest...

Archeolog. Kobietą? Ale w męskich ciuchach, więc muszę... Mam wszystko...

Kiedy Archeolog domawia ostatnich słów, z trzech stron ukazują się ciemne postaci, które w milczeniu rzucają się na podróżnych. Krótka walka, stłumione krzyki. Jacyś ludzie w burnusach narzucają na Szukającego boga i na Archeologa worki, krępują oboje sznurami i ciągną w ciemność. Tylko światło reflektorów nad pustynią, nigdzie nic.

...Świt. Ta sama pustynia. Teraz widzimy jednak w oddali palmę, pod którą spoczywa Szejk na wysokim, dosyć dziwnym łożu. Z lewej strony przybliża się do Szejka dziwaczna procesja. Dwie postaci owinięte w wory z wielbłądziej wełny, skrępowane sznurami, których końce trzyma w ręku Przemytnik, oberwaniec prezentujący się wcale malowniczo, z odbiornikiem tranzystorowym, z peemem na ramieniu. Słudzy ciągną za końce kilimu, na którym stoi łoże Szejka, i przetransportowują je na proscenium. Przemytnik podprowadza swoich jeńców do Szejka, pada przed nim na kolana.

Przemytnik. O, mój władco! (*Szarpie za sznur, usiłuje zmusić jeńców, by też padli na kolana, ci stoją jednak nadal).*

Szejk (*klaszcze w dłonie i rozkazuje przybliżającemu się słudze)* Dać mu jedną kawę...

Przemytnik (*odbiera z rąk sługi filiżaneczkę kawy).* Niechaj twój Allach i mój Adonaj błogosławi twoją hojność, mój władco! (*Siorbie kawę, wylewa fusy na kilim).*

Szejk. Ten, kto wypija kawę zbyt szybko, nie jest jej wart.

Przemytnik. Spieszyłem się, by uradować czym prędzej twoje oczy.

Szejk. Twoje słowa zaczynają mi się podobać.

Przemytnik. Ale obiecaj, mój władco, że godnie mnie wynagrodzisz.

Szejk. Zaczynasz od końca, jak ten uczeń, co uczy się Koranu począwszy od ostatnich jego sur, krótszych i zrozumialszych.

Przemytnik. Więc patrz! (*Podbiega do swoich jeńców, zrywa z nich worki).*

Szejk siada na łożu i długo w milczeniu przygląda się jeńcom.

Szejk (*wskazując palcem Szukającego boga).* Jesteś kobietą?

Szukający boga. Zgadłeś.

Przemytnik (*podpowiada).* Mój władco...

Szukający boga. Co?

Przemytnik. Dodaje się, mój władco.

Szukający boga (*jakby po raz pierwszy zauważył Przemytnika, zwraca się do Szejka).* Ten człowiek jest złoczyńcą. Nie wierzę, że wykonywał twoje rozkazy.

Szejk. Podobają mi się twoje słowa. Podejdź bliżej.

Szukający boga zbliża się do Szejka.

Bliżej, jeszcze bliżej. Nachyl się do mnie. (*Dotyka policzka Szukającego boga*). O, Allachu! Tylko rajskie hurysy mają pewnie taką delikatną skórę! Co mi chcesz powiedzieć?

Szukający boga. Ten człowiek (*wskazuje na Przemytnika)* ograbił nas, zabrał nam wszystkie pieniądze, a teraz chce wycyganić wynagrodzenie od ciebie.

Przemytnik. Ona łże, mój władco!

Szejk (*miękko do Szukającego boga).* Kobiety nigdy nie mówią prawdy. Ale jeżeli łżesz, zetnę ci głowę, tobie i temu twojemu... Bo nie lubię, kiedy ścinają tylko jedną głowę... Lubię, kiedy robi się to tak i tak (*pokazuje ręką, jak kładzie się jedną głowę przy drugiej).*

Szukający boga. Lubisz symetrię.

Szejk (*uradowany*). Jak to powiedziałaś? Sym...

Szukający boga. Nazywa się to symetrią. Kiedy człowiek ma dwie ręce, dwie nogi, wszystko do pary...

Szejk (*ze śmiechem*). Ho-ho-ho! Podobasz mi się coraz bardziej! Już cię lubię tak samo jak sym...

Szukający boga. Jak symetrię.

Szejk. Tak, symetrię. Ale musimy się przekonać, że mówisz prawdę, bo nikt się nie odważy... Jak udowodnisz, że ten człowiek (*wskazuje na Przemytnika*) ograbił was?

Przemytnik. Wszystko to kłamstwo!

Szukający boga. Mogę ci wyliczyć, ile pieniędzy i jakie akcje zabrał nam ten człowiek. (*Nachyla się i szepcze Szejkowi do ucha*).

Szejk (*cofając się*). O, łaskoczesz mnie swoimi nieporównanymi włosami! Ho-ho-ho, na Allacha, pochyl się jeszcze niżej, jeszcze bliżej! Zwykle nie wierzę słowom, jeżeli je nawet wymawiają takie przecudne usta. (*Klaszcze dwa razy w dłonie, wbiega zbrojna straż. Szejk wskazuje na Przemytnika*). Obszukać!

Przemytnik próbuje stawiać opór, ale jego wysiłki zostają natychmiast udaremnione. W jednej chwili obszukano go, wszystko na nim porwano, wywrócono wszystkie kieszenie, rozwiązano wszystkie tobołki; przed Szejkiem leży już kupa pieniędzy.

Szejk. Dolary! I wszystko inne, jak powiedziałaś. (*Do sługi*). Schować!

Sługa unosi róg materaca, pod którym widać całe stosy banknotów, wtyka tam pieniądze.

Archeolog (*zdumiony*). Ten człowiek już za życia przygotowuje skarb dla przyszłych poszukiwaczy!

Szejk (*do Szukającego boga*). Twój kolega jest bardzo młody. Jego głos jeszcze nie brzmi po męsku.

Szukający boga. To chłopak, spotkałam się z nim kilka godzin temu na twojej pustyni.

Szejk. Ho-ho! Dobrze powiedziałaś, że to moja pustynia. Jest rzeczywiście moja i panuje tu najwyższa sprawiedliwość. Zobaczysz, jak podtrzymuję sprawiedliwość na tej ziemi. Temu psu zaraz zetną głowę. (*Klaszcze trzy razy w dłonie*).

Wbiega straż, dwaj słudzy raz po raz ze świstem rozcinają powietrze obnażonymi szablami, jakby już odcinali głowy niewidzialnym ofiarom.

Szukający boga. Nie zrobisz tego.

Szejk. Zrobię — na Allacha. Ale lubię, kiedy jest tak i tak. Lubię tę sym...

Szukający boga. Symetrię.

Szejk. Tak, symetrię. Więc muszę mieć dwie głowy do ścięcia. Skąd wziąć jeszcze jedną głowę? (*Wpatruję się bacznie w Archeologa, który cofa się, przerażony i pobladły*).

Szukający boga (*łowiąc spojrzenie Szejka*). Nie zrobisz tego, mój Szejku!

Szejk. Mówi się: mój władco!

Archeolog. Mam list ochronny od JUNESCO!

Szejk. A co to takiego JUNESCO?

Archeolog. Mam pismo!

Szejk. Wszystko jest napisane w świętym Koranie i nie ma więcej pism na świecie! Jest to tak samo pewne jak fakt, że zaraz ci zetną głowę.

Szukający boga. Ten młodzieniec przyjechał tu z wielką misją.

Szejk. Jeżeli zetniemy mu głowę, żeby uczynić zadość wielkiemu prawu symetrii, to jego misję można będzie uznać za wypełnioną.

Szukający boga. Powinieneś puścić go wolno.

Szejk. A cóż on będzie robić na pustyni?

Szukający boga. Przyjechał tu szukać wczorajszego dnia.

Szejk. Wczorajszego dnia mogą szukać tylko ludzie starzy, ale jeżeli zabierają się do tego młodzi, podejrzany jest już sam ich zamiar! Zetniemy mu głowę, ale nie jako pierwszemu, tylko drugiemu.

Przemytnik (*przyczołgawszy się na brzuchu do Szejka*). Mój władco, mam ostatnią prośbę.

Szejk (łaskawie). Mów.

Przemytnik. Jeszcze jedną kawę, mój władco!

Szejk. Świat stoi na czterech rzeczach: na dzielności śmiałka, na modlitwach człowieka drugiego, na nauce mądrego i sprawiedliwości wielkiego. Jestem dobry i sprawiedliwy. Dać mu kawę. Gorącą i pachnącą!

Sługa podaje Przemytnikowi filiżankę kawy. Ten unosi się na kolana, udaje, że siorbie gorący napój i nagle jednym szybkim ruchem wychlustuje zawartość filiżanki w twarz Szejka.

Szejk. O-o-o, moje oczy, moja broda! Przepadła moja broda! Cała mi się pozlepiała! O-o-o!

Wszystko się zakotłowało dokoła. Słudzy zbili się w bezładną gromadę wokół Szejka. Skorzystawszy z tego Przemytnik wycofuje się na czworakach z niebezpiecznej strefy, podnosi się na nogi i ucieka na pustynię. Nie zastanawiając się długo Archeolog rzuca się również do ucieczki i niebawem słychać już za sceną warkot jego samochodu.

Szejk. O-o-o! Gdzie jest grzebień? Moja broda! Natychmiast rozczeszcie mi brodę! Gdzie jest grzebień, który przysłał mi w podarunku król Arabii Saudyjskiej?

Słudzy, doprowadzając Szejka do porządku, rozczesują mu brodę i oto Szejk znowu spoczywa dumnie na łożu, rozgląda się dokoła i nie widząc ani Przemytnika, ani Archeologa zatrzymuje spojrzenie na Szukającym boga.

Szejk. Tamci uciekli, niech ich Allach ukarze, ale dlaczego ty nie uciekłaś?

Szukający boga. Żal mi się ciebie zrobiło, Szejku.

Szejk. Mówi się: mój władco!

Szukający boga (*twardo*). Podoba mi się nazywać cię Szejkiem.

Szejk (*niemal z płaczem*). A dlaczego zrobiło ci się mnie żal?

Szukający boga. Nie widać w twoim otoczeniu żadnej kobiety.

Szejk. Może ci się zdaje, że nie jestem dość bogaty, by kupić sobie tyle kobiet, ile zechcę? Hej, służba! (*wbiegają słudzy*). Pokażcie no tej cudzoziemce moje bogactwa!

Słudzy chwytają za rogi materaca i podnoszą go niemal z samym Szejkiem.

Ostrożnie, ostrożnie! Jeżeli któryś z was oderwie mnie bodaj na moment od moich pieniędzy, oderwę mu głowę i jednocześnie temu, co będzie stać po jego prawej stronie, żeby była sym...

Szukający boga. Symetria.

Szejk. Tak, symetria. Teraz widzisz, jaki jestem bogaty?

Szukający boga. Mimo to nie ma tu żadnej kobiety.

Szejk (*klaszcze w dłonie*). Służba? Gdzie są moje kobiety?

Jak spod ziemi wyrastają wcale dobrze rozebrane kobiety i w milczeniu tańczą wokół łoża Szejka. Szejk przymyka oczy. Po chwili klaszcze w dłnie. Kobiety znikają.

Szejk. Nie masz większej rozkoszy niż kobieta, ale nic tak człowiekowi nie brzydnie jak kobieta. Obrzydły mi wszystkie kobiety, więc je przepędziłem.

Szukający boga. Mnie nie przępędzisz, Szejku.

Szejk. Niby dlaczego?

Szukający boga. Bo jestem kobietą niezwykłą

Szejk. Kto widział jedną kobietę, ten widział wszystkie.

Szukający boga. I mimo to zatrzymasz mnie przy sobie.

Szejk. A co tu masz do roboty?

Szukający boga. Ależ jest tu mnóstwo roboty!

Szejk. Na przykład?

Szukający boga *(ze śmiechem)*. Wyczesywać z twojej brody fusy.

Szejk: O-o-och! Co za hańba, po raz pierwszy w życiu! Kto mi jeszcze raz przypomni...

Szukający boga. Dobra, więc nie będę... Ale mogę cię leczyć. Znam się na tym, jest ci już potrzebny lekarz.

Szejk. Lekarz? Cho-cho-cho! Tylko w kobiecej głowie może się zagnieździć taka głupia myśl. Dajcie tej kobiecie kawy!

Słudzy przynoszą kawę dla Szukającego boga.

Opowiem ci przypowieść o lekarzu, żebyś znała ludzi pustyni, jakich nie znasz, a ludzie ci wywodzą swój ród od samego proroka. Otóż pewien grecki książę posłał prorokowi w podarunku trzy rzeczy, jakie uważał za bezcenne, a więc: wspaniały koralowy różaniec, piękną niewolnicę i doświadczonego lekarza dołączając do tego odpowiednie pismo. Prorok odpowiedział na

nie w ten sposób: „Chwała Bogu, który poddaje dobre myśli swoim wybrańcom. Dziękujemy ci łaskawie za przyjazny stosunek do naszej świętej osoby. Twój różaniec przyjmujemy z należnymi słowami podzięki, piękną niewolnica całkowicie nas zadawala i zajmie poczesne miejsce w naszym haremie. Co się tyczy lekarza, to odsyłamy go z powrotem, bo z bożej łaski i dzięki naszemu trybowi życia jego nauka nie jest nam potrzebna: jadamy bowiem tylko po to, by zaspokoić głód, pijemy tylko wtedy, kiedy odczuwamy pragnienie i śpimy tylko wtedy, gdy morzy nas sen. Gdyby wszyscy, co żyją pod sklepieniem, postępowali tak samo, nauczyciele tej najbardziej zgubnej ze wszystkich nauk straciliby swój kawałek chleba. Pozdrowienia".

Szukający boga. Jeżeli nie potrzebujesz lekarza, to jak możesz się obchodzić bez mędrca?

Szejk. Czerpię mądrość od Allacha.

Szukający boga. Czyż jedna głowa potrafi zmieścić wszystkie mądrości świata?

Szejk. Pokażę ci jeszcze jedną głowę (uderza w bębenek).

Derwisz (*wchodząc*). I rzekli odtrąceni do wybrańców: „Poczekajcie, zaczerpniemy bodaj światła waszego". I odrzekli im tamci: „Odwróćcie się i szukajcie sobie światła". Ale jest tu kobieta, więc zamykają się moje usta, by ich nie skaziła.

Szejk. Ta kobieta chce poznać naszą mądrość.

Derwisz. Do kobiety należy noc, do mężczyny — wszystko.

Szejk. Chce pozostać przy mnie. Ta kobieta.

Derwisz. Nie mogą się porozumieć ci, co różnie myślą.

Szukający boga. Ale mogą się porozumieć ci, co myślą.

Szejk. Mówi chyba mądrze.

Derwisz. Bóg chciał, żebyś ty był szejkiem, a ja derwiszem, jeżeli zechcesz, możesz ty być derwiszem, a ja szejkiem. Ale żaden z nas nie może być kobietą, tak samo jak kobieta nigdy nie może stanąć na miejscu żadnego z nas.

Szejk (do Szukającego boga). Słyszysz?

Szukający boga. No tak. (*Podchodzi bliżej, łaskocze Szejka w brodę).*

Szejk (*odsuwa się w pierwszej chwili, potem przymyka oczy i mlaszcze zadowolony).* Tak, tak, o tak, jeszcze tak! Podrap mnie w brodę, głębiej głębiej! Och! Och! A teraz połaskocz mnię w pięty! Tam! Tam! O, Allach! Święty ojcze, jeszcze tu jesteś? Idź sobie. Precz, powiadam!

Derwisz odchodzi.

Szejk. Widzę teraz, do czego się nadajesz.

Szukający boga. Gorąco ci, zdjąłbyś zawój. Po co ci on?

Szejk. Głowa prawowiernego muzułmanina obwiązana jest turbanem, żeby myśli nie ulatywały. Myśli człowieka powinny się skupiać na bogu. Dniem i nocą.

Szukający boga. Zdziwisz się, kiedy się dowiesz, że przybyłam na pustynię, żeby znaleźć tu Boga.

Szejk. Mocniej podrap, och! Nie znoszę, kiedy kobieta zaczyna paplać, a jeszcze gorzej, kiedy w dodatku jeszcze myśli!

Szukający bga. Dobra, będę milczeć. Może do człowieka milczącego Bóg przychdzi prędzej.

Szejk. O, tak, tak... Chcę mięć kobietę o białych włosach.

Szukający Boga. Mówi się: blondynka.

Szejk. Blondynka! Tylko w ogrodach Allacha rozbrzmiewają takie słowa. Podobają mi się twoje słowa.

Szukający boga. Mogę ci pokazać blondynkę.

Szejk. A skąd ją weźmiesz?

Szukający boga. Jeżeli chcesz...

Szejk. Czy chcę! Jak najprędzej!

Szukający boga. Poczekaj chwilę. *(Znika. Wchodzi na scenę z drugiej strony w jasnoblond peruce).* Patrz. No?

Szejk. Posłał cię sam szatan! Każę ściąć tę głowę i zasuszę ją, żeby mieć przy sobie dniem i nocą te białe włosy.

Szukający boga *(kokieteryjnie).* Możesz je mieć i tak.... Dniem i nocą...

Szejk. O Allach! Podejdź bliżej.

Szukający boga podchodzi.

Pochyl się! *(Głaszcze Szukającego boga po policzku).* Ta skóra — to sama delikatność! A włosy! Piękniejsze są niż wszystko, co rośnie na ziemi! Powinienem ściąć tę głowę! Prawdziwy mężczyzna powinien co dzień coś zabijać. Bodaj muchę.

Szukający boga. Spójrz na mnie! Czyż podobna jestem do muchy?

Szejk. O nie! Nie jesteś muchą! Może dlatego trudno mi się powstrzymać, żeby...

Szukający boga. Spróbuj się powstrzymywać. Bodaj niekiedy. Wtedy Bóg do ciebie przyjdzie.

Szejk. Allach jest zawsze koło mnie.

Szukający boga. Opuszcza cię, kiedy się gniewasz.

Szejk. Tylko ci, co się boją, nie mają gniewu w sercu!

Szukający boga. A czyż się nie boisz o swoje bogactwa?

Szejk. Moje bogactwa są zawsze przy mnie, dlaczego mam się o nie bać?

Szukający boga *(wpatrując się w dal)*. Idą tam jacyś dwaj ludzie. Jakoś tak dziwnie. Jak prorocy albo ślepcy.

Szejk *(śmieje się)*. Właśnie. To nie prorocy, lecz ślepcy! Kazałem im kiedyś wykłuć oczy, bo ci dwaj bracia byli zbyt niepokorni i nie oddawali mi należnej czci. Zniszczyłem ich, tych niepokornych. Na pustyni dawno już zniszczone zostało wszystko, pozostał tylko twój bliźni, co może być bądź twoim poddanym, bądź wrogiem. Jeżeli chcesz zachować własną głowę, ścinaj cudzą, zetnij głowę swemu wrogowi. Albo uczyń go swoim poddanym. Zrobiłem z tych dwóch swoich niewolników. Kiedy utracili wzrok, wyostrzył się ich słuch. Teraz podsłuchują naftę.

Szukający boga. Podsłuchują naftę. Co to znaczy?

Szejk. Synowie waszego plemienia znaleźli gdzieś w głębinie, pod piaskami czarną naftę, co pali się w silnikach i lampach. Żeby wywozić naftę z pustyni, ułożyli w piaskach grubą i długą rurę, przez którą nafta ścieka nad morze, gdzie ją zabierają wasze okręty. Zależnie od tego, ile nafty przepłynie w ciągu dnia przez moją pustynię, płacą im taką czy inną sumę dolarów. Widzisz, leżą te dolary tu pode mną.

Szukający boga. Ale co robią ci ślepcy?

Szejk. Podsłuchują naftę. Ile jej przepłynie w ciągu dnia. Żeby nikt mnie nie zdołał oszukać.

Szukający boga. Przecież są odpowiednie liczniki. Mechanizmy.

Szejk. Nie wierzę waszym licznikom.

Szukający boga. A wierzysz swoim byłym wrogom?

Szejk. Wróg pokonany nie jest już wrogiem. Zaraz sama się przekonasz.

Ślepi podchodzą bliżej, idą zataczając się i potykając, wzajem się podpierają, już z daleka wyciągają do Szejka ręce.

1 ślepiec. Mój władco!

2 ślepiec. Cieknie prędzej!

Szejk. Jak to prędzej?

1 ślepiec. Wczoraj przepłynęło więcej o cztery miary piasku.

2 ślepiec. A dzisiaj już o całych siedem!

Szejk. I milczeliście?

1 ślepiec. Nie śmieliśmy...

Szejk. Będziecie śmielsi, kiedy każę wysmagać wam pięty wolimi żyłami!

2 ślepiec. Nie śmieliśmy wierzyć własnym uszom, więc żeby się przekonać...

Szejk. Straciłem przez was masę dolarów! Z mojej pustyni wycieka jej czarna krew, a wy! Każę wypuścić krew z waszych żył. Kropelkę po kropelce...

1 ślepiec. Jesteśmy ślepi, więc musimy być pokorni.

2 ślepiec. Ale pamiętaj, Szejku, że my — to twoje uszy. Zabijesz nas, wtedy ogłuchniesz.

Szejk. Grozicie!

2 ślepiec. Przypominamy.

Szejk. Precz! I meldujcie trzy razy dziennie!

Ślepcy oddalają się powoli.

Szukający boga. Jesteś zbyt okrutny dla ludzi, co strzegą twoich bogactw.

Szejk. Gdybym był dobry, chwyciliby mnie za gardło i od razu rozprawili się ze mną! Obrabowali! Wszyscy mnie obrabowują, na Allacha!

Szukający boga. Wszyscy, tylko nie ja.

Szejk. Tak, tak, tak. Jesteś darem niebios. Rzekł Prorok: „Na waszym świecie miłe mi są kobiety i wonności". Przywrócisz mi utracony pociąg do kobiet.

Szukający boga. Wspomniałeś o wonnościach?

Szejk. O wonnościach? Gdzie są wonności? *(węszy)*

Szukający boga. Mam coś dla ciebie, Szejku. *(Znika i po chwili wraca z dużym flakonem i jeszcze większym rozpylaczem).*

Podstaw brodę! *(Naciska gumową gruszkę).*

Szejk *(w siódmym niebie)*. O-o-o, najpiękniejsze zapachy świata! O-o-o, jeszcze, jeszcze! Jak nazywają się twoje wonności?

Szukający boga. Woda kolońska.

Szejk. Woda ko-loń-ska... Jeszcze, jeszcze, jeszcze! Powtórz, jak się nazywa.

Szukający boga. Woda kolońska.

Szejk. Ko-loń-ska! Ko-loń-ska!...

Tymczasem scena zaczyna się obracać, palma z Szejkiem, z Szukającym boga i sługami oddala się od nas i teraz znaczy się już tylko na widnokręgu, a na pierwszym planie, koło dużego amerykańskiego samochodu widzimy kryjących się w jego cieniu nowożeńców.

Mąż. Nareszcie, kochanie, masz to, co chciałaś.

Żona. A czego właściwie chciałam?

Mąż. Samotności. Samotności na pustyni.

Żona. I to się nazywa nasz miodowy miesiąc?

Mąż. Marzyłaś, że go spędzimy z dala od ludzi. *(Całuje ją).*

Żona. Bo kobieta może być pewna swego męża tylko wtedy, kiedy nikt nie może go jej odbić.

Mąż. Ależ kocham cię wszędzie — i na pustyni, i nie na pustyni.

Żona. Na pustyni miłość jest silniejsza. Bo nie ma tu nikogo więcej do kochania.

Mąż. Więc mi nie wierzysz?

Ż o n a. Mężom nie można teraz wierzyć. Mężom wierzą tylko idiotki. Mam nadzieję, że nie uważasz mnie za idiotkę.

M ą ż. Że nie uważam? Nie wiem.

Ż o n a. Nie wiesz? Cóż to ma znaczyć? Nie wiesz, czy jestem idiotką, czy nie jestem?

M ą ż. Chodziło mi o coś innego. Nie wiem, czy mężom można wierzyć, czy nie.

Ż o n a. Nie można i nie należy. Pocałuj mnie...

M ą ż. Z przyjemnością.

Ż o n a. Boże, nareszcie jesteśmy sami.

M ą ż. Tak. Ale, prawdę mówiąc, trochę mi markotno na tej pustyni.

Ż o n a. Za to ja czuję się jak królowa. Każda kobieta na moim miejscu...

Jakiś cień pada na jej twarz.

A r c h e o l o g. Przepraszam, ale...

Ż o n a (*zrywając się z miejsca*). Och!

M ą ż (*odwraca się, ujrzawszy Archeologa mówi do żony*). Ależ, kochana, teraz chyba ja mam powód do zazdrości. Na tej pustyni — mężczyzna! Młody człowiek! (*ze wzrastającą irytacją*) To ty zaciągnęłaś mnie na koniec świata, umówiwszy się, że się tu spotkasz z kochankiem!

A r c h e o l o g (coraz bardziej zdziwiona). Przepraszam, ale... Nie mam zamiaru być przyczyną nieporozumienia...

Ż o n a. Ja... ja...

M ą ż (*krzyczy*). Tylko idiota wierzy kobiecie! Baba potrafi zrobić człowieka w konia nawet na bezludnej pustyni!

A r c h e o l o g. Ależ niech pan w końcu posłucha. Jestem kobietą. Po prostu zawód wymaga... samotność... Zdecydowałam się... na kamuflaż, że tak powiem.

Ż o n a (*w zdenerwowaniu*). Widzę, jak się to miało skończyć!

M ą ż (*w osłupieniu do Archeologa*). Jest pani kobietą! Ale co? To jest, chciałem zapytać...

Ż o n a (*nie panując już nad sobą*). Jeszcze chce o coś zapytać! Udaje, że niby to nic nie wie...

A r c h e o l o g. Błagam panią... Przysięgam!... Niech się pani uspokoi!... Absolutnie nic nas nie łączy... Jestem archeologiem... Szukam odłamków, skorupek...

Ż o n a. Skorupek! Od razu odgadłam! Rozbić czyjeś życie i zbierać skorupki! Ale nie pozwolę! Nikomu! Jest pani!... (*wprost naciera na Archeologa*).

Archeolog się cofa.

Będę cię pędzić przez całą pustynię!

M ą ż (*usiłuje powstrzymać żonę*). Ależ to śmieszne. Przecież to śmieszne... Kochanie...

Ż o n a. Oczyszczę tę pustynię od!... Zdemoluję tu wszystko!... Ja...

Archeolog cofa się, wreszcie ucieka w głąb pustyni. Żona osuwa się bezwładnie na piasek.

M ą ż (*z przejęciem*). Kochanie...

Ż o n a. Jestem taka nieszczęśliwa! (*Płacze*).

M ą ż. Daj, pocałuję cię.

Ż o n a. Wody...

M ą ż. Moja jedyna!

Ż o n a. Pić...

M ą ż. Dla ciebie...

Ż o n a. On chce mnie zamęczyć... Żebym umarła z pragnienia... Wody!

Mąż biegnie przerażony do samochodu, pobrzękuje tam bańkami.

Ż o n a. Umieram z pragnienia...

M ą ż (*wraca z dwiema bańkami*). Chodzi o to... o to, kochanie...

Ż o n a. Nareszcie bodaj łyk wody...

M ą ż. Chodzi o to... (*Podnosi bańki do góry, potrząsa nimi*). Są próżne... Zupełnie... Ani kropelki!

Ż o n a. Co mnie to obchodzi? Weź inne!

M ą ż. Inne — też.

Ż o n a. Co — też? (*Siada*).

M ą ż. Puste...

Ż o n a. A gdzie jest woda? (*Zrywa się*).

M ą ż. Nie wiem.

Ż o n a. Nie wie pan? (*Naciera na niego jak przedtem na Archeologa*). Za to ja wiem!... To spisek... Wciągnięto mnie w tę zasadzkę... Żeby... Ale nie pozwolę! Słyszy pan! Natychmiast — po wodę!

M ą ż. Ależ...

Ż o n a. Bo inaczej... Urządzę tu takie widowisko... Nie pozna pan tej pustyni! Nikt nie pozna! Precz! Jedna noga tu, druga tam!

Scena obraca się powoli. Mąż z bańkami w ręku idzie w głąb pustyni. Jednocześnie stamtąd zmierza w kierunku samochodu Przemytnik ze swoimi ludźmi. Mąż z bańkami idzie prosto na ich spotkanie. Ludzie Przemytnika szepczą między sobą zaniepokojeni:

— Zbliża się do nas!

— To wariat!

— Żeby zarobić, trzeba mieć czasem do czynienia także z wariatami!

M ą ż (*woła z daleka*). Zamienię... zamienię...

Ludzie do Przemytnika:

— Wykrzykuje coś...

— Nie, śpiewa!...

— A może się modli!...

— Nie, śpiewa.

Przemytnik. Głos ma donośny, dobrze, że wasze ciche szepty zagłusza ten jego głos, a nie ryk osła, na co raczej zasługujecie.

Mąż (*coraz bliżej*). Zamienię! Zamienię żonę na wodę! Zamienię żonę na wodę!

Jeden z pomocników Przemytnika. To wariat!...

Przemytnik. Trzymaj lepiej język na wodzy. (*Ściska w ręku kamień, czołga się w stronę Męża*).

Mąż (*nic nie dostrzegając*). Zamienię żonę na wodę. Zamienię... (*Potyka się o kamień spoczywający w ręku Przemytnika, z trudem utrzymuje się na nogach*). Och, co to?

Przemytnik. Co to? Ten kamień, który spadł mi z serca na wiadomość o twoim szczęśliwym przybyciu na pustynię, cudzoziemcze!

Mąż. A oni? Co oni robią?

Przemytnik. Modlą się. Dziękują Panu za spotkanie z tobą...

Mąż. Ale przecież wszyscy... Broń... Po co ludziom broń na pustyni? Potrzebna tu jest tylko woda... Przekonałem się... Zamienię... Zamienię żonę na wodę!

Przemytnik. Pan jest wielki, niech ci będzie miłościw. Ale dlaczego chcesz zamienić żonę na wodę?

Mąż. Bo bez żony żyć można, a bez wody — nie.

Przemytnik. Słusznie. I powiem ci jeszcze: lepiej iść na pustynię z własnym zapasem wody niż ze swoją żoną.

Mąż (*powtarza jak automat*). Zamienię żonę na wodę...

Przemytnik (*do swoich ludzi*). Dajcie mu bukłak z wodą.

Pomocnicy Przemytnika kładą u stóp Męża bukłak z wodą.

Mąż (stawia swoje bańki, obmacuje bukłak, znów bierze bańki i potrząsa nimi). Zamienię żonę na wodę...

Przemytnik. Przypominasz mi wielbłąda, który ryczy, póki nie zostanie objuczony. Po co krzyczysz, skoro masz już wodę?

Mąż. Muszę mieć dwa bukłaki... Zamienię...

Przemytnik. Serce w człowieku zamiera niczym zasiane pole nadmiernie zalewane wodą. Po co ci dwa bukłaki?

Mąż. Jestem przyzwoitym człowiekiem. Jeden bukłak dla mnie, drugi — dla niej. (*Wskazuje w kierunku gdzie pozostała jego małżonka*).

Przemytnik. Nawet w moich uszach dziwnie brzmią twoje słowa o przyzwoitości. Bierzcie go, bez wody!...

Pomocnicy Przemytnika rzucają się na Męża, związują go.

Podaruję ich oboje Szejkowi i władca przebaczy mi wtedy! Przyprowadźcie tu również kobietę! Czego szukają na pustyni wszyscy ci idioci? Może swoich zagubionych bogów? Ależ zawsze panował tu tylko nasz Adonaj. A przebywamy tu od czasu, gdy Abraham pasł swoje stada.

Żona. Wody!

Mąż. Pić!

Przemytnik. Pożałowania godne istoty! Szukają wody na pustyni! Na najbardziej suchej ze wszystkich pustyń! Pokażcie im, jaka jest sucha! Wylejcie im wszystką wodę pod nogi, niech ani jedna kropla nie trafi im na język! Wylewajcie w imię boże!

Ludzie wylewają wodę z bukłaków.

Przemytnik. Wszystko, wszystko wylejcie! Cha-cha-cha!

Podczas przerwy Klementyna chciała mnie zaciągnąć na scenę, żeby chwycić w objęcia braciszka, który po takim wspaniałym spektaklu miał już właściwie w kieszeni tytuł zasłużonego pracownika kultury; alboż nie było na sali oklasków już po pierwszym akcie, alboż dyrektor huty nie powiedział, żeby usłyszeli wszyscy w pierwszych rzędach: „To się nazywa podejście państwowe".

— Ty chcesz uściskać braciszka, ale ja? — zapytałem Klementyny. — Chcesz, żebym powinszował swojej siostrzyczce Zizi teatralnego sukcesu? Przecież niczym się jeszcze nie popisała na scenie. Poczekajmy na trzeci akt. W sztukach wszystko koncentruje się pod koniec. A co do Derżykraja, trzeba mu umożliwić wyczesanie fusów z brody. Musi to być bardzo żmudne zajęcie. Mam nadzieje, że będzie grał w następnych aktach? A może zdominuje jego rolę rola Przemytnika?

Klementyna nie słuchała mojej gadaniny. Pobiegła za kulisy, ja zaś na znak protestu nie wyszedłem z sali i przesiedziałem całą przerwę na swoim miejscu; na szczęście, nikt do mnie nie podszedł, pozwolono mi rozpamiętywać szczegółowo grę moich krewnych. Stawałem się dzięki nim także teatralną znakomitością, sława ich padała na mnie, co prawda, rykoszetem, ale mimo wszystko.

Klementyna omal się nie spóźniła na rozpoczęcie drugiego aktu. Przybiegła zadyszana i bezgranicznie szczęśliwa. Spodziewała się moich pytań, milczałem jednak, więc odezwała się w końcu sama:

— Powinieneś... na następnej przerwie musisz ich zobaczyć... Są tacy podnieceni... Nawet Derżykraj... Nie uwierzysz...

— To twoja choroba, dziecino — powiedziałem nie bez złośliwości — z kosmiczną prędkością zakochujesz się w intelektualistach... Zakochujesz się nie w człowieku, tylko w rozumie, wiedząc, że wszystko się starzeje na świecie i tylko rozum pozostaje zawsze młody... Wspaniała jesteś, Klementyno! Możesz znaleźć zastosowanie w gospodarce narodowej do oznaczania poziomu umysłowego młodych ludzi...

— Cicho bądź! — z gniewem szepnęła Klementyna. — Cicho bądź, przecież zaczyna się...

Cudowna to rzecz — sztuka! Niekiedy można nią zatkać usta nawet takiemu gadule jak Myt'ko Czereda. W innych okolicznościach Klementyna wysłuchałaby jeszcze kilku moich nieprzyjemnych wypowiedzi, a tutaj rzeczywiście musiałem zamknąć usta i razem ze wszystkimi śledzić rozgrywającą się na scenie akcję.

Akt drugi. Milionerzy.

Na pierwszym planie — Szejk odpoczywa na swoim łożu po obiedzie. Od strony pustyni czołga się Przemytnik. Prowadzeni na długich sznurach idą za nim jego jeńcy, Mąż i Żona. Pomocnicy Przemytnika otaczają ten dziwaczny pochód półkolem. Przemytnik opiera się jedną ręką o ziemię, w drugiej trzyma włączony odbiornik tranzystorowy. Słychać muzykę jazzową, w przerwach rozlegają się wykrzykiwane płaczliwym głosem błagania Przemytnika:

— O, mój władco! Zlituj się! Padam do twych stóp!

Szejk (*budzi się, patrzy na Przemytnika gładząc brodę*). Podejdź bliżej, ty bękarcie szakala i małpy! Nareszcie! Nareszcie nasycę się zemstą. Żaden kwiat nie ma takiego wspaniałego zapachu jak zemsta... Nuże, bliżej! Przysięgam na Allacha!

Przemytnik. Zlituj się, mój władco! Przyprowadzam ci w podarunku tych oto jeńców... Kobietę i mężczyznę... Proszę...

Szejk. Skąd tylu obcych ludzi na mojej pustyni? Z woli Allacha na pustyni mieszkamy my i pustynia wcale nie jest pustynią. Chwała Allachowi, nie ma pustych miejsc pod słońcem. I wcale nie daje szczęścia wałęsanie się po ziemi w poszukiwaniu tego czy owego, lecz siedzenie na tym miejscu, które Bóg każdemu wyznaczył. Czego tu chcą ci roznosiciele nieszczęść, waśni i krzywd? Każę ściąć im głowy razem z twoją śmierdzącą głową, synu hieny i krokodyla!

Przemytnik. Zmiłuj się, mój władco! Spójrz na tę kobietę! Wśród twoich kobiet będzie to najpiękniej pachnąca róża...

Szejk. Hę? Co? Kobieta? Jaka kobieta? O, jeszcze jedna kobieta o białych włosach! Na Allacha! Daruję życie tej białogłowie, ale temu cudzoziemcowi każę ściąć głowę jednocześnie z twoją, Przemytniku, dla symetrii. Ho-ho-ho! *(Klaszcze w dłonie).*

Wbiegają zbrojni słudzy.

Przemytnik. O, mój władco! Poczekaj, bo oprócz podarunku przyniosłem ci jeszcze nowinę!

Szejk. Wszystko dzieje się z woli Allacha, nie ma nic nowego pod słońcem.

Przemytnik. Trzy razy podskoczysz na swoim drogocennym łożu, mój władco, i pięć razy pomodlisz się do swego Allacha, kiedy usłyszysz moją nowinę...

Szejk *(powstrzymując sługi skinieniem ręki).* Nie znoszę trzech rzeczy: ryku osła, muzyki niewiernych i gadaniny zdrajcy. Wyrzuć tę przeklętą skrzynkę!

Przemytnik odrzuca odbiornik.

Szejk. A teraz *(wskazuje na kobietę)* podprowadźcie ją do mnie!

Przemytnik prowadzi Żonę do Szejka ciągnąc ją na sznurze.

Rozwiążcie ją! Kobietę powinien krępować tylko obowiązek względem męża. Podejdź bliżej, nie bój się. Jestem dobry. Najlepszy. I nikt tak nie lubi jasnowłosych kobiet jak ja. Blondynek. Będzie Blondynką Drugą. Mam już Blondynkę Pierwszą. Szukała na pustyni boga i znalazła mnie. Jestem jej bogiem. A czego ty szukałaś?

Żona milczy.

Nie bój się. Jestem dobry. Podejdź bliżej. Chcę dotknąć twoich policzków.

Siudzy popychają Żonę do Szejka. Ten unosi się na łożu i wyciąga do niej ręce. Żona, wciąż milcząc, w przystępie dzikiej złości wbija w twarz Szejka swoje ostre paznokcie

Szejk (*krzyczy*). O-o-o! Zdarła mi całą skórę! Zabierzcie tę panterę! O-o-o!

Siudzy odrywają Żonę od Szejka.

Zetnijcie im wszystkim głowy. Wszystkim! O-o-o! Poczekajcie! Nie trzeba przelewać ich krwi na naszej pustyni! To zła krew i zrodzą się z niej złe kwiaty na naszych piaskach. Przepędźcie ich z pustyni! Tam, skąd przyszli! Precz! Precz!

Siudzy odpędzają Męża i Żonę.

Mąż (*woła do Szejka ochrypłym głosem*). Wody-y!

Szejk. Co za bezczelność. On jeszcze żąda wody! Przepędźcie ich! Nie ma tu dla nich nic! (*Do Przemytnika*). To ty ich sprowadzasz na naszą pustynię, cuchnący synu szakala!

Przemytnik. Przyniosłem ci nowinę, mój władco! A tamtych schwytałem po drodze...

Szejk. Przyniosłeś mi nowinę. Przyniosłeś mi... Cóż za nowinę mi przyniosłeś? Gadaj prędzej, bo twoja

głowa zostanie zaraz ścięta, a przecież — na brodę Proroka! — odrąbana głowa jeszcze nigdy nie mówiła!

Przemytnik. Na pustynię przybył milioner!

Szejk. Kto?

Przemytnik. Milioner.

Szejk. A cóż to takiego?

Przemytnik. Nie wiem.

Szejk. Jak śmiesz obrażać moje uszy tym, czego sam nie wiesz?

Przemytnik. Powiedzieli mi to ci, co podsłuchują naftę.

Szejk. Bezgraniczna jest moja cierpliwość, jeżeli dotychczas słucham twojej głupiej gadaniny. Więc co się pojawiło na naszej pustyni?

Przemytnik. Milioner.

Szejk. I nie wiesz, co to takiego?

Przemytnik. Mógłbym ci wytłumaczyć, ale nie potrafisz zrozumieć. Zaczyna się to chyba od Józefa i jego braci...

Szejk. Gdzie jest mój mędrzec?

Wchodzi Derwisz.

Derwisz. Powinieneś studiować naukę boską w dzień i w nocy. A czy potrafisz znaleźć bodaj chwilę, która nie byłaby ani dniem, ani nocą?

Szejk. Znasz wszystkie mądrości świata, więc pytam cię...

Derwisz. Ciężko człowiekowi, kiedy miarą jest mu niebo i ziemia.

Szejk. Nie przerywaj mi, kiedy mówię!... Pytam cię...

Derwisz. O, prawowierni, nie interesujecie się rzeczami, które mogą przyczynić wam trosk lub pogrążyć w rozpaczy, bo gdyby powiedziane było wam szczerze...

Szejk (*pieniąc się ze złości*). Ty stary oszuście, wieczny nierobie, gadatliwy durniu, pytam cię, więc wysłuchaj mnie wreszcie i odpowiedz: co to takiego milioner?

Derwisz. W imię Boga miłosiernego i wszechpotężnego...

Szejk. Co to jest milioner?

Derwisz. Ciężko niewiernym...

Przemytnik unosi głowę, uśmiecha się zadowolony.

Szejk. Gdzie jest moja ukochana blondynka? Gdzie jest najmądrzejsza z kobiet? (*Klaszcze w dłonie, uderza w bębenek*).

Szukający boga (*wchodząc*). Wołałeś mnie, Szejku?

Szejk. Mówi się: mój władco!

Szukający boga (*nie zwracając uwagi*). Nudzisz się beze mnie?

Szejk. Jeżeli także ty nie odpowiesz na moje pytanie, to...

Szukający boga. Nie ma takich pytań, na które nie sposób odpowiedzieć.

Szejk. Co to takiego milioner?

Wszyscy oczekują w napięciu odpowiedzi.

Szukający boga. Znowu masz nie rozczesaną brodę. Nie do twarzy ci z tym, Szejku.

Szejk. Zostaw moją brodę w spokoju, na brodę proroka! Co to jest milioner? Powiedz mi, gadaj natychmiast!

Szukający boga. Milioner to człowiek, który ma milion dolarów.

Szejk. Milion dolarów! A to dużo czy mało?

Szukający boga. No... może tyle, ile tu masz *(wskazuje na łoże)*. Może więcej... Czy trochę mniej...

Szejk. Więc jestem też milionerem?

Szukający boga. Wie o tym cały świat.

Szejk. A jeżeli do jednego miliona dodamy jeszcze jeden?...

Szukający boga. Dwa — to zawsze lepiej niż jeden.

Szejk. Lepiej nawet mieć dwóch wrogów niż jednego przyjaciela, bo im więcej ma człowiek wrogów, tym więcej jest wart, ho-ho! Więc powiadasz, że milioner to człowiek, co ma przy sobie milion.

Szukający boga. Ma go w ogóle...

Szejk. Skoro przyszedł na pustynię i ma milion... *(do Przemytnika)*. Milionera zabić, milion przynieść mnie! A wtedy może ulituję się nad tobą!

Przemytnik. Będę całować ziemię, po której stąpasz, mój władco! *(Czołgając się cofa się szybko, znika razem ze swoimi ludźmi)*.

Szukający boga *(zaniepokojony)*. Co powiedziałeś? Kogo zabić?

Szejk. Na moją pustynię przywędrował milioner. Cóż mam robić, nieszczęsny? Muszę go zabić i zabrać milion dla siebie.

Szukający boga. Ależ to zbrodnia! Nie wyobrażasz sobie następstw tego czynu!

Derwisz. Zaiste, przemocy używa człowiek i jest przeto daleki od prawdy!

Szejk. Jeszcze tu jesteś, nędzny gaduło! Precz! Wyrzucić go!

Słudzy przepędzają Derwisza rzucając za nim sandały, które zgubił.

Szukający boga. Boję się.

Szejk. Boisz się? Przy mnie nie masz się czego bać.

Szukający boga. Boję się o ciebie.

Szejk. O mnie? Czyż nie jestem władcą tej pustyni?

Szukający boga. Tak, ale...

Szejk. Czyż nie kazałem natychmiast zabić milionera i przynieść mi milion?

Szukający boga. Boję się o twój milion.

Szejk. O mój milion?

Szukający boga. Ten schowany pod tobą.

Szejk (*obmacuje swoje łoże, szeleści banknotami*). Spoczywa wszak pode mną i żadna siła nie oderwie mnie od niego!

Szukający boga. Przecież dopiero co kazałeś zabić milionera, zabrać mu i przynieść jego milion tobie.

Szejk. Tak. Po tysiąckroć tak.

Szukający boga. A jeżeli ktoś każe zrobić to samo z tobą?

Szejk. Mówisz niejasno, a kto mówi niejasno, nie mówi nic.

Szukający boga. Boję się, że tak samo ktoś może ciebie oderwać od twego miliona.

Szejk. Ho-ho! Któż się odważy!

Szukający boga. Na pustyni pojawia się wciąż coraz więcej nowych i nieznajomych ludzi. To może się okazać groźne dla ciebie.

Szejk. Cóż może być groźne dla góry, pod którą leży drogi kamień? Bo któż podniesie górę?

Szukający boga. A fortele, jakiś podstęp! Będziesz spać albo stracisz przytomność, i wtedy...

Szejk. Jestem cięższy i twardszy niż góra...

Szukający boga. W razie potrzeby ludzie po-

trafią nawet góry ruszyć z posad... Boję się o ciebie, Szejku...

Szejk. Jeszcze nikt nigdy nie śmiał tak do mnie mówić, ale myślę, że jest ziarno prawdy w twoich słowach.

Szukający boga. Więc chciałabym cię przymocować do twoich milionów.

Szejk. Przymocować?

Szukający boga. Tak.

Szejk. A jak?

Szukający boga. O tak. (*Pokazuje Szejkowi duży, zardzewiały gwóźdź, bierze w rękę kamień).* O tak...

Szejk. Gdyby Derwisz rozumiał się na tym, wezwałbym go, żeby mi wytłumaczył twój zamiar, ale ten gaduła na nic się nie zda... Wytłumacz mi sama...

Szukający boga. Wezmę brzeg twojej galabii, wezmę ten gwóźdź i przybiję brzeg twojej galabii do palmy. Nie ciebie samego, tylko brzeg twojej szaty.

Szejk. O wierni, nie dawajcie w ręce niewiernych nawet skraju waszej szaty! Nie wydaje ci się, że już zbyt długo wystawiasz moją cierpliwość na próbę?

Szukający boga (*nie odpowiadając od razu).* Wtedy nikt nie zdoła cię oderwać od twoich milionów.

Szejk (*zastanawia się chwilę).* Kusząca jest twoja propozycja... Ale dlaczego ja sam... Dlaczego dotychczas nie zdołałem? Przecież to takie proste... Pokaż no, jak to zrobisz?

Szukający boga przybija brzeg galabii do pnia palmy i odrzuca daleko kamień. Szejk próbuje się wyrwać, gwóźdź trzyma go mocno.

Szejk. O-o! Nareszcie będę mógł spać spokojnie! Podejdź do mnie, moja ukochana blondynko! Podrap mie w brodę. Tak, tak, o tak.. a teraz — w pięty... O-o-o! (*Zasypia).*

Słudzy ciągną w głąb pustyni jego łoże wraz z palmą, wszystko znika. Przez pustynię kroczy dziwna procesja. Na czele czterej siłacze żując gumę niosą pozłoconą, przezroczystą lektykę; rozsiadła się w niej jakaś ważna persona, widocznie ten właśnie milioner, o którym była mowa. Za lektyką drepcze jakiś nieszczęsny obdartus, mały i chudy, w podartych dżinsach i znoszonych trampkach, nie ogolony, z głową gołą, potyka się na gładkiej drodze, chwyta równowagę. Tragarze od czasu do czasu spoglądają na niego z uśmiechem, dodają mu otuchy okrzykami: „Hallo!"

Z dwóch stron skradają się ludzie Przemytnika i sam Przemytnik. Na jego znak bandyci strzelają z peemów, prują seriami po lektyce, wspaniała postać pochyla się, widocznie śmiertelnie ranna; tragarze puszczają się biegiem, a ów obdartus najspokojniej kroczy sobie dalej, jakby był głuchy i nie słyszał wystrzałów.

Słudzy ciągną łoże Szejka na spotkanie tragarzy, których otoczyli już ludzie Przemytnika. Tragarze rzucają lektykę niemal pod nogi Szejka.

Szejk. *(budząc się).* O-o-o!

1 tragarz. Biegłem jak hipopotam.

2 tragarz. A dokąd?

3 tragarz. Do tego baraniego kupra.

4 tragarz. Myślę, że to cały baran, nie sam kuper!

Szejk *(krzyczy).* Na mojej pustyni barany i osły rodzą się w swoim własnym ciele. To tylko na waszej ziemi nędznicy przychodzą na świat w ludzkim ciele. *(Do Przemytnika, który podbiega i kłania się).* Czemu te osły w ludzkim ciele nie zostały zabite i teraz nie dają mi spać?

Przemytnik. Nieśli milionera, mój władco.

Szejk. I co z tego?

Przemytnik. Kazałeś zabić samego milionera.

Szejk. I co, zabiłeś go?

Przemytnik. Tak.

Szejk. A milion?

Przemytnik. Jest tam (*wskazuje na lektykę*).

Szejk. Zabierz go czym prędzej i daj mi.

Tragarze ćwiczą tymczasem dla rozgrzewki, śmieją się widząc, jak Przemytnik podbiega czym prędzej do lektyki.

Przemytnik (*z nie ukrywanym przerażeniem*). O, biada nam!

Szejk. Czego wrzeszczysz, synu szakala?

Przemytnik. Biada!

Szejk. Zatkasz się wreszcie!

Przemytnik. Ciemne moce!

Szejk. Na Allacha, czy możesz...

Przemytnik. Czary, czary!

Z jednej strony pustyni zbliża się tymczasem powoli malowniczy obdartus, przygląda się chwilę, jak rozpacza Przemytnik i denerwuje się Szejk, po czym pyta spokojnie:

Obdartus. Czego tam szukacie, panowie?

Szejk. Kazałbym ci zatkać gardło, żebyś nie drażnił moich uszu, ale moja wielkoduszność jest bezgraniczna. Dowiedz się, niewierny, że szukamy miliona, który należy do mnie jak wszystko inne na tej pustyni.

Obdartus. Jesteś Szejkiem?

Szejk. Jestem władcą pustyni. Ale, na Allacha, nie przeszkadzaj mi. (*Do Przemytnika*). Czy długo mam jeszcze czekać?

Przemytnik (*zdziera z manekinu, który siedział w lektyce, różne ciuszki i odrzuca*). Nic tu nie ma, mój władco!

Szejk. Jak to nie ma? A milioner?

Przemytnik. To czary, czary! Nic nie ma!

Szejk. Każę...

Obdartus. Zanim każesz, Szejku, spójrz na mnie.

Szejk. Nie ma co oglądać, szkoda oczu.

Obdartus. Przecież jestem tym milionerem, którego szukasz.

Szejk. Jesteś milionerem?

Milioner. Tak. A cóż w tym dziwnego? Przecież sam jesteś też milionerem.

Szejk. Na Allacha!

Milioner. Przyjrzyj się tylko sobie.

Szejk *(nic nie rozumiejąc)*. Ty jesteś milionerem?

Milioner. Już ci powiedziałem.

Szejk *(do Przemytnika)*. Więc dlaczego dotąd nie zabito tego człowieka?

Przemytnik kieruje peem na Milionera, ale jeden z tragarzy odtrąca go jak piórko.

Milioner *(wskazując na tragarza)*. Mistrz świata w boksie. *(Wskazuje po kolei na innych swoich tragarzy)*. Mistrz świata w walce. Mistrz świata, ciężarowiec. Mistrz świata w dziesięcioboju. A ten *(wskazuje na nowego sługę dźwigającego przenośną lodówkę)* — mistrz olimpijski w strzelaniu. Czyż to nie wystarczy, żebyś zrozumiał, Szejku, jak trudno ze mną walczyć? Ale przypuśćmy, że uda ci się mnie zabić. I co z tego?

Szejk. Zabiorę twój milion.

Milioner. A jak to zrobisz?

Szejk. Przecież milioner — to człowiek, co ma przy sobie milion.

Milioner. Więc patrz! *(Przewraca swoje kieszenie)*. Mój milion — to akcje, udziały w przemyśle, w operacjach finansowych, a co najważniejsze — koncepcje.

Szejk. Koncepcje? A cóż to takiego? Poczekaj, zawołam swego mędrca. Albo nie. Lepiej zawołam... *(Klaszcze w dłonie)*. Moja ulubiona blondynka! Gdzie ona jest?

Szukający boga (*wchodzi, ujrzawszy Milionera wykrzykuje z radością*). Hallo!

Milioner (*niedbale*). Hallo, Bob! How do you do?

Szukający boga, czyli Bob. Okay, szefie.

Szejk (*kapryśnie*). Podejdź do mnie, moja kochana blondynko. Popryskaj na mnie...

Bob. Odczep się. Mam cię dość.

Szejk. Co-o-o? Służba!

Wbiegają słudzy, ale tragarze ich odpędzają.

Milioner (*do Szejka*). Nie warto się denerwować. Bob też u mnie służy.

Szejk. Jaki Bob! To moja ukochana blondynka! Kupiłem ją u Przemytnika.

Milioner. Przyszło mi po prostu do głowy, żeby wynająć Boba i poprosić, żeby tu przyjechał. Bob jest nieporównanym specjalistą od okradania banków. Była to idealna robota! Przemytnik służy u mnie już od dawna. Obiecałem, że mu wyświadczę jedną małą... hm.. nazwijmy to: grzeczność...

Szejk. Blondynko, popryskaj na mnie tą wodą ko-loń-ską. On robi mnie w konia.

Bob. Nic dziwnego. Człowiek jest zwierzęciem, które robi się w konia. (*Zdejmuję blond perukę*).

Szejk. Derwisz! Gdzie jest mój Derwisz? Ratunku!

Wbiega Derwisz, potrząsa bębenkiem, wykrzykuje coś, tańczy, wreszcie przysiada zmordowany na brzeżku kilima.

Derwisz. Jedną kawę, mój władco.

Szejk. Dajcie kawę temu człowiekowi, który nabity jest słowami jak wór wielbłądzią sierścią. A dla mnie — zimnej, czystej wody, bo duszę się ze złości. (*Do Derwisza*). Czy znajdziesz słowa, żeby mi wytłumaczyć, jak kobieta przemienia się w mężczyznę i jak najmędrszego na pustyni robią w ślepego konia?

Bob (*do tragarzy*). Nie macie whisky?

Jeden z tragarzy nalewa mu whisky do plastykowej reklamowej szklaneczki z napisem „Long John".

Uf, jaki upał! *(Wypija kilka szklaneczek).*

Szejk. O Allach!

Derwisz. Kto wierzy w Boga i sądny dzień, nie przyjaźni się z nieprzyjaciółmi Allacha i ich wysłannikami. Czy będą to ich rodzice, czy bracia, czy krewni.

Szejk *(pieniąc się ze złości, do Przemytnika).* To właśnie ty, śmierdzący synu szakala! Nareszcie dobiorę się do twojej skóry To twoja głowa zostanie...

Przemytnik i jego ludzie biorą czym prędzej nogi za pas.

A-a-a! Nikt przede mną nie ucieknie! Wszystkich... wszystkim... i wam *(do sług),* i tobie *(do Derwisza)...* wszystkim wam...

Derwisz. Powściągnij swój gniew, mój władco. Sprawiedliwość czyniona przez godzinę warta jest więcej niż modły w ciągu całego roku. Bądź sprawiedliwy...

Szejk. Przepędźcie go precz! Przepędźcie go!

Słudzy przepędzają Derwisza. Tymczasem Milioner rozsiada się wygodnie pod palmą. Sługa, który niósł lodówkę, wkłada biały smoking i gumowe rękawiczki, przesłania maseczką z gazy usta, wyciąga z lodówki napoje i przekąskę. Milioner je, starannie żując.

Milioner *(do Szejka).* Wiem, twoja religia zabrania ci picia alkoholu, więc nie proponuję ci whisky, jakkolwiek napój ten doskonale dezynfekuje wnętrzności. Podobasz mi się. Masz taki temperament. Lubię ludzi z temperamentem. Widzę teraz, że się nie omyliłem posyłając do ciebie Boba. To był jeden z moich pomysłów. Podesłać ci mego człowieka tak zamaskowanego, żeby go nikt nie poznał. Zapytasz po co? Po prostu tak sobie. Kaprys. Żart. Miewam przeróżne koncepcje i szafuję nimi szczodrze i chętnie. Ale na twoją pus-

tynię nie przyjechałem szafować koncepcjami. I nie po to, żeby tu inwestować swoje kapitały. Więc po co? Jest to zbyt pusty teren.

Szejk (*z przechwałką w głosie*). Głupiec uważa całą pustynię za pustynię. Mądry robi inaczej. Pędzi gromadę ludzi, których ma w ręku, z jednego miejsca na drugie i wydaje się wtedy, że pustynia ustępuje, przestaje być sobą.

Milioner. Ależ pusto tu wszędzie! Spójrz dokoła.

Szejk. Kiedy ludzie biegną z jednego miejsca na drugie, nie ma ich ani tam, ani tu. Pustynia jeszcze się powiększa w oczach ludzi niewtajemniczonych. Człowiek powinien być na własnym miejscu.

Milioner. Masz na myśli siebie. Tak?

Szejk. Jestem tu i jednocześnie wszędzie.

Milioner. Rozumiem cię, mnie samego pustynia przyciąga swoją niezwykłością. Zdradzę ci tajemnicę. Na twojej pustyni powietrze jest wprost wysterylizowane. Nie zawiera żadnych bakterii. A ja boję się bakterii.

Szejk. Bakterii? A co to jest?

Milioner. To... nie potrafię ci wytłumaczyć... Bob, może ty...

Bob (*dotychczas pił whisky z tragarzami, teraz podchodzi do Szejka i łaskocze go*). Och, szejkusiu!

Szejk. Precz, nędzniku, precz! Każę ściąć ci głowę!

Bob. A dla symetrii? Może zetniemy także tobie?

Szejk. Precz!

Bob. A bakterie, zarazki? Takie drobniutkie, pstrokate, plamiste, coś jak hienki... Gnieżdżą się w twojej brodzie, szejkusiu, a potem, do wszystkich diabłów, wpadają ci do ust, przeskakują do twoich kiszek i umierasz w strasznych męczarniach...

Szejk. To tylko u was, bo mieszkacie pod dachem... Na mojej pustyni nie ma nic...

Milioner. Dlatego przyjechałem do ciebie w odwiedziny, Szejku.

Szejk. Skoro jesteś gościem, witam cię, niech Allach ma cię w swojej opiece... Ale po co chwaliłeś się przedtem swoimi... koncepcjami?

Milioner. Widzisz... Każdy ma coś w nadmiarze... U ciebie na przykład płynie tak wiele nafty pod piaskami... Ja mam w nadmiarze koncepcje, które też... no, płyną...

Szejk. Nafta płynie szybciej niż twoje koncepcje.

Milioner. Ale tak samo jak ty bierzesz pieniądze za naftę, ja ciągnę zyski ze swoich koncepcji. Wymieniam je na pieniądze. Co zresztą nie jest korzystne. Bo pieniądze można na przykład ukraść, a koncepcji nikt nie potrafi ukraść.

Szejk. Więc po co wymieniasz swoje koncepcje na pieniądze?

Milioner. To mój kaprys. Po prostu od czasu do czasu nudzą mi się moje koncepcje. Tak samo jak zaczyna cię nudzić twoja nafta i postanawiasz wymienić ją na pieniądze. Nawiasem mówiąc mógłbyś ją wymieniać o wiele korzystniej.

Szejk. A jak, niewierny?

Milioner. Na koncepcje. Nieuchwytne i nieważkie. Przenoszę koncepcje ze swojej głowy do twojej — nikt ich nie zobaczy i nie ukradnie, nie trzeba się o nie niepokoić i pilnować. Mam kilka pomysłów, które są warte wszystkiej twojej nafty.

Szejk. Alboż można porównać te jakieś twoje pomysły z naftą? Wycieka z naszej ziemi jak krew z ludzkich żył. A powiedziane jest, że kiedy jedno wycieka, to coś innego powinno wypełniać jego miejsce. Pieniądze wypełniają miejsce nafty. Są tu, pode mną, mogę je pomacać. A twoje koncepcje? Dym, mgła, nic!

Milioner. Pogadamy z tobą inaczej. Ty jesteś milionerem. Tak?

Szejk. Tak.

Milioner. Co to jest milioner? Człowiek, który ma milion dolarów. Tak?

Szejk. Tak. Jakkolwiek wyglądasz raczej na obdartusa, któremu trzeba dać jałmużnę, jak każe Allach.

Milioner. Ty też nie bardzo wyglądasz na milionera, jak go sobie wyobrażają ludzie w naszym mieście.

Szejk. Ale mam za to milion i mogę go pokazać!

Milioner. Trudno się z tobą dogadać... No dobra... Bob!

Bob. Hallo, szef!

Milioner. Wszystko gotowe?

Bob. Okay!

Milioner. Zaczynajcie!

Bob *(podbiega do Szejka, łaskocze go w brodę i pod żebrami).* Szejkusiu, bierz cię licho!

Szejk. Precz!

Bob. Poczekaj, obrócę cię, bo już cuchniesz jak stary baran.

Szejk. Każę...

Bob. Hej, chłopaki, podnieście mego szejkusia, bierz go licho!

Jeden z tragarzy podbiega, z łatwością bierze Szejka na ręce. Szejk wyrywa się, wierzga nogami, wymachuje rękami.

Bob. Raz-dwa!

Pozostali tragarze chwytają kilim za rogi i ciągną łoże Szejka na pustynię.

Szejk. Milion! Mój milion!

Tragarz stawia Szejka na ziemi, ten chce pobiec za swoim łożem, ale okazuje się, że jest przymocowany do palmy tym głupim ćwiekiem, o jakim już dawno zapomniano. Szejk szarpie się, krzyczy, tupie nogami — wszystko nadaremnie.

Milioner. Teraz możemy nareszcie porozmawiać na tym samym szczeblu. Siadaj.

Szejk siada.

Napij się whisky, ulży ci.

Szejk pije, krzywi się, spluwa.

A więc, ja jestem milionerem, ty jesteś milionerem... Tak?

Szejk milczy.

Jesteśmy względnymi milionerami. Bo ani ja, ani ty nie możemy sobie wzajem pokazać swoich milionów. Mój jest cały zainwestowany, twój płynie pod postacią nafty. Tamten, na którym leżałeś, czyli milion w dolarach, skradziono i żadna siła ci go nie przywróci. Bob zna się na tych rzeczach. Więc pogadajmy jak milioner z milionerem. Ja ci daję koncepcje ty mnie — naftę...

Nadbiegają ślepcy, którzy krzyczą z daleka:

— Popłynęła jeszcze prędzej!

— Płynie już ze straszną szybkością!

Szejk. Zatkajcie rurę! Nie przepuśćie ani kropli! Za każdą kroplę nafty wycedzę z was po kropli krwi!

Ślepi znikają.

Milioner. Podoba mi się twoja energia. Przyjemnie jest mieć do czynienia z takim człowiekiem. Porozumiemy się z łatwością.

Szejk (*krzyczy*). Precz! Służba! Przepędźcie go stąd! Wszystkich przepędźcie! Krew mojej pustyni!

Słudzy wypędzają Milionera, Szejk zrywa się, chce biec, ale jest przygwożdżony, więc pada.

Przekleństwo!

Leży osamotniony. Wracają słudzy. Nie są to już pokorni wykonawcy czyjejś woli, lecz beduini, dumni synowie pustyni, z karabinami w ręku. Podchodzi do nich Derwisz. Ma jeszcze swój kołpak na głowie, ale zrzuca go, wkłada burnus, bierze również karabin w ręce i staje przed Szejkiem.

Derwisz. Są cztery kategorie ludzi na świecie. Człowiek, który wie i wie, że wie — to mędrzec, słuchajcie go zawsze. Człowiek, który wie, ale nie wie, że wie — to śpiący, obudźcie go. Człowiek, który nie wie i wie, że nie wie — ten szuka dobrej rady, więc pouczcie go. I wreszcie człowiek, który nie wie i nie wie, że nie wie — to głupiec, pozostawcie go samego z jego głupotą.

Wszyscy opuszczają Szejka i idą na pustynię, widać na horyzoncie postaci beduinów z karabinami w ręku.

Z drugiej strony słychać warkot silnika, wchodzi Archeolog.

Archeolog. Nie ma w tej ziemi żadnej skorupki, żadnego odłamka przeszłości, nic, nic. Tylko pchły, kleszcze, muchy pustynne, osy daktylowe, skorpiony, żmije, całe armie żuków i olbrzymie pająki. Boże, dobiją mnie te pająki! Są wielkości spodka czy damskiego kapelusza, pędzą za mną przez całą pustynię, szybsze są niż mój wóz, okropność! (*Biegnie, wpada na Szejka*). Co widzę? Szejk? A gdzie się wszyscy podziali?

Szejk. Czym jest nasze istnienie? Obozowaniem pod namiotami. Kiedy wojownicy opuszczają namioty, pozostaje tylko pustka pustyni.

Archeolog. Ależ wszystko zniknęło bez śladu. Gdzie? Jak? Dlaczego?

Szejk. Nie należy pytać Allacha, co czyni.

Archeolog. Nie do wiary! Czy rzeczywiście jes-

teś tym samym Szejkiem?... Dlaczego tak spokojnie reagujesz?... Wszystko stracić i...

Szejk. Po co się skarżyć, jeżeli rządzi nami los?

Archeolog (*z ożywieniem*). Ale... Powinny być... jeżeli coś się rozwala, znika, zapada, archeolog może się tam pożywić... Powinny tu być skorupy i odłamki.

Wybiega.

Szejk. W imię Allacha wszechpotężnego i miłosiernego. (*Modli się*).

Drugą przerwę chciałem również przesiedzieć na sali manifestując swoją zdecydowaną niechęć do kontaktów z przedstawicielami świata artystyczno-technicznego w osobie towarzysza Derżykraja czy nawet mojej siostruni Zizi. Ale należało wziąć, pod uwagę obecność Klementyny, która chciała dowieść, że ma jaką taką władzę nade mną, bo któraż dziewczyna by tego nie chciała.

— Nie chcesz pójść za kulisy? — powiedziała Klementyna. — Ale przyznaj, że siedzieć tutaj też nie ma sensu. Chodźmy do foyer. Mógłbyś mnie poczęstować czekoladkami. Pokaż, jaki z ciebie kawaler.

— A ty? Nie polecisz, by paść w objęcia artystycznego świata?

— Nie, pójdę z tobą.

Ustąpiłem. Poszliśmy do foyer, gdzie tłoczyło się kilkaset osób wymachując rękami i dyskutując na tematy międzynarodowe i na temat sztuki. Nasz Pałac Kultury przypominał przyzwoity, niemal stołeczny teatr, rozbrzmiewały tu słowa o systemie Stanisławskiego, o satyrze, o filozofii i na najróżniejsze w ogóle tematy.

Poszliśmy z Klementyną dalej, do bufetu. Jak się okazało, bufet osiągnął już poziom standardu świato-

wego, a może go nawet przewyższył długością stojącej tu kolejki. Jako typowa ofiara standardu światowego zmuszony byłem zająć miejsce na końcu ogonka i spoglądać zazdrosnym okiem na tych nielicznych sprytnych i szczęśliwych, co już chwycili, co chcieli, i siedzieli teraz przy okrągłych stolikach pokrytych higienicznym tworzywem sztucznym, swobodnie i niewymuszenie dzieląc się uwagami o tym, co działo się dotąd na scenie.

— Słyszał pan, co on powiedział o zawiści? — doleciało do mnie od najbliższego stolika. — To wieczne uczucie. Ale powiedziałbym, że demokracja rodzi tego rodzaju uczucie w bezgranicznych ilościach. Dlaczego? Z powodu równouprawnienia. Kiedy prawa są równe, w ogóle się ich nie odczuwa. Jak powietrza.

— Ba, póki nie jest zanieczyszczone.

— Powiedziałem w przenośni.

— Niech pan spróbuje oddychać tym swoim powietrzem w przenośni. Zechce się panu odetchnąć ozonem. A kto go panu da? Tylko demokracja.

— Á propos, zauważył pan, jakie zadziwiające zdolności kombinacyjne wykazuje Przemytnik? Niebywały typ genetyczny.

— Sądzę, że to typ socjalny, nie genetyczny.

— Nie przeczę... Ale...

— Jeszcze na to za wcześnie, by mówić o cywilizacji wczasów — usłyszałem dolatujący od innego stolika bardzo mi znajomy głos. Nastawiłem uszu. Coś mnie pchało do tego stolika, jakaś siła wstąpiła mi w nogi i prowadziła tam, w stronę tego głosu, i gdyby nie Klementyna, skoczyłbym w jednej chwili, bezzwłocznie, nie zastanawiając się i nie wahając.

Poznałem już ten głos. Należał do docenta Kryżenia. Docent Kryżeń siedział przy stoliku, jadł swoje czterdzieści deka lodów i perorował:

— W starożytnym Egipcie wszyscy, nie wyłączając niewolników, mieli blisko dwieście świąt w roku. W połowie czwartego stulecia rzymski kalendarz wymieniał 175 dni świątecznych. W trzynastym wieku we Francji dla większości zawodów obowiązywał kategoryczny zakaz pracy nocą oraz w sobotę i w niedzielę. Jak obliczył Harold Wilenski, ze względu na ilość wolnych od pracy dni dzisiejszy wykwalifikowany robotnik w Anglii dorównuje zaledwie poziomowi rzemieślnika z wieku trzynastego.

— A kto to taki Harold Wilenski? — zapytała dziewczyna, która siedziała przy tym samym stoliku co docent Kryżeń, ale zwrócona do mnie plecami, więc nie widziałem jej twarzy.

Ujrzałem za to, jak docent Kryżeń niedbale machnął ręką, nie przywiązując wagi do jej pytań, i pragnąc wyłuszczyć swoją myśl do końca ciągnął:

— Socjologowie zaciekle dyskutują, czy na Zachodzie masy osiągnęły dziś wyższy poziom kultury odpoczynku, czy też poziom ten się obniżył. W kulturze mas tematyka zawęża się coraz bardziej, ludzie korzystają ze swego wolnego czasu, by uciec od życia, człowiek mniej wytwarza, niż konsumuje, widowiska wyparły bohaterów i słyszymy już niespokojne pytanie: „Czy rzeczywiście nastaną kiedyś czasy, gdy znowu potrzebni będą herosi?"

Nie słuchałem go więcej. Jakaś nieznana siła wstąpiła w całe moje ciało, ów „duch, co ciało na bój podrywa". Docent Kryżeń perorował nie dostrzegając mnie, bo co go w ogóle obchodziłem; szanowny pan docent mnie też nie obchodził, ale mimo to nie byłem już w stanie stać nadal w kolejce po lemoniadę i czekoladki i rozglądałem się znudzony szukając jakiegoś pretekstu, jakiejś sposobności. Klementyna stała koło mnie ufna i pokorna, trochę się zresztą

spóźniła z tą pokorą, która przydałaby się bardziej wtedy, kiedy byłem jeszcze gotów w niej się zakochać. Teraz wybiła godzina zemsty, czułem ją, waliła w dzwon wzbierającego we mnie zniecierpliwienia, szalała we mnie mieszana grupa drapieżników, o których już zapomniałem (a przeczytałem kiedyś taki afisz), teraz dopiero zrozumiałem, co to takiego mieszana grupa drapieżników. Lekko szarpnąłem Klementynę za rękę, opuściłem swoje miejsce w kolejce i pociągnąłem dziewczynę za sobą.

— Nie wypada stać, żeby kupić jakąś tam lemoniadę, kiedy można wyrazić szacunek ulubionemu nauczycielowi!

Prowadziłem Klementynę między stolikami, podświadomie wybierając drogę tak, żeby zobaczyć twarz dziewczyny, która siedziała naprzeciw docenta Kryżenia. Twarz samego docenta znaliśmy oboje lepiej niż tabliczkę mnożenia, nie mieliśmy wcale zamiaru słuchać jego pouczeń i rozważań, które nam obrzydły, mimo że czasem były ciekawe. Mnie zaś chodziło przede wszystkim o tę nieznajomą dziewczynę, która zapytała o Harolda Wilenskiego. Nigdy nie słyszałem o jakimś tam Haroldzie Wilenskim, może docent Kryżeń też nie wiedział, kto to taki, możliwe że dziewczyna zapytała tak sobie, byle zapytać i przypomnieć o swojej obecności. Przypomniała, okazuje się, robiąc to chyba dla mnie, bo aż mnie coś podrzuciło i oto krążę między stolikami — teraz nie miałem już wątpliwości, że tylko po to, by spojrzeć w twarz nieznajomej. Klementynę podświadomie zabrałem z sobą w celu obrony, ale również jako oręż. Szła za mną chętnie, nie opierając się, witano się z nią, przesyłano uśmiechy. Ładna dziewczyna jest ładną dziewczyną nawet sama, nawet z takim wisusem jak Myt'ko Czereda. A prawdę mówiąc, nawet zapomniałem o Klemen-

tynie. Uwiesił się jakiś ciężar na moim ramieniu, przepuszczałem coś przed sobą w wąskich przejściach między stolikami, ale moje oczy były już od dawna przykute do stolika docenta Kryżenia i nie dostrzegając szerokich pleców docenta i jego wspaniałej, nabitej wielce wartościowymi myślami i najwyższymi prawdami głowy, te moje oczy skierowane były na nią. Była to bowiem o n a! Ta sama dziewczyna, jaką zauważyłem kiedyś przy kwiatach i straciłem, jak mi się zdawało, na zawsze. Coś, co było białe i delikatne, usta stworzone do pocałunków, na czym się zresztą dobrze nie znałem, oczy, których głębia przypominała tamte niegdysiejsze Szare, twarz spokojna i mieniąca się wzruszeniem, żywe ruchy. Nie sposób ją opisać. Nie są to Szare Oczy, nie jest to Ala ani Klementyna, lecz coś zupełnie innego i niepodobnego, krótko mówiąc — jest inna niż wszystkie! Oto wyczerpująca i piękna relacja. W stylu Dmytra Czeredy. Słowem „wszystko potężny zmiótł huragan!"

I pozwoliłem sobie teraz na okropne chamstwo. Nie dotarłszy jeszcze do stolika, przy którym siedziała o n a, przystanąłem, przypomniałem sobie, że wciąż jest przy mnie Klementyna, i wypaliłem:

— Rwałaś się, zdaje się, za kulisy?

— A ty chciałeś, zdaje się, zobaczyć się z docentem Kryżeniem?

— Przypominam ci o kulisach.

— Byłam tam podczas pierwszej przerwy.

— A może poszłabyś zobaczyć, czy nie nadano już towarzyszowi Knyszowi tytułu zasłużonego pracownika kultury?

— Przeczytamy o tym w gazetach. Nie będziesz długo czekać. A jednocześnie sam otrzymasz tytuł zasłużonego chama republiki.

— Nie gniewaj się, dziecino. Zdawało mi się rzeczywiście, że scena przyciąga cię jak magnes...

Klementyna zagryzła wargi i wyrwała swoją dłoń z mojej. Oddalała się ode mnie swoim tanecznym krokiem. Mężczyźni pewnie odprowadzali ją spojrzeniami, ale nie miałem czasu przyglądać się temu, mieszana grupa drapieżników wyskoczyła ze mnie i okrążyła stolik docenta Kryżenia, a wśród tych drapieżców byłem ja sam we własnej osobie.

— A-a — ucieszył się docent — Myt'ko? No, jak spektakl? Widziałeś coś podobnego? Mówiliśmy tu właśnie... o zaniku bohaterstwa w życiu... A ty świecisz przecież przykładem bohaterstwa... namacalny i przekonujący dowód...

Patrzyłem na dziewczynę nie odwracając od niej wzroku, co się jej nie spodobało. Nie trzeba szczególnego bohaterstwa, żeby się gapić na nieznajomą dziewczynę, w dodatku jeszcze na taką, która wie, co jest warta. Nie ukrywała swego niezadowolenia. Musnęła mnie pogardliwym spojrzeniem, aż mi w pięty poszło, i powiedziała obojętnie:

— Ma pan ładną odznakę. Jaka pracownia je wyrabia?

— To medal — z nutą szacunku w głosie wytłumaczył jej docent Kryżeń.

— Medal? — udawała głupią czy może rzeczywiście nie odznaczała się zbyt lotnym rozumem.

— Medal laureata. Nasz Myt'ko jest laureatem. Powinnaś wiedzieć. To Dmytro Czereda.

— Pierwszy raz słyszę.

Nie, głupia nie była! Należała do tych, co potrafią zabić słowami na śmierć.

— No, była to... — przyszedł mi z pomocą docent Kryżeń — nagroda dla całego zespołu. Należał do tego zespołu...

— Dmytro Czereda? — zapytała znowu dziewczyna.

— Dmytro Czereda.

— Czereda? Nigdy nie słyszałam.

Nigdy w życiu nie czułem się tak okropnie. Ale nie, nie poddam się!

— Dziwne — przeszedłem nagle od obrony do natarcia — bo znamy się.

— Znamy się? Niemożliwe.

— Jesienią widziałem panią na targu. Z matką. Kupowała pani kwiaty. Trzy róże. Dwie czerwone i jedną białą.

— Trzy róże? Jedną białą i dwie czerwone? Więc widział mnie pan?

— Widziałem.

— Ale ja nie widziałam pana — akcentując „ja" powiedziała z zabójczo obraźliwą intonacją.

— Nic dziwnego. Ze wszystkich odmian ludzkiej pamięci dziewczęca bywa szczególnie krótka.

— Za to dziewczyny potrafią na amen zapominać.

— Szkoda, że ja się tego nie nauczyłem.

To się jej chyba spodobało, bo się uśmiechnęła. Uśmiechnęła się po raz pierwszy i oto wzeszły dla mnie wszystkie słońca świata!

Ale wtem rozdzwoniły się dzwony zniecierpliwienia już nie we mnie, lecz gdzieś w przestrzeni, a nie były to dzwony triumfalne, dzwony zwiastujące nowinę, lecz prymitywne urządzenie sygnalizacyjne towarzysza Knysza, które zgodnie ze swym przeznaczeniem pędziło widzów do sali, gdzie miał się zacząć akt trzeci i ostatni naszego samorodnego spektaklu.

Dziewczyna wstała, docent Kryżeń również, ja stałem jeszcze pod słońcem uśmiechu i dzwonami radości, ale ocknąłem się w porę, pobiegłem za nieznajomą wyprzedzając docenta, który zasłaniał swoją towa-

rzyszkę szerokimi plecami i powiedziałem niemal błagalnie:

— Znowu pani ucieka. Chciałbym wiedzieć bodaj, jak pani na imię...

Szła w milczeniu nie oglądając się i wydawało mi się, że nawet jej plecy śmieją się ze mnie.

— Gdzie pan siedzi? — zapytałem docenta Kryżenia. — Jesteście państwo razem?

— O... tam — niedbale machnął ręką docent nie odpowiadając na moje drugie pytanie. Umiał siedzieć obok urodziwych dziewcząt, zawsze mu się wiodło, temu docentowi, tylko potem jakoś się nie kleiło, wiedziałem o tym i byłem przekonany, że także tym razem nic się docentowi Kryżeniowi nie będzie kleiło.

— Kto to? — nie dawałem za wygraną. — Jak się nazywa? Skąd?

Byłem natrętny i zachowywałem się rzeczywiście po chamsku. Ale co robić, kiedy siedzi w tobie mieszana grupa drapieżników.

— No, to moja studentka — wymamrotał docent Kryżeń. — Jedna z moich studentek... Nie zdążysz zająć swego miejsca, Czereda... Potem, potem... Jeszcze się zobaczymy...

Klementyna nie wróciła na swoje miejsce, została za kulisami i stamtąd obejrzała akt trzeci. Święciła triumfy i zbierała owoce zwycięstwa razem z towarzyszem Knyszem, manifestując jednocześnie swoją pogardę dla mnie, brała odwet za moją niegrzeczność przy stolikach. „Lew się z wołem poznał w lesie i zaprzyjaźnił gorąco, lecz złodziej szakal, wieść niesie, wnet przyjaciół rozłączył..." Nie miałem już chęci oglądać spektaklu do końca, nie byłem ciekaw, co się stanie z Derżykrajem-Szejkiem i co powie moja siostrzyczka Zizi w roli Archeologa, szukającego śla-

dów wieczności, chciałem, bowiem sam tworzyć tę wieczność, która była gdzieś tutaj, na sali, nie znałem jedynie jej imienia, nic o niej nie wiedziałem, usłyszałem tylko jej głos i ujrzałem ją koło docenta Kryżenia. Mała pociecha!

Ale chcesz tego czy nie, zawsze gdzieś się coś dzieje niezależnie od twego życzenia; niestety, wydarzenia na szerokim świecie niezbyt chętnie podporządkowują się zdrowemu rozsądkowi. W ogólności siły pokoju i demokracji są niezwyciężone, ale niekiedy siły te mogą zapomnieć o istnieniu Dmytra Czeredy i jego przeżyciach, nie zauważyć jego młodzieńczego porywu, bo...

Zapomnijmy więc na czas pewien o Dmytrze Czeredzie i skoncentrujmy uwagę na wydarzeniach rozgrywających się na scenie zakładowego Pałacu Kultury.

Akt trzeci. Pułkownicy.

Ciemności, okropna strzelanina, krzyki, znowu strzelanina. Na środek sceny pada wąski snop światła. Po tej świetlistej smudze idą Szukający boga — Bob i dwaj tragarze Milionera. Jeden z nich trzyma w ręku drewnianą tabliczkę, drugi — młotek.

Bob. Tutaj. Dawaj. (*Bierze tabliczkę*). Dawaj także. (*Bierze młotek i zaczyna przybijać tabliczkę do palika*). Tak będzie lepiej. Żeby nam nie zarzucono podżegania do agresji.

1 tragarz. A jeżeli dojdzie do ONZ?

2 tragarz. Działa tam przecież Rada Bezpieczeństwa. Nałoży na ciebie veto i — bywaj zdrów!

Bob. To w wypadku agresji. Ale dotychczas nikt nie wie, co to jest agresja. Nie udało się im dogadać, co to takiego. Mądre uczone głowy stwierdzają, że w ogóle nie sposób zdefiniować agresję, bo każda definicja byłaby niekorzystna, nawet niebezpieczna i posłużyłby

się nią przede wszystkim agresor stosując jakąś metodę nie przewidzianą w określonej agresji. Tak jak my. Był Szejk, a teraz jest dwóch. Pustynia podzieliła się jak ameba. Trach, buch-buch — możecie złożyć skargę w ONZ *(odstępuje od tablicy).*

Widać na niej teraz napisy w języku angielskim i arabskim:

„Stój! Granica".

B o b *(zaciera ręce).* Nasz szef, bierz go licho, genialnie to wymyślił! Z jednego szejka zrobił dwóch! Niech się teraz gryzą między sobą! A kiedy przegryzą sobie gardła, to poleje się nie krew, tylko nafta. Ho-ho!

Wszyscy trzej wybiegają.

Robi się jasno i widać teraz, że po jednej stronie tabliczki siedzi pod palmą Szejk, a po drugiej, pod taką samą palmą, ale na kilimie Szejka — Przemytnik w takim samym stroju jak Szejk.

S z e j k *(podchodzi do Przemytnika).* O, synu szakala, niech przeklęte będzie miejsce, na którym siedzisz!

P r z e m y t n i k. Wolnego, wolnego. Teraz jestem takim samym władcą jak ty. Radzę ci trzymać język za zębami, jeżeli nie chcesz, żeby moi wojownicy... *(Woła).* Wojownicy!

Wyskakują ludzie Przemytnika, mają na sobie jakieś dziwaczne mundury i usiłują udawać żołnierzy.

P r z e m y t n i k. Widzisz? Zabiją cię, jeżeli kiwnę tylko palcem. A kiedy zabójstwa dokonują ludzie w mundurach wojskowych i na rozkaz, nie jest to zbrodnia ani wobec Boga, ani wobec prawa. Takie zabójstwo daje sławę i korzyści. Zawładnę wówczas także twoją ziemią. Czyż nie jest zresztą moja? Czyż Jakub nie pasał tutaj swoich stad?

S z e j k *(rozwścieczony).* O, psie cuchnący! Wszyscy twoi przodkowie byli takimi rozbójnikami jak ty.

Przemytnik. Nadaremnie złorzeczysz, Szejku. Jesteś słaby, samotny i głodny. Nie masz nawet baraniego żeberka, żeby je obgryźć ze smakiem. *(Klaszcze w dłonie).* Podawać!

Słudzy przynoszą mu na drewnianej tacy pieczonego barana, Przemytnik zabiera się z apetytem do jedzenia.

Przemytnik. Za każdy kęs, który człowiek wkłada do ust, otrzymuje boską nagrodę od Adonaj.

Szejk. U-u-u!

Przemytnik. Powiedział nasz zwariowany prorok, że kiedy nie je człowiek mięsa przez czterdzieści dni, psuje mu się charakter. Twój charakter, Szejku, całkowicie się zepsuł. Jestem jednak dobry. Gotów jestem zamienić się z tobą. Daj mi tylko ten kawałek pustyni, gdzie biegną rury, po których płynie nafta, i będziesz miał znowu wszystko, czego pragniesz. Da ci wszystko Milioner.

Szejk. Zanim zdążysz wraz ze swoimi niewiernymi zjeść obiad przed moimi oczami, ja zjem śniadanie przy waszych trupach.

Milioner *(wchodzi wraz z całą swoją świtą).* No co? Dogadaliście się? Wyraził zgodę?

Przemytnik. On... on...

Milioner. Co?

Przemytnik. Złorzeczy i grozi... I... i boję się...

Milioner. Więc nic nie uzyskałeś! Ale siedzisz i żresz najtłustszego barana z moich zapasów? Odebrać mu tę kość!

Bob wyrywa Przemytnikowi z rąk baranią kość, jeden z tragarzy zabiera tacę.

Moja cierpliwość się wyczerpała. Wszyscy jesteście tu uparci jak osły. Ale mam na was dobry środek.

Naślę na was swoich pułkowników. Po was i po waszej pustyni nie pozostanie śladu. Pokażę wam. *(Do Boba).* Poślij po pułkowników!

Bob. Okay, szefie!

Wszyscy wychodzą. Szejk i Przemytnik modlą się żarliwie, każdy do swego boga, wykrzykują coś przerażeni. W dali jeden za drugim kroczą powoli dumni synowie pustyni z Derwiszem na czele. Potem Derwisz pojawia się nie opodal „szejków".

Derwisz. Allach powiedział: „Wasz prorok nie przeklnie was tak, żebyście nie mogli zginąć raz na zawsze".

Na pierwszym planie — pustynia. W dali widać dwóch szejków, każdy stoi pod swoją palmą. Czterej pułkownicy wytaczają na scenę jakieś metalowe urządzenie, przypominające nieco bombę, ale jakby częściowo otwartą, z mnóstwem śrubek i nakrętek, z połyskującymi częściami, ogromną i ciężką. Pułkownicy starają się wciągnąć bombę na środek, właśnie tam, gdzie stoi tablica wyznaczająca granicę.

1 pułkownik. Ciągnij.

2 pułkownik. Podpychaj.

3 pułkownik. Ciągnij.

Pułkownik z akselbantami. Co za upał!

1 pułkownik. Ciągnij.

2 pułkownik. Podpychaj.

3 pułkownik. Ciągnij.

Pułkownik z akselbantami. Może wystarczy? Niech będzie tak.

1 pułkownik. Stój.

2 pułkownik. Stój.

3 pułkownik. Stój.

Pułkownik z akselbantami. Odpoczniemy? *(Wyciera chustką twarz).*

1 pułkownik. Zakręcaj.

2 pułkownik. Odkręcaj.

Archeolog. (*wchodzi*). Koszmar! Zamiast oczekiwanego materiału naukowego znów jakiś sprzęt techniczny i ci ludzie... Pułkownicy... Zupełnie jednakowi, jak pchły. (*Podchodzi bliżej*). Proszę panów...

1 pułkownik. Zakręcaj.

2 pułkownik. Odkręcaj.

Archeolog. Proszę panów, co to jest?

3 pułkownik. Zakręcaj.

Archeolog. Czy ktoś zechce mi wytłumaczyć?

1 pułkownik. Zakręcaj.

Archeolog. Zrozumcie, na jakiej ziemi się znajdujecie...

2 pułkownik. Odkręcaj.

Archeolog. Mieszkała tu gdzieś królowa Saba.

3 pułkownik. Zakręcaj.

Archeolog. Królowa Saba. która zadawała zagadki samemu Salomonowi.

1 pułkownik. Zakręcaj.

Archeolog. Powiedziane jest w „Księdze królów", że ofiarowała królowi sto dwadzieścia talentów złota, dużo wonności i mnóstwo drogich kamieni.

2 pułkownik. Odkręcaj.

Archeolog. I wszystko zniknęło bez śladu.

3 pułkownik. Zakręcaj.

Archeolog. Wszędzie teraz jest pustynia. I tam, gdzie był Babilon ze swoimi wieżami, i gdzie wznosiła się bajeczna Niniwa...

1 pułkownik. Zakręcaj.

Archeolog. Wspaniałe świątynie, kwitnące oazy, olbrzymie miasta — gdzie jest to wszystko?

2 pułkownik. Odkręcaj.

Archeolog (*ujrzawszy wreszcie pułkownika z akselbantami zwraca się do niego*). Proszę pana!...

Pułkownik z akselbantami. Nie radziłbym...

Archeolog. Ależ proszę pana...

Pułkownik z akselbantami. Odejdźmy trochę dalej.

Całej ich rozmowie towarzyszą okrzyki „zakręcaj", „odkręcaj".

Pułkownik z akselbantami. Jeżeli się nie mylę... pan... a może pani?

Archeolog. Niedogodność zawodu... Samotność... bezbronność...

Pułkownik z akselbantami. W dzisiejszych czasach mężczyzna jest bardziej bezbronny niż kobieta.

Archeolog. No, mimo wszystko...

Pułkownik z akselbantami. Tak, tak.. I nawet kiedy nie jest samotny... Nawet miliony mężczyzn w naszych czasach nie potrafią nic poradzić... *(uśmiecha się z zadowoleniem)* przeciwko czemuś takiemu...

Archeolog. A co to jest?

Pułkownik z akselbantami. Niestety, nie mogę zdradzać tajemnic wojskowych, mimo że przykro mi odmówić pani...

Archeolog. Nie nalegam... Jestem i tak... wdzięczna panu... Po raz pierwszy spotykam w tej pustyni cywilizowanego człowieka... Bo nawet koledzy pana... Tacy są posępni i jednakowi.

Pułkownik z akselbantami. To pułkownicy.

Archeolog. A dlaczego wszyscy są pułkownikami?

Pułkownik z akselbantami. Tylko w ten sposób udaje się bowiem zaspokoić nienasyconą ambicję każdego z nas. Każdego niższego stopniem zniszczymy, wyższego zaś obalimy, żeby zająć jego miejsce. A w ten sposób jesteśmy wszyscy równi. Wszyscy

jesteśmy pułkownikami. Ponadto należy wziąć pod uwagę, że pułkownicy to zasadniczy ferment współczesnego społeczeństwa, jego drożdże, jego ładunek atomowy. Wznoszą się ponad innych oficerów, co daje im niezbędną władzę, ale jednocześnie rani ich ambicję fakt, że generałowie stoją ponad nimi. Pułkownicy są przy tym ukrytą siłą, która w każdej chwili może wybuchnąć. Póki istnieją na świecie pułkownicy nikt nie zazna spokoju w życiu.

Archeolog. Ale mówią tak dziwnie... Wszyscy jednakowo...

Pułkownik z akselbantami. Są przecież pułkownikami.

Archeolog. Ależ pan...

Pułkownik z akselbantami. Jestem też pułkownikiem, ale nie z przekonania, tylko z zawodu. Mam tytuł inżyniera i profesora. W tym tu wypadku występuję jako doradca. Kierownik techniczny. Widzi pani... oczywiście, to tajemnica, ale jest pani kobietą... Przygotowujemy tutaj taki niewielki wybuch... Żeby napędzić strachu tym beduinom, szejkom i jeszcze tam jakimś... Więc właśnie tu...

Archeolog (*uradowana*). Wybuch?

Pułkownik z akselbantami (*zdziwiony*). Tak, ale nie widzę powodu...

Archeolog. To cudownie!

Pułkownik z akselbantami. Obawiam się, że nie...

Archeolog. Ależ nie wie pan...

Pułkownik z akselbantami. Niestety, wiem bardzo dokładnie... Mogę pani z góry powiedzieć, ile będzie zabitych i oparzonych, jakie będą zniszczenia.

Archeolog. Zniszczenia! (*Chwyta go za ramię*). Nic tak nie pomaga archeologom jak wielkie zniszcze-

nia. Nawet pan sobie nie wyobraża... Im większa i bardziej nieoczekiwana jest katastrofa — pożar, powódź, wybuch — tym więcej potem materiału, odłamków i skorupek... Był pan w Pompei? Człowiek biegł i spalił się w biegu... Leży teraz w pozie biegacza...

Pułkownik z akselbantami *(odsuwając się od Archeologa)*. Hm... Widzi pani, zgodziłem się pomagać w sprawie niezbyt moralnej, ale pani... Pani... Jesteśmy pułkownikami, ale proszę wziąć pod uwagę fakt, że pułkownicy to niemal zawsze dzieci biedaków... Jeżeli najmujemy się nawet, to wykonujemy rozkaz... Ale pani... Czekać... Zacierać ręce... Odłamki... Skorupy. Marzyć o wybuchu. Nie jest pani kobietą...

Archeolog. Pan mnie obraża...

Pułkownik z akselbantami. Ani mężczyzną...

Archeolog *(ze śmiechem)*. Może ma pan rację. Szukam wieczności. Człowiek nie może istnieć bez wieczności. A co to jest wieczność? Tylko nasza nauka niekiedy zbliża się do niej.

Pułkownik z akselbantami. Nie radziłbym pani pozostawać tu nadal. To niebezpieczne...

Archeolog. Wybuch stworzy materiały archeologiczne, ale archeologów zniszczy jak wszystko inne. Lepiej przyjrzę się wszystkiemu z daleka. Czołem, panowie pułkownicy!

1 pułkownik. Zakręcaj.

2 pułkownik. Odkręcaj.

3 pułkownik. Zakręcaj.

Pułkownik z akselbantami. Bądźcie ostrożni. Ostrożność i precyzja, koledzy!

Scena się obraca. Na pierwszym planie znowu dwaj szejkowie, którzy — powiedzmy — koegzystują teraz równolegle.

Przemytnik *(kuląc się ze strachu)*. Szejku!

Szejk odwraca się do niego tyłem.

Władco! Mój władco! Boję się!

Szejk. Psie! Cuchnący szakalu! Plugawisz pustynię!

Przemytnik. O, mój władco! Zmiłuj się! Przebacz mi!

Szejk (*kpiąco*). Twoje grube wargi wymlaskały, że jesteś władcą!

Przemytnik. Jaki ze mnie władca? Przyzwyczaiłem się rabować, kraść, sprzedawać, oszukiwać — i tyle. Być władcą — zbyt wielki to ciężar dla takiego nieszczęśnika jak ja.

Szejk. Na Allacha, mianujesz się nieszczęśnikiem, a w rzeczywistości zazdrosny jesteś jak szakal, któremu odebrano kość. A co jest w człowieku najgorsze? Wszystko jest w nim przemijające: strach, złość, nawet największa miłość — wszystko mija. Zazdrość natomiast — nigdy! Pozazdrościłeś mi wysokiego stanowiska i pokusiłeś się o nie. Masz teraz za swoje. Cha-cha-cha!

Przemytnik. Alboż jestem władcą? Samozwańcem jestem. Nie mam w ręku tego, co najważniejsze. Prawa. Ty zaś, mój władco, siedzisz na prawie.

Szejk (*zrywa się i patrzy, na czym siedzi, ale nic nie widzi*). Tak, nie pomyliłeś się, na brodę proroka! Mam w ręku prawo. Rządzę pustynią i wszystkimi waszymi duszami. Mogę wszystko! Mogę...

Przemytnik. Ale ten niewierny... Ten Milioner...

Szejk. Nie przypominaj mi tego psa!

Przemytnik. Ciężko zawiniłem względem ciebie, mój władco, ale proszę cię o łaskę.

Szejk. Największą łaską będzie, jeżeli każę ściąć ci głowę.

Przemytnik. Allach uczynił twe serce nieczułym, mój władco!

Szejk. Nie bluźnij powtarzając imię boże twymi cuchnącymi ustami!

Przemytnik. A co nakazał nam Allach? Nakazał nam miłosierdzie.

Szejk. Ale wpierw ogłosił świętą wojnę przeciwko wszystkim niewiernym, zdrajcom i odstępcom.

Przemytnik *(kpiąco)*. Więc dlaczego tu siedzisz i nie wszczynasz wojny?

Szejk *(przybiera buńczuczną postawę)*. Posłałem swoich wojowników! Zwołałem wszystkich synów pustyni i rzekłem im: „Walczcie na szlaku pańskim!" I powtórzyłem jeszcze słowa Proroka: „Zabijajcie niewiernych, gdziekolwiek ich znajdziecie, chwytajcie ich, prześladujcie, napadajcie spoza każdej osłony!"

Przemytnik *(pokpiwa sobie nadal)*. Czemuż sam nie poprowadziłeś swoich wojowników?

Szejk *(chełpliwie)*. Rozkazałem — i tyle.

Przemytnik. A czy potrafiłbyś się bodaj poruszyć?

Szejk. To ty, nieszczęśniku, zdrętwiałeś ze strachu i pewnie nie zdołasz się poruszyć. A ja swobodny jestem jak wiatr! Patrz! *(Spaceruje dokoła palmy)*.

Przemytnik. Może rzuciłbyś się na mnie, by wziąć odwet za zdradę?

Szejk. Nie splugawię swych rąk dotykając padliny!

Przemytnik. A może pobiegałbyś za swoimi ślicznotkami, które od ciebie uciekły podobnie jak słudzy i Derwisz?

Szejk. Pozostanę na wskazanym mi przez Boga miejscu. Prawa nie idą w parze z ruchliwością. Czyż Allach nie przebywa zawsze w niebie? A czyż prorok, przybywszy na naszą pustynię, nie pozostawał tu dopóty, póki się nie wzniósł na niebiosa na cudownym koniu? A czyż widziałeś, niewierny, żeby poruszyło się

kiedyś niebo? Ale żeby nasza pustynia zerwała się nagle i gdzieś pobiegła jak głupia koza albo frywolna dziewka?

Przemytnik *(pada na twarz)*. Wybacz, mój władco, usta moje same nie wiedzą, co mówią! Każ mi coś uczynić dla ciebie, żebyś mnie znowu przywrócił do łask i uśmierzył swój słuszny gniew!

Szejk *(wskazując na tabliczkę z napisem „Granica")*. Co to takiego?

Przemytnik. To... to...

Szejk. Wyrwij i wyrzuć!

Przemytnik. Ależ... Jest tam napisane... Wetknięto to... Tamci ludzie...

Szejk. Zniszcz!

Przemytnik *(zbliża się lękliwie do tablicy, chwyta za palik, szarpie)*. Siedzi tak mocno...

Szejk. Połam ją!

Przemytnik. Jeżeli mnie przywrócisz do łask, mój władco! *(Łamie tablicę i odrzuca daleko)*.

Szejk *(z zadowoleniem)*. Tak... A teraz złam moją palmę i przyciągnij tu łoże. Przecież to moje łoże i tylko ja mam do niego prawo...

Przemytnik *(zakrzątnąwszy się)*. W jednej chwili! *(Łamie palmę, ciągnie za brzeg kilimu)*. Tylko że opróżnili wszystko, mój władco... Łoże przypomina teraz starą klacz, w której łonie nie ma już płodu. Wymietli stąd wszystkie skarby...

Szejk. Niech moje skarby spadną na ich głowy! Niechaj przyniosą zgubę im i ich poplecznikom. Z pomocą Allacha znowu zbierzemy olbrzymie skarby...

Przemytnik. A oni przyjdą znowu i znowu zabiorą lub ukradną...

Szejk. I znowu zginą z powodu moich bogactw, a woli Allacha stanie się zadość. Powiedziane jest bowiem w dziewiątej surze koranu, że ciężko ukarani

będą ci, co gromadzą złoto i srebro i nie tracą go na drodze pańskiej.

Przemytnik. Ależ, mój władco! Więc czemu dotąd tylko gromadziłeś bogactwa i nic nie wydawałeś?

Szejk. A czy wiadomo ci, ciemny człowieku, że Talcha ben Ubejdallach, jeden z dziesięciu sprawiedliwych, którym Prorok obiecał raj, pozostawił po sobie sto skórzanych worów, a w każdym z nich było po trzy cetnary złota! A al-Cubejr ben al-Awwam zgromadził aż sto sześćdziesiąt takich worów i Prorok mianował go za to swoim chabari — apostołem — i też obiecał mu raj? Wszystko trzeba gromadzić do właściwej pory. A porę tę wyznacza Allach!

Przemytnik. Bezgraniczna jest twa mądrość, mój władco. Czy pozwolisz mnie, grzesznikowi, przybliżyć się, by ucałować ślad twojej stopy?

Szejk. Podejdź, ale nie za blisko, żebym nie poczuł twego fetoru.

Przemytnik (*czołga się do Szejka*). Zmiłuj się nade mną!

Szejk. Stój! Powiedział wszak Prorok, że kiedy Bóg darzy człowieka dobrobytem, chce na nim widzieć ślady tego dobrobytu. Kto ci pozwolił przywłaszczyć sobie to, co należy tylko do mnie, do Szejka?

Przemytnik. Przecież wyzbyłem się wszystkiego. Wszystkiego się zrzekłem!

Szejk. A to? (*Wskazuje na ubranie Przemytnika*). Natychmiast zdejmij!

Przemytnik zdejmuje czarny smoking, krawat, nylonową koszulę i pozostaje w samej tylko galabie.

Przemytnik. Zdjąłeś mi kamień z serca, mój władco! Pozwól, żebym ci się odwdzięczył.

Szejk. A czegoż zdołasz dokonać ze swoim ptasim rozumem?

Przemytnik. Przywrócę ci swobodę ruchów. *(Podbiega do palmy, usiłuje wyrwać gwóźdź, którym przybita jest koszula Szejka, ale gwóźdź nie daje się wyrwać).* O, demony! Nie mogę wyrwać gwoździa, który wbiła ręka niewiernej. Może odciąć brzeg twojej koszuli, mój władco?

Szejk. Chcesz ściągnąć na mnie hańbę rozcinając moją szatę?

Przemytnik. No to... wobec tego... może zrąbać palmę?

Szejk. Chcesz, łotrze, żebym wlókł za sobą palmę po pustyni, jak baran wlecze swój tłusty ogon!

Przemytnik *(w rozterce).* No więc... może... może zrzucisz swoją szatę i...

Szejk. Aha, chcesz, żebym chodził po pustyni nagi, ty psie? *(Zamierza się na Przemytnika, który odskakuje).*

Przemytnik. Ale tak bardzo chcę ci czymś dopomóc, mój władco! Jak zasłużyć na twą łaskę?

Szejk. Chcesz zasłużyć na moją łaskę?

Przemytnik. Powiedz, co mam zrobić w tym celu?

Szejk. Przecież zapaskudziłeś mi brodę!

Przemytnik. Zlituj się *(czołga się u nóg Szejka).*

Szejk. I nie zabiłeś Milionera.

Przemytnik. Chciałem go zabić.

Szejk. A potem bezczelnie usiłowałeś zrównać się ze mną, jakkolwiek nikt z żyjących na ziemi nie śmie nawet o tym pomyśleć.

Przemytnik. To moja najcięższa wina.

Szejk. I zabrałeś moje żony!

Przemytnik. Tamci mi je dali, nie wziąłem jednak żadnej z twoich żon. A co bym z nimi począł? Błąkam się zwykle po pustyni i w moich wędrówkach

potrzebne mi są konie lub wielbłądy. A kobieta — to nie wielbłąd, nie poniesie ani jeźdźca, ani juków. Po co mi kobieta?

Szejk. Ukradłeś moją wodę kolońską, psie.

Przemytnik. Ko-loń... A co to jest, mój władco?

Szejk. Naczynko ze wszystkimi wonnościami świata. Ukradłeś je!

Przemytnik *(siada, usiłuje wytężyć pamięć).* O, mój władco, zaczynam się domyślać, o co ci chodzi. Jeżeli pozwolisz...

Szejk. Prędzej!

Przemytnik wybiega, przynosi flakon z rozpylaczem.

Przemytnik. Czy to to?

Szejk. Na Allacha!

Przemytnik. Co z tym zrobić?

Szejk. Opryskaj mi brodę.

Przemytnik *(bezradnie).* Ale jak?

Szejk. Domyśl się, jeżeli chcesz, żebym cię przywrócił do łask!

Przemytnik *(manipuluje rozpylaczem, pryska sobie między oczy).* Och!...

Szejk *(krzyczy).* Nie pryskaj na swoją śmierdzącą mordę. Tutaj pryskaj!

Przemytnik kieruje rozpylacz na brodę Szejka.

Przemytnik. Tak?

Szejk. Tak, o, tak! Dosyć! Postaw to tutaj.

Przemytnik. Słucham, mój władco!

Szejk. A teraz wynoś się!

Przemytnik. Przepędzasz mnie, mój władco?

Szejk. Obrzydł mi twój widok.

Przemytnik. Nie przepędzaj mnie, boję się.

Szejk *(z zadowoleniem).* Jesteś tchórzliwy jak szakal. Precz mi z oczu!

Przemytnik (*szeptem*). Milioner sprowadził na twoją pustynię pułkowników.

Szejk. Nie boję się nikogo.

Przemytnik. Ci pułkownicy przywlekli z soba coś, co jest takie duże i połyskujące...

Szejk. W dzień nad pustynią świeci słońce, w nocy połyskuje miesiąc i nic ich nie zmoże, bezgraniczna jest bowiem łaska Allacha!

Przemytnik. Milioner grozi, że jeżeli my obaj...

Szejk. Znowu stawiasz siebie na równi ze mną, psie!

Przemytnik. Przebacz, mój władco!... Powiedział, że z pomocą tego czegoś połyskującego pułkownicy zniszczą wszystko, co jest żywe i nieżywe oraz samą pustynię, jeżeli...

Szejk. Niech się dzieje wola Allacha...

Przemytnik. Przecież Milioner — to niewierny! Nie zważa na wolę twego Allacha!

Szejk. Hę? Co? Nie zważa.

Przemytnik. Tak jest. Nie zważa.

Szejk. Więc co robić? Gdzie są moi słudzy?

Przemytnik. Czyż nie posłałeś ich, żeby walczyli przeciwko Milionerowi?

Szejk. Czy ich posłałem? Może... Tak, tak... Powiedziałem im... Posłałem ich...

Przemytnik. Ale jeżeli zwyciężą Milionera, to...

Szejk. To co?

Przemytnik. Czy wrócą do ciebie?

Szejk. Czy wrócą? Rzeczywiście, czy wrócą? Zostałem przybity do tej palmy... Przykuty obowiązkiem... Nie mogę się stąd ruszyć... Spoczywa na mnie brzemię... O-o-o! (*Zasłania twarz rękoma*).

Przemytnik. Ale gdybyś zwyciężył Milionera ty, wtedy...

Szejk. Wtedy?

Przemytnik. Wtedy twoi słudzy i niepokorny Derwisz znów będą twoimi pokornymi niewolnikami, mój władco!

Szejk. Będą pokornymi niewolnikami? Jak tamci ślepcy!

Przemytnik. Ślepcy też przeszli do Derwisza.

Daleko, w głębi pustyni przesuwają się sylwetki śpiesznie gdzieś zdążających uzbrojonych beduinów.

Szejk. Co robić? Co robić? Wróg jest zawsze wrogiem. Nikomu nie można wierzyć. Nawet tym, co udają pokornych.

Przemytnik. Kiedy przywrócisz mnie do łask...

Szejk. Przywrócę cię do łask.

Przemytnik. Przekradnę się wtedy do pułkowników.

Szejk. I co?

Przemytnik. Spróbuję przynieść ci od nich tę taką połyskującą rzecz.

Szejk. Aha. Spróbujesz. *(Krzyczy).* Niby dlaczego tylko spróbujesz, tchórzu? Musisz mi ją przynieść! Inaczej... Inaczej każę ci...

Przemytnik. Przyniosę. Ukradnę im to, co tak bardzo błyszczy!

Szejk. Wtedy ci przebaczę, zdrajco.

Przemytnik. Zasłużę na to przebaczenie.

Szejk. A teraz pokrop mi jeszcze raz brodę i wynoś się! A nie marudź tam, bo na brodę proroka!...

Przemytnik opryskuje Szejka wodą kolońską, ten z błogim wyrazem twarzy przymyka oczy, kładzie się na wznak i zasypia pod palmą. Przemytnik znika.

Archeolog *(wchodzi, spostrzega Szejka).* Jakie skomplikowane wydaje się na pustyni ciało ludzkie. Ile tu nadmiaru, wypukłości i zagłębień, nieproporcjonal-

ności. Oko wciąż wykrywa jakieś zniekształcenia. Trzeba by uprościć ludzkie ciało, żeby harmonizowało z łagodnym krajobrazem pustyni. Ale jak? Nawet po śmierci człowiek mąci jednostajność pustyni swoimi kośćmi. (*Trąca Szejka nogą*).

Szejk (*budząc się od razu, chwyta Archeologa za nogę*). A, mam cię, niewierny! Pokażę ci moje kości!

Archeolog (*z przestrachem*). Puść mnie!

Szejk (*trzymając go wciąż za nogę*). Nie puszczę! Urągasz tu moim kościom!

Archeolog. Twoje kości pokryte są grubą warstwą tłuszczu jak u tucznego barana.

Szejk. Porównujesz mnie z baranem, nędzniku!

Archeolog (usiłuje wyszarpnąć nogę). Puść.

Szejk. Pokażę ci kości! Odgadnij zagadkę, to cię puszczę. Kto ma kości z wierzchu, a mięso w środku?

Archeolog. Nie wiem. Puść.

Szejk. Aha, nie wiesz. Ho-ho-ho! To ślimak. I będziesz czołgać się przede mną jak ślimak i błagać mnie. (*Siada nie wypuszczając z rąk nogi Archeologa*). Ale już cię widziałem... Byłeś tu owego dnia... Uciekłeś wtedy, ale teraz...

Archeolog. Puść, przecież to boli... Jestem... kobietą.

Szejk (*zdumiony*). Jesteś kobietą?! Tracę rozum przez tych niewiernych. To mi podsyłają mężczyznę pod postacią kobiety, to przychodzi kobieta o wyglądzie mężczyzny. Co tu robisz, na mojej pustyni?

Archeolog. Puść moją nogę, wtedy ci powiem...

Szejk. Nie przystoi mężowi trzymać się babskiej nogi. (*Puszcza nogę Archeologa*). Ale jeżeli nie powiesz prawdy...

Archeolog (*odstępując o kilka kroków*). Śledzę czas, który wszystko niszczy.

Szejk. Czas, który niszczy?

Archeolog. Tak, ciebie zniszczy również...

Szejk. Mnie? Zniszczy? Wpierw niż spożyjesz obiad przy moim trupie, ja zjem śniadanie przy twoim! Gdzie są moi słudzy? Służba! (*Biega rozpaczliwie wokół palmy).*

Archeolog oddala się. Szejk nie zwraca na to uwagi. Wciąż biega dokoła palmy. Scena obraca się unosząc Szejka z jego palmą gdzieś w nieznane. Na pierwszym planie — znowu pułkownicy ze swoją bombą.

1 pułkownik. Zakręcaj.

2 pułkownik. Odkręcaj.

3 pułkownik. Zakręcaj.

Pułkownik z akselbantami. Weźcie, proszę, pod uwagę...

1 pułkownik. Zakręcaj.

Pułkownik z akselbantami. Zbliża się szczególnie odpowiedzialna chwila...

2 pułkownik. Odkręcaj.

Pułkownik z akselbantami. Musimy się zatrzymać na granicy wybuchu...

3 pułkownik. Zakręcaj.

Pułkownik z akselbantami. Groźba wybuchu jest straszniejsza niż sam wybuch. Można ją bowiem przeciągać w nieskończoność. Na lata, dziesięciolecia, całe epoki... Epoka zagrożenia... Brzmi to bardziej przerażająco niż wszystkie grzmoty detonacji jądrowych!

2 pułkownik. Odkręcaj.

Przez pustynię czołga się szybko Przemytnik zbliżając się od strony przeciwnej, ukrywa się za bombą, wsuwa ręce między części machiny.

Pułkownik z akselbantami. Poza tym mamy do spełnienia szczególną misję...

1 pułkownik. Zakręcaj!

2 pułkownik. Odkręcaj.

Przemytnik *(do siebie)*. Odkręcaj! *(Szybko odkręca połyskującą część)*.

Pułkownik z akselbantami. Odpowiedzialność ta... *(Nasłuchuje)*. Zdawało mi się...

3 pułkownik. Zakręcaj!

Przemytnik. Odkręcaj!

Pułkownik z akselbantami *(przygląda się bombie)*. Zaczynają się chyba halucynacje.

1 pułkownik. Zakręcaj!

2 pułkownik *(trochę zbity z pantałyku)*. Odkręcaj!

Pułkownik z akselbantami. Zdawało mi się, że pokazała się jeszcze jedna para rąk. To już halucynacja... Czytałem o takich wypadkach na pustyni. Trzeba chyba wypić whisky. *(Pije z piersiówki i znowu się przygląda)*.

3 pułkownik. Zakręcaj.

Przemytnik *(jeszcze bardziej zuchowato)*. Odkręcaj!

Pułkownik z akselbantami. Można tak zwariować! *(Liczy ręce pułkowników)*. Jedna para, dwie, trzy... cztery... Skąd się wzięła czwarta para rąk? Może to moje ręce? Nie, oto one! Nie zakręcam i nie odkręcam...

1 pułkownik. Zakręcaj!

Przemytnik. Odkręcaj!

2 pułkownik *(coraz bardziej zbity z tropu)*. Odkręcaj!

3 pułkownik. Zakręcaj!

Przemytnik. Odkręcaj!

Pułkownik z akselbantami. I ten głos. To nie nasz głos. Z cudzoziemskim akcentem. Czemu ktoś z was mówi z cudzoziemskim akcentem? Co się tu dzieje!? I skąd się wzięła jeszcze jedna para rąk? *(Znowu*

liczy). Raz, dwa, trzy... moje — to cztery... A to jest piąta para... Dlaczego piąta?... Przecież jest nas czterech...

1 p u ł k o w n i k. Zakręcaj!

Przemytnik delikatnie wyciąga dużą, połyskującą część mechanizmu i czołgając się, szybko się wycofuje.

2 p u ł k o w n i k *(po chwili z wahaniem).* Odkręcaj!

P u ł k o w n i k z a k s e l b a n t a m i *(pociągnąwszy z piersiówki).* Chyba mi pomogło. Nic już nie słyszę. I ręce. Jedna para, dwie, trzy... Cudownie!... Nie nadaję się ta pustynia dla białych... Wszyscy musimy tu być szczególnie... *(Zauważywszy coś nagle w bombie podbiega bliżej, przygląda się, wkłada ręce między mechanizmy, krzyczy).* Wszystko przepadło! Zaraz będzie wybuch! Uciekajmy! *(Włącza syrenę alarmową, ucieka).*

Pułkownicy jeszcze stoją przy bombie.

1 p u ł k o w n i k *(z ożywieniem)* Zakręcaj.

2 p u ł k o w n i k *(uradowany)* Odkręcaj!

3 p u ł k o w n i k *(triumfująco)* Zakręcaj!

W dali rozlega się huk i coraz bardziej potężnieje, scena się obraca — pod palmą Szejk i Przemytnik.

P r z e m y t n i k *(wręcza Szejkowi duży, połyskujący przedmiot).* Ukradłem to! Przyjm, mój władco!

S z e j k *(unosi przedmiot wysoko w górę).* Pokażę im wszystkim!

P r z e m y t n i k. Jesteś najpotężniejszy, mój władco!

S z e j k *(podskakując).* Pościnam głowy wszystkim, wszystkim, tobie też...

P r z e m y t n i k. Łaski! *(Pada na kolana).*

S z e j k. Będę się rozkoszować zemstą długo i powoli! *(Tańczy z połyskującym przedmiotem w ręku).*

Przemytnik. Przecież to ja ci pomogłem, mój władco!...

Huk słychać coraz bliżej i wyraźniej. Na pustyni ukazują się i biegną w popłochu koło palmy Milioner, Bob, tragarze, Mąż i Żona, Pułkownik z akselbantami.

Pułkownik z akselbantami. Za chwilę... całkowita zagłada. Nastąpi wybuch... Wybuch!...

Przemytnik (*od razu zrozumiawszy wszystko, zrywa się na nogi i podbiega do Szejka*). Masz teraz! Uciekam także! A ty rozkoszuj się zemstą! Czy może też uciekniesz? Dlaczego nie biegniesz? Cha-cha-cha! A czyż biegnie gdzieś niebo? A czyż biega tam i sam pustynia! Ho-ho-ho! (*Wybiega*).

Huczy już wszystko wokół Szejka.

Szejk (*przerażony*). Dokąd biegniecie! Poczekajcie! Na Alla...

Straszna detonacja. Wszystko staje w ogniu. Potem zapada ciemność. Wszystko znika. Dłuższa pauza.

Powoli mrok się rozprasza, ukazuje się naga pustynia, tylko na miejscu, gdzie stał pod palmą Szejk, coś połyskuje. Ukazuje się Archeolog w białym kombinezonie ochronnym, idzie powoli przez pustynię, ujrzawszy połyskujący przedmiot bierze go w ręce i ogląda. Jest to zniekształcony detal bomby, który Przemytnik przyniósł Szejkowi.

Archeolog. Nic. Ten jedyny odprysk przeszłości. (*Spogląda w dal, gdzie ukazują się niespodziewanie ruchliwe sylwetki uzbrojonych beduinów*). Rzeczywiście? Są tu znowu? (*Przeciera oczy*). Nie, to nie złudzenie! Pustynia wypełnia się znowu ludźmi. Nie może być pusta. Teraz rozumiem, dlaczego Babilon powstał na środku pustyni. Pustynia nie może być pusta. Zapełnia się, by znowu ulec spustoszeniu. Oto wieczność.

Archeolog znika, majaczą tylko na horyzoncie sylwetki zbrojnych beduinów.

O oklaskach można nie mówić, wiadomo, że były burzliwe. Jakież mogą być oklaski. Widzowie, ich większość, ruszyli do przodu, do samej sceny, żeby zobaczyć z bliska wykonawców spektaklu i pokazać wykonawcom siebie. Słowem, zbratanie milczącej większości z gadatliwą mniejszością. Postanowiłem przyłączyć się do trzeciego świata, do świata mądrali, którzy korzystając z burzliwych oklasków i pędu większości ku promieniom sławy energicznie posuwali się w kierunku przeciwnym, czyli do wyjścia. Pociągało mnie zresztą nie samo wyjście z sali, lecz owo miejsce, na którym siedziała znajoma-nieznajoma dziewczyna w towarzystwie docenta Kryżenia. Trzeci akt spektaklu oglądałem już kątem oka, raz po raz zerkając w stronę docenta Kryżenia i obserwując jego zachowanie względem sąsiadki. Prawdę mówiąc, zaniepokoiło mnie, że wykręcali się oboje od odpowiedzi na moje natrętne pytania o imię nieznajomej. Może łączy tę parę już taka więź, że nie życzą sobie, by wdzierał się do ich świata ktoś trzeci, czy może docent Kryżeń położył wreszcie kres swemu przewlekłemu stanowi kawalerskiemu i postanowił się ożenić lub już się ożenił wybrawszy najpiękniejszą w naszym mieście dziewczynę, co nie ulegało dla mnie teraz wątpliwości! Cóż mnie obchodziła sztuka i problemy pustyni, biłem się przecież z takimi oto myślami i nic a nic nie wiedziałem. A co najgorsze, byłem zupełnie zbity z tropu i bezradny, nie wiedziałem, co robić, nie mogłem się nawet uciec do swego zwykłego sposobu i pośmiać się trochę z perspektywy wieczności z samego siebie, z docenta Kryżenia i w ogóle z tej sytuacji, jaka się dziś wytworzyła dzięki spektaklowi. Zbierać ludzi w gromadę to rzecz zawsze niebezpieczna. Ludzie bowiem często gęsto nie tylko się spotykają, lecz stykają się z sobą. Zetknąłem się oto z tą dziewczyną, o której myślałem czy też już nie myślałem i chyba raz na

zawsze zapomniałem. A teraz byłem w sytuacji bez wyjścia. Przepadł mój humor, podziała się gdzieś ironia — wszystkie tragedie na scenie wydawały mi się sztuczne i nic nie znaczące w porównaniu z moją własną tragedią. Ironizujący zwykle człowiek zakochał się od pierwszego wejrzenia i okazało się od razu, że na nic się ta ironia nie zda, że nic mu po niej. Zaczynało się bowiem coś, co było prawdziwe. Trzeba było odrzucić, zapomnieć o wszystkim innym wobec tej prawdy w całej jej pociągającej grozie.

A więc sala trzęsła się od burzliwych oklasków i zaczęła się wielka wędrówka mas. Czynny udział wziął w tej wędrówce docent Kryżeń. Widocznie owe słowa o wieczności, jakie wyrzekła pod koniec spektaklu Zizi, jeżeli nie były nawet słowami docenta Kryżenia, to w każdym razie znalazły się w sztuce nie bez jego udziału. Może zresztą cała sztuka nie została skonstruowana przez komputer, lecz przez technokratów, którymi kierował docent Kryżeń z wyżyn swego wykształcenia humanistycznego. Czy było tak, czy inaczej, czy w takich, czy innych zamiarach przepychał się docent Kryżeń do pierwszych rzędów — wcale mnie nie obchodziło, ujrzałem bowiem, że towarzyszka docenta została na swoim miejscu, nie pobiegła do przodu i nie biegła również do wyjścia, nie klaskała i stała sobie zupełnie spokojnie, na pozór spokojnie, tak samo jak ja. Tylko w moim sercu rozpętała się burza, trzepotało moje serce i dygotało niby gołe niemowlę na śniegu, co też nie miało znaczenia, bo nikt tego przecież nie widział. Pokrywając to wewnętrzne drżenie obojętnym uśmiechem przepychałem się powoli w stronę dziewczyny obawiając się tylko, żeby nie skierowała się do drzwi, bo pędzić za nią byłoby poniżej nawet mojej godności.

Nie uciekała jednak, nie wiem, czy zauważyła, jak wytrwale przepycham się do niej, i trochę się zdziwi-

ła ujrzawszy mnie tuż blisko, może przyszło jej do głowy, że znalazłem się przy niej przypadkowo; nie pozwoliłem jej długo trwać w tym przypuszczeniu, podszedłem i od razu dziewczynę zagadnąłem:

— Nie klaszcze pani podobnie jak ja.

— Widzi pan.

— Ładne dziewczęta wolą być oklaskiwane niż oklaskiwać...

— Chce pan przez to powiedzieć, że jestem ładna? Nie warto. Wiem to sama.

— Kiepsko ze mną, skoro tak. Już mnie ktoś uprzedził. Ale miałem na myśli coś innego. Łączy nas oboje fakt, że nie klaszczemy.

— Przyczyny po temu mogą być różne, więc trudno mówić, że nas to łączy...

Zorientowałem się od razu, że z rozmowy tej nie uda się wydobyć ani grama pożytecznego kruszcu na budowę promiennego pałacu szczęścia. Trzeba było dać sobie spokój z dyplomacją i postawić sprawę otwarcie, póki nie wrócił docent Kryżeń.

— Zasada równouprawnienia została najwyraźniej naruszona — powiedziałem posępnie — pani wie o mnie prawie wszystko, a ja o pani nic. Do czego to podobne! Muszę podać do wiadomości pani, że nie mam zamiaru znowu pani tracić czy gubić, jak to się stało jesienią ubiegłego roku. A więc, jak się pani nazywa, skąd i kim pani jest, jak można panią znaleźć?

— Czy nie za wiele naraz? — uśmiechnęła się dziewczyna i uśmiech ten znowu zabił we mnie wszystko, zabił mnie samego, żebym odrodził się znowu pod nową postacią i w odświętnym nastroju.

— No dobrze. Imię?

— Nic to panu nie da. Nazywam się Waleria. Mogłabym mieć inne imię. Co z tego?

— Dziękuję. Bardzo dziękuję. A teraz... Czy mogli-

byśmy uciec stąd, póki docent Kryżeń manifestuje nierozerwalną więź ludzi nauki i techniki z ludźmi sztuki?

— A co powie docent Kryżeń? A co powie dziewczyna, z którą przyszedł pan na spektakl?

— Zauważyła ją pani? To Klementyna. Pozostajemy w stanie pokojowej koegzystencji. To siostra towarzysza Knysza, który jest realizatorem dzisiejszego przedstawienia. A moja siostrzyczka Zizi gra w sztuce rolę Archeologa. Jej mąż Derżykraj — Szejka.

— Mówił mi o tym docent Kryżeń.

— Więc uciekamy?

— Nie lubię uciekać.

— Odnoszę wrażenie, że nic pani nie lubi.

— Możliwe.

— Wobec tego...

— Nie lubię ludzi, którzy są zbyt pewni siebie. A pan nim właśnie jest.

— Zdenerwowany jestem. Rozumie pani? Boję się, że znowu stracę panią z oczu. Jakoś we wszystkim mam pecha. Co tu gadać, wprost bliski jestem paniki... Gdyby mnie pani zapytała, dokąd uciekniemy, nawet bym nie odpowiedział. Dokąd? Zwyczajnie, gdziekolwiek... Może do kina? Nie, jest już za późno... Więc innym razem? Czy tylko zechce pani?... I czy będzie coś do obejrzenia? Więc cóż nam pozostaje? „Na pożegnanie dłoń mi podaj"? O uścisku dłoni pewien profesor powiedział: „Nie ma sensu i nie wypada ironizować na temat tego miłosnego szyfru, tego pragnienia, by znaleźć odpowiednik, znak wzniosłości, wzruszenia, dobroci". Czy zechce mi pani podać swą dłoń?

— Proszę.

Zawisłem między dwoma masztami linii wysokiego napięcia. Gdybym spadł na ziemię — jakiż ból i hańba! Teraz stał między nami docent Kryżeń i mówił coś o potędze sztuki, o znaczeniu powagi, która kształtuje

w człowieku uniwersalizm, o potrzebie kontaktów między ludźmi ze świata techniki i ludźmi ze świata sztuki. Nigdy nie wydawał mi się docent takim nudziarzem.

— Pójdzie pan także? — doleciał do mnie głos Walerii.

— Czy pójdę? Dokąd?

— Na kolację z udziałem wykonawców udanego spektaklu — poinformował mnie Kryżeń. — Dyrektor huty zaprasza...

— Mam ostatnio kiepski apetyt — powiedziałem.

Ale niespodziewanie zaatakowała mnie Klementyna. Skąd się właściwie wzięła?

— Musisz tam być! — szepnęła z przejęciem. — Brat powiedział... I w ogóle... Zrozum.

— Kiedy się nie ma apetytu — powiedziałem — to się go nie ma... A skoro go masz, to przyłącz się do pana docenta i Walerii...

— Ja też nie pójdę — oświadczyła niespodzianie Waleria.

— Ależ, Walerio — nadąsał się Kryżeń — to niemożliwe... To po prostu...

— Proszę, niech pan zabierze Klementynę, panie docencie — poprosiłem — patrzy na pana cała postępowa ludzkość. A ludzkość zacofana ucieka do domu... Przyjemnej zabawy!

Uścisnąłem dłoń wszystkim trojgu, obu dziewczynom i docentowi. Wyszedłem do hallu i na wszelki wypadek trochę tu poczekałem: a nuż Waleria rzeczywiście pożegna się z docentem? Namiętność żywi nieokreśloną nadzieję, że uda się jej skorzystać z jakiegokolwiek odchylenia od norm zachowania, potrzebny jej jest zamęt na świecie i tylko wtedy ma czym podsycać swój wieczny ogień. Zmuszajcie do biegu swoje nieposłuszne nogi, ale zmuszajcie również do stania swoje nogi, gotowe puścić się biegiem!

Waleria wyszła w chwilę po mnie. Jeszcze jedna porażka docenta Kryżenia. Miejmy nadzieję, że nie ostatnia. Co do mnie, to jest to pierwsze, poważne, prawdziwe, głębokie i ostateczne... Jest w naszym języku trzysta wyrazów oznaczających różne odcienie namiętności i półtora tysiąca opisujących piękno, ale wszystkie te słowa wyleciały mi z pamięci. W milczeniu patrzyłem na Walerię, a w moich oczach była pewnie psia pokora lub może wdzięczność czy niewolnicze oddanie.

— Umówmy się — rozprawiła się ze wszystkimi moimi uczuciami Waleria — wychodzimy z klubu i od razu się rozchodzimy, każde w swoją stronę.

— A jeżeli się okaże, że idziemy w jedną stronę?

— Wtedy ja pójdę pierwsza, a pan poczeka pół godziny.

— Zgodzić się na takie warunki nie do przyjęcia mógłbym tylko w tym wypadku, gdyby mi pani powiedziała, gdzie będę mógł panią znaleźć.

— Nigdzie.

— Bodaj gdzie pani pracuje?

— Jako laborantka.

— Ale gdzie?

— Jako laborantka.

Nie kochajcie się w laborantkach i projektantkach, gdyż mają do czynienia z rzeczami, nie z ludźmi, i nic ich nie obchodzi szał w czyimś sercu!

Waleria odeszła nic już więcej nie powiedziawszy i stanowczo zabroniła mi iść za nią. Nadeszła oto chwila, w której rzeczywiście poczułem, że „wszystko zmiótł huragan potężny" i pogrążony w czarnej rozpaczy powlokłem się na kolację, którą wydała dyrekcja na cześć Derżykraja i jego „drużyny".

Nikt mnie tam nie oczekiwał i nikt nie zauważył. Klementyna odwróciła się z ostentacyjnym lekceważeniem, ucieszył się tylko docent Kryżeń, objął mnie

poufale jedną ręką — w drugiej trzymał kieliszek z czymś mocnym — i zaczął bełkotać mi do ucha:

— Bardzo pięknie, że przyszedłeś... To niebywale kapryśna osóbka... Kapryśna i niepoważna...

— Kicham na pańską powagę — powiedziałem dobrodusznie i wychyliłem jeden głębszy. — Czy słyszał pan kiedyś o dźwięku czasu? Kiedy odlicza swe sekundy tylko dla pana, gdzieś tu, w środku ulokowany jest niewidzialny zegarek i tyka: „Tik-tak, tik-tak". Słyszał to pan, panie docencie?

— Ależ to nic innego, tylko fantomy...

— Gdzie ją pan znalazł?

— Kogo? — nie zrozumiał docent, zbity z pantałyku moim myślowym przeskokiem. — O co ci chodzi?

— Walerię gdzie pan znalazł? Skąd się wzięła?

— Waleria? Jest laborantką w naszym instytucie... Uczy się na wieczorowym... Ale zainteresowały cię fantomy...

— Fantomy, fantomasy — wszystko to tu mi wisi!... A teraz pójdę uściskać Derżykraja... Zbratać się z nim! Może pójdziemy razem?

— Derżykraj to mój najlepszy przyjaciel — wymamrotał docent. — Derżykraj — to...

Powiedzmy zwyczajnie i po prostu: przyjaciel, towarzysz, brat. Wszyscy byli mi teraz przyjaciółmi, towarzyszami i braćmi: i Derżykraj, i towarzysz Knysz, i docent Kryżeń, dobry, bezinteresowny i trochę nudny, nasz docent, który nie tylko nas uczył, ale jeszcze dla nas wybierał ładne dziewczyny przekonany za każdym razem, że wybiera je dla siebie. Nie wpadał jednak nigdy w rozpacz. Wieczna pogoda ducha.

Godził się z łatwością, by Waleria też odeszła... „Od dziadka uciekłem, od babki uciekłem i od ciebie też ucieknę... Z mąki przesianej, na mleku zamieszany..." Nie uciekniesz!

Nazajutrz po premierze, która pozostawiła w moim życiu niezatarty ślad z przyczyn już szczegółowo wyłuszczonych, biegnę po zmianie na dawną Glinianą Górę, nie na aleję Kosmonautów, żeby odprowadzić do domu Klementynę lub zaczekać, kiedy pójdzie na próbę baletową i dobrowolnie ochraniać ją w drodze. Nie, śpieszę na plac Kosmonautów, bo właśnie na tym placu wznosi się gmach Instytutu Pedagogicznego, nowego instytutu otwartego niedawno w naszym mieście; w instytucie tym, w jednym z jego laboratoriów krząta się przy przyrządach biała, delikatna istotka zwaną Walerią. Waleria-kawaleria... Jakąś lekkomyślną nutkę słyszę w tym imieniu czy — bo ja wiem zresztą w czym. Może moje postępowanie jest samą lekkomyślnością. Przybiegam na plac Kosmonautów nie pamiętając o niczym na świecie, pod wpływem tej burzy, co szaleje w moim sercu, nie zważając na zmęczenie po zmianie i na deszcz, który leje dziś od rana, prawdziwie wiosenny, ulewny i hojny. Przybiegam na plac Kosmonautów zasapany, przemoczony i spocony po szybkim marszu. Plac jest ogromny, domy stoją w dużych odległościach od siebie, nie ma się gdzie ukryć, nie ma nawet słupa, który można by podeprzeć i poczekać. A deszcz leje z całą satysfakcją i chyba chce mi przypomnieć, że kiedyś już stałem na tym samym placu, pod takim samym deszczem, tylko że jesiennym, i stałem nie sam, lecz z Eugeniuszem. Czekaliśmy wówczas tak samo przed instytutem, czekaliśmy, kiedy wyjdą dwie dziewczyny, różowa i błękitna, i nie doczekaliśmy się. A jakaż będzie dzisiaj Waleria? Jakiego koloru będzie jej deszczowiec i jakiego parasolka? I czy wyjdzie?

Moknę na deszczu wytrwale, z samozaparciem i zaciekłością, gotów jestem stać tu bodaj do rana i udaje mi się w końcu doczekać chwili, kiedy z bram instytutu

zaczynają wybiegać pojedynczo, parami i gromadkami dziewczęta i chłopcy, nieco stateczniejszym krokiem wychodzą wykładowcy i bardzo już statecznie starsi wiekiem docenci. Zbliżam się do bramy, żeby nie przegapić Walerii, staram się zaglądać pod parasolki, a przechodzi koło mnie ze stu przedstawicieli wszystkich pokoleń i wszystkich możliwych cenzusów wykształcenia — od średniego do wyższego i najwyższego. Wszyscy biegną, śmieją się, wymachują rękami, piszczą, kiedy zimne strugi wody spływają im za kołnierze, wszyscy podskakują i hasają, ale Walerii jak nie było, tak nie ma...

Postanawiam zaciągnąć jeszcze jedną wartę oczekiwania, wszystko mi jedno, mogę tu stać nawet do rana, podobnie jak proletariat nie mam do stracenia nic, prócz niewolniczych pęt. Teraz wreszcie poczułem, że miłość przyjść musiała, więc niby dlaczego miałbym się cofać?

Wybiega z wysokiej i ciężkiej bramy zgrabna figurka w białym płaszczyku, jeszcze nie widzę, kto to taki, ale dobrze już wiem, że to ona. Także Waleria, jakkolwiek nie spodziewała się wcale, że będę tu sterczał we własnej osobie, od razu poznaje mnie z daleka i nie witając się, jakbyśmy się dopiero co widzieli, oświadcza tak samo surowo jak wczoraj:

— Umówmy się od razu: ja idę w jedną stronę, pan — w drugą. Że mnie pan znalazł, to nie ma znaczenia. I w ogóle nic...

Nie pozwalam jej dokończyć.

— Nie uwzględniła pani pewnej okoliczności. Oczekuje nas moja mama i zrobi jej pani wielki zawód, jeżeli...

— Pana mama? Nie rozumiem. Bo co?

— Nic. Zapraszam panią do siebie do domu. Do zgodnej rodziny Czeredów. Wszystkich uprzedziłem

i czekają na panią. Nie może pani przecież zrobić zawodu przedstawicielom starszego pokolenia robotniczej dynastii Czeredów odmawiając...

Waleria śmieje się.

— Wczoraj pomyślałam, że jest pan trochę nachalny, i zapisałam to na rachunek pańskiego tytułu laureata. Dzisiaj nie mogę się nadziwić pańskiej naiwności. No, rozumiem, że mężczyzna czeka na dziewczynę, żeby zaprosić ją do kina.

— Kiepski pomysł.

— Na odczyt o miłości i przyjaźni.

— To już lepiej. Zwłaszcza jeżeli wygłasza go ktoś z towarzystwa „Wiedza". Świetni prelegenci. Każdy ma teczkę wypchaną odczytami na najróżniejsze tematy. Ale ja zapraszam panią do domu.

Szliśmy już przez plac, nie rozbiegliśmy się w dwie przeciwne strony jak wczoraj, siły pokoju i demokracji święciły swoje pierwsze, jeszcze małe, ale mimo wszystko zwycięstwo.

— Śmieszny jest pan, Dmytro. Nic pan o mnie nie wie. A jeżeli jestem mężatką?

— Pani mąż nam nie przeszkodzi. Jest dzisiaj zajęty, musi połamać ręce i nogi docentowi Kryżeniowi, z którym była pani wczoraj na przedstawieniu. Jeden zero na moją korzyść?

— A jeżeli po prostu nie zechcę? Nic pan o mnie nie słyszał i nie może pan...

— Pani o mnie też niewiele słyszała — przypomniałem Walerii — mogę tylko podać do wiadomości pani, że chętnie chodzę szybko. Zwłaszcza kiedy leje...

— I mamy już różnicę gustów. Pan chce uciekać przed deszczem, a mnie wcale się nie chce. Mogę zdradzić panu tajemnicę — moja pasja — to pływanie pod wodą. Lubi pan pływać pod wodą?

— Wolę na wodzie.

— Mama panu nie pozwala?

— Jeżeli miałaby wybór, to wolałaby mnie widzieć na wodzie, nie pod wodą.

— I pewnie nie lubi pan jazzu?

— Walerio — powiedziałem prosząco — nie mówmy o jazzie. Chce pani za wszelką cenę dopatrzeć się we mnie jakiejś wady. Pod takimi warunkami niemożliwy jest wielki dialog między Wschodem i Zachodem.

— Kto z nas jest Wschodem, a kto Zachodem?

— Wschodem jest pani, ja mogę być Zachodem, jeżeli... Umówmy się... Ten pierwszy raz idziemy do nas... Wie pani, gdzie jest „Klub Ludzi Pracy".

— A co to takiego?

— No, wszyscy przecież znają „Klub Ludzi Pracy"...

— Okropny z pana zadufek. Wczoraj dziwił się pan, że nie słyszałam o istnieniu Dmytra Czeredy, dzisiaj nie może pan sobie wyobrazić, że ktoś nic nie wie o jakimś „Klubie Ludzi Pracy".

— Przepraszam... tak jakoś... „Klubem Ludzi Pracy" nazwano dom, w którym mieszkam z rodzicami. Został zbudowany jeszcze przed naszą erą, to znaczy przed wojną, i rzeczywiście wszyscy go tu znają... No, pani nie słyszała... Ale ja na przykład nie wyobrażałem sobie nawet, że uprawia pani pływanie pod wodą i do wczorajszego dnia w ogóle nie wiedziałem, gdzie pani jest i kim. Ale dzisiaj dla mojej mamy byłaby to miła niespodzianka... Powiedziałbym: „Mamo, to ta dziewczyna, którą zobaczyłem jesienią ubiegłego roku, kiedyśmy kupowali indyka".

— Indyk — to wprost cudownie! — roześmiała się Waleria. — Będę musiała przyjąć zaproszenie pana, bo inaczej... Bo z czym się panu będę kojarzyć?

— No, jeżeli już mi się pani kojarzy, to raczej... Szkoda, że nasz zakładowy poeta wyjechał na wyższe kursy literackie... Poprosiłbym go o pomoc. Fajno to

robi. „Tyś nie królowa, tyś nie władczyni ani kapłanka, ani bogini". Że niby co tam królowe, co tam kapłanki i boginie! Dziewczyny radzieckie są najpiękniejsze na świecie!

— Więc pisze tak wasz zakładowy poeta? Macie nawet swego poetę? Po raz pierwszy o czymś takim słyszę.

— Teraz wierzę, że uprawia pani rzeczywiście pływanie pod wodą.

— Z czego pan to wywnioskował?

— Wygląda pani jak ktoś, co się właśnie wynurzył z wody. O wszystkim dowiaduje się pani pierwszy raz w życiu. Naiwność wieku przedszkolnego.

— Wychowywał się pan w przedszkolu?

— Nie miałem szczęścia. Wychowywały mnie moje trzy siostrzyczki. Wszystkie są ode mnie starsze i przecież ja jestem dziedzicem nazwiska Czereda, nie one. Jedną z nich powinna pani znać. Jest żoną Derżykraja.

— A kto to taki Derżykraj?

— Słyszy pani po raz pierwszy?

— Po raz pierwszy.

— Grał wczoraj Szejka. Tego idiotę w turbanie, co leżał cały wieczór pod palmą. Zauważyła go pani? Jest zresztą nie tylko szejkiem. Zajmuje jednocześnie stanowisko kierownika naszego nowego oddziału. Mam nadzieję, że o nowej walcowni pani słyszała. Piszą o niej wszystkie gazety i radio powtarza codziennie: „Nasza walcownia to dziecię ostatniej pięciolatki".

— Po raz pierwszy słyszę — roześmiała się Waleria.

Zaczęła mi się już podobać ta nasza gra, gdyż rozmawiając w ten sposób nie staliśmy na jednym miejscu, lecz mimo wszystko gdzieś zdążaliśmy, prawdę mówiąc, prosto w stronę „Klubu Ludzi Pracy", przed którym wreszcie stanęliśmy.

— Teraz musi pani wstąpić — oświadczyłem Wa-

lerii — tylko proszę, niech pani nie mówi, że nie słyszała pani o „Klubie Ludzi Pracy". Oto ten dom, oto światło w oknach drugiego piętra, skosztuje pani tam firmowej potrawy mojej mamy, a zachwycał się tą potrawą nawet angielski kapitalista, którego przyjmowaliśmy w naszym domu. Panią przyjmiemy jednak na wyższym szczeblu...

— I będziemy wspominali indyka, którego pan kupił ubiegłej jesieni?

— A także trzy róże, które kupiła pani. Dwie czerwone i jedną białą.

— Ma pan niezłą pamięć. Ale niekiedy taka pamięć ciąży człowiekowi. Bo ma pan może głowę nabitą mnóstwem niepotrzebnych, zbędnych rzeczy, więc głowa musi być ciężka i pewnie przeszkadza panu żyć. Od ubiegłej jesieni nosić w pamięci jakąś dziewczynę — to niezgodne z ludzką naturą, to jakieś odchylenie.

— Chce pani powiedzieć, że jestem z lekka nienormalny? Nosiłem w pamięci dziewczynę i indyka...

— Chcę pana z góry uprzedzić, że jestem absolutnie normalną dziewczyną. I jeżeli nawet pójdę do pana do domu, nic to jeszcze nie znaczy... Nie zauważyłam pana wówczas na targu i nie żyłam wspomnieniami pańskiej osoby — tego powinien się pan dowiedzieć po pierwsze. A po drugie — że mam mnóstwo znajomych chłopców. Z Moskwy, Leningradu...

— I stolic republik związkowych — dodałem.

— Nie, wprost nie można z panem mówić poważnie! — wybuchnęła Waleria.

— Pokosztuje pani kawioru, który przyrządza moja mama, a potem roześlemy depesze do mnóstwa pani znajomych chłopców informując ich o wrażeniu, jakiego pani doznała...

— Dobrze. Pójdę jeść ten wychwalany kawior. Ale niech pan nie pożałuje...

— Nie, nie. Po wybuchu atomowym każdy jest mądry, jak powiedziałby komputer Derżykraja.

Mieliśmy szczęście. Deszcz zapędził do domu wszystkich członków rodziny, nawet Derżykraj nie odbywał dzisiaj swego szaleńczego spaceru po szosie, tylko leżał w fotelu i czytał „Porę byka" Jefremowa, podkreślając poszczególne słowa i całe akapity. Początkowo nie zwrócił uwagi na mnie i na Walerię, którą szybko poprosiłem do swego pokoju, ale później Derżykraj jakby dostał sójkę w bok, innymi słowy, zareagował jego wysoko rozwinięty układ sygnalizacyjny; Derżykraj odłożył książkę, pokręcił się po mieszkaniu manifestując różnymi odgłosami, że czymś się tam zajmuje, i wreszcie zajrzał do nas:

— Można?

— Można — powiedziałem. — Zawołaj także Zizi. Mama da nam kawior i będziemy jedli tutaj. Mam wino.

— A ja — wyborowy koniak — zdobył się na gest Derżykraj. — Pozwolisz?

Byłem wielkoduszny jak ów król, który ułaskawił zabójcę, oświadczywszy przy tym, że nie potrafi go uratować przed zemstą rozgniewanych obywateli oczekujących pod oknami pałacu, żeby mordercę rozszarpać.

— Przedstaw się pani Walerii — powiedziałem.

— Derżykraj — powiedział mój szwagier, a gdy Waleria podała mu rękę, wycelował w nią swoje czarne okulary i nieco dłużej, niż wypada w takich razach, przyglądał się dziewczynie.

— To pan grał Szejka? — zapytała Waleria z zainteresowaniem.

— Szejk — to nieważne — surowo powiedział Derży-

kraj. — Ale jeżeli panią interesuje to... Nie przywiązujemy szczególnego znaczenia... Chcemy jednak powtórzyć za tydzień spektakl... Zapraszam panią...

— Dziękuję. Przyjdę — niespodziewanie oświadczyła Waleria.

— Bardzo dobrze — nareszcie odwrócił od niej Derżykraj swoje okulary uplasowane pod stromym czołem. — A teraz napijemy się koniaku.

— Nie zapomnij zawołać Zizi — przypomniałem mu, trochę poirytowany jego zachowaniem, a jeszcze bardziej głupią obietnicą Walerii.

— Co, chcesz rzeczywiście pójść na przedstawienie? — zapytałem ją, kiedy Derżykraj poszedł po swój wyborowy koniak.

— A dlaczego by nie?

— Przecież byłaś na spektaklu z docentem Kryżeniem.

— A teraz chcę być z kimś innym.

— Z kim, jeżeli wolno wiedzieć?

— Na przykład z Dmytrem Czeredą.

— Jeżeli tak, to spadł mi z serca cały kamieniołom. Zaczynam hołdować sztuce teatralnej.

— W ciągu tygodnia może przecież zajść wiele zmian — figlarnie spojrzała na mnie Waleria. — Tydzień to siedem dni. Mogę poznać siedmiu interesujących chłopaków, każdy z nich może mnie zaprosić albo na ten spektakl, albo na coś ciekawszego...

Chciałem jej oświadczyć zdecydowanie i kategorycznie, że drugiego takiego Dmytra Czeredy nie ma na świecie, ale powstrzymałem się w porę od tego oświadczenia, które wydałoby się Walerii śmieszne i nieuzasadnione, a poza tym Derżykraj dzięki swojej umiejętności dokładnego obliczania czasu przyszedł z koniakiem akurat wtedy, kiedy lada chwila mogła ze mnie wyskoczyć mieszana grupa drapieżników i mogłem się

dopuścić czynów, których następstw nikt nie zdołałby chyba przewidzieć.

Zizi przyniosła wszystko, co trzeba, bo ani mama, ani tym bardziej tato nie chcieli przeszkadzać młodzieży, więc usiedliśmy do stołu we czwórkę. Waleria przyglądała się ciekawie to Zizi, to Derżykrajowi, na mnie zaś chyba w ogóle nie patrzyła, za to ja nie mogłem od niej oderwać wzroku, a Derżykraj, nie pusząc się jak zwykle, współzawodniczył ze mną w tym patrzeniu, wciąż wycelowując w Walerię swoje okulary. Niespodziewanie rozgadał się na dobre, nikt z nas dotąd nie znał takiego gadatliwego Derżykraja. Widocznie podziałał na technokratę koniak, technokraci bowiem wstrzymują się od spożywania alkoholu, za co alkohol mści się na nich jak należy.

— Derżykraj — powiedziała Zizi — bardzo dzisiaj rozmiękłeś. Nie do twarzy ci z tym. Przecież wiesz, że tego nie lubię.

— Rozmiękłem — zwrócił się Derżykraj do Walerii — rzeczywiście rozmiękłem. Może dlatego, że nie pojechałem dziś swoim wozem. Wie pani, robię codziennie ze sto albo więcej kilometrów po szosie, w zależności od humoru. Daje to człowiekowi niezbędną energię. Mężczyzna musi być twardy, gdyż podejmuje decyzje. Co dzień, co godzina, co chwila. Nie należy się z tym spóźniać, decydować się trzeba w porę. Właśnie dlatego należy być twardym.

— Istnieje jeszcze prawo kompensacji — wtrąciłem — prawo to ratuje człowieka przed wszystkimi nieszczęściami. Jest bardzo ludzkie. Sam je odkryłem i sam stosuję...

— Ale dzisiaj rozmiękłem — nie słuchał mnie Derżykraj — dzisiaj, wyobraźcie sobie, odczuwam poetyckie ciągoty. Może to ten deszcz... Może coś jeszcze... Nie wiem. Gdy kochasz, jechać gdzieś trzeba, żonę porzuć,

dziecko, druha, kochankę porzuć, miłość nawet, gdy kochasz, jechać gdzieś trzeba.

— Wie pan, nie lubię wierszy — roześmiała się Waleria. — A pani, Zizi?

— Zizi kocha Derżykraja, a Derżykraj Zizi — powiedziałem. — Ale żeby Derżykraj recytował wiersze — nie, czegoś podobnego nikt z nas nie słyszał. Pewnie ułożył mu je komputer.

— Dobra — otrząsnął się ze swego nastroju Derżykraj — dajmy spokój poezji. Proponuję niewielką przejażdżkę! Maksimum wrażeń, przestrzeganie wszystkich praw drogowych i gwarancja bezpieczeństwa!

— No cóż! — zawołała Waleria. — Nie mam nic przeciwko temu.

— Derżykraj, jesteś pijany — przypomniała Zizi, ale powiedziała to chwiejnie, widocznie gotowa była zgodzić się nawet na wariacką jazdę samochodem, byle tylko wyrwać Derżykraja z niezwykłego u niego stanu uczuciowego. Ale skąd wiedziała, że w samochodzie także nie będzie recytować wierszy? Zapomni o drodze i niebezpieczeństwie i będzie deklamować słowa, które złożył w wiersze komputer i które na przykład na mnie w ogóle nie działają, ale nie wiadomo jeszcze, jak podziałają na taką samowolną dziewczynę jak Waleria albo nawet Zizi.

— Moim zdaniem jest jedno wyjście — powiedziałem. — Powinnaś, Zizi, ukraść Derżykrajowi kluczyki od wozu. Im prędzej to zrobisz, tym lepiej. Zastosuj prawo uprzedniego pokonania okoliczności.

— Mowy nie ma — Derżykraj wyjął z kieszeni kółko z kluczami i pokręcił mi nimi przed oczami — skoro postanowiliśmy jechać, nikt nie może nam w tym przeszkodzić. Jedziemy wszyscy. Rzekłem. Kto się sprzeciwia? Uprzedzam, najmniejszy sprzeciw uważany

będzie za tchórzostwo. Nikt się nie sprzeciwia? Jedźmy!

I pojechaliśmy. Nic głupszego w moim życiu nie było. Nawet kiedy wyleciałem z wieży czołgu, u podstaw tego faktu leżały mimo wszystko jakieś szlachetne motywy: chciałem wszystkim dowieść, że gotów jestem bronić ojczyzny w takich czy innych okolicznościach. Nie dowiodłem tego tam, więc zrehabilitowałem się w zakładach, ale zamiary miałem zawsze czyste i uczciwe. Ale żeby tak pędzić nocą i w deszcz po szosie, postawić na loterię własne życie? Można wygrać pięć tysięcy, ale można nic nie wygrać. Pożyczka trzyprocentowa. Mimo wszystko trzy procent szansy. A tutaj nie było nawet trzech setnych procent. Szalona jazda bez celu i końca, dziki huk silnika, świst i szum wiatru. Rozhulawszy się wóz pozostawiał za sobą drzewa, słupy, jadące w przeciwnym kierunku samochody, mokre pola, osady, ludzi, chmury, ciemność, gwiazdy, deszcz i żywioł, miasta, może nawet państwa, lądy, nie był to już wóz, lecz jakby cały świat, który dokądś leci, pędzi, rwie się i szaleje od zawrotnego ruchu.

— Jeżeli przyjmiemy daleko idącą konwencję — krzyknął w ciemności Derżykraj — to modelujemy w tym pędzie całą ludzkość!

Zdawało się, że chyba udało mu się już postawić wóz na samych tylko tylnych kołach, że lada chwila wzbijemy się w powietrze i polecimy w kosmos, w nieznane. Jeżeli miał to być model świata, chętnie bym zawołał:

— Zatrzymajcie ten świat, chcę wysiąść!

Nie był to głos strachu, nie ostrożność protestowała przeciwko temu szaleństwu — odezwał się zdrowy rozsądek, któremu ufałem dotąd i chciałem nadal nie ulegając atakom szaleństwa jak Derżykraj. Dziwiło mnie, dlaczego milczą nasze babki. Zizi siedziała z przodu, obok Derżykraja, to znaczy wiedziałem, że tam siedzi.

Bo czyż była to Zizi? To spokorniałe, podporządkowane woli Derżykraja stworzenie ma być moją wiercącą się jak fryga, nieposłuszną siostrunią? Niemożliwe!

A Waleria? Siedziała koło mnie, spodziewałem się, że przelęknie się i przytuli do mego ramienia szukając osłony i pomocy (do wszystkich diabłów, jestem przecież mężczyzną!), będzie wydawać okrzyki w ciemnościach, chwytać mnie za rękę, krzyczeć, żeby zatrzymać wóz, bo nie chce więcej jechać. Nic podobnego! Siedziała pochylona na oparciu, mógłbym przysiąc, że przymknęła oczy, ale nie ze strachu, lecz z rozkoszy, zdawało mi się, że widzę na jej ustach uśmiech, który wywołała również rozkosz, upojenie szybkością, niesamowitym pędem wśród mokrych pól, pod ciemnymi chmurami i dalekimi gwiazdami.

By zamanifestować protest przeciwko tej bezsensownej szybkości, z którą gdzieś pędziliśmy, moja dłoń rozpoczęła ostrożną i powolną wędrówkę w poszukiwaniu dłoni mojej sąsiadki. Przesunąłem palcami po części siedzenia między mną a Walerią i nie znalazłszy jej dłoni skierowałem rękę w nieokreśloną ciemność, by długo i wytrwale przesuwać ją tam, gdzie wyczuwałem dłoń Walerii. Byłem w tych poszukiwaniach taki nieśmiały, że chyba nie dopiąłbym celu, gdyby wozu nie zarzuciło na jednym z licznych zakrętów tak, żeśmy zetknęli się oboje. Nasze dłonie spotkały się same dzięki siłom zewnętrznym, właściwie mogłem się teraz nie zdradzać ze swoim życzeniem, ale nie skorzystać ze sposobności byłoby grzechem, więc mocno chwyciłem Walerię za rękę i ścisnąłem, a dziewczyna odpowiedziała mi uściskiem porozumienia czy też wzajemności lub zwyczajnej solidarności, jaka musiała się wytworzyć między członkami załogi tego diabelskiego wozu, który gwałtem unosił nie tylko nasze ciała, lecz również dusze.

Gdybym był z natury bardziej uczuciowy, pewnie pocałowałbym Walerię w rękę, ale podświadomy lęk powstrzymał mnie od tego kroku, którego następstwa trudno było przewidzieć. Poza tym wozem ciskało co chwila w różne strony z taką siłą, że nie wiadomo, czy udałoby mi się pocałować Walerię w rękę.

Byłem zresztą zadowolony z samego uścisku dłoni, warto było dla tego uścisku pędzić tak sto kilometrów wśród ciemności i deszczu i zaryzykować nawet podjęcie śmiertelnej rozgrywki z losem, z przypadkiem, z nieznanym. Lekko ścisnąłem jej palce — oto cała odpowiedź. Najwspanialszy szyfr w stosunkach międzyludzkich.

Nie należy nigdy święcić triumfu przedwcześnie. Lepiej pochlipywać, udawać nieszczęsną ofiarę, rozmazywać na twarzy łzy i brud, niż unieść się na jedną jedyną chwilę w różowym obłoku wyimaginowanego szczęścia, a potem potłuc się mocno padając na twardą ziemię rozczarowania.

Ów uścisk dłoni w ciemności nic nie znaczył. Kiedy zawieźliśmy bowiem Walerię przed dom zgodnie z adresem, jaki podała Derżykrajowi, i chciałem ją odprowadzić, dziewczyna bez ceremonii pchnęła na mnie drzwiczki wozu i powiedziała raczej twardo:

— Dojdę sama. Dziękuję za przejażdżkę!

Doświadczenie z Klementyną już mnie nauczyło, jak dziewczyny mylą adresy, pomyliła się tu również Waleria, jeżeli chodzi o mnie, innymi słowy — z czym do gościa. Mimo wszystko wysiadłem z wozu, przytrzymałem Walerię za rękę i zapytałem usiłując poskromić w sobie mieszaną grupę drapieżników, wyrywającą się na wolność z siłą stu lwów:

— Gdzie panią znajdę?

— A po co?

— No, bodaj po to, żeby odprowadzić panią do Pałacu Kultury na jeszcze jedną premierę.

— Może pan tam przyjść w niedzielę. A prowadzić mnie nie trzeba. Nie jestem ślepa.

— Umówiliśmy się — powiedziałem. — Stosujmy we wszystkim zasadę dobrowolności. W ten sposób włączymy się do szeregów ludzi dobrej woli. Pokój i przyjaźń! Dobranoc.

Nie zdążyła mi odpowiedzieć, bo wskoczyłem do wozu, a Derżykraj ruszył od razu zrywem. Przecież musieliśmy się jeszcze przespać, żeby być z rana na hali, gdzie kończyły się wszystkie rozrywki, szaleństwa i namiętności i panowało tylko jedno — wielka czy, jak powiedziałby Derżykraj, piękna praca.

Wbity w garnitur, który w swoim czasie skonstruował dla mnie Ir Leonowicz, spacerowałem przed Pałacem Kultury trzymając w każdej ręce bilet i myślałem, jakie pożyteczne byłyby uchwały regulujące nie tylko życie gospodarcze i polityczne, lecz również zagadnienia miłości. Taki obywatel jak Myt'ko Czereda nie wystawałby wtedy na pośmiewisko, nie podskakiwałby tu na schodach i nie wymyślał olśniewających bujd, żeby usprawiedliwić swoje wystawanie przed bramą, tylko poczekałby na odpowiednią uchwałę, w której byłoby napisane, że odtąd Waleria powinna kochać Dmytra, młodego człowieka w wieku najintensywniejszego rozwoju mięśni i strun głosowych, i że niniejsze postanowienie nie podlega żadnym zastrzeżeniom i apelacjom.

Ale zobowiązać taką uchwałą Walerię to chyba to samo, co zatrzymać Ziemię w jej biegu. Nie sposób przewidzieć, jakie katastrofalne następstwa miałaby ta uchwała. Podobnie jak nie potrafię przewidzieć, co mi gotuje ta kapryśna dziewczyna, jakiego doczekam

się wybryku z jej strony, jeżeli w ogóle jej się tu doczekam.

Okazało się, że mam strasznie dużo znajomych, do niemożliwości dużo. Każdy poczuwał się w obowiązku przystanąć i zapytać, dlaczego tu stoję i na kogo czekam, słowem, usiłował ograniczyć moją wolność osobistą. Sił mi brakło, żeby protestować, uśmiechałem się więc uprzejmie i powściągliwie i bujałem w natchnieniu, że niby to czekam na całą rodzinę i może nawet na naszego sławnego zięcia Wiolonczelistę, przyjechał bowiem, by obejrzeć spektakl Derżykraja i jednocześnie zawrzeć z naszą hutą umowę o twórczych kontaktach: ze względu na swoje znaczenie dla państwa Wiolonczelista dorównuje całej hucie, nie ma więc nic śmiesznego w umowie między nim, pojedynczą osobą, a naszymi zakładami, czyli wielotysięczną robotniczą załogą. Manifestując swoje radosne podniecenie mruczałem słowa z pieśni młodzieży robotniczej: „Niebo nad nami promienne, rozkwita Ojczyzna ma". Niestety, nie pamiętam, czyje to słowa i nie pamiętam również kompozytora, ale mam nadzieję, że obaj twórcy się na mnie nie obrażą. Czekałem przecież na Walerię, a kiedy czeka człek na taką dziewczynę, traci zupełnie pamięć i mózg wypełniają mu całe pokłady wapienia, ma już nie głowę, tylko kopalnię kamieni wapiennych.

Co to jest tydzień? Czas trwający dość długo, żeby zmieniło się kilka rządów w Ameryce Południowej, żeby rakieta poleciała na Księżyc i z powrotem, żeby jedna tylko brygada wyprodukowała na walcarce 30—102 osiemnaście tysięcy ton rur o dużej średnicy dla gazociągów; co prawda, czytelnicy nic nie wiedzą o naszej walcarce 30—102, ja zaś nie mam, niestety, czasu opowiedzieć o niej, gdyż czekam na Walerię.

Dokładnie tydzień temu powiedziała, żebym przyszedł, jeżeli chcę, do Pałacu Kultury, gdzie będę się

mógł z nią zobaczyć. Obiecała jeszcze Derżykrajowi, że przyjdzie na spektakl. Może przyjdzie, a może nie. Bo spektakl już widziała, mnie widziała również i nie wiadomo, czy tak się do tego pali, by zobaczyć mnie raz jeszcze. Chyba nie miałaby tu wpływu żadna uchwała. Wchodziła w grę tylko przymusowa dobrowolność jak w moim przypadku, ale kto wie, czy Waleria ma bodaj najmniejszy zamiar podporządkować się przymusowej dobrowolności. Wątpliwości — to rozpacz myśli. Rozpacz — to zwątpienie w siebie. Nie ja to powiedziałem.

Jak śpiewa jednak młodzież robotnicza, niebo nad nami jaśnieje...

Waleria przyszła i się nie spóźniła, nie wystawiała mojej cierpliwości na próbę, tak mi się tylko wydało, że stoję na schodach przed wejściem do Pałacu Kultury jeżeli nie całą wieczność, to co najmniej cały tydzień, w ciągu którego nie widziałem Walerii.

Zobaczyła mnie już z daleka, gdyż trudno nie zauważyć takiego dryblasa w dodatku jeszcze w genialnym garniturze Ira Leonowicza.

— Hej! — zawołała i pomachała niebieskim papierkiem, który wyjęła z torebki. — Mam już bilet. A pan?

— Nawet dwa — oświadczyłem z taką co najmniej radością, jakbym wykonał dzienną normę walcowania rur — całe dwa... Dzień dobry, Walerio... Już się nie spodziewałem, że pani przyjdzie...

— Dlaczego miałabym nie przyjść!... Obiecałam Derżykrajowi, że obejrzę spektakl...

— Zdaje się, że obiecała pani jeszcze komuś...

— Obiecałam?... Nie przypominam sobie... A komu? Może panu?... Rzeczywiście panu, Dmytro?

— W przeciwnym razie nie wystawałbym tutaj z dwoma biletami w rękach. W każdej ręce po bilecie...

— Ależ mam własny. Przysłał mi go Derżykraj...

— Przysłał? A dokąd go pani przysłał?

— Dokąd? Do instytutu. Na katedrę.

— Przysłał czy sam przywiózł?

— Nie wiem, nie zapytałam. Oddano mi bilet.

— Mniejsza o to. Można oprawić ten bilet w ramkę i powiesić nad łóżkiem. A pójdziemy na spektakl z moimi biletami. Co pani na to?

— Ależ mam przecież bilet...

— Upór taki nazwałbym pięknym — powiedziałem z lekka zgrzytnąwszy zębami. — Czy pozwoli pani, że zrzucę marynarkę?

— Chce pan mnie bić?

— Nie, przekonać... Muszę pomagać sobie rękoma, a ta przeklęta marynarka nie pozwala na to... Muszę ją zdjąć... A kiedy już zacznę wymachiwać rękoma, wtedy...

— Prawie mnie pan przekonał. Ma pan jedyny w swoim rodzaju sposób. Jestem zachwycona. Ale Derżykraj przysłał mi bilet, więc popatrzy na to miejsce, a mnie tam nie będzie...

— Jest dobrze wychowany, nie popatrzy na to miejsce. Będzie uważał, że siedzi tam pani i tyle. Pani zaś będzie siedziała na innym miejscu. Suma się nie zmienia, gdy zmienimy porządek składników.

— Więc uważa mnie pan za składnik?... A o czym będziemy rozmawiali przez cały wieczór siedząc obok siebie?

— O czym? O piskorzach, o sandaczach, o...

Waleria roześmiała się.

— Jestem chemikiem, nie interesuję się biologią.

— Ale jest pani płetwonurkiem. A co pani wiadomo o piskorzach? Piskorz krzyczy jak kwoka. A sandacz sapie jak stary parowóz. Przez cały tydzień czytałem popularne broszury o życiu pod wodą. Żeby z panią rozmawiać na odpowiednim poziomie. Wykazałem ten poziom?

— Wykazał pan. Jest pan chyba mimo wszystko wesołym chłopakiem, Dmytro!

— A dlaczego miałbym nie być wesoły? Zapewniam panią, śmiech zawsze mi towarzyszy... A śmiech...

— Wie pan co? — z błyskiem ożywienia w oczach spojrzała na mnie Waleria. — Niech pan weźmie ten bilet i... odda go Derżykrajowi. Dobra?

— A nic na nim nie jest napisane? Żadnych tajnych znaków? Poza tym niech pani weźmie pod uwagę, że odkryłem i sam je stosuję. Prawo kompensacji. Prawo to nakazuje natychmiastowe wynagrodzenie mnie za wszystko: za tydzień niepokoju, za bilet Derżykraja, za to, że najadłem się strachu, kiedy pani tak uparcie odmawiała wejścia razem ze mną na salę...

— Ale teraz idziemy razem, pańskie prawo zaczyna działać — roześmiała się Waleria.

— Aby kompensacja była całkowita, powinna pani pozwolić, żebym wziął panią pod rękę — powiedziałem cicho. — Z tym że nie ograniczy to pani suwerenności. Miałem przyjaciela Eugeniusza, który zamierzał zostać dyplomatą i nauczył mnie liczyć się z prawami umawiającej się strony, liczyć się i szanować je.

— Powiedzmy, że otrzymał pan pozwolenie — filuternie spojrzała na mnie Waleria i przekonałem się, że jej oczy są tak samo szare jak tamte moje, o których marzyłem przez wszystkie te lata, są nawet błękitnoszare.

Szliśmy na swoje miejsca i już nie obawiałem się teraz niczyich spojrzeń i uśmiechów, gdyż nie tylko dreptałem obok dziewczyny, ale prowadziłem ją pod rękę. I to jeszcze jaką dziewczynę!

Czy wiecie, jakie głosy wydaje bieługa pochłaniająca swoją zdobycz? Nigdy się nie domyślicie! Jest to mieszanina odgłosów dużej walcowni i śpiewu słowików! Rozśpiewały się we mnie wszystkie słowiki Ukraińskiej

Republiki Radzieckiej. Były to bardzo postępowe słowiki, odznaczające się dojrzałością ideową i wykazujące wysoki poziom wychowania estetycznego. Chętnie bym także śpiewał, ale pamiętałem głęboką prawdę, którą sformułował docent Kryżeń dowodząc, że ludzie radzieccy śpiewają nie tyle podczas odpoczynku, ile podczas pracy. „Pieśń nam i w pracy, i w życiu pomaga"...

Śpiewałem nie tylko ja. Krywcun też nie zasypywał gruszek w popiele, skorzystał z faktu, że byłem nieobecny duchem, i w ciągu tego tygodnia zdążył przeprowadzić odpowiednią pracę agitacyjną, która wydała od razu owoce. Krywcun rozsiadł się w jednym z pierwszych rzędów, a obok niego siedziała... Klementyna. Pewnie że taka muzykalna dziewczyna musiała usłyszeć naddźwiękowe sygnały, jakie emitowała w przestrzeń osobowość Dmytra Czeredy. Niebywale długa szyja pozwalała Klementynie z łatwością zwracać głowę w dowolną stronę, więc także w tę, z której przybliżałem się ze swoją Walerią. Duże oczy Klementyny uderzyły o moje i, zda się, trysnęły z nich łzy wyrzutu, łzy wyimaginowane, głęboko ukryte, których domyśleć się mogłem tylko ja; znając zmienność tej zagadkowej dziewczyny, może bym pomyślał o pomylonym adresie, gdybym mógł w tej chwili myśleć. Na szczęście byłem pozbawiony tej przyjemnej zdolności ludzkiej, póki trzymałem się ramienia Walerii niby ślepy diabeł pijanego płotu, jakby to sprecyzował w danej sytuacji komputer Derżykraja.

Ten sam dzwonek Knysza, który przeklinałem poprzednim razem, kiedy mnie oderwał od Walerii, zapędzając nas po przerwie do sali, teraz zabrzmiał dla mnie jak sygnał wzywający od przejścia z królestwa konieczności do królestwa wolności. Na sali zgasło światło, nikt nie widział mnie i Walerii: ani Klementyna, ani docent Kryżeń, jeżeli strzeliło mu nagle do głowy

przyjść na spektakl. Mogłem rozpocząć wielką i powolną wędrówkę w poszukiwaniu dłoni Walerii, żeby ująć ją tak, jak wówczas w samochodzie, ale tym razem już nie pod presją sił zewnętrznych, lecz pod dobrowolnym przymusem, spodziewając się takiej samej dobrowolności po drugiej umawiającej się stronie. Rozbrzmiewały ze sceny pełne głębi filozoficznej słowa, zdaje się o tym, że zaufanie można zastąpić podarunkami, że małe podarunki nie podtrzymują również małej przyjaźni, że to, co wieczne, trzeba niekiedy narzucać człowiekowi gwałtem, że gniew głupca znajduje ujście w słowach, a gniew mądrego — w czynach i że dobro możliwe jest tylko wtedy, kiedy istnieje zło i obojętność. Byłem przeciwnikiem zła i obojętności, byłem samym dobrem, gdyż trzymałem w dłoni dłoń Walerii, co przenosiło mnie w najpiękniejszy ze światów, jakie kiedykolwiek istniały!

Docent Kryżeń powiedział na jednym z wykładów: „Im cięższa jest presja rzeczywistości, tym trudniej się od niej uwolnić z pomocą estetycznej apercepcji rzeczywistości". Czułem się wyzwolony nawet bez pomocy estetycznej apercepcji rzeczywistości, czyli spektaklu Derżykraja, bowiem nic mnie obecnie nie uciskało, przeszedłem z królestwa konieczności do królestwa wolności.

Skończył się jednak pierwszy akt spektaklu, na sali zapaliło się światło, Waleria wyrwała rękę z mojej dłoni, rzeczywistość przypomniała o sobie, a zrobiła to przede wszystkim z pomocą Krywcuna, który ciągnąc za sobą Klementynę podszedł do nas i manifestując swoją krzepę i nachalność od razu przyczepił się do mnie:

— Żyj sam i pozwól żyć innym zwierzchnikom, jak powiedział pewien zwierzchnik. Przedstaw mnie swojej dziewczynie!

Waleria sama podała mu rękę:

— Waleria mi na imię.

— Krywcun jestem... A to — Klementyna.

Krywcun obdarzył Walerię od razu serią stu osiemnastu uśmiechów, w których był nieprześcignionym mistrzem, jak wiadomo bowiem, im większy nicwart, tym wdzięczniej się uśmiecha, wszystkie swoje zdolności traci na te uśmiechy. Dziewczęta nie umieją jednak nigdy zorientować się od razu, gdzie nicwart, a gdzie człowiek porządny, nie potrafią się oprzeć hipnozie uśmiechów różnego kalibru i nawet się nie spostrzegłem, a już Waleria stała koło Krywcuna, chyba zapomniawszy o mnie na amen i oczekiwała od tego zera jakiejś niemal mądrości. No, Krywcun nie byłby sobą, gdyby nie skorzystał z okazji: przetrząsnął w głowie wszystkie swoje prawa, poprzebierał je, przetasował i czym prędzej odnalazł prawo do zaproszenia gdzieś dopiero co poznanej dziewczyny, a że nie mógł wymyślić nic mądrego, bąknął nie zastanawiając się długo:

— Mam pojutrze dyżur w ormowskim patrolu. Niech pani przyjdzie popatrzeć.

— No cóż! — strzeliła w jego stronę oczami Waleria. — Może to będzie ciekawe. Jest pan zapewne odważny i wielkoduszny!

— Że aż strach! — wypiął pierś Krywcun.

— Wiesz co, kochasiu — powiedziałem do Krywcuna mile — bierz Klementynę i zaprowadź ją za kulisy. Musi udzielić kilku cennych rad towarzyszowi Knyszowi. Bo zapomniałeś o Klementynie i chcesz sobie zapewnić publiczność na ormowskim dyżurze sprawowanym wśród mas pracujących.

— Mam przecież pra-wo! — oświadczył Krywcun we właściwy sobie sposób, którego Waleria nie znała, więc mógł się jej wydać oryginalny.

— Zgoda. Pójdę z tobą na dyżur. A teraz bądź zdrów.

Nie każ Klementynie czekać. Klementyno, rzeknij mu, dziecinko, słowo, które uczyni go pokornym i pozbawi praw.

Wysilałem dopiero mózgownicę, jak by tu powiedzieć Walerii, iż bardzo się dziwię, że taka jest niewybredna, a ona już mnie uprzedziła i powiedziała nawet z urazą w głosie:

— Dlaczego go pan przepędził? Przecież to fajny chłopak!

— Krywcun jest fajnym chłopakiem? Walerio!

— I przystojnym! — powtórzyła z uporem. — Musi pan przyznać, że jest rzeczywiście przystojny. Tacy chłopcy podobają się wszystkim dziewczętom.

— Wszystkim i zawsze? Właśnie to chciała pani powiedzieć? No, mnie się Krywcun nie podoba. Wie pani, co mówił ten profesor, którego słowa o uścisku rąk przytoczyłem pani, kiedyśmy się poznali? Powiedziałem, że „piękno człowieka to nie tylko kształt, barwa, proporcje, ale również świat duchowy człowieka".

— Niech mi pan nie zawraca głowy jakimś profesorem — wzruszyła ramionami Waleria — zawsze robię to, na co mam ochotę i nie słucham wymyślonych profesorów.

— No, ten nie jest wymyślony. Co prawda, to nie profesor, tylko docent. Docent Kryżeń. Zdaje się, że zna go pani? Jest autorem szeregu historycznych wypowiedzi. Na przykład o lodach: „Łykając lody, zjadając ten wytwór społeczny troskliwie przyrządzony przez pracowników żywienia zbiorowego, ludzi uspołecznionych, kształtujemy tym samym piękno własnego ja".

Waleria przyglądała mi się nieco lękliwie. Czy rzeczywiście pamiętam wszystkie wypowiedzi docenta Kryżenia? I czy rzeczywiście były takie bezsensowne, a ona nie zauważyła tego i nawet pokazywała się publicznie

z docentem narażając się, że będzie przedmiotem drwin podobnie jak Kryżeń? Dziewczęta nigdy się wszakże nie poddają i nie przyznają do swoich błędów, czyli nie są samokrytyczne.

— Posłuchaj pan, Dmytro — powiedziała Waleria udając rozgniewaną — proszę pana...

Udało mi się jednak doprowadzić tymczasem swoją głowę do porządku i teraz już by mnie nie zbił z pantałyku nawet mistrz świata w boksie.

— Droga Walerio, gdyby Krywcun zaproponował pani wdrapać się z nim razem na wieżę telewizyjną, drapałaby się pani?

— Bardzo możliwe.

— Bo co, jest pani najlepszą na świecie dziewczyną?

— Bardzo możliwe. Z całą pewnością stwierdzić nie mogę, bo nie było jeszcze konkursu dobroci.

Rozpiąłem marynarkę. Mimo wszystko człowiek musi niekiedy pomachać rękoma. Inaczej nie sposób się uspokoić.

— Cały tydzień zajmowałem się samokształceniem w zakresie morza — powiedziałem, ostrożnie prowadząc Walerię do foyer. — Czytałem nawet o przestępstwach na morzu. Kodeks karny wymienia ich dwieście pięćdziesiąt. Między innymi „nieopatrzne uszkodzenie morskiego kabla telegraficznego". Uświadomiłem sobie, że od dziecka marzyłem o uszkodzeniu morskiego kabla telegraficznego.

Waleria wzięła mnie pod rękę.

— Szczęście, że do morza jest daleko i nie trafia się panu gdzieś na drodze morski kabel telegraficzny. W ogóle wykazuje pan niejaką skłonność do zbyt gwałtownych reakcji. Może nie będziemy oglądali przedstawienia do końca? Jakoś nie mam chęci oglądać tę samą sztukę po raz drugi. A pan?

— Wstrzymuję się od wypowiedzi o spektaklu, bo

łączą mnie z wykonawcami więzy rodzinne. Za to gorąco pochwalam pani propozycję. Możemy pójść...

— Dokąd możemy pójść?

— Na przykład do sztabu ormowców, gdzie poprosimy o opaskę i będziemy pełnili dyżur, jeżeli ma pani chęć...

— Odłóżmy to na kiedy indziej. Chodźmy lepiej do kawiarni „Wierzba"... zjemy tam lody!

— Chodźmy, zjedzmy lody!

— Jest pan także dobry, Mytiu.

— Chciałbym zobaczyć tego chłopca, który by nie zrobił się dobry przy takiej dziewczynie jak pani, Walerio.

Poszliśmy do „Wierzby"; nikt naszego odejścia nie zauważył, bo lepsza część ludzkości nadal oglądała spektakl Derżykraja i Knysza, zjedliśmy lody i wtedy Waleria zapragnęła pójść do domu, ja zaś zapragnąłem ją odprowadzić. Pozwolenia na to udzieliła mi tylko częściowo, innymi słowy, miałem ją odprowadzić pod dom i od razu zawrócić nie interesując się i nie usiłując się dowiedzieć, jaki jest numer jej mieszkania. Cała ta konspiracja wydawała mi się nieco naiwna i śmieszna, był w tym chyba jakiś dziewczęcy zabobon, który wykpiłbym jak należy, gdyby nie chodziło o Walerię, ale w stosunku do niej sądzona mi była pokora i absolutne poszanowanie praw ludu pracującego.

Zdobyłem się tylko na odwagę, żeby zapytać?

— A kiedy się spotkamy?

— No, kiedyś...

— Jak panią znajdę?

— A po co ma mnie pan szukać? Sama pana znajdę, kiedy zechcę...

I wtedy właśnie, moja najpiękniejsza i najdroższa, zacząłem czekać dnia, kiedy zdecydujesz się wreszcie mnie poszukać, znajdziesz i...

Co wam wiadomo o Samotlorze? Jest to jezioro w tiumieńskiej tajdze. W ciągu roku dostarczyło miliona ton ropy naftowej! Wprost nie sposób to sobie wyobrazić. Ale Samotlor to nie jest jezioro, nazywają się tak również bagna ciągnące się wokół jeziora dziesiątkami kilometrów. Przez bagna te ludzie mogli się przeprawiać tylko zimą. Ale nawet zamarznięte trzęsawisko nie wytrzymywało ciągników, które tonęły w bezdennych bagnach; wymacawszy taki ciągnik w czarnej głębinie ludzie stawiali znak, żeby później ewentualnie go wyciągnąć, po czym szli dalej. Budowali tu drogę zimą, a gdy nastąpiło lato, droga zatonęła. Zaczęli więc budować trasę od Obu do Samotloru. Pięćdziesiąt dwa kilometry budowali półtora roku. Nie było tam żadnej kobiety, bo nawet nie wszyscy mężczyźni mogli znieść tamtejsze warunki. Widzisz, jak to bywa, moja najpiękniejsza, najdroższa: A ty budzisz we mnie niepokój zwracając na mnie swoje marząco szare oczy czy raczej nie zwracając na mnie swych oczu!

Waleria nie mogła nic wiedzieć o moim doświadczeniu z Klementyną. A zdobyte już doświadczenie nie ginie podobnie jak energia. Pewnie, wypadało trochę zaczekać w nadziei, że Waleria da jakiś znak życia, ale przekonałem się niebawem, że żadnego znaku nie będzie. Słowem, nic tu nie pomoże — ni Bóg na niebie, ni car na ziemi.

Wytropić Klementynę, przydybać ją przy skrzynce pocztowej było prawie niemożliwością, ale wytropiłem ją. Co do Walerii wpadłem na pomysł najprostszy. Poszedłem do instytutu, szukałem jej tam bez powodzenia, więc skierowałem się do znajomego mi domu i stanąwszy sobie z boku czekałem. Straciłem w ten sposób dwa wieczory, Walerii nie zobaczyłem i zacząłem się już trochę niepokoić, czy nie pojechała nad morze z jakimiś płetwonurkami, ale trzeciego wieczoru zdo-

łałem ustalić pewną prawidłowość. Widziałem, że do budynku, w którym ponoć mieszkała Waleria, co wieczór wchodzi dużo chłopaków. Szli, jakby się wszyscy umówili, niemal o tej samej porze, przed wejściem do domu każdy doprowadzał się do porządku poprawiając krawat i przygładzając włosy, widać było od razu, że śpieszy na imieniny, na randkę czy po prostu z wizytą, ale w każdym razie nie do własnego domu, bo któż by poprawiał w takim wypadku krawat? Może niewierni mężowie? Chłopcy ci wyglądali jednak na młodych i nieżonatych, więc nie mogło być tu mowy o małżeńskiej niewierności.

Przyczepić się do któregoś z nich, poprosić o papierosa lub ogień, a potem zapytać: „Dokąd idziesz?", wydawało się sposobem najprostszym, ale jednocześnie najgłupszym. Postanowiłem podobnie jak Krywcun, uosobienie krzepy i nachalstwa. Upatrzyłem sobie jednego z chłopaków, dość niepokaźnego rudzielca w okularach, dopędziłem go w pobliżu bramy, szedłem chwilę obok niego i już na schodach zapytałem od niechcenia:

— Też do Walerii?

— Mhm — mruknął chłopak. — Ty również?

Otworzyła nam Waleria. Smukła jak chłopak, o długiej szyi, w jakichś egzotycznych spodniach, żółtych z wężowymi cętkami, w bluzce bez rękawów z dosyć śmiałym dekoltem — nigdy nie przypuszczałem, że Waleria może tak wyglądać!

— Ach, to pan! — nie zdziwiła się wcale, kiedy ujrzała za rudzielcem moją siatkarską sylwetkę. — Pomogło panu biuro adresowe?

— Nie, doświadczenie — powiedziałem wesoło domyśliwszy się, że wypędzenia z raju na razie nie będzie, w najgorszym wypadku nastąpi w terminie bliżej nieokreślonym. — Bardzo się cieszę, kiedy uda mi się kogoś zadziwić. Postanowiłem zadziwić także panią.

Mógłbym po prostu zapytać i dowiedzieć się, ale... przez delikatność... Zawsze mi szkodziła zbytnia delikatność...

— Więc jest pan nawet delikatny? Nie wiedziałam, że śledzenie i podglądanie nazywa się delikatnością. Wiem za to teraz, jak pana przedstawić znajomym. Panowie pozwolą — człowiek delikatny. Prawie major Pronin.

Powiedziała to wprowadzając mnie do niewielkiego pokoiku, który był wprost nabity młodymi ludźmi. Przypomniały mi się owe zawody amerykańskich studentów, którzy celem pobicia rekordu pakowali się gromadą do budki telefonicznej lub małego samochodu. W niewielkim, liczącym ze dwanaście metrów pokoiku w dwupokojowym mieszkaniu o niewielkim metrażu było tylu brunetów, blondynów, rudych i nieokreślonych (chyba byli tam nawet ostrzyżeni, może z drużyny Derżykraja), że zaczęło mi się dwoić i troić w oczach. Żaden z projektantów nigdy by nie przewidział, że na takiej małej powierzchni mieszkalnej może się pomieścić od razu tylu obywateli; ba, nie tylko się mieścili, bo stali przecież nie jak pasażerowie w autobusie czy tramwaju, lecz swobodnie, w pozach niewymuszonych, nieco leniwych i niedbałych, manifestując całkowitą niezależność: jakiś brodaty niczym Thor Heyerdahl przewijał taśmy magnetofonowe, drugi pochylił się nad magnetofonem i chyba nawet nie słuchał, lecz wprost wchłaniał rytmiczne drgawki, trzeci o oczach bizantyjskiego męczennika kręcił gałką radia tranzystorowego, czwarty i piąty, obaj brodacze jak ów doktor Barnard, co pierwszy przeszczepił człowiekowi serce, przeglądali pisma ilustrowane, jeszcze dwóch czy trzech kręciło się po prostu po pokoju, zręcznie przestępując przez nogi i ciała swoich współbraci, jeszcze dwóch czy trzech piło herbatę czy może kawę, a jeden po prostu siedział

i gapił się na ścianę. Słowem, widziałem tam ludzi, nogi, głowy i ręce, ktoś coś robił, ktoś się ruszał, ktoś chodził, ale wszyscy milczeli, odzywały się tylko swoimi mechanicznymi głosami magnetofon i radio i głucho mamrotałem ja sam wymieniając swoje imię, ściskając jedną dłoń po drugiej i nie słysząc ani słowa odpowiedzi. Każdy wysłuchiwał obojętnie, że nazywam się Dmytro, i apatycznie ściskał moją rękę; wszyscy robili to w milczeniu, z jakąś beznadziejną rezygnacją.

A Waleria wierciła się między nimi i prowadziła mnie przez labirynt milczków, którzy przypominali mi tamtych, co wraz z Eugeniuszem otaczali w swoim czasie Alę niedaleko poczty. Waleria czuła się świetnie w kręgu tej niemej adoracji; brakło tu zresztą docenta Kryżenia i może Krywcuna, wreszcie ze stu innych jej znajomych. Gdyby przyszła tu także ta reszta, dziewczyna wcale by się chyba nie zmieszała i nie rozgniewała, byłaby bardzo zadowolona ze swojej popularności.

Nigdy bym nie pomyślał, że może istnieć na świecie taka osóbka, ładna, mądra, niezwykła i jednocześnie o takim chimerycznym usposobieniu, niemal zwariowana!

— Tak — oświadczyła Waleria, kiedy skończyła się uciążliwa ceremonia przedstawiania mnie milczkom — teraz, Mytiu, musisz się przedstawić mojej ciotce!

Otworzyła drzwi do drugiego pokoju w amfiladzie. Tego rodzaju mieszkania zaprojektowane są tak, że biją wszystkie znane standardy światowe; dzięki połączeniu obu pokoików w pierwszym nie zaznasz chwili spokoju, gdyż przechodzą przez niego wszyscy inni członkowie rodziny, a w drugim będziesz się czuł jak dobrowolny więzień, kiedy w pierwszym zbierze się nawet nie takie mnóstwo gości jak u Walerii.

Idąc za Walerią przestąpiłem próg drugiego pokoju, już pełen współczucia dla nieszczęsnej ciotki, która

zmuszona jest siedzieć tu cichutko niemal co wieczór, ale od razu zapomniałem o współczuciu, kiedy ujrzałem tę samą kobietę, która towarzyszyła wtedy Walerii na bazarze, przystojną, siwą kobietę, z wyglądu trochę surową, może dlatego że ubraną na czarno, a może z powodu bardzo czarnych brwi, które kontrastowały z jej siwymi włosami. Nie wyglądała na męczennicę, siedziała sobie spokojnie w nowoczesnym głębokim fotelu czy raczej na pół leżała czytając jakąś grubą książkę. Kiedyśmy weszli, położyła książkę na kolanach i spojrzała wpierw na Walerię, a potem na mnie.

— Pozwól, ciociu — powiedziała Waleria przymilając się do ciotki — to Dmytro Czereda. Pamiętasz, pisano o nim w gazetach.

— Nie pamiętam — z niejakim zdziwieniem powiedziała ciotka. — Przecież wiesz, Walerio, że nie mam pamięci do nazwisk.

— No, ja też nie mam, ale Dmytro nie wierzy. Porozmawiaj z nim, a ja pobiegnę do swoich baranów!

Waleria pobiegła, ja zaś podszedłem do ciotki, która podała mi rękę i powiedziała:

— Nazywam się Pełageja Iwaniwna.

— A ja — Dmytro.

— Ładne imię. Ojciec Walerii też się nazywa Dmytro.

— Nie powiedziała mi i w ogóle nic o sobie...

— No, czasem zapomina... Trochę jest roztrzepana...

— Ależ wydało mi się dzisiaj, że jest wprost genialnym organizatorem! Nigdy jeszcze nie...

— Chodzi panu o tych chłopców? Od dawna zna pan Walerię? Nie? Zaledwie dwa tygodnie? To niewiele... Wie pan, to bardzo niezwykła dziewczyna. Jedynaczka... Jej rodzice są nauczycielami. Pracują w terenie... Też pan nie wie? Ja byłam również nauczycielką przez całe życie. Teraz przeszłam już na emeryturę... Ale zasady...

Wie pan, nauczyciele mają swoje zasady... Niestety, dzisiejsze dzieci są raczej dziećmi swojej epoki niż swoich rodziców. Waleria nie ma z nimi nic wspólnego... Jest trochę kochliwa. Nie zabraniam jej jednak. Nawet w myśl swego rodzaju zasady... Jest jeszcze bardzo młoda, ma przed sobą całe życie, więc nie pozwolę, żeby ryzykowała. Rozumie pan? Jeżeli zakocha się w kimś jednym — może się skończyć katastrofą. Złamane życie, nieszczęśliwa miłość. Ja sama z tego powodu właśnie nigdy nie miałam własnej rodziny. Ale to już moja własna zasada... A o Walerię jestem spokojna. Piszę co tydzień do swojej siostry, bo prosi, żebym ją informowała o wszystkim, co dotyczy Walerii. Wszyscy jesteśmy spokojni... Póki wokół Walerii kręci się od razu dziesięciu czy dwudziestu chłopców, jesteśmy spokojni. Doskonale!... Wierzymy w zasadę. Dziewczyna jest absolutnie bezpieczna, kiedy dokoła niej... Widział pan, ilu jest ich w tamtym pokoju? Bywa jeszcze więcej... Wszyscy tacy cisi, zdyscyplinowani. Podobają mi się... A pan jest też cichy?

— Jak jagnię — bąknąłem korzystając z udzielonego mi głosu.

— Ma pan do czynienia z... Studiuje pan...

— Jestem robotnikiem...

— Co? Zwykłym robotnikiem?

— Zwykłym. Walcownikiem. Pewnie pani słyszała, że w naszym mieście mieszkają walcownicy?

— Szczycę się tym, że się urodziłam i mieszkam w mieście walcowników... Nie ma jednak teraz robotników. Wszyscy robotnicy zostają inteligentami... Wszyscy studiują. Uczy się pan także?

— Uczę się — stwierdziłem skromnie.

— A gdzie? Razem z Walerią? A może w wieczorowym metalurgicznym?

— Uczę się nie być głupcem...

Dopiero teraz ciotka spojrzała na mnie uważniej i widocznie zauważyła pewną różnicę między mną i milczkami, którymi nabity był pierwszy pokój, w każdym razie nie wydałem się jej zbyt cichy. Trochę ją to zdziwiło, ale nie tak bardzo, żeby od razu odstąpiła od swoich zasad lub poddała je natychmiastowej rewizji.

— Ma pan charakter — z zadowoleniem stwierdziła Pełageja Iwaniwna — zawsze mi się podobali mężczyźni z charakterem... Niestety, pełno teraz na świecie mężczyzn bez charakteru... Zauważył pan, że ma pan charakter?

— Dobrze nie wiem. Może nawet zauważyłem, tylko co to takiego...

Wciąż jeszcze stałem przed Pełageją Iwaniwną i czułem się trochę nieswojo. Prawdę mówiąc, niezbyt mi się chciało wracać do towarzystwa w sąsiednim pokoju, ale stać tak i odpowiadać na pytania też nie należało do przyjemności, zacząłem więc po trochu wsadzać pryncypialnej ciotce szpilki swoimi odpowiedziami w nadziei, że zadam jej zasadom dotkliwy cios. Była zresztą tak pogrążona w swoich zasadach, że nie zauważyła mego tonu. Ciotka była też dziecięciem swojej epoki, epoki całkowicie wyzutej z poczucia humoru — docent Kryżeń ze swoją powagą byłby w siódmym niebie! Dla Derżykraja też by się znalazło miejsce w sercu Pełagei Iwaniwny. Może Waleria, nasłuchawszy się ciotczynych zasad, podświadomie sympatyzowała z takimi ludźmi jak Kryżeń czy Derżykraj? A może to oni wyczuwali w niej wychowankę Pełagei Iwaniwny?

— Zna pani docenta Kryżenia? — zapytałem.

— Niestety nie... Waleria nic mi nie wspominała o docencie...

Widocznie Pełageja Iwaniwna patrzyła na cały świat

pod kątem widzenia Walerii i siostrzenica była jej źródłem informacji.

— A Derżykraja też pani nie zna?

— Nie słyszałam, nie słyszałam...

Z kolei mógłbym jeszcze spytać ciotki o Szlachtycza, o sekretarza egzekutywy Wasyłenkę, o starego Czemerysa lub o zakładowego poetę, o których pewnie też nie słyszała, i wtedy powiedzieć: „Więc o czym możemy rozmawiać?" Chciałem jednak wywrzeć na niej wrażenie dobrze wychowanego młodego człowieka, trochę może nieustępliwego, ale mimo to dobrze wychowanego, więc nie zapytałem Pełagei Iwaniwny o ludzi, których nie znała, lecz powiedziałem:

— Widziałem panią w ubiegłym roku jesienią, na targu. Z Walerią. Kupowały panie róże. Dwie czerwone i jedną białą... Piękne róże...

Pełageja Iwaniwna nie zamierzała sięgać pamięcią aż w tak odległą przeszłość.

— Nie pamiętam. Była to pewnie zachcianka Walerii. Lubi kupować kwiaty, jakkolwiek za moich czasów było inaczej: chłopcy kupowali dziewczętom kwiaty.

— Mamy teraz równouprawnienie — przypomniałem — każdy ma prawo kupować sobie sam kwiaty.

Pełageja Iwaniwna chciała się może bliżej zainteresować tym dość niezwykle postawionym problemem równouprawnienia, ale rozmyśliła się, podniosła do oczu książkę i zaczęła szukać miejsca, do którego doczytała.

Co nam wiadomo o sposobach uaktywnienia działalności umysłowych naszych interlokutorów? Najlepiej działają tak zwane sytuacje trudne. Należy urwać swoją myśl w pół słowa i pozwolić słuchaczowi, żeby domyślił się reszty. Można zadać pytanie, na które nie ma odpowiedzi. Oszołomić obietnicą zdradzenia tajemnicy o znaczeniu niemal państwowym. Pewien prelegent zawsze zaczynał swój odczyt od prośby o szczelne

zamknięcie drzwi i lufcików, prosił również, by kilku mężczyzn stanęło przy drzwiach i nikogo więcej nie wpuszczało — po tym wszystkim słuchacze byli już odpowiednio przygotowani!

Pełageja Iwaniwna nie jest jednak zwykłym słuchaczem, objętym w stu procentach działalnością towarzystwa „Wiedza"!

— Mamy swoje zasady — powiedziała — nie potrzebujemy nic zbytecznego.

— A co jest zbyteczne? — niby to chciałem wiedzieć.

— To, co nie dotyczy spraw najważniejszych.

— A co ich nie dotyczy?

Spojrzała na mnie spoza książki i zmierzyła mnie od stóp do głów oraz z góry na dół; pomiary te nie zadowoliły jej widocznie, gdyż Pełageja Iwaniwna westchnęła i z bólem serca zwolniła mnie wreszcie.

— Proszę, niech pan już idzie. Proszę.

Skoczyłem jak mistrz olimpijski zasługując sobie na tytuł mistrza w skokach przez mieszkania o małym metrażu.

— Porozmawiał pan? — mile zapytała mnie Waleria, która niosła jednemu ze swoich milczków filiżankę kawy.

— Była to niezapomniana rozmowa — wyznałem z całą szczerością — okazało się, że jestem pod względem ideowym niedojrzały, a pani ciocia jest pod tym samym względem przejrzała. Niestety, nie udało się nam ustalić, kto się tu może poszczycić dojrzałością ideową, ale pewnie pani, Walerio!

— Chce pan kawy? — zapytała Waleria.

— Kawy? Chwileczkę — nachyliłem się, by szepnąć jej do ucha — gdzie się podzieli pani przyjaciele, koledzy i bracia? Kiedy przyszedłem, było ich tu ze

dwudziestu, a teraz widzę czterech. Może nie wytrzymali konkurencji ze mną?

— Troi się panu w oczach, Mytiu. Było ich zaledwie trzech, jeden przyszedł z panem, o, ten rudy Witia. Razem czterech. Czasem bywa więcej.

— Wiem. I słyszałem także o pani zasadach.

— Nie mam zasad, ma je Pełageja Iwaniwna. Napije się pan kawy?

— Pod warunkiem, że pomogę pani ją nalać...

— No, to drobnostka... Proszę...

Miałem jeszcze nadzieję, że uda mi się bodaj kilka minut porozmawiać z Walerią w cztery oczy i powiedzieć jej... Bodaj o tym, że taki obywatel jak Dmytro Czereda musi wcześniej czy później poczuć się zakochanym. Słowem, gdzie się ruszysz, jak uczy docent Kryżeń, wszędzie działają prawa natury. I jakkolwiek Derżykraj ze swoimi chłopcami stoi uparcie na stanowisku, że człowiek jest zwierzęciem, które się strzyże, otworzyły mi się wreszcie oczy na fakt, że człowiek jest stworzony dla miłości, dane mu jest doznawać zachwytów i oczarowań. I wszystkie te uczucia oraz wiele innych oznaczanych w naszym języku z pomocą trzystu słów budzi we mnie ona, Waleria.

Tego rodzaju uroczyste i nieśmiałe zarazem wyznanie wymagało, rzecz jasna, odpowiedniej scenerii — jakiegoś cichego kącika, chwili samotności, odrobiny intymności. Rozglądałem się skonsternowany dokoła i pomyślałem, że jeżeli pójdę z Walerią do kuchni, uda mi się przemówić do niej w górnolotnym stylu podczas przyrządzania kawy. Okazało się jednak, że mieszkanie zostało zaprojektowane i zbudowane w ten sposób, by wszyscy młodzi i zakochani doznawali tu głębokiego rozczarowania: wszystko tu było odsłonięte jak na pokładzie statku, nigdzie nie było drzwi, wszystko znajdowało się w zasięgu oka i głosu, można było wyciąg-

nąć rękę z pokoju i wziąć sobie filiżankę kawy z kuchni — było to mieszkanie dla karzełków, dla leniuchów, dla Bóg wie kogo, tylko nie dla zakochanych.

Waleria weszła do kuchni, ja zaś stałem na progu, bo nie było tam już dla mnie miejsca; mijając mnie Waleria wetknęła mi w rękę filiżankę kawy, dość słabej i chłodnej, i skierowała się ku tłumowi swoich adoratorów i kibiców. Poszedłem za nią, padłem na kanapę obok rudzielca, łyknąłem kawy, zajrzałem do czasopisma, nastawiłem ucho pochylając się w stronę radia, pogapiłem się na magnetofon, słowem zostałem pełnoprawnym obywatelem małego mocarstwa, którego obywatele stracili na wieki poczucie humoru, pełni cielęcego zachwytu dla delikatnej blondynki, dla nieuchwytnej i wiotkiej władczyni tego suwerennego terytorium.

Waleria krążyła wśród nas jak w lesie między drzewami. Omijała czyjeś nogi, spokojnie odbierała od kogoś pustą filiżankę, podawała jeszcze jakieś podarte pismo lub nową kasetę z taśmą magnetofonową. Nikogo nie darzyła szczególnymi względami, nikt nie korzystał z wyróżnienia i jej łaskawości, na nikim nie zatrzymywała spojrzenia swoich szarych oczu, pełnych skupienia, jak mi się wydało w dniu, gdy ją poznałem.

A co wam wiadomo o filmie „Czerwony namiot"? Gra w nim sama Claudia Cardinale. Gra dziewczynę imieniem Waleria! Szałowe chłopaki lecą tam na pokładzie wspaniałego sterowca na biegun północny, ulegają katastrofie, spadają na krę, rozbijają na niej czerwony namiot i czekają kiedy zostaną odnalezieni. Szuka ich cały świat, nad Arktyką latają samoloty, jeden przelatuje nad czerwonym namiotem, szałowi chłopcy wybiegają z namiotu, wymachują rękoma, demonstrują swoje fotogeniczne, szałowe brody, ale pilot ich nie zauważył i samolot odlatuje, więc szałowi

chłopcy śpiewają szałową piosenkę: „Nic to, żeś tyłkiem przymarzł do kry, wagabundy— bundy — bu..."

Siedziałem na kanapie wśród milczących i chyba bardzo nieszczęśliwych chłopaków i czułem, że jeszcze trochę a przekształcę się również w wagabundę.

Ale wtem Waleria zakomenderowała:

— Koniec! Możecie już iść!

Jak się okazuje, zasady miała zgodne z zasadami Pełagei Iwaniwny. Masz nogi, to idź. Żadnych przywilejów dla nikogo. Wszyscy wstają i wychodzą. Śmiech na pustej sali. Spróbowałem udać wagabundę, co przymarzł pewną częścią ciała do kanapy, i kiedy wszyscy wstali, siedziałem nadal.

— Wstawaj pan, Mytiu — powiedziała Waleria — przecież widzi pan, że wszyscy wychodzą.

— Zaraz zmuszę do tego swoje nieposłuszne nogi — oświadczyłem wcale dziarskim tonem, gdyż przekonawszy się, że nie uda mi się przymarznąć bodaj na te kilka minut, kiedy będą wychodzić czterej niefortunni adoratorzy, obmyśliłem już sobie nowy plan. Plan był prosty: wyjść muszę jako ostatni, przystanąć na chwilę i bodaj westchnąć, pocałować Walerię w rękę, beznadziejnie machnąć ręką lub wznieść milczącą modlitwę do tej okrutnej bogini.

Plan mój rozleciał się jednak niby ów sterowiec z filmu „Czerwony namiot". Waleria wyszła bowiem razem z nami i to... pierwsza. Mogłem wyjść jako ostatni chyba tylko po to, by jeszcze raz porozmawiać z Pełageją Iwaniwną na temat jej zasad.

Gdybym wierzył w czarownice i nieczystą siłę, nabrałbym podejrzenia, że Waleria utrzymuje z nimi dość ścisły i bezpośredni kontakt. Potrafiła bowiem momentalnie przejrzeć moje najchytrzejsze zamiary, które od razu unieszkodliwiała, czyli niweczyła wszystkie moje wysiłki.

„Jak cię nie kochać, nasza Ukraino?" Słowa Łucenki, muzyka...

Muzyki nie było. W mojej głowie waliły teraz bębny wszystkich jazzów na świecie i przy wtórze ich huku, w rytmie rozczarowania i beznadziejności zszedłem po schodach z drugiego piętra za Walerią, stanąłem przed bramą razem ze wszystkimi i przestałem minutę milczenia i rozmyślań czy modlitwy, jak to mają tu w zwyczaju wierzący, po czym z drżeniem serca wysłuchałem ostatniego oświadczenia naszej bogini:

— Do widzenia. Teraz się rozejdziemy.

Wszyscy posłusznie wykonali rozkaz, ja też się rozszedłem na wszystkie strony, ale laury Beamona na Olimpiadzie w Meksyku nie dawały mi spokoju, więc gwałtownie zawróciłem i skoczyłem z większym jeszcze impetem, niż gdy wyskoczyłem z pokoju Pełagei Iwaniwny. Skok okazał się niezwykle szczęśliwy, bo znalazłem się w bramie obok Walerii, która nie zdążyła jeszcze postawić nogi na pierwszym stopniu schodów.

— Z ostatniej chwili — udała zdziwienie Waleria. — To pan, Mytiu?

— Zdaje się.

— A co to ma znaczyć?

— Pomyślałem i zdecydowałem, że nie mogę zostawić pani samej w ciemnej klatce.

— Bardzo szybko pan myśli.

— Mam niejakie doświadczenie. Podłączono mnie do SSA. Wie pani, co to takiego? System sterowania automatyczny. Komputery i automaty. W ciągu całej zmiany podejmuję niestandardowe decyzje.

— Dzisiaj się panu nie udało. Pretekst bardzo standardowy. Mówił pan coś o ciemnej klatce schodowej? Widzi pan, wszędzie pali się światło.

— Żarówki mogą się przepalić.

— Jakoś mi to nie przyszło na myśl.

— A mnie przyszło. Moja głowa stoi otworem dla wszystkich ewentualnych myśli. Jedna myśl panuje tam jednak stale. Muszę to pani powiedzieć natychmiast. Myśl o tym, że nie chcę pani znów stracić. Po tamtych różach... Kiedy tak długo nic nie wiedziałem.. Zdaje mi się, wciąż mi się zdaje, że ja...

Zrozumiałem teraz, jaki niedoskonały jest nasz język. Mamrotałem, bełkotałem, starałem się coś powiedzieć, ale nadaremnie. Jakoś stało się to samo przez się, że nagle umilkłem, pochyliłem się szybko, znalazłem rękę Walerii i pocałowałem.

— To już zupełnie niepotrzebne, Dmytrze — trochę rozgniewała się Waleria — właściwie jeszcze się dobrze nie znamy... I w ogóle... Chłopcy nie całują teraz dziewczyn w rękę... A jeżeli chodzi o mnie, to...

Stałem zupełnie zbity z tropu. Jeżeli nie całują w rękę, to w co właściwie całują dziewczyny dzisiejsi chłopcy, do stu diabłów! Kiedyś całowałem ręce matki i całowałem jeszcze — ale to już absolutna tajemnica — przesiąknięte zapachem smarów ręce Czemerysa w dniu, kiedy się przekonałem, że ten twardy człowiek nauczył mnie ciągnąć rury! Koniec końcem każdy ma swoje zasady i ma zasadę Dmytro Czereda: całować ręce człowieka, którego wynosi ponad innych. Nie myśmy to wymyślili, ale zastosujemy w celach pokojowych i szlachetnie uwznioślonych.

— Chcę przyjść do pani i zastać panią samą — siląc się na gburowatość oświadczyłem Walerii. — A jeżeli zastanę bodaj jednego z pani adoratorów, to wyrzucę go z okna drugiego piętra.

Waleria patrzyła na mnie w milczeniu.

— I... — zająkałem się, Waleria nie usiłowała bowiem powstrzymać potoku moich słów, lecz ja sam nagle stwierdziłem, że wyczerpałem już całą listę swoich pogróżek i obietnic.

— No dobrze — zlitowała się wreszcie nade mną Waleria — niech mnie pan odprowadzi na drugie piętro, skoro tak się już złożyło, mimo że nie chciałam... I niech pan sobie zapamięta...

— Wiem: zasady... I Pełageja Iwaniwna...

— Niech pan nie zapomina również o mnie...

— Nigdy!

Szliśmy bardzo powoli, chciałbym, żeby odpowiadało to nam obojgu. Spiesz się powoli na zakrętach, jak by powiedział komputer Derżykraja.

Przed drzwiami swego mieszkania Waleria wspięła się niespodzianie na palce, dotknęła gorącymi wargami mego policzka i szepnęła:

— A teraz, niech pan idzie! Boże, co się właściwie dzieje! Niech pan idzie!

— Przyjdę — wymamrotałem zamroczony...

Stoczyłem się ze schodów wprost zbaraniały ze szczęścia i podskakiwałem na chodniku jak młody kozioł, któremu odpuszczone zostały wszystkie grzechy, mówiąc w stylu wiadomego komputera. Waleria, Waleria, Waleria... Całą muzykę świata przyniósł dla ciebie wiatr z nieba na ziemię?... Wagabundy — bundy — bu... Nawet ślepcy cię widzą nocami, słyszą głusi, chorzy głowy podnoszą... Wagabundy — bundy — bu... A kiedy ślepi lepiej widzą: w dzień czy w nocy?... Oszczędzajcie energię elektryczną! Piszcie do gazetki ściennej! Przed decydującym spotkaniem o mistrzostwo świata hokeiści radzieccy nie spali całą noc. Pisali płomienną odezwę, w której nakazywali sobie zwyciężyć.

I zwyciężyli!

Biegłem do domu pilnie uważając, żeby nie narobić z radości jakichś głupstw i nie wpaść pod samochód milicyjnego fryzjera, który zaliczyłby mnie do tej części ludzkości, co strzyże się wytrwale i z przekonaniem.

W domu siedziała Zizi i stwarzała w naszym mieszkaniu warunki umożliwiające budowę kaskady elektrowni wodnych.

— Czego beczysz, droga siostrzyczko? — zapytałem. — Twój Derżykraj kopnął się znowu na wariacką przejażdżkę? Ale na drodze jest przecież sucho i mamy lato, więc głowa do góry! Wróci niosąc z sobą zapachy pól kołchozowych w fałdach swojej białej koszuli i w swojej ostrzyżonej czuprynie!

Zizi jeszcze bardziej zalała się łzami, mnie zaś wszystkie łzy świata wydawały się w tej chwili śmiesznie nieprawdziwe; zrozumiałem, że robię się osobnikiem społecznie niebezpiecznym, więc coś tam przekąsiwszy w kuchni na kolację rzuciłem się na łóżko i zasnąłem pełen niewinnej radości. Śnili mi się przywódcy wielkich mocarstw, którzy zwołali spotkanie na najwyższym szczeblu, by ostatecznie rozwiązać problemy miłości w skali światowej.

Mimo wszystko chyba to prawda, że powaga jest niedwuznacznym symptomatem zwolnionej przemiany materii. Człowiekowi przykrzy się czasem tajemnicza i nieuchwytna powolność procesów przebiegających w jego organizmie, ma tego dość i próbuje się buntować — docent Kryżeń na przykład gotów jest wtedy zjeść pół puda lodów, Tokowy dźwiga z delikatesów koszyk z butelkami i zakąską, żeby wydać śniadanie na trawie dla ładnej dziewczyny, a Derżykraj wsiada do wozu i pędzi nocą po szosie, gdzie oczy poniosą, niby to wierząc, że dzięki niesamowitej szybkości wozu w nim samym też się wytworzą nowe szybkości i uda mu się przejść w nową jakość, do kategorii ludzi wesołych, bo co jak co, ale ludzie weseli są zawsze dobrzy.

Z rana, po przygodzie na schodach byłem taki dobry, że sam poprosiłem Derżykraja, żeby mnie podwiózł do huty, co zostało uznane za dowód szacunku i zaufania.

— Z przyjemnością — powiedział Derżykraj otwierając przede mną drzwiczki — właściwie obrzydły mi już samotne przejażdżki samochodowe... Zrezygnować z nich nie mogę, bo trzeba się jakoś przewietrzyć i otrząsnąć po całodziennym napięciu, ale samemu nocą na szosie... Nie rozumiem Zizi... Jest taka odważna i boi się samochodu!... Nigdy nie przypuszczałem... W ogóle chyba jeszcze nie mamy tego prawdziwego pociągu do czterech kółek... Na przykład wczoraj... Zaprosiłem kogoś... Na przejażdżkę... Żeby pogadać trochę... Uzyskałem zgodę... Wszystko bardzo pięknie... W ogóle ktoś cudowny i przejażdżka mogła być bardzo piękna, rozmowa również... Ale co z tego?... Wstąpiłem do tego kogoś do domu, a tam siedziało z pół tuzina gości czy znajomych, kto wie, co to za ludzie... I ten ktoś mi oświadczył, że jeżeli zabiorę wszystkich, to pojedzie, a jeżeli nie... Mam przecież zwykły samochód, nie autobus!...

— Poczucie zespołowości — powiedziałem czując jakiś podświadomy niepokój w sercu.

— Ludzie rodzą się i umierają nie zespołowo, lecz każdy sam — burknął z gniewem Derżykraj.

— Mam nadzieję, że wczoraj wieczór nie zamierzałeś narodzić się lub umrzeć?

— Zależy od punktu widzenia. Z praktycznego w każdym nowym poczynaniu albo się rodzisz, albo umierasz, gdy ci się nie powiedzie. Wychowany jestem w duchu naukowej ścisłości, więc szanuję we wszystkim porządek i najmniejsze odchylenie wytrąca mnie z równowagi. Jak to można? Obiecać i potem wszystko obrócić w idiotyczny żart!

Wprost przewracało się wszystko we mnie pod wpływem złego przeczucia. Było jakieś podobieństwo między moją wczorajszą przygodą i tym, co się przytrafiło Derżykrajowi. Coś mi podpowiadało, żeby czym prę-

dzej przerwać tę rozmowę, skierować ją na inny temat, uderzyć w ton żartobliwy i odżegnać się od wszelkiej powagi, byle Derżykraj nie dopowiedział wszystkiego do końca, nie odsłonił tajemnicy, której się już domyślałem, odpędzając jednak ten domysł jak jesienną muchę.

— Myślę, że to drobnostki — czym prędzej przerwałem Derżykrajowi jego narzekania — stoimy przed coraz większymi zadaniami i powinniśmy... Z głębokim zrozumieniem, wysoko wznosząc sztandar honoru robotniczego, zaciągając wartę pracy... Ale powiedz mi, jak będzie lepiej: twórcze poczynania i pożyteczna inicjatywa czy pożyteczne poczynania i twórcza inicjatywa?

— Co, mówisz poważnie? — zawahał się Derżykraj.

— Absolutnie.

— To dziennikarskie slogany. Nigdy mnie nie obchodziły. Jestem człowiekiem ścisłej wiedzy, człowiekiem nauki. Trudno ci to zrozumieć...

— No pewnie, że trudno! Uczony myśli, z której strony posmarować chleb masłem, ja zaś zwyczajnie biorę i smaruję nie namyślając się. Empirycznie, czyli omackiem. Uczony powie parametry, a ja zwyczajnie — wskaźniki...

Urwałem w samą porę zorientowawszy się zupełnie słusznie, że chodzi mi nie o uczonych w ogóle, lecz o samego Derżykraja, do którego nie żywiłem zbyt wiele sympatii także dotąd, dzisiaj zaś gotów byłem omal go zniszczyć. Przecież tak podejrzanie podobne wydawały mi się nasze wczorajsze przygody. Mieć rywala jeszcze w osobie Derżykraja, męża mojej siostry, uczonego technokraty? Ale niby co z tego, że uczony?

— Dość już gadania na ten temat — westchnąłem bliski rozterki. — Bo im dalej w las, tym więcej puszek

po konserwach. Albo, jak by powiedział twój komputer, nie ciągnij kotów za ogon nocą...

— Już mi mówiono, że śmiejesz się z komputerów. Może potrafisz dowcipkować, ale nie zapominaj, że elektronika — to piękna rzecz. Obecnie opracowujemy dla naszego oddziału kilka wariantów gry ekonomiczno-technicznej. Trudne, ale piękne zadanie. W grze wezmą udział wszyscy pracownicy oddziału. Pozwoli to nam opracować modele wszystkich procesów w porę, znaleźć wszystkie niedopatrzenia i zawczasu je usunąć i wtedy nasza praca będzie rzeczywiście piękna...

— I będziemy produkować piękne rury — powiedziałem.

— Tak, będziemy produkowali piękne rury — ulegając zwolnionej przemianie materii w swoim ciele powtórzył posłusznie Derżykraj.

Kiedyśmy wysiadali z samochodu, poklepałem się nagle po kieszeniach i chwyciłem za głowę symulując rozpacz z powodu swojej ciężkiej sklerozy.

— Omal nie zapomniałem. Po prostu wyleciało mi z głowy! Proszono mnie, żeby ci przekazać. Weź, proszę...

Derżykraj zamykał wóz, więc nie od razu zobaczył, co trzymam w ręku.

— Co to?

— Bilet.

— Bilet? Dokąd?

— Na twój spektakl. Na „Pustynię".

— Nie rozumiem.

— No, nie na ten spektakl, co może jeszcze się znów odbędzie, ale na tamten, który już był. Bilet przekazuje ci Waleria. Zapraszałeś ją, pamiętasz? U nas w domu.

— Tak, doskonale pamiętam. I co, nie była na spektaklu?

— Była. Ze mną. Moje bilety okazały się lepsze albo... Nie wiem, czym to wytłumaczyć.

Mściłem się na nim za spektakl, za samochód, za to że tak z mety zaprosił Walerię — a kto by się spodziewał takiego szybkiego refleksu po człowieku z typowo zwolnioną przemianą materii.

— Smarkaczowato i poniżej godności własnej — powiedział Derżykraj. — Wcale to nie pięknie.

Nic nie mówiąc poszedłem w stronę portierni. Kto się sam przez się rodzi i umiera, powinien niekiedy pozostać sam na sam z sobą i swoimi przeżyciami. Niech nasz drogi technokrata ćwiczy się w tym sposobie znanym ludzkości od niepamiętnych czasów i jednocześnie łamie sobie głowę nad problemem radykalnych przeobrażeń w naszym myśleniu.

A co do mnie, to myślałem, jak się okazało, bardzo prostolinijnie. Chciałem od razu po zmianie popędzić do Walerii i powiedzieć jej to, co powinienem był powiedzieć wczoraj i w ogóle w pierwszym dniu naszej znajomości, powiedzieć to, czego nie należy odkładać, życie upływa bowiem szybko, epoka stawia swoje wymagania i człowiek zaciągając wartę pracy powinien wiedzieć, że ktoś bardzo się po nim spodziewa twórczej inicjatywy; dla mnie zaś tym kimś odtąd i po wieczne czasy jest tylko ona, Waleria, dziewczyna o miłym uśmiechu i niebywale szarych oczach, dziewczyna... Krótko mówiąc, przemawiałbym, jak sądzę, bardzo długo i przekonywająco.

Ale, po pierwsze, było jeszcze za wcześnie. Nie wiadomo, czy Waleria przyszła już do domu.

Po drugie, musiałem włożyć garnitur Ira Leonowicza, żeby stracić swobodę ruchów. Moja wczorajsza groźba, że wyrzucę wszystkich adoratorów Walerii z drugiego piętra na bruk, wydawała mi się teraz trochę śmieszna i nieprzemyślana, w dodatku pozostawała w sprzecz-

ności z zagwarantowaną w Konstytucji wolnością zebrań i manifestacji.

Po trzecie, nie mogłem od razu po zmianie pójść do Walerii, gdyż niespodzianie wracałem z huty w towarzystwie. Milcząca i gorliwa owa asysta przyłączyła się do mnie w portierni i szła równoległym kursem w odległości wykluczającej zderzenie, ale nie tak dużej, żebym mógł niepostrzeżenie zwiać.

Klementyna, któż inny!

Szła w milczeniu i patrzyła na mnie swoimi dużymi, pełnymi wyrazu oczami, niczym Desdemona na scenie, kiedy wysoki i barczysty dyspozytor wydziału transportowego gotów był dobrać się do jej szyi, by udusić wiarołomną żonę. Kiedy człek patrzy na świat raczej wesołym okiem, nie przerażają go żadne niespodzianki, ale spojrzenie tych oczu było nie do zniesienia. I jej milczenie, i tłumione westchnienia, które wprost wyrywały się z piersi Klementyny — wszystko to było nie do zniesienia.

— No dlaczego milczysz? — tracąc cierpliwość zapytałem dziewczynę.

— A co mówić? — odpowiedziała szeptem.

— Opowiedz mi coś. Bodaj o towarzyszu Knyszu. Czy już wkrótce zostanie zasłużonym pracownikiem kultury? Czy proszono go już może, żeby zademonstrował swoją „Pustynię" na scenie Teatru Kremlowskiego?

— Wciąż żartujesz, Mytiu...

— Pewnie chciałabyś, żebym płakał. Takie okresy bywają również w życiu ludzkości, ale starajmy się je sprowadzać do minimum.

Co wam wiadomo o śmiechu i drwinie? Śmiech jest zawsze przeczuciem tego co nowe, czego sam nigdy nie zdoła jednak zobaczyć. Śmiechowi sądzone jest tworzyć i nigdy nie widzieć wyników własnej twórczości. Możemy porównać śmiech do całkowicie zautomatyzo-

wanej i włączonej do SSA walcowni, której produkcji my, walcownicy, nie widzimy, gdyż automaty ją unoszą niewidzialnie i bezgłośnie. Nieuchwytność, złuda.

No dobrzę. Klementyna nie miała o czym opowiadać, więc niech bodaj pyta.

— Zapytaj mnie o cokolwiek!

— A o co, Mytiu? Wszystko o tobie wiem.

— Wszystko?

— Wszystko.

— Ciężko jest żyć w kraju, gdzie wszyscy mają wykształcenie. Od rana do wieczora otaczają mnie ludzie, którzy wszystko wiedzą.

Klementyna milczała. Szła równoległym kursem i patrzyła swoimi ślepiami, aż mnie ściskało w dołku. Był w jej spojrzeniu pełen pokory wyrzut czy pełna wyrzutu pokora? Niechby bodaj coś przypomniała. Na przykład „wysoki płomień". Jeżeli chodzi zresztą o płomień, to niepotrzebnie wziąłem to na swój rachunek. Płomień jest zawsze wysoki i wysoki wzrost Dmytra Czeredy nic z tym nie ma wspólnego. Lepiej więc nic Klementynie nie przypominać, jeszcze zasyczy jak gąska.

— Dokąd dziś idziesz? — zapytałem.

— Do szkoły baletowej.

— Masz nogi z żelaza! Całą zmianę biegasz po oddziale, a teraz jeszcze — balet. Bo ja miałem kiedyś sflaczałe nogi. Myślałem, że nigdy na nich stać nie będę. O, tego o mnie nie wiesz.

— Wiem.

— Przecież było to jeszcze przed twoją erą!

— Mimo wszystko wiem.

Fakt, że jest tak wyczerpująco poinformowana o wszystkim, co mnie dotyczy, wydał mi się podejrzany i zagadkowy. A co najważniejsze, wszystko to było spóźnione, poniewczasie, niepotrzebne i wprost szkodliwe! Powinienem teraz... Waleria...

— Wiesz co? — powiedziałem. — Chodźmy. Klementyno, prędzej. Możesz iść prędzej?

W milczeniu skinęła głową, chyba zgadzała się teraz na wszystko, ale cóż, dziecinko, spóźniłaś się o cały rok! „Wszystko potężny zmiótł huragan"!

Odprowadziłem Klementynę do Pałacu Kultury, przekazałem ukłony dla towarzysza Knysza, pomachałem jej ręką i pobiegłem do domu, żeby się wbić w dzieło sztuki krawieckiej Ira Leonowicza, który kiedyś dowodził mi wytrwale, że na danym etapie głównym zadaniem tej sztuki jest torowanie dróg do przywrócenia swobody obleczonemu ciału ludzkiemu. Tę reklamową swobodę czułem na własnej skórze już od dłuższego czasu. Średniowieczny rycerz w swojej zbroi miał chyba o wiele większą swobodę ruchów.

Ale po co wolność człowiekowi, który chyląc głowę śpieszy do dobrowolnej niewoli zapomniawszy, że potrafi się oburzać i protestować, śmiać się i cieszyć jak dziecko i chce tylko jednego: zależności, całkowitej, bezgranicznej zależności i absolutnego podporządkowania się! Żeby w sobie stłumić resztki buntowniczości, człowiek ten obezwładnił się, skuł sobie ręce dziełem sztuki krawieckiej Ira Leonowicza, kaftanem bezpieczeństwa, czyli garniturem wyjściowym, bo czyż wszystkie wyjściowe ubrania wkładamy nie po to właśnie, żeby poskromić w sobie wszystkie namiętności i porywy, wyzbyć się wszystkiego, co wydaje się zbędne i nieodpowiednie w uroczystej chwili. Zdawałem sobie sprawę, jaką podstępną rolę odgrywa garnitur wyjściowy, ale włożyłem go mimo wszystko, nawet biegłem w tym celu do domu.

Kiedy znalazłem się w bramie domu, gdzie wczoraj stałem z Walerią, kiedy poszedłem po schodach na górę, zaatakowały mnie dźwięki. Moja klatka piersiowa wypełniła się niespodzianym rezonansem, nie mo-

głem się zorientować, czy dźwięki wypełniają klatkę schodową, czy moją piersiową, wszystko dokoła odbrzmiewało jak w uchu olbrzyma, stałem się olbrzymim rezonatorem. Bzum-m-m-bim! Popędziłem po schodach, ale im wyżej po nich wchodziłem, tym mocniej odbrzmiewały we mnie dźwięki, wszystko tu żyło bzykaniem i bimbaniem, dźwięki układały się w jakiś system. Odróżniałem już rytm coraz szybszy i bardziej rozdygotany, można było zwariować od tego rytmu. Taką właśnie ilustracją muzyczną powinien był posłużyć się towarzysz Knysz w tej scenie „Pustyni", w której pułkownicy zakręcają bombę atomową, ale do tej klatki schodowej nie nawadała się taka muzyka w żaden sposób, tym bardziej dla mnie w moim stanie ducha.

Chętnie bym uznał te niesamowite dźwięki za wytwór swojej wyobraźni, żeby się z nich zwyczajnie otrząsnąć i żeby zaległa cisza, uśmiałbym się po prostu z jeszcze jednego swego żartu. Ale nogi niosły mnie po schodach bynajmniej nie wyimaginowanych, znajdowałem się wśród jak najbardziej realnych ścian płytowych, policzyłem nawet wszystkie stopnie do drugiego piętra i jeżeli nie wypadła mi liczba oszałamiająco wielka, była ona jednak też całkowicie realna i prawdziwa, stałem wreszcie przed prawdziwymi drzwiami, za którymi być musiała Waleria. I dopiero tutaj stwierdziłem, że owe dzikie dźwięki nie rodzą się we mnie, lecz właśnie tutaj, za tymi drzwiami, tego M-2 o niewielkim metrażu, w którym mieszka jedyna na świecie dziewczyna oraz jej ciotka Pełageja Iwaniwna posiadająca niezłomne zasady. Jak pogodzić zasady Pełagei Iwaniwny z tą zwariowaną muzyką, chyba nikt nie powie. Zdawało się, że wśród tego ryku i wrzasku w ogóle nie mogą istnieć żywe istoty. Tego rodzaju dźwięki zabijają.

Huczało, ryczało, szalało...

Jedną z zalet budownictwa płytowego jest uspołecznienie wszystkich głosów i dźwięków, które wywołują mieszkańcy domów. Kiedy u sąsiada odbywa się wesele, bawimy się na tym weselu również. Kiedy ktoś urządza domowy koncert, jesteśmy wdzięcznymi słuchaczami. Kiedy ktoś bije naczynie, możemy porobić oszczędności na własnych talerzach, gdyż ulegniemy nieodpartemu złudzeniu, że sami potłukliśmy wszystko, co mamy w kuchni.

Usłyszałem koncert, który urządził dziś ktoś u Walerii, już na dole, w bramie, a tutaj, przed drzwiami mieszkania mógłbym, nie wchodząc do wnętrza, rozkoszować się nim tak samo jak ci, co tam byli. Cóż to jest? Zespół „Błękitne gitary"! Białoruscy „Pieśniarze"? Orkiestra Radia Wszechzwiązkowego pod kierownictwem... Zapomniałem pod czyim kierownictwem. Taki mały, wesoły grubasek... Bzym-m-m-bim-bim-bim!... A może Derżykraj przytachał tu jeden ze swoich komputerów, z tych co produkują muzykę? Komputery potrafią wszystko. Wkrótce już będą zamiast nas jeść barszcz i pić wodę, w której więcej jest chloru niż wody. Komputerom nie szkodzi zanieczyszczenie powietrza, nie stoją przed problemem przeludnienia, nie muszą wznosić wysoko sztandaru i dbać o honor robotniczy — mogą wydawać w nieograniczonych ilościach dźwięki w nieograniczonej skali, dźwięki elektromechaniczne — bzym-m-m-bim-bim!

Ale dlaczego wpadam w taki fatalny nastrój? W mieszkaniu Walerii grały elektryczne gitary. Dwie albo trzy. Z niejakim prawdopodobieństwem mogłem się nawet domyślić, którzy z jej wczorajszych gości na nich grają. Ten z brodą, potem ten brunet o bizantyjskich oczach, no, jeszcze blondyn albo może rudzielec, który przyszedł razem ze mną... Jakkolwiek może wy-

znaczyć rudzielcowi raczej inną rolę? Ubrać go na przykład w lamparcią skórę i niech wykona w M-2 modny lamparci taniec.

Elektryczne gitary ucichły. Dźwięki urwały się nagle i zaległa taka cisza, że poczułem ból w uszach. Mogłem zadzwonić i moja ręka już się uniosła do dzwonka, ale za drzwiami Waleria właśnie kogoś poprosiła, żeby odczytał swoje wiersze. Słyszałem wszystko tak, jakbym siedział tam, wśród nich na kanapie, jakby w plątaninie ich nóg były także moje nogi, jakbym pił razem ze wszystkimi kawę, którą przyrządziła Waleria. Teraz dopiero zrozumiałem, jaką rolę należało zarezerwować dla rudzielca. Był widocznie poetą! Może nawet synem naszego poety zakładowego. I może pisze zupełnie inaczej niż jego tato. I kłuje tatę w oczy tą swoją odmiennością. A potem sam będzie miał syna, który też będzie pisać zupełnie inaczej, żeby też kłuć w oczy, i tak w nieskończoność. Podobnie jak ten rybak, co łowi rybę, gotuje ją, zjada, wypływa na morze, żeby znowu złowić rybę, zgotować ją i zjeść, a następnie znowu...

Poeta zaczął recytować wiersze. Nie o rybie, nie o naszej hucie i nie o rurach, o których pisze jego tato. Po co rury? Po co węgiel, ropa naftowa i inne pożyteczne kopaliny? Po co nam praca? Praca — nie zając, nie ucieknie. Recytował zawodzącym głosem, w zapamiętaniu, lubując się sobą. O wrzawie wiosennej, o białych ramionach zimy, o jesiennych liściach i atolu na Pacyfiku, o ostatnim krzyku i mądrości dziewczęcych oczu, o śpiewających ścieżkach, o ścieżkach rozśpiewanych, po których... Dalej już wiadomo!

Nie umiałem pisać ani takich, ani innych wierszy. Nie umiałem grać na elektrycznej gitarze. Nie umiałem nawet brzdąkać na bałałajce. Nic nie umiałem. Nie miałem żadnego talentu. Dotychczas wydawało mi się, że coś znaczę w życiu, ale tutaj, pod drzwiami, słucha-

jąc, jak małe M-2 wprost rozsadzają młode talenty, zdałem sobie sprawę ze swojej absolutnej niezdatności do czegokolwiek. Ach, towarzyszu Knysz, towarzyszu Knysz, trzeba było silniej nalegać i wciągnąć Dmytra Czeredę do jakiegoś kółka amatorskiego!

Wróciłem na schody, zszedłem po nich powoli i stojąc w bramie długo jeszcze słuchałem elektrycznych gitar. Wydałem się sobie typową ofiarą wysokiego rozwoju ogólnego przy całkowitym braku jakichś talentów. Rury? Przecież nie sposób wszędzie nosić z sobą walcownię! W gruncie rzeczy nie różniłem się niczym od Czemerysa, którego wszyscy uważali w głębi duszy za dziwaka. To dobrze, kiedy człowiek umie ciągnąć rury, ale niedobrze, jeżeli nie umie nic innego, tylko ciągnąć rury.

Wyszedłem na dwór. Powinienem właściwie odejść stąd, gdzie oczy poniosą, bolejąc, że taki ze mnie prostak i że jestem chyba zerem w porównaniu z tymi wesołymi chłopcami, takimi tryskającymi talentami, ale coś mnie tu trzymało, nie puszczała mnie jakaś siła. Spacerowałem po chodniku koło pięciokondygnacyjnego domu płytowego, szarego i niczym się nie różniącego od miliona takich samych domów w całym kraju, słuchałem, jak cały dom rozbrzmiewa muzyką i śpiewem, i niemal łapałem się na tym, że powtarzam w duchu te rytmy i melodie, mimo iż nie nadają się właściwie do powtórzenia, ja zaś nigdy nie miałem szczególnych zdolności do śpiewu.

Nie mogłem się oderwać od tego domu — była tam Waleria.

No tak, nie jestem utalentowany, nie umiem ani grać, ani śpiewać, ani układać wierszy, ani występować w spektaklach jak chłopcy Derżykraja. Powodu do radości nie ma. Chwalić się też nie ma czym. Ale czyż przez całe życie gra się na gitarze? Trzeba umieć coś

robić i to dobrze! Dobra Robota! Przypomniałem sobie swój „Klub Ludzi Pracy". Jakież uzdolnienia mają jego mieszkańcy? Umieją żyć uczciwie, pracować, walczyć z wrogiem, zachowywać się mężnie — popisać się czymś takim na scenie nie sposób. A co najważniejsze, nasi ojcowie nikomu nie mieli za złe, że nie idzie człek przez życie tak jak oni. Im chyba też nikt nic nie wyrzucał. Dziwnie by to zapewne wyglądało, gdyby gitarzysta zaczął krytykować człowieka, który produkuje zboże czy metal. Niekiedy słyszy się zarzuty pod adresem gitarzystów lub poetów, że niby są zjadaczami chleba, ale niezbyt to mądre gadanie. Okazuje się więc, że mam też jakiś talent, nie jestem Krywcunem, który nie może pochwalić się dobrą robotą, a na miarę państwową moje uzdolnienia przewyższają nawet wszelkie inne, nie ma wobec tego powodu, żebym czuł się poniżony i upośledzony.

Chłopcy Derżykraja umieją jednak dobrze pracować i ponadto odznaczają się jeszcze różnymi uzdolnieniami. A sam Derżykraj? Jak świetnie zagrał tego śmiesznego Szejka! Co prawda, trochę komiczny był już sam nasz technokrata w roli skołowanego Szejka, ba, strasznie był komiczny. Ale czyż wszyscy w ogóle szejkowie nie są śmieszni? Prawdę mówiąc, Derżykraj nawet samochód prowadził z talentem, wprost jak cyrkowiec. Ja zaś trzymałem tylko w sobie mieszaną grupę drapieżników, których nie potrafiłem jak należy wytresować. I tyle.

Chodziłem tam i sam przed domem bolejąc nad swoją niższością w porównaniu z innymi, ale w końcu odpędziłem tę myśl, gdyż z takiego kompleksu niższości rodzi się wszystko co najgorsze w człowieku: okrucieństwo, zawiść, mściwość posługująca się często potwarzą, zabobonność, tępota umysłowa, świętoszkowatość. Ale czyż miałem takie wady?

Może po to właśnie, żeby samemu sobie dowieść swojej pełnowartościowości, nie mogłem wówczas odejść od domu Walerii, czekałem na coś, sam nie wiem na co, i byłem również cierpliwy jak owi uczeni, co biedzą się nad problemem zastosowania energii atomowej w celach pokojowych. Doczekałem się wreszcie, że w domu zaległa cisza i na ulicę wysypała się gromadka adoratorów Walerii z nią samą na czele.

Pożegnała ich krótko i chyba z gniewem. Jeden ruch ręką i wszyscy się rozbiegli jak biegacze z linii startu. Wydało mi się, że Waleria jest dziś szczególnie niełaskawa dla swoich wielbicieli, przemknęło mi nawet przez myśl, że może to z przyczyny mojej nieobecności, może dziewczyna urządziła cały ten koncert, żeby mnie oszołomić, wskazać mi właściwe miejsce, ja zaś nie przyszedłem, nie wlazłem na przeznaczoną dla mnie półeczkę i oto bogini się gniewa i rozpędza swoich wyznawców krótkim i kategorycznym gestem.

Ale wtem Waleria zauważyła moją dryblasowatą sylwetkę.

— Mytiu, to pan?

— No... przypuśćmy...

Podbiegła do mnie.

— Ale dlaczego tutaj?

— No... — nie wiedziałem, co powiedzieć.

Waleria wyciągnęła do mnie rękę.

— Od dawna tu pan jest?

— No...

— Ależ co się stało, Mytiu? A może? — Waleria cofnęła się trochę, żeby zmierzyć wzrokiem całą moją długość i przekonać się, czy nie jestem pijany. Zapewniłem ją skwapliwie:

— Nie jestem pijany. W ogóle nie piłem. Nie mam tego szlachetnego zwyczaju.

— Więc co się właściwie stało?

— No... Moje nieposłuszne nogi za nic nie chciały iść.

— Iść? Dokąd?

— No... do pani.

— Nie odważył się pan?

— Nie... Nie o to chodzi... Stałem pod drzwiami... Niedługo... Ale akurat tyle, żeby się przekonać, jaki ze mnie niezdara... Okazało się, że nic nie umiem... Zrozumiałem to tam, pod drzwiami...

— Nic pan nie umie? Co to znaczy?

— No, nie umiem... Ani grać, ani pisać wierszy, ani... słowem, nic, zrodzone z niczego, równa się absolutnemu zeru... Nie jestem gitarzystą... nie...

Waleria znowu ujęła moją dłoń, jakbym to nie ja szukał ratunku w niej, lecz ona we mnie.

— Mytiu, przecież to cudowne!

— Co?

— To, że nic pan nie umie.

— Nie widzę powodu do zachwytu.

— Ależ gdyby pan wiedział, jak mi oni wszyscy obrzydli!

— Kto? — nie wierzyłem własnym uszom. — Kto pani obrzydł?

— Wszyscy! To jakiś powszechny obłęd. Wszyscy wszystko umieją... Wszyscy są utalentowani... Wszyscy są geniuszami. No, każda dziewczyna chce mieć przy sobie człowieka genialnego czy utalentowanego. Ale jeżeli wszyscy dokoła są tacy? To już nie do zniesienia...

— Wobec tego jestem też geniuszem.

— Pan?

— Geniuszem walcowania rur.

Waleria się roześmiała. Cicho i zagadkowo.

— To życie... Ujawnia się w nim istota człowieka...

— Ponadto czuję się geniuszem miłości...

Czym prędzej przesłoniła mi usta dłonią.

— Nic nie mów! Nie bądź taki jak wszyscy... To nie do zniesienia... Może lepiej... Chce się pan przejść nad Dniepr?

— A Pełageja Iwaniwna i zasady?

— Mam już dość tych przebierańców. Mam już dość zasad. Przypomina mi to pływanie pod wodą. Nie ma się na kim oprzeć ani za co chwycić, wszystko jest złudne i o nierealnych barwach, mimo że czasem piękne są te kolory... Nie potrafi pan sobie wyobrazić, co to znaczy być ładną dziewczyną, a wiem, że jestem ładna...

— Usiłuję sobie wyobrazić, że nią jestem — powiedziałem ostrożnie wybierając drogę i podtrzymując Walerię, by nie traciła dyktowanej przyzwoitością równowagi. Przyszła ta dziewczyna na świat, żeby bezustannie wprawiać w podziw przynajmniej jednego obywatela, który zwie się Dmytro Czereda. Robiła to dotąd doskonale, wprost przechodziła samą siebie. Mówiła w ciemności, nie zważała, czy ktoś ją słyszy, czy nie, musiała się za wszelką cenę wygadać, a co do mnie... No, cóż ja? Zgadzam się, by mnie pozbawiono prawa głosu na cały czas, gdy jest przy mnie Waleria. Mówiła śpiesznie, urywanie:

— Boję się. Jestem przez cały czas w napięciu. Czuję się tak nieswojo. Często myślę. Wciąż myślę. Dlaczego nie sposób wziąć świat w dłonie i przyjrzeć mu się z bliska. Co robić? Walczyć? Podporządkować się? Do czego właściwie dążę, czego pragnę? Są we mnie nasiona wszystkich kwiatów i ziół. Zależnie od pogody jedne rozkwitają, drugie giną. Co wybrać? Mój ojciec, dyrektor szkoły, uczy przez całe życie chemii. Ze mnie chcą też zrobić chemika. Straciłam już dwa lata na chemię. Wiem, że są to stracone lata. Co mnie obchodzi ich chemia? Pełageja Iwaniwna i moja mama mają zasady. A co mnie obchodzą ich zasady? Chcę wyrobić sobie

własne. Może nurkuję pod wodę jedynie w tym właśnie celu... Może się chowam... Nie wiem... Pan jest mądry, Mytiu. I raczej głęboki... Rozum, któremu obca jest tkliwość, godzi się za to z ciemną pasją do czegoś jednego...

Wszystkie jazzy świata umilkły zmieszane i zawstydzone, we mnie zaś wygrywała stara, ale zawsze modna orkiestra dęta, a jej miedziana, radosna pieśń nosiła tytuł: „Jak to dobrze być generałem".

W ciemnościach, w które się zanurzaliśmy, słowa Walerii wydawały mi się początkowo tak samo ciemne, nie umiałem pojąć ich znaczenia; poza tym po takiej dziewczynie można się wszystkiego spodziewać, mogła mnie wciągnąć w jeszcze jedną grę, tylko na pozór różniącą się od poprzednich, a w gruncie rzeczy tylko ją powtarzającą. Dzisiaj i zawsze. Dobranoc, dzieci. Chrząstkowate żebra anten nad dachami. Białoniebieskawe szydła ulicznych świateł w ciepłym śnie miasta. Oczy Walerii były teraz niebieskoszare czy może szaroniebieskie. Czyż miało to jakieś znaczenie? Miały je tylko jej słowa. Ale czy rzeczywiście tylko słowa? Wszystko sprowadzało się do faktu, że jest taka nieodgadniona, w czym było wiele wspólnego z ciemnością. Wystarczyło ostrożnie zerknąć na Walerię z ukosa i od razu zauważyłem, że jest jakby cała biała. Biała dziewczyna i słowa jej też są białe. Okazało się, że niebywale pociągające było w niej nawet to, co najbardziej mnie denerwowało, kiedyśmy się poznali i kiedy uparcie powtarzała swoje „nie wiem". Jeżeli trzeba by już wybierać między nic i wszystkowiedzącymi, to wybrałbym tych pierwszych, bo nie są to ludzie nie rokujący żadnej nadziei, gotowi są nauczyć się mnóstwa pożytecznych i szlachetnych rzeczy. Nie będę zbyt skromny i prócz Walerii zaliczę do nich również Dmytra Czeredę... A ci wszystkowiedzący...

Miałem w tej chwili wielką chęć zapytać Walerii, czy nie zażartowała sobie wczoraj z Derżykraja. Ale umilkła nagle, zdawała się garnąć do mnie z ufnością, więc każde pytanie byłoby nietaktem. Nie miałem tu żadnego doświadczenia, zdawało mi się, że wiem o miłości wszystko prócz tego tylko, jak czerpać z niej rozkosz, w sprawach miłości kierowałem się dotychczas prymitywnymi uczuciami posiadacza, które Waleria zabiła we mnie już w pierwszym dniu naszej znajomości czy raczej nie zabiła, lecz po prostu zapędziła w ciemną głąb mej duszy. A wiadomo przecież, że choroba stłumiona, zapędzona w głąb, wcześniej czy później odezwie się w człowieku, jeszcze cięższa i bardziej bezlitosna.

Znaleźliśmy się jakoś nad Dnieprem, tuż przy ogrodzie starej Derżykrajowej. Nasz Dniepr od dawna nie jest już rzeką, lecz akwenem czy, jak go nazywają gazety, „morzem"; ta olbrzymia, szeroko rozlana kałuża kwitnąca latem niby trująco zielony kwiat, jesienią i wiosną, gdy wieją silne wiatry, bije bezlitośnie o wysokie brzegi, które trzeba było w końcu umocnić w pobliżu naszego miasta dużymi płytami betonowymi. Woda dotarłaby już dawno do ogrodu starej Derżykrajowej, gdyby nie te płyty, które ułożone były na stromym zboczu począwszy od jej wisien aż do ciemnej wody; spoczywały te płyty w ciemnościach, pogrążone w szarym, niezmąconym spokoju, było w nich coś z kosmodromu czy jakiejś obcej planety, zwłaszcza w zestawieniu z zielonymi sławnymi wiśniami Derżykrajowej.

— Chyba już tu kiedyś byłam — jakby zdziwiła się trochę Waleria i od razu wybuchła we mnie moja choroba niczym potężna rakieta siejąca totalne zniszczenie, ożyły wszystkie moje podejrzenia, poczułem, że jestem zazdrosny o Walerię w stosunku do wszystkich znajo-

mych i nieznajomych, do całej męskiej ludności planety, że jestem zazdrosny absurdalnie i bezpodstawnie, że się ośmieszam.

— Odnoszę wrażenie — powiedziałem chrapliwym głosem — że była pani wszędzie i zawsze...

Spróbowała żartem zasłonić mi dłonią usta, ale uchyliłem się i dokończyłem wprawdzie ze złością, ale już inaczej:

— Stosuje pani zasadę spikerek z telewizji: są własnością ogółu, należą do wszystkich i do nikogo. Działają pobudzająco nic z siebie nie dając...

— Przedziwne jest to miejsce — powiedziała Waleria — nie, raczej nigdy tu nie byłam. Nawet nie myślałam, że w naszym mieście mogą być takie miejsca. Beton i drzewa. Nie wie pan, Mytiu, co to za drzewa w tym sadzie?

— Wiśnie. Nawiastem mówiąc, kiedy byłem mały, właśnie z tych drzew kradłem wiśnie. Najsłodsze w całym Związku Radzieckim. A wiśnie radzieckie są najsłodsze na świecie. Mam nadzieję, że wiadomo to pani.

— A beton jest najbardziej szary? O, przecież jest ciepły! Niech pan dotknie tych płyt i przekona się, jakie są ciepłe!

Położyłem dłoń na betonie — był szorstko-ciepły, jak by to określił komputer Derżykraja. Wypadałoby może powiedzieć Walerii, przed czyim ogrodem stoimy, ale nie miało to już znaczenia ogólnonarodowego i zresztą nie staliśmy tam długo. Przekonawszy się, jakie ciepłe są betonowe płyty na łagodnie opadającym ku rzece brzegu, usiedliśmy na nich nieśmiało, a między nami usiadła nieśmiałość, niewiasta, która — jak wiadomo — nie odznaczała się nigdy nadmiarem sił. Także tym razem zabrakło jej sił, żeby się utrzymać na dość stromej betonowo-kosmodromowej pochylni i osunęła się powoli w dół, znikła w ciemnościach, utonęła w od-

wiecznej ciepłej wodzie naszej rzeki, tak że znaleźliśmy się oboje bardzo blisko jedno przy drugim, w odległości sprzecznej ze wszystkimi znanymi zasadami techniki bezpieczeństwa.

Płyty betonowe były takie ciepłe, tak wytrwale słały się po całym zboczu, a kąt ich nachylenia stale zagrażał przejściem w kąt padania. Nie będąc w stanie przeciwstawić się prawom natury zsuwaliśmy się powoli w dół i zdawało się nam, że rozciągają się tam kosmodromy największych nadziei, że będą z nich startowały niepowstrzymane rakiety naszych uniesień.

„Jak to dobrze być generałem" — wygrywały we mnie miedziane instrumenty orkiestry dętej.

Realność naszych planów — to ludzie. Realność naszych ludzi — to zebrania. Sądzi tak sekretarz egzekutywy komsomolskiej naszych zakładów, bardzo sympatyczny chłopiec, trochę pomylony na punkcie ciągłego zwoływania zebrań. Zatelefonował do mnie akurat wtedy, kiedy wbijałem się w garnitur Ira Leonowicza, i zawiadomił mnie łaskawie, że nazajutrz odbędzie się kolejne i, rzecz jasna, nadzwyczaj ważne zebranie, na którym zaciągniemy nowe i, rzecz jasna, zwiększone zobowiązania. Jako pierwszy do głosu zapisany jestem ja, przodownik produkcji Dmytro Czereda, który wznosi wysoko sztandar i stoi wiecznie na warcie pracy.

— Na medal — ucieszyłem się — a o tym wiecznym staniu na warcie — wprost genialnie! Sam bym się nigdy nie domyślił. Jakoś mi się zdawało, że od dawna już nie stoję, tylko siedzę przy pulpicie i wcale nie wiecznie, bo zaledwie przez jedną zmianę. Sześć godzin dziennie jak wszyscy w walcowniach Związku Radzieckiego.

— Przecież wiesz, że to przenośnia.

— Co do tego, że zabiorę głos — to również przenośnia. Nie zabiorę.

— No, no, nie gadaj głupstw. Zostało uzgodnione.

— Na zebraniu też nie będę.

— Czereda, nie zadzieraj nosa. Wiem, proponowano na moje miejsce ciebie, ale na razie...

— Siedź na swoim miejscu, spróbuj tylko rozruszać się trochę. Bo beznadziejnie utknąłeś na pierwszym punkcie porządku dziennego.

— Na jakim pierwszym punkcie?

— Żeby dawać metal. Rury. Żelazo. Ugrzązłeś w żelazie. A powinieneś przejść do drugiej sprawy. Bo przepadniesz. Jesteś przecież młodym człowiekiem.

— Do jakiej drugiej sprawy? — wrzasnął do słuchawki spłoszony sekretarz. — Żarty sobie stroisz, Czereda!

— Do sprawy miłości. Nie słyszałeś? Przechodzimy do miłości. Rozumiesz? Możesz zapisać... Przechodzimy do miłości. Oto całe moje przemówienie.

Rzuciłem słuchawkę na widełki, wbiłem się w garnitur Ira Leonowicza i popędziłem do Walerii.

Gitary elektryczne milczały. Klatka schodowa nie obudziła rezonansu w mojej klatce piersiowej. W M-2 nikt nie recytował wierszy. Drzwi mi otworzyły jej ręce, białe ręce. Ręce twe ciszy strzegą, kiedy już nie sposób ani śmiać się, ani płakać.

W drzwiach stała... Pełageja Iwaniwna.

— To pan? — mocno ściągnęła swoje ładne czarne brwi, jeszcze bardziej czarne pod siwymi włosami. Pełageja Iwaniwna należała do kobiet, których uroda opiera się niszczycielskiemu działaniu natury i nabiera z czasem więcej jeszcze wyrazu i szlachetności. Ale najszlachetniejsza nawet uroda nie wyklucza słów przykrych, nawet obraźliwych.

— Proszę wejść — powiedziała Pełageja Iwaniwna — proszę wejść i powiem panu...

— A Waleria? Jeszcze nie przyszła? Nie ma jej? — nie poznałem swego głosu. Skrzyżowanie owieczki z barankiem. Me-e-e i be-e-e. Towarzyszu Czeredo, przecież macie jutro przemawiać do mas komsomolskich! Przypomnijcie sobie tego Greka, co uciekł z pola bitwy, a potem wprawił w podziw wszystkich swoich przyjaciół i wrogów wygłaszając przemówienia.

— Walerii nie to że jeszcze nie ma, tylko już nie ma — oświadczyła surowym głosem Pełageja Iwaniwna. Teraz dopiero zauważyłem, że trzyma w ręku książkę, widocznie czytała i poszła mi otworzyć z książką w ręku. Wydało mi się również, że jest to ta sama książka, którą widziałem w rękach Pełagei Iwaniwny owego wieczoru, kiedy zawarłem znajomość z nią i jej zasadami.

— Co to, książka? — zapytałem tym samym jagnięcym głosikiem. Idiotyczny głos i jeszcze idiotyczniejsze pytanie.

— Dostojewski — łaskawie oświeciła mnie Pełageja Iwaniwna — czytam tylko Dostojewskiego. Czytam wiele razy wszystko, co napisał. W jego „Dzienniku"... Nie czytał pan oczywiście?

— Słusznie.

— Wiem. Młodzież w ogóle nie czyta Dostojewskiego. Otóż pisze on w swoim „Dzienniku"... Pisze, że gdyby Bóg wezwał wszystkich na sąd ostateczny i zapytał ludzi, z czym do niego przyszli, ludzie by zaniemówili i zaległaby tysiącletnia cisza, a milczenie to przejmowałoby zgrozą. Ale potem wyszedłby spoza ludzkiej ściany niewysoki człowiek, kulejąc zbliżyłby się do tronu i wręczył Bogu książkę, na której wszyscy przeczytaliby „Don Kichot".

— Mniej więcej tak samo mówił o „Don Kichocie" Lonia Szlachtycz — ucieszyłem się jakoś.

— A kto to taki Lonia Szlachtycz? — zapytała Pełageja Iwaniwna.

— A gdzie jest Waleria? — zdobywając się na odwagę zapytałem również, pozostawiając pytanie Pełagei Iwaniwny bez odpowiedzi.

— Waleria? Chce pan wiedzieć... Ma pan dość czelności, żeby pytać... Wie pan, Waleria jeszcze przed nikim nie uciekała.

— Uciekała?

— Tak, tak, mamy zasady... Ale pan... Przed panem... uciekła po prostu w popłochu. Nic podobnego dotąd się nie działo... Nasze zasady...

— Uciekała?

— Chyba powiedziałam...

„Kołaczku, kołaczku, zjem cię! Przed babką uciekłem, przed dziadkiem uciekłem i przed tobą ucieknę..."

— A dokąd?

— Powinien pan wiedzieć... Tam, gdzie ta cała ohyda... wprost przez usta mi nie przechodzą te słowa... Pływanie... Nurkowanie... Płazy... Amfibia... Fe! Okropność!

Co nam wiadomo o wieczności? Nieskończone istnienie i trwanie? Ale żabie plemię istnieje pięćset milionów lat, czyż to wieczność? Żaby to po prostu nagie gady. Nie są nawet płazami, które można uważać za stworzenia wyższe i rozumniejsze, gdyż osiągnęły już zasadę koła i nauczyły się skręcać w krąg symbolizując mądrość bodaj w kształcie zewnętrznym. Żaby są po prostu nagimi gadami. Pięćset milionów lat nurkowania...

— Jak Waleria mogła wyjechać? Dokąd i po co? — krzyknąłem. — A pani zasady? Dlaczego nie powstrzymała jej pani? Przecież jest pani jej ciotką! Przecież...

— Niech pan wsiądzie do samolotu, zeskoczy ze spadochronem nad morzem, stanie na brzegu i rozpostarłszy ramiona nie dopuści Walerii do wody — poradziła nie bez złośliwości Pełageja Iwaniwna. — Niech pan spróbuje jej nie puścić... I zadepeszuje mi pan, jak się to panu udało... Będę wdzięczna... Powodzenia...

Otworzyła mi drzwi, więc wypadłem na schody, zapomniawszy nawet zapytać, nad jakie morze pojechała Waleria, nad Czarne czy Białe.

A może wystrychnięto mnie po prostu na dudka?

Pobiegłem nad Dniepr. Na kosmodromowo-betonowy brzeg koło ogrodu starej Derżykrajowej. Na skraju betonowych płyt siedziała w ciemnościach parka. Trzymali się dość mocno nie zdradzając tendencji do przejścia w kąt padania. Podbiegłem do nich jak żwawy ormowiec. Pocałunki i uściski w obrębie miasta są surowo zabronione! Spojrzały na mnie od razu dwie pary oczu. Zrobiłem straszną minę! Przyjemna to rozrywka straszyć kogoś, kogo się nie boisz!

„Kołaczyku, kołaczyku... Od dziadka uciekłem, od babki uciekłem i od ciebie ucieknę..."

A może wyjechała z Derżykrajem? Która dziewczyna oprze się pokusie przejechania w oszalałym wozie stu, dwustu, trzystu kilometrów.

Wróciłem do domu. Wiatry nękających mnie podejrzeń wiały w moje żagle, wpadłem do mieszkania jak duch zemsty i zniszczenia, ale w przedpokoju chodziła na palcach Zizi, która od razu przyłożyła palec do umalowanych ust: — Pst! On pracuje!

Derżykraj przygotowywał piękne przemówienie na piękne sympozjum, które powinno się odbyć wkrótce lub kiedyś tam.

— Wysmarujesz sobie palec pomadką — mrugnąłem do Zizi gotów uściskać nie tylko siostrzyczkę, ale również mego wielce uczonego, cudownego szwagra.

Znowu mnie coś pociągnęło na Skrzypajkę, na zieloną trawę, pod wiązy, których wierzchołki schną tak tajemniczo. Usychałem również jak wiąz.

Przeleżałem cały dzień na trawie, ale wcale się nie uspokoiłem.

Mało mi było jednego dnia. Tydzień, miesiąc, rok, wieczność! Poszedłem do Derżykraja oficjalnie, w pracy, nie skorzystałem z faktu, że łączą nas stosunki rodzinne, przedarłem się do jego elektronowego gniazda.

— Muszę mieć urlop. Jeden miesiąc zwykłego i miesiąc bezpłatnego. Dwa miesiące.

— Bez żartów — surowo wycelował we mnie swoje okulary Derżykraj. — Mamy teraz w hucie pełne napięcia dni. W całym kraju również. Czyż można mówić o urlopie, w dodatku na dwa miesiące?

— Nie przypominam sobie dni, które nie były pełne napięcia. Jest tak zawsze. Z tą różnicą, że obecnie moje własne dni są takie również.

— To pięknie. I to ci właśnie pomoże pięknie pracować, żeby...

— Żeby dawać krajowi piękne rury — dopowiedziałem i poszedłem na dół, gdyż poczułem niepowstrzymaną chęć uszkodzenia morskiego kabla telegraficznego.

Dziesięć dni, które wstrząsnęły Dmytrem Czeredą! Dziesięć dni niepewności, dziesięć wieczorów biegania do znanego mi już domu, dziesięć dni wysłuchiwania tych samych słów Pełagei Iwaniwny o zasadach! A dziesiątego dnia dostałem list! Widocznie po to się urodziłem, żeby od czasu do czasu otrzymywać listy i to za każdym razem coraz dziwniejsze.

Tym razem nie zaszła żadna pomyłka. Na kopercie było napisane: „Dmytro Czereda, Klub Ludzi Pracy". Teraz Waleria nie może już wzruszyć ramionami na wzmiankę o „Klubie Ludzi Pracy" ani bąknąć lekce-

ważąco „nie wiem", usłyszawszy nazwisko Dmytra Czeredy.

Sama napisała do mnie list! Sama Waleria!

„Mytiu! Tak się złożyło, że musiałam wyjechać i znalazłam się aż w Sudaku. Mogliśmy tu zresztą nie przyjeżdżać, ale zrobiliśmy to rozmyślnie, bo sześćset lat temu był tu port, w którym panowali genueńczycy, my zaś postanowiliśmy sobie jeszcze w ubiegłym roku, że będziemy szukać genueńskich okrętów zatopionych w pobliżu przylądka Meganom. A może to jakiś ukryty pociąg każe człowiekowi przed opuszczeniem się na dno morza wejść na szczyt górski? Góra zaś, na której w swoim czasie konsul genueński Torcello wybudował fortecę broniącą portu, jest taka szczególna i tak się wyróżnia nawet na tle górskiego krajobrazu krymskiego, że nikt nie mija jej obojętnie. Kusi każdego, każdy chce się wedrzeć na sam szczyt, na którym zachowały się jeszcze ruiny, deptać spalone przez słońce burzany na zboczach góry, zajrzeć do kamiennych wież, zbudowanych w ten sposób, że od strony fortecy są otwarte i okazuje się, iż nie są to nawet wieże, lecz jakby kamienne tarcze. Zachowały się również ruiny cerkwi, jedną zbudowali ponoć Bizantyjczycy w piątym wieku, pozostały resztki dwóch wież tureckich, jedna nazywa się Katara-kule, czyli Wieża Przekleństwa, natomiast druga, w odróżnieniu od tamtej posępnej nazywa się Kiz-kule, czyli Wieża Dziewicy, co sprawiło przyjemność mnie, a jeszcze większą naszym chłopcom, bo nasza grupa płetwonurków składa się z samych chłopców i jednej dziewczyny — Twojej Walerii.

Dzień spędziliśmy na zwiedzaniu fortecy w Sudaku, następnego dnia załatwialiśmy różne sprawy, gdyż w Sudaku wszystko połączone jest z trudnościami, nawet wysłać list nie jest tak łatwo. Sudak, jakby to określił Dmytro Czereda, pod każdym względem osiąga

poziom światowych standardów, innymi słowy, wszędzie stoją tu kolejki. Kolejki do kawiarni, kolejki na przystankach autobusowych, kolejki w sklepach, kolejki na poczcie. W dodatku kolejki dzikie, plemię turystów bowiem okupując Sudak zachowuje się tak bezczelnie, że chyba przewyższa pod tym względem zdobywców, którzy panoszyli się tutaj w ciągu całych stuleci. A byli tu Bizantyjczycy, Połowcy i Tatarzy, genueńczycy i Turcy.

A propos, Mytiu, zapomniałam panu powiedzieć, że na herbie genueńskich konsulów widniały koła, a w nich całujące się gołębie.

Teraz ściągamy cały nasz ekwipunek na przylądek Meganom i będziemy tam nurkować, póki nie znajdziemy statku genueńskiego, który zatonął przeszło pięćset lat temu i który musimy znaleźć koniecznie!

Proszę, niech pan przekaże pozdrowienia cioci, bo jestem za leniwa, żeby napisać drugi list. A Panu śle pozdrowienia — Waleria".

Nie wiem, czy ktoś otrzymywał takie listy, bo ja — nigdy. Odrzućmy jeszcze przypuszczenie, że Waleria postanowiła napisać dla mnie popularny przewodnik po Krymie, a wtedy jej list mógłby zostać upamiętniony w kronikach jako jeden z najwspanialszych dokumentów zaufania i szczerości. Moja tragedia kryła się, co prawda, w fakcie, że nie mogłem nikomu pokazać listu od Walerii, nie mogłem się nim pochwalić, nawet napomknąć, że dziewczyna, którą kocham, przysłała mi pierwszy list uwierzytelniający. Niegdyś nadawała się na powiernicę Zizi, ale obecnie była niewolnicą Derżykraja. Z niewolnikami zaś nie chciałem mieć nic wspólnego, gdyż urodziłem się jako człowiek wolny w wolnym kraju, a podporządkowywałem się tylko prawom natury, z którymi też walczyłem ze wszystkich sił. Właściwie nie mogłem powiedzieć o liście także Pełagei

Iwaniwnie, co równało się nieuczynieniu zadość prośbie Walerii, gdyż musiałbym się przyznać do własnej bezsilności i niemożności zachwiania twardymi zasadami, które wymyślone przez ciotunię spadały na moją głowę.

Widocznie byłoby najprościej odpowiedzieć Walerii. Wszystkie listy bowiem, prócz otwartych, ogłaszanych w gazetach, dotyczą dwóch osób. Ale dokąd pisać? Wziąłem kopertę i napisałem: „Krym. Przylądek Meganom". Gdzie jest ten przylądek i co to takiego — nie miałem zielonego pojęcia. Czy mieszkają tam ludzie, czy też żyje tylko szarańcza? I gdzie tam szukać Walerii? Zastanowiwszy się jeszcze trochę dopisałem: „Mieszana grupa drapieżników". Przeczytałem i bardzo się zdziwiłem: skąd tu drapieżniki, skąd się wzięły? Przekreśliłem „drapieżników" i napisałem na górze „płetwonurków". Brzmiało to teraz: „Krym. Przylądek Maganom. Mieszana grupa płetwonurków". Nieźle brzmiało. Nie chcąc jednak zbyt wiele ryzykować, postanowiłem nie rozpisywać się zbytnio, lecz sformułować swe myśli zwięźle i bez aluzji. Słowem, że miejscem człowieka jest ziemia. Pod wodą natomiast żyją tylko ryby i nagie płazy. Słowem, nieco takich lądowych morałów.

Nie wiem, czy otrzymała Waleria owoc tego mędrkowania, ale wyczuła widocznie na odległość, nad czym łamie sobie głowę Myt'ko Czereda, bo wysłała do mnie drugi list, który odebrałem od razu, kiedy wrzuciłem do skrzynki epistołę.

„Mytiu! Mistrz sportu, płetwonurek ratownik Witia Jegorczenko zginął w roku ubiegłym wśród podwodnych skał, torując drogę do krateru podwodnego wulkanu. Stało się to w takim miejscu, że nie mogli się tam przedostać nurkowie w skafandrach, ostre posępne skały zwarły się tak szczelnie, że nie przepuściły nawet

nagich płetwonurków z akwalungami. Było tam pewnie tylko jedno przejście, które Witia zgubił przedostawszy się do krateru, i którego nie udało się nam znaleźć, tak że nasz towarzysz zginął. Pisano o tym wydarzeniu w gazetach, w tytułach figurowało słowo «czyn bohaterski».

Przyjaciele Witi otrzymywali wówczas dziesiątki depesz, ale zapamiętałam szczególnie jedną. Bez podpisu, zaledwie cztery słowa: «Przepraszamy, że jeszcze żyjemy...» Wyrzekł te słowa bohater Związku Radzieckiego, pilot śmigłowca Jurij Garnajew przemawiając do wdów po swoich przyjaciołach oblatywaczach. On sam zginął kilka lat temu w bezsensownej katastrofie nad Francją.

Witia Jegorczenko marzył, że dotrze pod wodą do tajemniczej Tuskarory — morze jest tam zimne, ludzie znają je raczej z legend niż z opowiadań podróżników. Teraz inny młody człowiek będzie marzyć o Tuskarorze i może kiedyś rzeczywiście opuści się na dno tajemniczej głębiny i pijany szczęściem zasygnalizuje na ląd: «Jestem tutaj! Jestem w Tuskarorze!» Może będzie tym młodym człowiekiem przyjaciel Witi, Fedia Łysko, a może ci tutaj chłopcy, co zamierzają właśnie znowu pójść pod wodę, w cień posępnego Meganomu, gdzie spoczywa szczerniały w ciągu długich lat okręt z zagadkowym herbem na rufie — w rzeźbionych kołach całujące się gołębie.

A wieczorem słuchałam, jak chłopcy śpiewają, i żałowałam, że nie znam słów i w ogóle nie umiem śpiewać, nic nie umiem jak pewien mój przystojny znajomy z żelaznego grodu nad Dnieprem. Zdawało się, że nasz ciemny cypel umilkł, żeby lepiej słyszeć. Chłopcy śpiewali, a słowa piosenek były trochę smutne jak powieści Grina.

Z rana obudził nas wesoły głos dyżurnego, który darł się jak na licytacji:

— Kasza — raz! Kasza — dwa!

U was tam, na równinie, jak się tutaj mówi, upały, a nad morzem wszystko tchnie świeżością, w dole, u stóp przylądka wieje wiatr i marszczy toń morską, która wygląda jak tarka do prania bielizny. Kiedy patrzę na morze, jakoś zawsze mi się wydaje, że jest w nim więcej życia niż na lądzie. Może dlatego, że jest stale w ruchu. A życie — to ruch. Powie pan pewnie: życie — to śmiech. Jedno drugiemu wszakże nie przeczy. Dlatego — Waleria serdecznie pana pozdrawia. I całuje".

Tydzień upłynął mi pod znakiem kaszy. Wszystkim już dokuczyłem: Szlachtyczowi, Derżykrajowi, domownikom, Klementynie, nawet Krywcunowi, bo ni z tego, ni z owego krzyczałem: „Kasza — raz! Kasza — dwa!" I śmiałem się jak komputer Derżykraja z zaprogramowanym przez pomyłkę śmiechem zamiast poważnego zadania.

Zaślepiony szczęściem nie zwróciłem uwagi, że w tych właśnie dniach Derżykraja opanował jakiś niepokój, który stale wzrastał. Derżykraj pędził swoim wozem co wieczór i jeździł coraz dalej, bo noce były teraz jasne i krótkie, ściemniało się gdzieś koło dziesiątej. Derżykraj oddalał się o kilkaset kilometrów od miasta i zapuszczał się coraz dalej w głąb stepu, tak że zdawało się czasem: nie wróci już stamtąd, pozostanie na zawsze. Wracał jednak za każdym razem jak bumerang, ja zaś krzyczałem mu: „Kasza — raz! Kasza — dwa!", krzyczałem nie tyle jemu, ile swojej siostrzyczce Zizi, która okropnie zmizerniała wypatrując co noc swego zwariowanego męża. Ale chyba bumerang można rzucać tak, żeby nie wrócił. Sam się nie przekonałem, bo nie rzucałem. Upewniłem się jednak na przy-

kładzie Derżykraja, że może tak być. Wróciwszy raz z huty ujrzałem bowiem na własne oczy trzeci histeryczny atak Zizi, która wylała tyle łez, że w „Klubie Ludzi Pracy" można było wznieść najprawdziwszą Zaporę Asuańską. Spróbowałem wykrzyczeć swoje hasło: „Kasza — raz!" tak dziarsko, że mogło podnieść umarłego z grobu, ale na moją siostrunię nie działały żadne hasła, gdyż — jak mnie poinformowała mama — Derżykraj wreszcie opracował swoje piękne przemówienie i pojechał dzisiaj na piękne sympozjum, na które nie chciał zabrać swojej własnej małżonki, jakkolwiek ta nie zważając na osobiste bezpieczeństwo zamierzała pojechać z mężem.

Wykrzyczałem więc drugą część swego hasła: „Kasza — dwa!" i zapewniłem Zizi, że jej mąż wróci, a jeszcze przedtem przeczytamy w gazetach, jak pięknie tam przemawiał wspaniały specjalista Derżykraj. Otrzyjcie więc łzy, matki i żony, niechaj orkiestry dęte grają marsze, dla mnie zaś: „Jak to dobrze być generałem!"

Nie wziąłem pod uwagę nadczułej konstrukcji duszy kobiecej, zdolności kobiet do przeczuwania wszystkiego co dobre i co złe, jakoś sądziłem, że w naturze ludzkiej leży tylko zdolność do przewidywania, jaką posiadał także ów francuski astronom (zapomniałem, jak się nazywa), który przewidział istnienie jakiejś z naszych dziewięciu czy iluś tam planet.

Miałem się jeszcze przekonać, że kobiety rzeczywiście posiadają taką zdolność, gdyż u Zizi występowała w stopniu najwyższym, ale będzie to później, a tamtego wieczoru śmiałem się na całe gardło i układałem swój chyba już dwudziesty list do Walerii, zamierzając go odesłać pod wymyślonym przez siebie samego adresem: „Krym. Przylądek Magnom".

Przed wyjazdem z domu nasz cudowny Derżykraj wraz z różowym brzaskiem przyszedł do obywatela,

który zwie się Myt'ko Czereda, i wcale energicznie potrząsnął nim, to znaczy owym obywatelem Czeredą za tę część ciała, na którą ów Czereda zamierzał kiedyś wziąć jeżeli nie cały świat, to przynajmniej jego lepszą połowę. Nietrudno się chyba domyślić, że chodzi o ramię, ściślej, o prawe ramię, gdyż lewe zostało całkowicie oddane zabobonom, lewego ramienia nie podstawia się pod brzemię, najwyżej pluje się przez nie na szczęście, prawe zaś ramię...

Otóż potrząsnął mną Derżykraj za prawe ramię, kiedy zaś nie otwierając oczu wymamrotałem coś bardzo miłego, powiedział spokojnie:

— Wstawaj, Mytiu, musimy pogadać.

Trudno o lepszą porę do rozmów!

Derżykraj był jednak człowiekiem mądrym i domyślił się od razu moich wątpliwości co do wyboru tej pory, więc dodał od razu:

— Spieszę się. Muszę zdążyć w porze obiadowej na sympozjum.

Była to już inna para kaloszy, jak mówią niezbyt wykształceni, lecz weseli chłopcy: któż by przez wzgląd na sympozjum nie zrezygnował z jakiejś tam godziny snu! Zerwać się z łóżka, umyć i ubrać w jakieś letnie minimum, by wyglądać przyzwoicie w rozmowie z taką osobistością jak Derżykraj — wszystko to było kwestią minuty.

Derżykraj przyglądał mi się bacznie.

— Zapomniałeś włożyć obuwie — przypomniał mi kierując wzrok na moje bose nogi.

— Przecież zamierzamy porozmawiać, nie spacerować po ulicy?

— Rzecz jasna. Chciałem jednak, żebyś się trochę ze mną przejechał.

— Zamiast gimnastyki porannej?

— Powiedzmy.

Musiałem więc włożyć obuwie, wsiąść do wozu Derżykraja, asystować przy pożegnaniu z Zizi i jeszcze przeżyć tę nieznośną chwilę pierwszego poderwania samochodu z miejsca.

Właściwie o samochodzie i szalonej szybkości zapomniałem niemal od razu, gdyż ledwieśmy się oddalili trochę od domu, Derżykraj podał mi złożony we czworo arkusik papieru.

— Co to jest? — zapytałem bez szczególnego zainteresowania.

— Rozwiń i przeczytaj.

Posłuchałem mądrej rady. Rozwinąłem. I nie przeczytałem, lecz pochłonąłem. Papierek był, jak się okazało, depeszą. Na moje nazwisko. Znowu: „Dmytro Czereda, Klub Ludzi Pracy". Tekst depeszy brzmiał: „Chcę, żeby był pan tutaj. Waleria".

„Pan" — to znaczy ja, Dmytro Czereda. „Tutaj" — to znaczy na przylądku Meganom, gdzieś na Krymie, czyli nad Morzem Czarnym. Telegram znalazł się w ręku towarzysza Derżykraja, a więc mego przeciwnika czy może nawet rywala! Konflikt, na którym można zbudować całą powieść. Niejedno zrujnowane życie, tragedie, tromtadrata! Nie, z czym do gościa!

— Kiedy przyszedł telegram? — wrzasnąłem.

— Dwa dni temu.

— Nie rozumiem. Powtórz.

— Dwa dni temu.

— Zatrzymaj wóz! — znowu zaryczałem.

Derżykraj uśmiechnął się samymi tylko oczami i dodał gazu, jakkolwiek wydawało się, że nie sposób już dodawać.

— Zatrzymaj się! — krzyczałem, ale wzruszał tylko ramionami. Że niby nie panuje już nad wozem, a poza tym komuż w naszych stresowo-cybernetycznych czasach nie wiadomo, że człowieka, który leży, już się nie

bije, i nie bije się również kierowcy, kiedy prowadzi samochód rozpędzony do takiej wariackiej szybkości.

— No dobra — ustąpiłem. — Więc może wytłumaczysz mi swoje...

Nie mogłem znaleźć odpowiedniego słowa. „Chamstwo" zabrzmiałoby zbyt prymitywnie, „świństwo" w ogóle się nie nadawało.

— Możesz mi to wszystko wytłumaczyć? — krzyknąłem na Derżykraja, na spokojnego, na wysoce wykształconego intelektualistę Derżykraja, który rozpędził wóz do takiego stopnia, że powinniśmy się byli rozbić już tysiąc razy, stać się dymem i płomieniem, czego chyba sobie teraz życzyłem jak największego szczęścia. Nie rozbiliśmy się jednak, nie wybuchnęliśmy i nie przekształciliśmy się w dym i płomień, Derżykraj prowadził bowiem wóz żelazną dłonią i żaden muskuł w nim nie drgnął nawet pod wpływem moich histerycznych krzyków.

Niespodzianie zaczął mówić. Nie odpowiadał na moje pytania, nie usprawiedliwiał się, nie prosił o wyrozumiałość.

— Moja wina — powiedział Derżykraj. — Stało się i tyle. Straciłem głowę — dziwne uczucie i prawdę mówiąc głupie. Zdaje się, że się domyślasz. Ale co robić? Bywa tak czasem... Coś mnie naszło... Podpatrzyłem jak smarkacz, kiedy dostałeś list... Pobiegłem do Pełagei Iwaniwny. Sympatyzuje ze mną, gdyż z zasady sympatyzuje z poważnymi ludźmi. Powiedziała mi, gdzie jest Waleria... Omal tam nie napisałem... Byłby to szczyt głupoty. Ta depesza powstrzymała mnie, otrzeźwiałem. Ale nie oddałem ci jej od razu. Dlaczego?

Milczałem...

— To najczystsze serce ze wszystkich, jakie tylko być mogą...

Milczałem.

— Nie myśl... nie jestem ordynarnym lowelasem... W „Braciach Karamazow" Dostojewskiego mówi Fiodor Pawłowicz Karamazow, ten stary rozpustnik, że wszystko, co duchowe, zostało w nim zniszczone, ale pozostała niezwykła żądza życia... Nie myśl tak o mnie... To co innego... Wiąże się z chłodem tego świata, w którym żyję. Technika to okrutna rzecz. Wprost odgranicza cię od ludzi. Rozumiesz?

Milczałem.

— Ciężko mi. Niebywałe napięcie. Literalnie nieludzkie. Mózg pracuje przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie sposób się wyłączyć. Nic nie pomaga. Alkohol? Jestem przeciwnikiem. W dodatku nie działa. Dlaczego zakochałem się w Zizi? Wytłumaczę ci. Wydawało mi się, że jest silną naturą. Pociągało mnie w niej, że była nieposkromiona jak Szekspirowska Katarzyna. To mocniejsze niż alkohol. Poskromić taką nieujarzmioną. To piękne! Ale Zizi załamała się od razu, uległa mi, podporządkowała się. Gdyby zechciała walczyć! Wieczna walka! Walka o niezależność. O własne ja. Ale... Zgadzasz się ze mną?

Milczałem.

— Ucieszyłem się, kiedy spotkałem ciebie. Ale jesteś tylko przeciwnikiem. Tymczasowym. Można cię zwyciężyć sposobem czysto administracyjnym. I żadnego ciepła. Chłód. A tak mi potrzeba ciepła. I oto przyprowadziłeś Walerię. Było to samo ciepło. Miliony białych słońc! Wydała mi się najbielszą istotą na świecie A tobie?

— No dobra — przerwałem w końcu swoje pełne konsternacji milczenie. — Białe koszule, biała Waleria, białe słońca. Powiedzmy. A dlaczego przetrzymałeś depeszę?

— Wybacz, ale chodziło mi o ciebie.

— O mnie?

— Tak. Przeląkłem się... o ciebie, tak samo jak przedtem o siebie. Nie dlatego, że jesteś moim krewnym, i nawet nie dlatego, że jesteś wartościowym członkiem społeczeństwa, nazywając rzecz oficjalnie. Odegrały rolę zwykłe uczucia ludzkie.

— Ludzkie?!

— Wyobraź sobie. Poczułem się dotknięty tą depeszą. Nie dlatego, że nie ja byłem adresatem, lecz ktoś inny, jakkolwiek okazała się tym pierwszym bodźcem, który zmusił mnie do przezwyciężenia swojej słabości i przyjrzenia się faktom...

— Ze stanowiska komputera?

— Wyobraź sobie, że ze stanowiska człowieka, który jest najwspanialszym tworem, chlubą natury. Pomyślałem o godności ludzkiej, której nie wolno narażać na szwank, przyszły mi na myśl takie obce, jak sądzę, naszym komputerom pojęcia, jak honor i duma. I poczułem się dotknięty. Całkowicie pogrążony w świecie ścisłych wymiarów, nieraz też zapominałem o szczytnych pojęciach; a wszak powinien kierować się nimi człowiek, zwłaszcza ten, który buduje nowe społeczeństwo, na którego patrzy cały świat. Ale ta depesza wstrząsnęła mną, obraziła mnie. Bo cóż to znaczy: „Chcę, żeby był pan tutaj"? Kaprys? A jeżeli jutro powie ci: „Skacz do morza i siedź pod wodą, póki cię nie zawołam!" Czy można pozwolić na takie traktowanie, na takie...

— „Wszystko zmiótł potężny huragan!" — przerwałem Derżykrajowi. — No, a gdybyś sam otrzymał taki telegram? Dokąd byś pojechał — nad morze czy na sympozjum?

— Przecież ci powiedziałem, że straciłem na chwilę głowę, może nawet oszalałem. Ale... Wiesz bardzo dobrze, jakie mam poczucie obowiązku.

— Dziękuję za uwagę — powiedziałem łaskawie. —

Nareszcie usłyszałem to, co chciałem usłyszeć. Każdy wybiera, co może. Ty wybrałeś sympozjum, ja — Walerię.

— Więc jesteś gotów jechać na to zwariowane wezwanie?

— A cóż to jest miłość? Może właśnie samo wariactwo?

— Powiedziałem swoje i wysłuchałeś mnie.

— Ludzkość ci tego nigdy nie zapomni. Ale jako mój szef — zwolnisz mnie? Na tydzień. Czy zwrócić się wpierw do Szlachtycza?

— Zwolniłbym cię bodaj po to, żebyś się przekonał.

— Chętnie się przekonam! Zwalniasz? Na tydzień!

Usłyszałem w głosie Derżykraja zmęczenie, kiedy powiedział:

— Wspomnisz kiedyś moje ostrzeżenie.

— Zwalniasz mnie? — wrzasnąłem zniecierpliwiony czując, że Derżykraj się waha.

— Dobra... Jakkolwiek robię to wbrew swoim przekonaniom i w ogóle... zdrowemu rozsądkowi...

Niespodzianie zatrzymał wóz i otworzył mi drzwiczki.

— Ale tylko na tydzień.

Wyskoczyłem czym prędzej z samochodu, żeby się Derżykraj nie rozmyślił. Mimo wszystko dobrze się stało, że odebrał depeszę i przetrzymał ją. Inaczej nigdy bym nie dostał tygodniowego urlopu! Cały tydzień!

— A propos — zawołał Derżykraj, kiedy odwróciłem się już i oddalałem. — Uzgodnij swój urlop także ze Szlachtyczem. Będzie tak bardzo pięknie.

Drzwiczki trzasnęły, zawarczał silnik, wóz pomknął wraz z Derżykrajem na sympozjum, ja zaś pozostałem za miastem, na bezludnej drodze, pod jakimś ułudnym teraz o świcie niebem i ze złudnym tygodniowym urlopem w ręku. Ze dwie godziny potrwa droga stąd do

huty, gdzie trzeba będzie stanąć przed pięknym obliczem Loni Szlachtycza i... Pokazać tę depeszę? Opowiedzieć mu o rozmowie z Derżykrajem?

Dziwne, ale nie gniewałem się na Derżykraja. Poczułem nawet w stosunku do niego pewną przychylność. Oho, nasz technokrata zapragnął ciepła. Może rację ma Lonia Szlachtycz, że Derżykraj nie jest żadnym marsjańskim pająkiem, tylko takim samym człowiekiem jak my wszyscy? Może oczłowiecza go Lonia Szlachtycz? W oddziale obaj pracują w zgodzie, nawet się wzajem uzupełniają.

I wyobrażam sobie znowu, jak Derżykraj wpada do mieszkania Walerii. Człowiek poważny... Zasady Pełagei Iwaniwny. Sympatyzować tylko z ludźmi poważnymi... Poważny komputer, który zapragnął wszystkiego co ludzkie... Ciepła... Czy nie za wiele? Bo tak ci dopiekę! Groziłem mu w duchu, ale bez gniewu. Widocznie zmiękłem od miłości jak wosk na słońcu. Och, Walerio, coś zrobiła z tego żelaznego chłopaka Dmytra Czeredy!

„Chcę, żeby był pan tutaj. Chcę, żeby był pan tutaj" — wystukiwały to koła pociągu, wyśpiewywały dla mnie Góry Krymskie, huczał tak trolejbus jadący z Symferopola do Ałuszty i turkotał nocą autobus na zakrętach szosy między Ałusztą i Sudakiem.

Przyjechałem do Sudaku przed świtem i wałęsałem się po mieście dość długo, by się utwierdzić w przekonaniu, że osiągnęło rzeczywiście we wszystkim poziom standardów światowych. Znalazłszy się w Sudaku, trudno nie ulec urokowi przedziwnej góry, nie ulec jej wpływowi, nie pozwolić się opanować. Jedyny sposób uwolnienia się spod władzy gór nad sobą — to wspinaczka na ich szczyty. Nie wspiąłem się jednak na tę okrągłą genueńską górę, wierzyłem Walerii, że na herbie konsulów genueńskich rzeczywiście widniały cału-

jące się gołębie; wytrwale szukałem jakiegoś środka komunikacyjnego, żeby dotrzeć do zagadkowego Meganomu, ale — jak się okazało — żadnej komunikacji z tym miejscem nie przewidziano, gdyż Meganom zupełnie nie interesował ludzi normalnych, czyli tych wesołych turystów z plecakami, którzy stali w kolejkach przed zamkniętymi jeszcze kawiarniami, zawczasu zajmowali miejsca na wąskim pasie miejskiej plaży, kręcili się po urządzonym własnymi siłami u stóp genueńskiej fortecy obozowisku wśród wygniecionych, wydeptanych i trzeszczących, suchych burzanów i dość sceptycznie spoglądali na dziwaka w zupełnie tu nie pasującym, paradnym garniturze, zmierzającego do fortecznej bramy tylko po to, by przeczytać na żelaznej tablicy napis: „Zabytek pod ochroną państwa".

Był to piękny poranek, jak zwykle pisze się w książkach. Dla mnie był jeszcze piękniejszy, bo spodziewałem się spotkania z Walerią. Powietrze było ciche i ciepłe, morze pewnie też ciche i pewnie też ciepłe, ciepłem tchnęła okrągła góra forteczna nad Sudakiem i dalekie góry na widnokręgu. Wrażenie, jakie wywierał ten rajski zakątek, psuł nieco gęsty i czarny dym, wyrzucany w obfitości na Sudak z wysokiego żelaznego komina, który jakiś wielki mędrzec umieścił z powodzeniem nieopodal podnóża malowniczej góry, właśnie tam, gdzie się zaczynała okrągła sudacka zatoka z przejrzystą i czystą wodą. Może podświadomie, a może w tym właśnie ściśle określonym celu, by zapoznać się z tym dowodem twórczych wysiłków jakiegoś tutejszego technokraty, dość że moje nogi poniosły mnie tam, gdzie sterczał komin, i tutaj właśnie natknąłem się na wymarzony autobus.

Przypominał ten autobus samochód Wuera w dobie, kiedy był jeszcze w proszku, innymi słowy w okresie przedcynkowym. Przedpotopowy model nie wiadomo

jakiej marki, coś w rodzaju arki na kołach, z pudłem całkowicie zardzewiałym, rozbitym i powyginanym od mnóstwa upadków, koziołkowania i kraks, autobus ten nadawał się do muzeum. Nie powinien się taki wrak pokazywać na żadnej szosie, trudno uwierzyć, że mógł w ogóle ruszyć z miejsca, ale — jak widać — korzystała z tego autobusu ludność miejscowa, co potwierdzał napis „miejscowy" na nowiutkiej tabliczce. W szoferce siedział kierowca podobny do swego autobusu, jakiś zardzewiały, wytarty i wygnieciony mężczyzna. Gdyby zobaczył go towarzysz Knysz, zaproponowałby mu w amatorskim spektaklu rolę diabła, który poszedł na emeryturę. Otworzywszy pogięte drzwiczki siedział ten chłop wyciągając swoje długie nogi i gorliwie manifestował stan absolutnej błogości. Zauważył mnie, ledwie wyszedłem spoza zakrętu, i od razu uznał mnie za pana młodego. Zorientowałem się także, że ubrany jestem jak do ślubu, więc czym prędzej zrzuciłem marynarkę i podszedłem do autobusu w koszuli niosąc w jednej ręce marynarkę, w drugiej walizkę.

— Pan młody czy obcokrajowiec? — zapytał kierowca.

— Do Meganomu pojedziemy? — przeszedłem od razu do natarcia.

— Do czy na? — znowu odpowiedział pytaniem na pytanie kierowca najstarszego gruchota wśród radzieckich autobusów.

Kontynuując turniej pytań zadałem pytanie jak najbardziej niespodziane:

— Przysłać ci chłopaków, żeby ci wyklepali nadwozie z blachy cynkowej?

— No, wsiadaj — poddał się kierowca. — Widzę, że ani nie jesteś cudzoziemcem, ani nie masz bzika. A panów młodych szanuję.

— Nie jestem panem młodym.

— Kiedyś nim będziesz. Wsiadaj. Na Meganom?

— Na Meganom.

— Jedziemy. Muszę jeździć dla ciągłości ruchu, a ty przewietrzysz swój garnitur. Czarny garnitur na nasze upały — to wielka rzecz. A może jesteś też bzikowaty? Ze dwa tygodnie temu wiozłem na Meganom całą gromadę bzikowatych. Pojechali nurkować. Powiadam im, nie powiózłbym was, bo jeszcze się tam potopicie, bierz was licho, ale muszę dla ciągłości ruchu i dla mego wnuka Maksyma — czeka na mój akord progresywny. Bardzo się cieszy z progresji dziadka! Mały, ale ma rozum. Sławnym człowiekiem jest mój wnuk w Sudaku. Jak ja się nazywam, wszyscy już zapomnieli, nazywają mnie „dziadkiem Maksyma". To ja wymyśliłem mu imię. Jest Maksym Gorki, Maksym Perepełycia, a teraz — mój wnuk.

— A kto to taki Maksym Perepełycia? — zapytałem, by zacieśnić kontakt z dziadkiem kierowcą.

— Był taki film. Wesoły żołnierz Maksym Perepełycia. Trochę, co prawda, bzikowaty, ale wszyscy ludzie weseli, bracie, są trochę bzikowaci, a wszyscy, co mają bzika, są na swój sposób wesołymi ludźmi. Była w tym filmie ładna piosenka. Och, bardzo ładna. „W drogę! W drogę! W drogę! Tylko dla ciebie, kochana..."

Przy wtórze pieśni wyruszyliśmy więc, by odkryć przylądek Meganom.

— Mam w domu kontrolę robotniczą! — wykrzykiwał na swoim siedzeniu dziadek Maksyma. — Stara zabiera mi wszystko, co zarabiam. A muszę coś mieć na utrzymanie ciągłości ruchu. Na kalosze. Kalosze to najważniejsza rzecz. Pewnie nawet nie wiesz, jak wyglądają. No co to takiego kalosze?...

W gadatliwości dziadek Maksyma bił wszystkie zna-

ne rekordy światowe, iść z nim o lepsze nie miałem chęci.

Jego gadatliwość wzrastała w miarę, jak oddalaliśmy się od pięknego Sudaku z jego malowniczą górą, od zielonych winnic i cienistych drzew. Nasz sto razy rozbity i dwieście razy połamany autobus rycząc jak rakieta zaniósł nas jak gdyby na inną planetę. Po zielonych górach — martwe, gliniastokamieniste pustkowie, krzaczki piołunu na suchych sołończakach, kamieniste koryta wyschłych potoków, szarobure barwy, brudne urwiska.

Jechaliśmy długo, dziadek Maksyma opowiadał mi jeszcze o kaloszach, o ruchu, o okrętach genueńskich, czarnych i płaskich jak kalosze, o swoim wnuku, najmądrzejszym w Sudaku, mimo że ma dopiero trzy lata. Ja zaś patrzyłem na rude, kamieniste pustkowie i ogarniała mnie jakaś niewysłowiona rozpacz, jakby mnie wieziono na koniec świata, gdzie już nigdy nie ujrzę nic żywego.

A Waleria? „Chcę, żeby był pan tutaj". Oto już tu jestem. Tutaj!

Posuwaliśmy się naprzód z taką nie zaprogramowaną dla żywej i martwej natury prędkością, że kurz wzbijany przez rozchwiane koła autobusu niemal wciąż nas wyprzedzał i wyglądało to tak, jakby autobus poruszał się w burym obłoku. Wtem chmurę tę zdmuchnął wiatr od morza i dziadek Maksyma, klasnąwszy z zadowoleniem w ręce, zawołał:

— O, bzikowaci!

Nie opodal paliło się niewielkie ognisko. Skierowałem się w tę stronę. Coś się tam gotowało. Kasza — raz! Kasza — dwa! Siedziało przy ognisku kilku chłopaków, brodatych, rozleniwionych, o potężnej budowie ciała niczym zapaśnicy wagi ciężkiej.

— Gdzie jest Waleria? — zapytałem.

— Pod wodą — mruknął leniwie jeden z brodaczy. — Wróci jeść kaszę.

Należeli ci chłopcy do jakiejś rzadkiej ludzkiej mutacji. Ręce mieli jak wiosła, nogi jak wiosła, plecy niby dno barki. Aż dziw, że tacy siłacze pozwalają nurkować w morzu drobnej, delikatnej dziewczynie, a sami gotują kaszę! Powiedziałbym im wszystko, co o nich myślę, ale nie miałem, niestety, czasu na prawienie morałów. W tej samej chwili bowiem pojawiła się w dole jakaś niewielka postać z bezradnie zwieszonymi rękoma i zaszlochała!

— Waleria!

Nie przyglądaliśmy się już sobie dłużej, zapomnieliśmy od razu o kaszy i nieporozumieniu, podbiegliśmy do owej wątłej postaci i trzęsąc nią niby suchą gruszą wrzeszczeliśmy: „Co? Co?"

— Waleria — powiedziała płacząc postać i wyrwawszy się nam pobiegła do ogniska wciąż krzycząc ze strachu i łkając: — Waleria! Waleria!

Zjechaliśmy po kamieniach w dół, nad morze.

Leżał tu cały stos sprzętu dla płetwonurków, a kilku brodaczy przestępowało z nogi na nogę i unikając naszych spojrzeń patrzyło w stronę morza.

— Co? — krzyknąłem. — Waleria! Co się z nią stało?

— Nie wróciła — powiedział posępnie jeden z brodaczy.

— Czego stoicie? — darłem się. — Szukajcie jej! Ratujcie!

— Szukaliśmy. Są tam teraz Boria i Fiedia. My też pójdziemy znowu...

Patrzyłem i nie wierzyłem. Bo jak to? Pójść i już nie wrócić z morza? Dać nurka i już się nie wynurzyć? Wszyscy się wynurzyli, a ona nie? Jedyna wśród nich

dziewczyna! Jak to? Dlaczego jej nie pomogli? Jak ją mogli zostawić samą w głębinach?

— Idioci! — wrzasnąłem chwytając za pierś tego brodacza, który nam opowiadał. — Kanalie! Wszyscy do wody! Dajcie mi aparat! Gdzie się zanurzyła? Sam będę szukać!

Rzuciłem się oszalały na jednego z chłopaków i dopiero teraz się opamiętałem, ogarnęła mnie jeszcze większa zgroza wobec wszystkiego, co się tu dzieje.

— Spokojnie — powiedział ów chłopiec. — Trzeba zorganizować natychmiast systematyczne poszukiwania. Wezwiemy drużyny ratownicze. Nurków. Śmigłowce. Woda jest tu przezroczysta, z góry wszystko widać. Jadę natychmiast do Sudaku. Wy wszyscy róbcie tymczasem co należy. A ty pojedziesz ze mną.

— Ja wlezę do morza — powiedziałem — nie wyjdę stamtąd do samej śmierci... Umrę tam...

— Bez paniki. Pojedziesz ze mną, żeby nie wprowadzać tu dezorganizacji... Chłopcy są doświadczonymi płetwonurkami... Miejmy nadzieję...

Chwycił mnie za rękę i pociągnął w górę, a siłę miał w rękach diabelską czy też może ja całkowicie osłabłem. Z góry wprost posypali się nam na głowę wszyscy ci rośli i silni brodacze, którzy siedzieli przy kotle z kaszą. Jak się zdawało, można było na nich polegać. Ale jak się to stało, że pozostawili w głębinie samą Walerię? Gdzie się właściwie podziała? Jak do tego doszło?

Widocznie wydawało mi się to wszystko fantastyczne i absolutnie nierealne, bo w przeciwnym razie nie pozwoliłbym się odprowadzić do autobusu, nie pojechałbym do Sudaku i nie biegałbym tam po różnych pokojach, nie dzwoniłbym pod różne numery.

Kiedy wróciliśmy na przylądek, ponury żart trwał nadal.

Walerii nie było.

Stałem nad morzem, unosiłem się na palce, żeby wzrok mój dalej sięgał, wypatrywałem Walerii, spodziewałem się, że lada chwila wydostanie się z wody, wypłynie na powierzchnię, biała i roześmiana, chluśnie na mnie szarym błękitem swoich oczu, machnie białą ręką.

Walerii nie było.

Przyleciał śmigłowiec i krążył do samego wieczoru nad morzem, ubłagałem, żeby pozwolno mi również wznieść się w powietrze, patrzyłem z góry na wodę, przezroczystą tylko przy brzegu, bo dalej zaczynała się tajemnicza głębia morska, czarne mchy, olbrzymie kwiaty zła i zagrożenia, ciemne nienasycenie nieznanego.

Przed wieczorem nadpłynął kuter z nurkami. Nurkowie przygotowywali się do zejścia pod wodę powoli i długo, jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ludzie zabierali się tak powoli do wykonania czegoś pilnego, a w dodatku jeszcze dziewczyna z kambuza zaczęła wydawać na pokład miski z barszczem; ci, co nie szli pod wodę, zabrali się do jedzenia, jakby w ogóle można było jeść, kiedy tu, gdzieś pod nimi, w ciemnej wodzie, zginął człowiek!

Nurkowie pracowali przez całą noc, potem przez cały dzień, ale nic nie znaleźli.

Latał śmigłowiec nad morzem, nurkowali bez końca płetwonurkowie — wszystko nadaremnie!

Walerii nie było.

Popłynęła i nie przypłynęła. Poleciała jak ptak do ciepłego kraju i zginęła w przestworzach dalekiego nieba. Nie mogłem sobie wyobrazić, że nie ma jej i nigdy nie będzie. Zdawało mi się, że przyleci razem z ptakami.

Co wam wiadomo o przelotnych ptakach? Och, wolałbym nic nie wiedzieć.

Szukaliśmy Walerii cały tydzień. A może dziesięć dni, miesiąc, całe lato? Zmordowani przebywaniem pod wodą brodacze grzali się na słońcu lub przy ognisku i każdy coś opowiadał o Walerii. Wszyscy byli w niej zakochani, ale nie tak jak ja. Wszyscy mogli coś o niej opowiedzieć, ja zaś mogłem opowiedzieć sto razy więcej, czego nie chciałem jednak robić. Czekałem, aż Waleria wróci, przyjdzie i wyciągnie do mnie swoje białe ręce.

Walerii nie było. Tylko jej bosy cień wszędzie mi towarzyszył.

Po co te posępne przeczucia? Byłem bezsilny wobec własnej fantazji. Moja wyobraźnia ukazywała mi obrazy, jeden straszniejszy od drugiego, poza tym powrót do miasta trwał długo a, jak wiadomo, grze wyobraźni najbardziej sprzyja nadmiar czasu. Derżykraj postarał się, żebym miał ten nadmiar czasu, wywiózł mnie za miasto na odległość wystarczającą jego zdaniem, by mi głowa ochłonęła, ale okazało się, że wprost przeciwnie.

Wchodząc na halę, byłem już zupełnie przekonany, że w ciągu tych dwóch dni z Walerią stało się coś nieodwracalnie tragicznego. Na przykład: czekała na mnie, nie doczekała się i w rozpaczy... Jakieś gorączkowe majaczenia, ale bardzo realistyczne... Tak mocno uwierzyłem w swój wymysł, że nawet zapomniałem wstąpić po drodze na pocztę i zatelegrafować na Meganom, że przyjeżdżam. Spieszyłem do Szlachtycza, żeby mu powiedzieć o pozwoleniu Derżykraja i uzyskać jego zgodę. A jeżeli rzeczywiście wydarzyło się z Walerią jakieś nieszczęście.

Chyba po raz pierwszy w życiu zaciążyła mi moja zbyt bujna wyobraźnia. U licha, przecież sam już wie-

rzyłem, że byłem na Meganomie i przeżyłem zniknięcie Walerii.

Na hali pod samym stropem monterzy przybijali olbrzymi transparent. Trzymetrowe litery wołały z niebotycznej, przeszklonej wysokości:

„Meldujemy! Oddział gotów jest
podwoić produkcję rur dla Kraju!"

Jakby można było produkować rury nie dla kraju, lecz dla jakiegoś wujaszka! Och, ta twórczość samorodna!

Jeszcze bardziej niż transparent rozgniewał mnie Krywcun. Jak się okazało, kręcił się koło mego miejsca i gotów już był usiąść przy moim pulpicie operatora. Szczęście, że przyszedłem w porę, by udaremnić jego szlachetne zamiary.

— Co tu robisz? — zapytałem.

— Sam widzisz — Krywcun nie zamierzał tracić czasu na wyjaśnienia. Rwał się do chlubnego przodowania w pracy z siłą groźną i niepojętą.

— Czy zapomniałeś, że pracuje tu towarzysz Dmytro Czereda — przypomniałem nadgorliwcowi.

— Przecież nie ma cię.

— Jak to nie ma? — wrzasnąłem nie mogąc ścierpieć zniewagi oraz tej, powiedziałbym, antymaterialistycznej wypowiedzi.

— Zwyczajnie. Wyjechałeś.

— Wyjechałem? Dokąd?

— Bo ja wiem. Nad morze czy gdzieś tam. Odpocząć sobie.

Mogłem, rzecz jasna, chwycić Krywcuna za kołnierz i tak mu wlepić, żeby zapragnął sobie też odpocząć, ale coś mnie powstrzymało. Bo przecież miałem chyba rzeczywiście taki zamiar: drapnąć na tydzień nad morze, czyli do Walerii. Ale na tej hali, pod tymi trzymetrowymi literami „Meldujemy", wobec tych ludzi, którzy postanowili nawet z całkowicie zautomatyzowa-

nego sprzętu wycisnąć coś niebywałego, moje obawy, które dręczyły mnie dzisiaj od świtu, wydały mi się, jeżeli nie błahe, to w każdym razie dziecinne. Zapytałem więc Krywcuna spokojnie i nawet z niejaką skruchą:

— Kto ci powiedział, że wyjechałem?

— Szlachtycz.

— A kto powiedział Szlachtyczowi?

— Bo ja wiem? Zapytaj Szlachtycza.

Nie było potrzeby pytać. Derżykraj — któż jeszcze? Dojechał do pierwszej budki telefonicznej i zadzwonił do Szlachtycza.

— No, skoczę do Szlachtycza, a ty mnie tu zastąp — powiedziałem do Krywcuna i skierowałem się do cybernetycznego gniazda.

Szlachtycz rozmawiał jednocześnie przez dwa telefony, naciskał jakieś przełączniki i dźwignie i nie przerywając swoich zagadkowych manipulacji zwrócił się do mnie:

— Co tam, Mytiu?

— W porządku — powiedziałem i rozglądałem się, jakbym się chciał przekonać, że istnieje, do wszystkich diabłów, ten porządek, o którym właśnie chlapnąłem.

— Rozumiesz — wciąż robiąc swoje, znowu zwrócił się do mnie Szlachtycz — w wyniku naszych niektórych obliczeń okazało się... Co? Tak jestem, zaraz przyślę... Nie warto się denerwować... Wiesz, Mytiu, o co nam chodzi? O przyśpieszenie procesu. Innymi słowy, o przyśpieszenie tego, co jest nie do przyśpieszenia. Na pierwszy rzut oka. Słyszałeś o nutach Liszta? Pisał na pierwszej stronicy: „Grać prędko", na drugiej: „Jeszcze prędzej", na trzeciej: „Możliwie najprędzej" a na następnej: „Jeszcze prędzej!"... Tak samo my... Powinno się udać... Wszystko zostało sprawdzone. Derżykraj po-

jechał, żeby to zreferować na sympozjum. A my musimy udowodnić w praktyce.

Masz tobie! Tamten już powiózł referat, a dla Szlachtycza pozostała drobnostka: udowodnić w praktyce! Patrzyłem na Lonię i znowu zaczynałem w głębi duszy nienawidzić Derżykraja.

— Ale po co ci to mówię? — jakby przeląkł się nagle Szlachtycz. — Przecież wyjeżdżasz. Właściwie już wyjechałeś. Derżykraj zatelefonował, prosił o to.

I od razu o mnie zapomniawszy zaczął manipulować swoim sprzętem, wydawał rozkazy przez radio, kogoś wzywał, do kogoś telefonował.

Stałem i nie wierzyłem, czy stoję tu rzeczywiście, czy już mnie tu nie ma. Czułem się o wiele gorzej, niż kiedy wyobrażałem sobie, że zginęła Waleria. Chodziło o mnie samego. Gdzie jestem? Co się ze mną dzieje? Kim jestem?

Wreszcie Szlachtycz przyszedł mi na pomoc. Zauważył mnie i uśmiechnął się tak, jak umiał się uśmiechać tylko on.

— Jeszcze tu jesteś, Mytiu? Nie pojechałeś?

— Dokąd mam jechać, do wszystkich diabłów? — wybuchnąłem. — Wszyscy mnie gdzieś wyprawiacie? Sami chcecie meldować, a Dmytrowi Czeredzie dać kopniaka. Zmowa przeciwko młodzieży!

— Przecież się wybierałeś?

— Dokąd się wybierałem? Kto ci powiedział?

— Uspokój się, Mytiu. Właściwie myślałem, że nigdzie teraz nie pojedziesz. Nie mogłeś nas opuścić — wszyscy to wiedzą. Wiesz, o co cię poproszę? Niech cię zastąpi Krywcun, a ty pobądź dziś przy symulatorach. Przyszli nowi operatorzy, nasze tempo wzrośnie, potrzebne jest szczególne wyszkolenie. Artyzm. Cała moja nadzieja w tobie.

— No dobra. Jeżeli chcesz — powiedziałem zasępio-

ny i zacząłem schodzić na grzeszną ziemię doskonale rozumiejąc, że Szlachtycz po prostu chce mnie dziś zepchnąć na bagatelne zajęcie, żebym w swoim obecnym nienormalnym stanie nie narobił jakiejś biedy przy pulpicie. Ale któż zastępuje Dmytra Czeredę? Krywcun! Przecież to szczyt poniżenia!

Przy jednym z pulpitów-stymulatorów siedziała czarnooka, zgrabna dziewczyna, wyglądała tak, jakby tu przyszła prosto z dyskoteki. Zapytałem ją nawet:

— Pewnie z dyskoteki, co?

— Tak jest — wcale nie zmieszana odpowiedziała dziewczyna... Znalazł mnie tam towarzysz Szlachtycz.

— Szlachtycz?

— Tak.

— Szlachtycz też tam tańczył?

— Tak.

— Z panią?

— Nie, ze swoją żoną.

— I co dalej? Co ma wspólnego to — wskazałem na pulpit — z tańcami?

— Towarzyszowi Szlachtyczowi spodobało się, jak tańczę.

— Jak pani tańczy?

— Tak. Mam wyjątkowe poczucie rytmu. Powiedział, że mogę zostać genialnym operatorem.

— Genialnym operatorem?

— Tak.

Ta czarnooka od urodzenia nie była zdolna do czegoś tak zwykłego jak skromność. Nie wiedziała ponadto, że Dmytro Czereda należy do najlepszych nauczycieli skromności.

A więc zacznijmy!

— Otóż tak — powiedziałem siadając obok dziewczyny obdarzonej wyjątkowym poczuciem rytmu. — Niech pani dobrze uważa na moje ręce, a co najważniejsze,

stara się zrozumieć moją myśl. Zadanie jest bardzo proste. W ciągu sześciu godzin pracy siedząc przy pulpicie robić trzydzieści siedem przełączeń w ciągu każdych czterdziestu sekund. Proszę ponadto wziąć pod uwagę, że między piątym, jedenastym, dwudziestym ósmym i trzydziestym piątym przełączeniem należy robić kolejno pauzy na cztery, dwie, pięć, jedną i osiem sekund. A wtedy, jak powiedziane jest w pewnej dosyć popularnej piosence: „Nie płacz, dziewczę, będzie deszcz..." Zaczniemy?

— Nie zgadza się — powiedziała dziewczyna.

— Co się nie zgadza?

— Sekundy. Trzydzieści siedem przełączeń w ciągu czterdziestu sekund i dwadzieścia sekund pauz.

Dziewczę miało nie tylko poczucie rytmu, ale znało również arytmetykę!

— Dobra — dodałem łaskawie. — Weźmy pięćdziesiąt siedem sekund i jedziemy.

— A jeżeli wypadnę z rytmu? — już bez dotychczasowej pewności siebie zapytała dziewczyna.

— Nie radzę.

— Ależ to bardzo skomplikowane. Wydaje mi się nawet. że to niemożliwe. Palce nie nadążają.

— Nie trzeba starać się, żeby nadążały. Trzeba myśleć. Głową, rękoma i właściwie palcami. Żąda tego od nas technika i przyszłość ludzkości. A więc, jedziemy! „Nie płacz, dziewczę, będzie deszcz..."

Pracowaliśmy na całego. Jak powiedział niegdyś nasz zakładowy poeta: „Jak konie pracujemy, chociaż owsa nie jemy". Czarnooka miała rzeczywiście wyjątkowe poczucie rytmu. Gdybym nie był zakochany w Walerii, może bym się nawet poznał bliżej z tą dziewczyną. Ech! A prawdę mówiąc, powoli zaczynałem się już w głębi duszy buntować przeciwko Walerii. Po co te fanaberie? Uciekać na Krym, pisać wzruszające listy,

a potem przysłać telegram wręcz obraźliwy: „Chcę, żeby był pan tutaj". A jeżeli mam własne chęci? A jeżeli, u licha, zajęty jestem ważną pracą? Jestem nią rzeczywiście zajęty — dzisiaj, zawsze i po wieki wieczne! I melduję to naszemu oddziałowi literami na trzy metry, ja, Dmytro Czereda!

Pod koniec zmiany mimo wszystko zaczęto szukać Dmytra Czeredy. Nie będziemy wyolbrzymiali roli naszej skromnej osoby, ale zgódźmy się, że niekiedy trudno się bez niej obejść nawet takim ludziom jak Szlachtycz.

Krótko mówiąc, wezwano mnie. Ogłoszono przez radio, że jestem proszony. Poszedłem. Moja uczennica poprosiła, żebym ją zabrał z sobą.

— Popatrzę — powiedziała.

Zgodziłem się łaskawie. Pożałowałem tego od razu, ale odwrót był już odcięty. Znaleźliśmy się na hali, gdzie toczyła się normalna praca i nikt nie czekał, aż przyjdzie Dmytro Czereda i kogoś poratuje. Co prawda, koło mego stanowiska roboczego stała gromadka jakichś ludzi, ale poznałem od razu, że to korespondenci. Notesy, mikrofony, magnetofony.

Ich zwykłe sprawy przeszkadzają ludziom w pracy.

Spróbowano mnie przychwycić już w drodze do mego pulpitu, ale z czym do gościa! Za to moja uczennica od razu godnie oceniła możliwości techniki w dziedzinie informacji, zostawiła mnie samego i przyczepiła się do chłopca, który trzymał mikrofon tak, jakby chciał go każdemu dać do powąchania.

Chłopiec miał szybki refleks.

— Pani nazwisko i miejsce pracy, ideał, który chciałaby pani naśladować? — podsunął mikrofon dziewczynie.

— Walentyna Tierieszkowa — wykrzyknęła moja uczennica zapominając o własnym nazwisku i wszyst-

kim na świecie, pragnąc tylko jak najprędzej oznajmić wszystkim nazwisko tej, którą chciała naśladować.

— A pan? — krzyknął za mną reporter spodziewając się zapewne, że wymienię Gagarina i można będzie na tym zakończyć wywiad dla radia. Ale byłem już przy pulpicie, przy swoim pulpicie, przy którym, niestety, pracował ktoś inny, ba, sam Krywcun.

Było tam jeszcze kilka osób, między innymi — sekretarz egzekutywy komsomołu, przystojny chłop, mądry i energiczny. Mrugnął do mnie i nieznacznie wzruszył ramionami, że niby — wybacz, niepokoimy cię, ale nie sposób się odczepić od radia. Mrugnąłem również na znak całkowitego porozumienia: pokój i przyjaźń!

— Dmytro Czereda — przedstawił mnie sekretarz — mówiłem już o nim. Słuchacze radia znają Czeredę, więc warto by w tej audycji...

Mikrofon przybliżył się już do moich ust.

— Bohater, którego chciałby pan naśladować?

Odsunąłem delikatnie mikrofon i wskazałem na Krywcuna.

— O, to Krywcun. Zastępuje mnie dzisiaj. Należy mu się, żeby zabrał głos jako pierwszy.

Krywcun wprost celebrował swój występ. Tworzył przy pulpicie jak Richter przy fortepianie. Był diablo przystojny i fotogeniczny i wszyscy żałowali w głębi duszy, że nie ma wideomagnetofonu, bo Krywcun zasługiwał nawet na kolorową telewizję, nawet na „Orbitę" czy może Interwizję.

— Bohater, którego chciałby pan naśladować? — zapytał Krywcuna korespondent, a Krywcun, nie odrywając się od pracy, pełen entuzjazmu i bez śladu zmęczenia, dźwięcznie i raźnie wykrzyknął do mikrofonu:

— Wasyl Iwanowicz!

Wykrzyknął to zresztą trochę tak sobie, bez zastanowienia i reporterzy nieco się stropili. Spodziewali się,

że Krywcun powie coś jeszcze, uzupełni, wytłumaczy, ale niczego się nie doczekali. Wasyl Iwanowicz — i basta.

— Tak — podchodząc ostrożnie do Krywcuna powiedział jeden z reporterów — nasi słuchacze rozumieją, rzecz jasna, że chodzi panu o słynnego Czapajewa. Ale posłuchalibyśmy chętnie, jakie cechy charakteru Czapajewa podobają się panu, człowiekowi, który pracuje w królestwie automatyki i elektroniki.

— A co tu ma do roboty Czapajew? — gburowato jak zwykle zapytał zdziwiony Krywcun.

— Przecież powiedział pan, że Wasyl Iwanowicz.

— Tak jest, Wasyl Iwanowicz!

— Więc jeżeli nie Czapajew, to kto właściwie?

— Kto? Kasjer naszego oddziału Wasyl Iwanowicz — o! Popatrzylibyście, jaka leży przed nim zawsze kupa pieniędzy. I nigdy nie weźmie nawet rubla. Panuje człowiek nad sobą!

Korespondenci tak dobrze nad sobą nie panowali i spoglądali na sekretarza z pewnym lękiem, że niby: jakie niespodzianki jeszcze nas tu czekają? Ten uspokoił ich jednak:

— Może pytania są zbyt prostolinijne? Jak sądzisz, Czereda?

— Mam dziś kaszę w głowie. Nie potrafię myśleć.

— No wiesz, bracie! Głównie liczyliśmy na ciebie. Nagranie już jest, cała taśma, brak tylko Dmytra Czeredy. A ty powiadasz, że masz kaszę!

— Gdybym mówił nie do mikrofonu — zaczynałem się już złościć na to wszystko — powiedziałbym, że bohaterem, którego chcę naśladować, jest Szlachtycz. I może w czymś tam Derżykraj. Mądra głowa.

— A któż to taki — Szlachtycz i Derżykraj? — zapytał ten z mikrofonem.

— Jeżeli nie wiedzą, kto to jest Szlachtycz i Derży-

kraj, to po co tu przyszli? — zwróciłem się do sekretarza.

— Nie denerwuj się, Czereda — uspokoił mnie sekretarz i popularnie wytłumaczył gościom, co to za ludzie Szlachtycz i Derżykraj.

— Rzecz jasna — mówiłem już do mikrofonu — podobnie jak każdy mógłbym wymienić inne nazwiska — wielkie, znane, niedosięgalne. Ale pracuję z tymi ludźmi. W każdym razie z jednym z nich wytworzyły się stosunki skomplikowane, powiedziałbym nawet powikłane. Wynikały również trudności w moich kontaktach ze Szlachtyczem, który starał się ukształtować mnie, oszlifować. Przyznaję, że lubię tego człowieka. Zdaje się, że gotów jestem polubić także Derżykraja. Przechodzę do miłości! Co stwierdzam podpisem — Dmytro Czereda.

Przez cały czas, kiedy to mówiłem, gdzieś głęboko ożywała we mnie myśl o Walerii, odczuwałem jeszcze nieprzepartą, bezsensowną chęć, by biec na jej wołanie, wyrywałem się do niej niepowstrzymanie, wyrywałem i... nie mogłem zmusić do biegu swoich nieposłusznych nóg.

Cena zł 45,—

Chodzi panu o tych chłopców? Od dawna zna pan Walerię? Nie? Zaledwie dwa tygodnie? To niewiele... Wie pan, to bardzo niezwykła dziewczyna. Jedynaczka... Jej rodzice są nauczycielami. Pracują w terenie... Też pan nie wie? Ja byłam również nauczycielką przez całe życie. Teraz przeszłam już na emeryturę... Ale zasady... Wie pan, nauczyciele mają swoje zasady... Niestety, dzisiejsze dzieci są raczej dziećmi swojej epoki niż swoich rodziców. Waleria nie ma z nami nic wspólnego... Jest trochę kochliwa. Nie zabraniam jej jednak. Nawet w myśl swego rodzaju zasady... Jest jeszcze bardzo młoda, ma przed sobą całe życie, więc nie pozwolę, żeby ryzykowała. Rozumie pan? Jeżeli zakocha się w kimś jednym — może się to skończyć katastrofą. Złamane życie, nieszczęśliwa miłość. Ja sama z tego powodu właśnie nigdy nie miałam własnej rodziny. Ale to już moja własna zasada... A o Walerię jestem spokojna. Piszę co tydzień do swojej siostry, bo prosi, żebym ją informowała o wszystkim, co dotyczy Walerii. Wszyscy jesteśmy spokojni... Póki wokół Walerii kręci się od razu dziesięciu czy dwudziestu chłopców, jesteśmy spokojni. Doskonale!... Wierzymy w zasadę. Dziewczyna jest absolutnie bezpieczna, kiedy dokoła niej... Widział pan, ilu jest ich w tamtym pokoju? Bywa jeszcze więcej... Wszyscy tacy cisi, zdyscyplinowani. Podobają mi się... A pan jest też cichy?

Cena zł 45.—